



## **SPIS TREŚCI**

### **Część I Dawne wczasy. Wczesna młodość. Wesela obrzędy na wsi, święta**

Opis wsi Sudół. Uwłaszczenie chłopów we wsiach poduchownych (w 1861r.). Życie chłopów w Sudole przed siedemdziesięciu laty. Wspomnienia chłopów o powstaniu listopadowym i styczniowym. Stosunek chłopów do powstania styczniowego.

### **Część II Czasy szkolne w Przasławiu**

Sposób nauczania w szkole początkowej oraz w szkole, oraz w szkole ćwiczeń przy seminarium nauczycielskim jak również opis seminarium nauczycielskiego w Jędrzejowie oraz jego personelu nauczycielskiego.

### **Część III Praca w szkolnictwie**

Prace A. Walerona w szkolnictwie podstawowym; organizacje tegoż szkolnictwa, organizacje administracji carskiej, organizacje samorządu gminnego, obyczaje ówczesne na wsi; chrzciny, wesela, pogrzeby, zabawy, obyczaje świąteczne: na Boże Narodzenie, na Nowy rok, na Zielone Świąta i.t.p.

### **Część IV Praca społeczna**

Działalność A. Walerona społeczną, polityczną i gospodarczą w okresie pierwszej wojny światowej.

### **Część V Działalność parlamentarna A. Walerona w okresie międzywojennym**

Zawiera opis życia parlamentaryzmu w czasie od początku roku 1929r. do 1935 oraz niektórych epizodów tegoż parlamentaryzmu zupełnie nieznanymi.

### **Część VI Ostatnie lata sanacyjnej dyktatury. Druga wojna światowa. Działalność w Polsce Ludowej**

Szczegóły głosowań przy uchwalaniu konstytucji. Sławny wypadek i samobójstwo Sławka, początek dyktatury Rydz-Śmigłego i jego plany na przyszły wybuch drugiej wojny światowej, przeżycia autora pamiętników podczas drugiej wojny światowej; działalność (...) autora w Polsce Ludowej, ostatnie prace oświatowe w PWRiL oraz w społecznościach.

### **Zakończenie**

stanowi próbę streszczenia całości przeżyć oraz jego opinie o czołowych działaczach okresu międzywojennego.

*Opracowanie tekstu na podstawie oryginalnego rękopisu: Andrzej Gruhn*

*Korekta i redakcja tekstu: Andreovia.pl*

## Część I

### Dawne czasy, wczesna młodość

Urodziłem się 16 października 1882 roku w Sudole, gminy Przasław, powiatu Jędrzejowskiego (obecnie województwo kieleckie). Wieś Sudół leży przy szosie z Jędrzejowa do Nagłowic (rejowskich) i do Szczekocin, w odległości 4 kilometrów od Jędrzejowa, a 2 od klasztoru Cystersów. Wieś ta w mojej wczesnej młodości składała się z obszaru dworskiego liczącego około 500 morgów; do tego obszaru włościańskiego dochodziło pastwisko liczące 36 morgów.

Obszar dworski miał około 80% ziemi pszennej zaś obszar chłopski miał ziemi pszennej nie więcej niż 35% - reszta to gleba żytanio – ziemniaczana. Sudół należał kiedyś do sąsiedniego klasztoru Cystersów, do którego należały również sąsiednie wsie – Lasków, Chorzewa Przasław, Skroniów i wiele innych - w liczbie około stu. Gdy z polecenia rządu carskiego Cystersi z tego klasztoru zostali wywiezieni, w gminach klasztornych osiedli Reformaci, ale majątki klasztorne zostały przez rząd carskie upaństwowione.

Chłopi w Sudole i innych wsiach pocysterskich jako we wsiach państwowych, zostali uwłaszczeni w roku 1861, a nie w roku 1864. Przy uwłaszczeniu dostali ziemię (w Sudole i innych pocysterskich) w postaci kolonii i t.z. „dziadówek”. W mojej rodzinnej wsi utworzono kolonii (...) pół, a „dziadówek” kilkanaście. Kolonie liczyły od 30 do 33 morgów, półkolonia 15 – morgów, dziadówki – średnio 1 morgę; niektóre były nieco większe, ale nie przekraczały dwóch morgów.

Choć nazwa „dziadówka” brzmi pogardliwie i nie od dziada się wywodzi, to jednak od roku (...) aż do chwili obecnej (r.1959) te małe parcele w Sudole i innych wsiach sąsiednich w dalszym ciągu „dziadówkami” się nazywają. Z tego jednak nie wynika, by posiadaczy tych działek ktokolwiek w Sudole dziadami nazywał. Widocznie nazwę tą wymyślili podczas uwłaszczenia, tj. ówcześni urzędnicy szlacheckiego pochodzenia.

W czasie więc powstania styczniowego i w ogólnego uwłaszczenia chłopów w Kongresowych wsiach tak zwanych „szlacheckich” (prywatnych) chłopi już gospodarowali na swych koloniach dziadówkach, przy czym wszyscy właściciele i niektórzy „dziadówek” już mieli budynki na własnej ziemi.

Ta część Sudołu, gdzie wszyscy chłopi przed rokiem 1861 mieszkali w skupieniu jako pańszczyźniani, do dziś nazywa się „stara wieś”. Mieszka tam tylko kilku dziadówkarzy, którzy akurat na tym terenie dziadówki otrzymali i tam pozostali.

Wszyscy zaś koloniści dostali kolonie poza „stara wsią” i przenieśli swe budynki ze „starej wsi” na swoje kolonie; to samo zrobili i dziadówkarze, którzy utrzymali swe małe parcele również poza „stara wsią”. W czasie więc powstania styczniowego, oprócz resztek t.z. „starej wsi” był już nowy Sudół uwłaszczony, skolonizowany i oczywiście szalony. Wieś ciągnęła się wzdłuż traktu ze Szczekocin do Jędrzejowa na przestrzeni dokładnie dwóch kilometrów, przy czym kolonie i „dziadówki” odmierzono w postaci długich prostokątów tak, iż dotyczyły one traktu swymi krótkimi bokami, przy których pobudowano budynki frontem do traktu (szosy).

№№ Kadłoby		№№ po parcelach no parcelach		Kadłoby, поступившія въ полную собственность крестьянъ.	
				I Kadłобы, подходящія подъ Земельный законъ 1864 года (2 <sup>го</sup> Марта) 1864 года.	
1	1	1	1	Валась Мартинъ	
2	2	2	2	Женщина Анна	
3	3	3	3	Свободный Валерьянъ	
4	4	4	4	Женщина Станиславъ	
5	5	5	5	Женщина Андрей	
6	6	6	6	Свободный Станиславъ	
7	7	7	7	Женщина Анна	
8	8	8	8	Подразъ Андрей	
9	9	9	9	Липский Левъ	
10	10	10	10	Женщина Валерьянъ	
11	11	11	11	Женщина Владимиръ	
12	12	12	12	Женщина Николай	
13	13	13	13	Женщина Мартинъ	
14	14	14	14	Женщина Карлъ	
15	15	15	15	Женщина Андрей	
16	16	16	16	Женщина Лавръ	
17	17	17	17	Свободный Левъ	
18	18	18	18	Женщина Романъ	
19	19	19	19	Женщина Анна	
20	20	20	20	Женщина Мария	
21	21	21	21	Женщина Мария	
22	22	22	22	Женщина Кристина	
23	23	23	23	Женщина Мария	
24	24	24	24	Женщина Мария	
25	25	25	25	Женщина Мария	
26	26	26	26	Женщина Мария	
27	27	27	27	Женщина Мария	
28	28	28	28	Женщина Мария	
29	29	29	29	Женщина Мария	
30	30	30	30	Женщина Мария	
31	31	31	31	Женщина Мария	
32	32	32	32	Женщина Мария	
33	33	33	33	Женщина Мария	
				Утого по I отдѣлу	
				II Kadłобы и земли, по-	

Кадłобы, поступившія въ  
полную собственность  
крестьянъ.

ступающія въ собствен-  
ность крестьянъ на осно-  
вании Земельного по-  
веленія 18(30) Марта 1865  
года.

Женщина Григорій  
Женщина Анна  
Соволь Михаилъ  
Женщина Францискъ  
Женщина Валерьянъ  
Женщина Анна  
Женщина Мария  
Женщина Владимиръ  
Женщина Станиславъ  
Женщина Романъ  
Женщина Викентій  
Женщина Францискъ  
Женщина Анна  
Женщина София  
Женщина Андрей  
Женщина Мария

Утого по II отдѣлу, въ  
землю подъ поименованъ  
записаннымъ въ I отдѣ-  
лѣ подъ № 30.

Sudół - fragment rejestru właścicieli  
z rosyjskiej mapy katastralnej, 1876r.

Wszystkie kolonie i siedem „dziadówek” znajdują się po północnej stronie traktu, a reszta dziadówek i obszar dworski – po jego południowej stronie. W ten sposób bez mała cały nowy Sudół był i jest zwrócony frontem do traktu, t.z. ku południowi, a „stara wieś” i kilku dziadówkarzy przy starej wsi była i jest zwrócona gruntem do traktu, ale ku północy. To też trakt ten (obecnie szosa) stanowi ulicę środkową całego Sudołu biegnącą od zachodu ku wschodowi, t. j. od Szczekocin do Jędrzejowa.

Podaję też na wieczną pamięć nazwiska pierwotnych właścicieli kolonii i „dziadówek” tak, jak były i są w roku 1861 zapisane w urzędowej tabeli nadawczej. A wiec od zachodu ku wschodowi licząc:

Kolonia №	Właściciel
1	Michałkiewicz (przezvisko Walas)
2	Nawrot (imienia nie pamiętam)
3	Skowronek (imienia nie pamiętam)
4	Michno (imienia nie pamiętam)
5	Antoni Waleron – mój dziadek
6	Nawrot (nie ten, który miał kol. Nr 2)
7	Joachim Łuszczek (zwany Jochymem)
8	Podraza (imienia nie pamiętam)
9	Jan Lipski
10	Bernard Chatys
11	Kazimierz Majchrzak
12	Kacper Jaszczyk
13	Walenty Kałwa
półkolonia 14	Jankiewicz (imienia nie pamiętam)

Właściciele dziadówek po północnej stronie:

Kolonia №	Właściciel
1	Rafał Chabion (zwany Rachwałem)
2	Antoni Chrzanowski
3	Michał Nowak
4	Jan Waleron, brat Antoniego
5	Osada kowalska – własność gromady
6	Jan Michno (nie ten, który miał kolonie)
7	(Nazwiska nie pamiętam)

Zaś z pomiędzy właścicieli „dziadówek” sytuowanych po południowej stronie podam tylko nazwiska: Blicharski, Pawlikowski, Chrzanowski, ale nie ten, który miał „dziadówkę” № 2.

W chwili uwłaszczenia (1861r.) dzierżawcą (...) państwowego w Sudole był Kobylański. On więc miał największy wpływ na to, kto z ówczesnych chłopów i ile dostał ziemi podczas uwłaszczenia. Z opowiadań najstarszych ówczesnie żyjących jeszcze chłopów wynika, że kolonie dostali ci chłopci, którzy przed uwłaszczeniem byli w Sudole t.z. kmieciami i robili na dworze pańszczyzną osobiście wraz ze swoimi parobkami oraz sprzężajami parokonnymi. Ci zaś, co dostali dziadówki mieli przed uwłaszczeniem, swoje chałupy, przyzagrodowe kawałki ziemi i chodzili do dworu do pracy jako płatni robotnicy.

Co się zaś tyczy kmieci, ci przed uwłaszczeniem posiadali od dworu duże parokonne gospodarstwa jako czynszownicy i czynsz za te gospodarstwa wnosili pracą osobistą, swego parobka i parą swych koni. Takich kmieci było w Sudole trzynastu i ci dostali wymienione powyżej kolonie, zaś czternasty Jankiewicz, który dostał półkolonie, nie był chłopem sudolskim. Był to najprawdopodobniej jakiś dworski ekonom, który został półkolonie, przypuszczać należy, z protokołu dzierżawcy dworu Kobylańskiego. W każdym razie, ów Jankiewicz ubierał się po miejsku, mówił językiem miejskim, nie gwarowym i utrzymywał bliższe znajomości raczej z mieszczanami i rzemieślnikami sąsiedniego Jędrzejowa. Ale przy tym był to człowiek skromny, pracowity, chłopami nie gardził (...) ekonomicznej na nim nie było widać. Może to był były karczmarz?

Gdym miał lat dziesięć, przechodził przez dół na manewry do Szczekocin pułk dońskich; u mojego ojca był zachwalany kapelmistrz półkowej orkiestry (...) rotmistrza. Okazało się, że to był i bliski krewny owego pół kolonisty Jankiewicza i miał też to samo nazwisko. Odwiedził też pół kolonistę Jankiewicza i długo u niego gościł.

Za czasów pańszczyźnianych była karczma na „starej wsi”, przy trakcie; z najstarszych chłopów opowieści wynikało, że karczmarzami nie byli tam zawsze Polacy, a nie Żydzi to albo mieszczenie z pobliskich miast albo obrotniejsi chłopci, którzy się tego imali! (Wolność osobistą mieli chłopci we wsiach okolicznych poklasztornych już przed uwłaszczeniem.)

W czasie mojej najwcześniejszej młodości karczmy w Sudole nie było, natomiast w tabeli nadawczej i na gruncie były dwie osady pokarczmenne, zwane „karczmarówkami” jedna przy szosie i przy „starej wsi”, druga całkiem drugim końcu wsi. Liczyły one najwyżej  $\frac{3}{4}$  morgi każda i były w dzierżawie; mały był rząd, a dzierżawcami byli: pierwszej – Chrzanowski syn tamtejszego dziadówkarza, drugiej – Waleron syn właściciela dziadówki Jana Walerona. W okresie mniej-więcej roku 1900 rząd carski sprzedał owe karczmarówki tymże dzierżawcom i rodziny ich są do dziś posiadaczami tych osad karłowatych.

Dzierżawcą państwowego (poklasztornego) dworu na Sudole, jak już wyżej nadmieniliśmy był Kobylański. Najstarsi chłopci nie mówili o nim źle. Kacper Jaszczyk, z którym o tym rozmawiałem opowiadał mi jak to on jeszcze za czasów przed uwłaszczeniowych jeździł na pańszczyznę orać, ale na Kobylańskiego nie narzekał. Przypomniał on sobie jednak pewien zabawny fakt, zwłaszcza gdy sobie podpił (a wódkę lubił), jak to pewnego wieczoru po całodziennej orce w polu Kobylański wszystkim chłopom – oraczom dał po dwa kieliszki wódki, a jemu (Jaszcykowi) tylko jeden. Tego tylko faktu Jaszczyk nie mógł Kobylańskiemu przebaczyć! Obecny przy tej rozmowie ojciec (a był kpiarzem) nadmienił: „Chybaście, Kacprze orali krzywo!”, co też Jaszczyk potwierdził, a co wywołało śmiech u obecnych.

Wkrótce po r.1861 Aleksander margrabia Wielopolski, ówczesny na Kongresówce rządzący, nabył od rządu carskiego na własność owe pocysterskie folwarki. W ten sposób dwory w Sudole, Przasławiu, Chorzenice, Skroniowie i wielu innych miejscowościach stały się własnością Wielopolskiego, a dzierżawcy tych dworów wnosili czynsz dzierżawy do Chrobrza, administracji dóbr margrabiego.

Jak długo był Kobylański dzierżawcą folwarku w Sudole, nie wiem; kto po nim ten dwór dzierżawił też nie wiem; natomiast pamiętam, że za czasów mojej wczesnej młodości dzierżawcą sudolskiego dworu był hrabia Stanisław Tarła. Był to wysoki i bardzo przystojny mężczyzną, ale hulaka, lekkomyślnik i oczywiście zupełnie kiepski gospodarz; więc siedział po uszy w długach u kupców zbożowych z Jędrzejowa. Gdy ojciec był sołtys w Sudole, miał z tym Tarłą kłopoty, bo co miesiąc musiał brać 4 udział jako sołtys w ciągłych licytacjach na krowy, konie, hr. Tarły, który to licytacje urządzały wierzyciele. Jeżeli licytanci czasami nabywali krowę, konia lub owce, to nie mogli zabrać, bo Tarło, bardzo silny i porywczy mężczyzna, zabrać nie pozwalał.



Zdaje się, że na tych sprawach najlepiej wychodził Komornik Sądowy – Łagiński, bo za te czynności licytacyjne wierzyciele Tarły musieli mu zawsze naprzód opłaty wnieść. W końcu wpadł Tarło na pomysł: asekurował zbiory, zaraz po żniwach wszystko wymłócił, sprzedał, a w okresie świąt Wielkanocnych, gdy wszystkie stodoły były puste lub nie napełnione słomą, podpalił je i później otrzymał asekuracje niby za spalone zboże. Czynił tak kilka razy, zawsze podczas świąt Wielkanocnych; oczywiście wtedy dla zmylenia śladów wyrządzał na święta dla swych przyjaciół, z rodziną, a pozostawiony podpalacz podpalał stodoły. Oczywiście podczas takiego pożaru noc była jasna, a wieś drżała ze strachu, by się pożar na chłopskie budynki nie przeniósł. Największy strach był w rodzinie mojej, bo nasze budynki były od dworu odległe najwyżej ze 200 metrów. Całe szczęście w tym, iż wiosną bywają przeważnie wiały zachodnie, a nasze budynki były na północ od dworu, więc wiatr niósł fale iskier i palącej się słomy na wschód, wprost na „starą wieś”, ale tym nie czynił szkody, gdyż pomiędzy „starą wsią” i dworem był duży ogród owocowy otoczony od wschodu szeregiem wysokich topoli włoskich, które zatrzymały pożogę.

Co się zaś tyczy naszych budynków, to pomimo wiatru – zachodniego – trzeba było stać na strzesze z wody i miotła spadające na słomę iskry zmiatać mokrą miotłą. Bez tej obrony budynki nasze byłyby się spaliły. Raz podczas pożaru spaliły się hrabiemu dwa konie (pewnie były to zdychy i asekurowane).



**Gustaw i Maria Nowakowscy,  
właściciele dworu w Laskowie**

Więc też duża radość była po Sudole, gdy nareszcie hr. Tarło zbankrutował i opuścił Sudół. Po nim dzierżawił niejaki Krzewiński, który gospodarował lepiej; po nim był inny dzierżawca, zdaj się nazywał się Bleszyński. Wtedy też, a było to przed samą pierwszą wojną światową, administracja dóbr Wielkopolskiego rozparcelowała dwór w Sudole, Przasławiu w Chorzewie i Skroniowie, poklasztorny zaś dwór w Laskowie kupił od Wielopolskiego niejaki Nowakowski (...) rozparcelowanego w Sudole dworu kupił niejaki Dominik Kielbass, po jego śmierci gospodarował tam jego syn, pomolog z wyższym wykształceniem. Ten założył na tym duże zakłady ogrodniczo – warzywne, kwiatowe, szkółkarskie. W roku 1957 zmarł bezpotomnie, a ogrody zapisał na robotnikowi, który je prowadził obecnie.

W czasach mojej młodości, gdy w Sudole jeszcze stał jeszcze dwór, stosunek do niego wsi był luźny. Dwór nikomu i niczym nie (...), nie chłopom nie mógł ale, niczego od niego nie potrzebował. Nawet mieszkańcy i właściciele tak zwanych „dziadówek” chodzili do (...) na pobliską stację kolejową do tamtejszych tartaków, a unikali pracy we dworze, który to za tą pracę płacił marnie, a często (...). Pozostał tylko jako reminiscencja tradycyjnego dawnego przed uwłaszczeniowego patriarchalnego stosunku dworu do wsi – obyczaj, że dopóki istniał dwór, w Wielką Sobotę po południu kobiety z Sudolu schodziły się do dworu ze „święconym”, które przyjeżdżający wtedy do dworu ksiądz poświęcał. Teraz i ten zwyczaj przeminął.

Oprócz gruntów ornych było w Sudole i pastwisko liczące siedemdziesiąt sześć morgów ziemi przeważnie żytnio – ziemniaczanej. Pastwisko było to niby gromadzkie, w rzeczywistości zaś w tabeli nadawczej było zapisane jako własność zbiorowa właścicieli kolonii; z tego wychodziło, że dziadówkarze nie mieli do tego pastwiska żadnych praw. Chodziło więc po tym pastwisku bydło sudołowskie, ale prawie nic tam nie miało do jedzenia, gdyż teren był suchy i pagórkowaty, a trawa na nim prawie nie rosła; zresztą na pagórkach rosły krzaki jałowcu, a gdzieniegdzie krzaczki sośniny. Oczywiście był tam kiedyś sosnowy las, ale dawno został wyrąbany. Ale pomimo tych usterek na tym pastwisku miały krowy zdrowy spacer, a gdy w popołudnie i wieczorem do domu wróciły, trzeba im było dobrze dawać jeść, bo były bardzo wygłodniałe. Przez wschodnią część pastwiska prowadziła podłużna dolinka, zwana „odołek”. Tam ziemia była dobra, gdyż po deszczu woda opłukiwała z sąsiednich pagórków powierzchnię gleby i krowi nawóz do tego „odołka”. Na tym więc odołku był trawnik mocno zadarniony dobrą trawą łąkową. Ale jednak z tego „odołka” wieś nie miała żadnego pożytku, gdyż chodziło po tym

„odołnym” tak dużo gęsi, że prawie cały „odołek”, był pokryty gęsim pomiotem. To też całe to wspólne pastwisko było po prostu pustkowiec szpecącym krajobraz.

Dobrze się stało, że właściciel kolonii Michałkiewicz rozpoczął agitację, by tym pastwiskiem się podzielić. Po dwóch lub więcej agitacjach doszło wreszcie do podziału. Na każdą kolonię przypadło 5 morgów tego pastwiska. Gdy chłopci swoje parcele zaorali i zasiali, okazało się, że jest to zupełnie ziemia żytня. Na odołku jest ładna łączka, a na części owego pastwiska położonej na południe od łączki ziemia nawet jest pszenna. Po wykarczowaniu jałowców i uprawianiu pastwiska zmienił się tam pusty odlóg w zupełnie dobre pole na którym fałuje pięknie żyto, a miejscami pszenica, a zielenią owsy, ziemniaki, a na ziemi pszennej nawet czerwona koniczyna. Przez podzielenie się tym pastwiskiem zamożność sudolskich kolonistów wzrosła o zbiory i dwadzieścia sześć morgów niezłego pola.



*Fragment mapy z r. 1890, wyd. K.u.K. 'Lazarus'*

Właściciele kolonii mają także i łąki, ale są oddzielone od Sudolu o 6-7 kilometrów, przy Nidzie, za chorzewskimi lasami państwowymi. Tych łąk dostali posiadacze kolonii po kawałku w przybliżeniu po 2 morgi na kolonie. Są to pastwiska nad południowym brzegiem Nidy. Pas łąk to długie na kilometr kieszki przylegające do rzeki. Przy Nidzie teren jest nieco żyzniejszy i siano lepsze; dalej od Nidy, gdzie woda senna łąki zalewa, ale do rzeki nie spływa (...) zakwaszony, zatorfiaty pokryty rzadkimi krzewami brzozy karłowatej i kępami torfowiskowymi. Na czubkach tych kęp rośnie licha trawa, a pomiędzy stoi woda. Kosiarze więc podczas koszenia stąpają tylko po wierzchołkach kęp z trawy koszą tylko na tych wierzchołkach. Gdy przez pomyłkę stąpienie pomiędzy kępy wpada w wodę po kolana.

Łąki te chłopci koszą tylko raz na rok podczas sianokosów letnich; jesienią nie koszą bo się to nie opłaca. Skoszoną trawę suszą i tamże na łąkach na brzozowej podściółce układają w stogi, które zwożą dopiero zimą po lodzie, gdyż w lecie nie ma mowy, aby ktoś mógł na takie zabagnione trzęsawiska wozem wjechać, gdyż koni tak by się na tym terenie zapadł, że trzeba by go na drągach wynosić. Na tym terenie są łąki jeszcze kilku innych wsi; razem stanowi to ładne kilkadziesiąt morgów, więcej niż pięćset. W dodatku teren ten jest ze wszystkich stron otoczony lasami.

Gdy te wszystkie łąki zostaną skoszone i siano zestożone, to ilość tych stogów też sięga liczby kilkuset. W jesień, więc i w zimie łąki te wyglądają jakby pińszczyzna i nadają się dla malarzy, którzy lubią malować mokradła i odludne miejscowości. Krótko: jest to pińszczyzna powiatu jędrzejowskiego. A najgorsze w tym zespole są łąki sudolskie, należałoby je zmeliorować, ale jest to sprawa trudna, gdyż musi się to robić razem z innymi wsiami, a tym innym wsiom nie pilno, gdzie łąki są lepsze. Jak z powyższego widać sudolscy dziadówkarze ani pastwiska, ani łąk przy uwłaszczeniu nie otrzymali.



Oczywiście owi właściciele pierwotni owych kolonii (całych) byli to chłopci zamożni. Za mojej wczesnej młodości już tylko dwóch takich gospodarowało całych koloniach. Byli to Michałkiewicz i Kacper Jaszczuk. Oprócz nich żyło jeszcze dwóch takich pierwotnych właścicieli: stary Nawrot (kolonia № 2) Bernard Chatys, ale już nie gospodarowali, a byli u dzieci na dożywociu. Wszystkie kolonie, oprócz kolonii Michałkiewicza i Kacpra Juszczyka były już podzielone. Stąd wniosek, że liczba bogatych chłopów po uwłaszczeniu szybko malała – przez podziały rodzinne.

Najstarszym człowiekiem we wsi podczas mojej wczesnej młodości był Bernard Chatys. Pamiętał on jeszcze powstanie listopadowe, które nazywał „warszawską rewolucją”. Widocznie za czasów jego młodości tak to powstanie nazywano. Pamiętał on również pochod gen. Paskiewicza na Węgry wr. 1848, bo dużo wojska rosyjskiego po wsiach stało na kwaterze. Przypomnił sobie nawet taki szczegół, że piechota carska miała za długie płaszcze. Powstanie styczniowe pamiętał dobrze; mówił o bitwie pod Małogoszczem (20 km od Sudolu), o rozstrzelaniu we Włoszczowie przez dowództwo powstańcze oficera powstańczego Iskry - za haniebne postępowanie z ludnością cywilną i opowiadał mi też o bitwie pod Drochlinem (obok Koniecpola), na który patrzył, gdyż był tam z powstańcami na podwodzie. Bernard Chatys żył za mojej pamięci jeszcze kilka lat; rozmawiałem z nim kilka razy. Lubił rozmawiać. Był to człowiek zdrowy, nigdy nie chorował, ale gdy w późniejszej starości zachorował zaraz zmarł.

Starym też był i Kacper Jaszczuk, choć od Chatysa młodszy; przyjaźnił się on z moimi rodzicami, ale o przeszłości mówił mało, chyba tylko wspominał czasami swe przeżycia z czasów przed uwłaszczeniowych z zakresu życia w samym Sudole. Zresztą Jaszczuk i jego żona lubili często moczyć usta w wódce, byli więc trzeźwi gdy pracowali; wolne chwile od pracy oboje lubili spędzać u sąsiadów w gościnie przy kieliszku. A na weselu, gdy Kacper miał nieco w czubie, lubił tańczyć i śpiewać piosenki własnego pomysłu o tym, jak to jego żona dobrze i troskliwie prowadzi gospodarstwo domowe.

Ojciec mój posiadał połowę kolonii № 5, a więc 15 morgów z prętami; do tego dochodziła też i połowa łąki przypadającej na całą osadę. Pastwiska około morgi; ale łaska ta, jak już wyżej nadmieniono była licha i ojciec przywoził z niej zimą dwa stogi lichego siana. Matka moja była córką Nawrota, posiadacza kolonii № 6. Po śmierci ojca otrzymała piątą część kolonii № 6 czyli około sześciu morgów; były one oddzielone od ziemi mego ojca tylko sześciomorgową parcelą, która przypadła w kolonii № 6 młodszej siostrze matki. Ale dojazd od pola mego ojca na pola mojej matki był krótki i dobry tuż od domu, który sobie wybudowała młodsza siostra mojej matki, gdy wyszła za mąż. W ten sposób ojciec i matka mieli razem 21 morgów pola ornego i morgę łąki. Był więc ojciec chłopem średniej zamożności, przy czym połowa tego pola miała glebę żytnią, druga połowa – pszenną.

Rodzice moi byli ludźmi bardzo pracowitymi. Ojciec był wzrostu wysokiego, blondyn, dobrze zbudowany, chudy, twarz pociągła, oczy niebieskie, wąsy popielate, ale nie ryże, włosy tegoż samego koloru; temperament ojca był raczej wolny, ale twardy i nieustępliwy. Nie łatwo było go wyprowadzić z cierpliwości, ale gdy ją stracił, stawał się straszny, gdyż był bardzo silny. Chyba w owe czasy, gdy był młody, był najsilniejszym człowiekiem w Sudole. Mógł być się z nim w sile równać tylko chyba ów wspomniany wyżej dzierzawca hr. Tarło, ale i ten unikał z ojcem starć, co się okazało przy zajęciu krów Tarły na rzecz wierzycielki, którą to czynność komornik sądowy polecił ojcu wykonać jako softysowi, a czemu się Tarło fizycznie przeciwstawiał, ale przed ojcem ustąpił. W Sudole więc wszyscy się mego ojca bali i z nim nie zadzierali.

Matka moja była wzrostu średniego, chudawa, żywego temperamentu, ciemna blondynka, oczy niebieskie. Profile twarzy rodzice mieli prawidłowe, regularne, co po nich i ja i mój młodszy brat Franciszek odziedziczyliśmy. Pomiędzy ojcem i matką nigdy żadnych poważnych kłótni, ani bójki nie bywało, co wynikało z tego, że ojciec nie był do tego skłonny, a matka bardzo ustepliwa.

Młodość ojca była bardzo ciężka. Rodzice odumarli mu bardzo wcześnie. Ojciec ojca chorował na artretyzm, chodził o lasce, ciągle chorował i wkrótce zmarł. Wkrótce zmarła też i matka ojca (moja babka); pochodziła ze Skroniowa z rodziny tamtejszych chłopów – Gawronów. Ani swego dziadka ani matki nie widziałem, zmarli bowiem już wtedy, gdy mój ojciec był jeszcze młody; wiadomości o nich otrzymałem od ojca. Znałem tylko za swej młodości Wojciecha Gawrona ze Skroniowa, dla którego matka mego ojca była ciotką; przyjaźnił się też z moim ojcem.

Po śmierci ojca mego ojca cała kolonia objął pod swój zarząd starszy bart mego ojca Michał przy którym mój ojciec się wychowywał. Żona mego stryja Michała miała charakter przykry i gwałtowny, przeto ojciec nieraz opowiadał, iż dużo od niej ucierpiał różnych przykrości. W swojej też młodości ojciec przeszedł tyfus plamisty. Gdy osiągnął rok 21, był wzięty



do wojska carskiego, w którym odsłużył lata w artylerii w Radomiu. Z opisów ojca wynikało, że służba w wojsku szła dobrze, zwłaszcza przy ujarzmianiu dzikich koni stepowych, przyzywanych z Rosji do Radomskiej brygady artylerii. To też z tego tytułu był w wojsku ceniony. Ale i nauka artyleryjska szła mu też dobrze, bo później był wyznaczony nawet do nauczania rekrutów. Podoficerem jednak nie został, był analfabeta.

Będąc w wojsku, odbył kilka podróży służbowych do ówczesnych, rosyjskich fortec: do Dębina do Brześcia nad Bugiem i do Warszawy. A że rozmowy i wszelkie nauczanie służby wojskowej odbywało się tylko po rosyjsku nauczył się więc ojciec tym językiem mówić, później mocno ułatwiało porozumienie się z władzami carskimi jak również i z carskimi urzędnikami. Ojciec służył w wojsku akurat podczas ostatniej wojny rosyjsko tureckiej (za panowania Aleksandra II. Była taka chwila, że Radomska brygada artylerii była przygotowana do wyjazdu na wojnę, ale zawieszenie broni w San Stefano pozostawiło ją na miejscu. W ten sposób uniknął wojny.

Więcej szczegółów nieraz mi ojciec opowiadał o obyczajach współczesnych Rosjan, przybywających do Radomia na służbę wojskową. Największą jednak ich ułomnością było pijaństwo i to pijaństwo do zupełnej utraty przytomności. Jeśli ówczesny Rosjanin – żołnierz w Boże Narodzenie lub Wielkanoc nie upił się „w drobiazgi”, tj. do zupełnej utraty przytomności to uważał, że święta były zmarnowane.

Jeszcze jeden szczegół opowiadał mi ojciec w późniejszych latach, gdym był dorosłym. Szczegół ten był bardzo charakterystyczny, gdyż oznaczał u żołnierzy prawosławnych niezrozumienie lub lekceważenie przepisów religijnych cerkwi prawosławnej. Przytaczam go. Przed Wielkanocą wedle obrządku prawosławnego żołnierze rosyjscy pewnego dnia byli prowadzeni do cerkwi do spowiedzi i do komunii. Ponieważ było ich dużo i ci, którzy się wyspowiadali wcześniej, musieli czekać z przystąpieniem do komunii aż do tej chwili, gdy się wyspowiadają wszyscy, to ci czekający, by im się czas nie dłużył, często udawali się w czasie wyczekiwania do domów rozpusty, zabawiwszy się tam z prostytutkami, bezpośrednio po takiej rozpuście szli do po południu do 8 komunii.

Oczywiście ojciec opowiadał mi to z obrzydzeniem. I wielkim zgorszeniem z powodu takiej, jawnej profanacji przepisów religijnych w tym wypadku już nie tylko prawosławnych, ale o w ogóle ogólnochrześcijańskich. Ojciec mój był człowiekiem religijnym, co zupełnie przeszkadzało mu później patrzeć na postępowanie duchowieństwa z krytycyzmem, gdy postępowanie to było nie na niewłaściwym poziomie.

Pomimo tych ułomności Rosjanie – żołnierze carskich czasów, podług relacji ojca, odnosili się do Polaków – żołnierzy często z widocznym lekceważeniem, naśmiewali się z Polaków, a czasem z nich drwili, a o Polsce nieraz wyrażali się nawet w sposób ubliżający. Widocznie tak byli wychowani przez carskich oficerów i sławnych popów.

Po powrocie z wojska ojciec ożenił się z Marią Nawrotówną, córką właściciela kolonii № 6, otrzymał od swego starszego Michała wschodnią połowę kolonii między starymi budynkami, gdyż starszy brat na jej zachodniej połowie już swoje budynki pobudował. Matka moja zaraz też otrzymała w spadku działkę № 6 działkę sześciomorgową; zaczęli więc oboje rodzice gospodarować własnoręcznie od jesieni 1881r. na gospodarstwie 21 morgowym. Jak doszli do inwentarza żywego - nie wiem, gdyż tego nie mówili. W rok potem 16-10-1882 urodziłem się jako dziecko pierworodne. W trzy miesiące potem matka moja zachorowała na tyfus płamisty. Nim się zorientowano, co to za choroba, karmiła mnie w tym czasie swoją piersią. Gdy ustalono, że to tyfus, odłączono mnie od matki i żywiono mlekiem krowim. Podobno opiekowała się mną matka Michała Nowaka, posiadacza „dziadówki” № 3, która pochodziła ze Skroniowa i była ciotką mojego ojca a przebywała w Sudole u swego syna. To, że matka karmiła mnie piersią w czasie tyfusu, nie przeszło mi bezkarnie, bo jak mi opowiadał ojciec, wkrótce zjawilo się na moim małym ciele kilka wielkich wrzodów. Ojciec zeskrobywał z łopaty, która chleb do pieca wsadzano suchą mąkę, robił z niej proszek i tym mi wrzody posypywał więc zgorzały. Podobno byłem dzieckiem bardzo zdrowym, więc wrzody przemogłem i dobrze się chowałem, podobno zupełnie bez płaczu i krzyku.

Matka jednak tyfus przezwyciężyła i dalsze wychowanie było już w jej rękach. Opowiadała mi później, że z moim wychowaniem miała bardzo mało kłopotu. Gdym już sam siedział pozostawiała mnie w kołysce w pozycji siedzącej w domu, zostawiwszy mi kilka zabawek, zamykała dom i szła do roboty na podwórko koło domu, a ja się spokojnie i bez płaczu sam się bawiłem, czasem tylko spoglądając w okno. W lecie podczas robót polnych, nie było ze mną żadnego kłopotu. Matka zabierała mnie w pole, robiła z płachty namiot, gdy było gorąco sadzała mnie tam, położywszy przy mnie kilka kwiatów lub innych zabawek, którymi się bawiłem całymi godzinami pelzając lub łażąc w pobliżu namiotu.

Pierwsze wydarzenie, które pamiętam z najwcześniejszej młodości to była śmierć jego młodszego brata Józefa. Zmarł na czarną ospę, mając chyba jeszcze nie całkiem ukończone dwa lata. Ja zaś mogłem mieć nie więcej niż cztery. Tego swego młodszego brata, gdy żył, nie pamiętam, ale pamiętam, tylko, że gdy zmarł i leżał w trumnie w sieni, było to w lesie ojciec wziął mnie na ręce, zaniósł do sieni i trzymając mnie wysoko z daleka pokazał zmarłego brata. To wydarzenie, ten wygląd leżącego w trumnie zmarłego dziecka i to, że miało ono twarz zupełnie czarną – dobrze pamiętam i tak wyraźnie, jakby to było przed kilku laty; tymczasem minęło od tego już 70 lat. Matka opowiadała mi później, że tego brata Józefa, gdy żył prowadzałem za rękę wołając na niego „Jurku”. Właściwie nie tyle pamiętam jego urodzenie, bo na to nie patrzyłem, ile to, że leżąc w kołysce po urodzeniu, bardzo głośno i często płakał; był widocznie jakiś chory, wkrótce też zmarł. Jego pogrzebu nie pamiętam. Ale pamiętam, że po Wicusiu urodziła się dziewczynka i zaraz po urodzeniu zmarła tak, że nie zdążono jej ochrzcić.

Czwarte wydarzenie, które pamiętam, a które się działo również w czasie mojej bardzo wczesnej młodości, to kwatrowanie się w domu mojego ojca żołnierzy rosyjskich. Były 9 tam wtedy w okolicy Jędrzejowa jakieś manewry. W Sudole we dworze stała kwatera jakiś sztab, a u mojego ojca w domu (był na wprost dworu) mieściła się jakaś kancelaria i litografia; pamiętam, że carscy żołnierze na marmurowej płycie litograficznej odbitki drukowali. Były to „prikazy” (rozkazy), po które we dnie i w nocy ciągle z okolicznych wsi, nawet z całej gminy posłańcy- żołnierze przybywali. Pamiętam też, jak się dwóch żołnierzy pobilo o jakąś lampę, jak jeden drugiemu wyrwać z rąk ową lampę (naftową z kloszem), wołając: „Dawaj lampu!”. Te wyrazy i tą scenę bardzo dobrze pamiętam. Pamiętam również jak owi żołnierze z kwatery wyprowadzali i jak ową płytę litograficzną zabierali.

Następne wydarzenie, które pamiętam to urodzenie się drugiego brata Wiesia. Wreszcie pamiętam, jak moja matka wkrótce potem odprawiła jakąś służącą Ewkę za to, że zdaniem matki zbyt była uległa jednemu z zakwaterowanych żołnierzy. Czy to było słuszne, nie wiem, wiem tylko i dobrze pamiętam, że już wtedy rozumiałem, o co tu chodziło. Powyższe przykłady mojej wczesnej młodocianej pamięci przytaczam jako zjawiska z dziedziny rozwoju umysłowego dziecka.

Jak tylko moja pamięć sięga, ojciec mój miał zawsze parobka, a matka służącą. Nie znaczy to, by byli bogaci. Ale było to wywołane tym, że z jednej strony uprzemysłowienia w Kongresówce jeszcze nie było, na wsi było duże przeludnienie rolnicze, dużo biednych i bezrobotnych, więc o parobka i dziewczynę do służby było wtedy bardzo łatwo. Z drugiej strony roboty w tym 21 morgowym gospodarstwie przy zupełnym braku jakichkolwiek maszyn było dużo. Przecie ojciec miał parę koni, a krów było zawsze cztery. Trzeba było i w polu końmi robić i w stodole cepami ręcznie młócić, a na żniwa wszyscy wtedy żeli ręcznie sierpami. Co to była za męka! Jaka ciężka praca! Jak się tylko żniwa skończyły, zaraz trzeba było dokonywać podorywki (ojciec bardzo starannie pola uprawiał), a w tymże czasie zaraz trzeba było żyto i pszenicę młócić do siewu i tylko ręcznie, cepami, bo młocarń na wsi wtedy nie było. Więc ojciec w polu robił, a parobek z jeszcze donajętym chłopem młócił żyto i pszenicę aby nadażyć przed siewem, a także i na (...).

W ogóle młócka zboża jednoosobowa przez parobka, czy też dwuosobowa z donajętym chłopem trwała co dzień (prócz niedziel i świąt) do zupełnego wymłócenia, co u ojca następowało dopiero w czerwcu. Zaraz po zakończeniu młócki parobek i dziewczyna robili sznury, by we żniwa było, w co uwiązać pszenicę, jęczmień, owies, proso nawet później i łubin. Jak zaznaczyłem powyżej, żniwa odbywały się przy pomocy sierpów, ręcznie. A że moi rodzice bardzo dbali, by wszystko we właściwy czasie było sprzątnięte, więc często matka donajmowała do parobka i jeszcze z osiem lub dziesięć kobiet z sierpami.

Oczywiście parobek, służąca i donajmowani chłopci otrzymywali wyżywienie; nie było to wyżywienie mięsne, a mleczne i jarzynowe, ale w ilościach dużych i smacznie wygotowane, i dobrze też okraszone masłem lub słoniną. Jedzenie to zawsze sporządzała moja matka i miała przy tym dużo roboty. Przed wieczorem robotnicy otrzymywali posiłek w postaci chleba z masłem lub serem, albo mięso gdyż ojciec przynajmniej raz na rok świnie na te potrzeby co rok zabijał. Niezależnie od podwieczorku otrzymywali wszyscy i kolacje, a kobiety dniówkowe, które miały małe dzieci; także i gorące mleko z chlebem dla tej dziatwy. Rodzice, ja i moje rodzeństwo nigdy nie jadaliśmy nic innego, tylko to samo, co służba lub najemnicy. To też z powodu dobrego wyżywienia parobcy i dziewczyny wiejskie chętnie przychodziły do rodziców na służbę. Z tego też powodu chętnie przechodzili do pracy we żniwa i w kopaniu ziemniaków również i najemnicy dniówkowi.



O tym, żeby ojciec lub matka mogli byli parobka lub służącą uderzyć nie było mowy, gdyż zaraz by poszkodowany służbę opuścił. Więc też niektórzy z takich służących służyli u rodziców po kilka lat z rzędu; a jeden z nich Andrzej Smorąg służył u rodziców siedem lat, a później, gdy się ożenił i w Sudole jako robotnik rolny, studniarz a ostatnio - stróż gromadzki mieszkał, to całe swe życie (zmarł 1945r.) był przyjacielem naszej rodziny, a szczególnie moim.

Ile płacono wtedy służbie i pracownikom dniówkowym, nie pamiętam, ale pamiętam tylko to, że w tej sprawie były na wsi cenniki obyczajowe. A więc był cennik, ile gospodarz miał płacić rocznie parobkowi, dziewczynie służącej lub pastuchowi. Były też cenniki obyczajowe zapłaty dla pracowników dniówkowych na przednówku, we żniwa, przy kopaniu ziemniaków; osobne cenniki były dla kosiarzy, wynajętych do koszenia grochu, wyki, koniczyny, a inne dla kobiet wynajętych do sierpa lub kopania ziemniaków. Jak już zaznaczyłem, wszystkie te sprawy na wsi uregulowane obyczajowo i sporów na ten temat nie bywało. W ogóle wiele spraw w dawnych czasach było określane odwiecznymi zwyczajami, które dopiero z biegiem lat zanikały. A więc służba zmieniała gospodarzy w drugim dniu Bożego Narodzenia. Później jednak powoli termin ten uległ przesunięciu na Nowy Rok.

Parobek spał na zimę w stajni na złożonym tam z desek łóżku, które się wersalka nazywało. W lecie spał w stodole, to spanie w stajni lub stodole łączyło się jeszcze z tym, że w ten sposób pilnował on od złodziei, bo koniokradytstwo stanowiło plagę wsi. Jasna sprawa, że ówczesni złodzieje działali w tajnym porozumieniu z bardzo lichą płatną carską policją (swoja straż); to też walka z nimi była bardzo trudna. Parobek miał swoją poduszeczkę pod głowę, swoją płachtę, przykrywał się zaś baranami kozuchami, które wtedy były bardzo rozpowszechnione. Służąca spała w izbie na sienniku na dwóch ławkach ustawionych wzdłuż przy piecu. Poduszkę pod głowę, prześcieradło i pierzynę miała swoje. Na dzień i siennik ze słomą i pościel była wynoszona na strych.

Co się tyczy jedzenia – był zwyczaj, że rodzina gospodarza i służba jadal raz z jednej miski glinianej (dużej), ale z biegiem lat zwyczaj ten odchodził i każdy jadł już na osobnym talerzu fajansowym. Jednakże wyżywienia i dla gospodarza, i dla pracowników dniówkowych i dla służby było jednakowe: obfite, ale bez mięsa, które w mojej rodzinie było wtedy spożywane rzadko: tylko w ważniejsze święta. Wyjątek stanowił okres bezpośrednio po zabiciu świnii: kiedy trzeba było zjadać takie części po zabitej sztuce, które się nie dały zakonserwować, np. kaszanka. Gdy była kiełbasa, był zwyczaj, iż matka moja dawała na podwieczorek każdemu pracownikowi i członkowi rodziny po kromce chleba i po kawałku suchej kiełbasy. Gdy kiełbasy nie było, dawała do chleba po kawałku sera, lub też chleb z masłem. Krów było cztery, ale nie były one hodowane w kierunku mlecznym, a raczej dla potrzeb nawozowych, więc mleka dawały nie bardzo dużo, ale jednak dawały, zwłaszcza po ociełeniu, tego mleka matka ani masła matka moja nigdy nie sprzedawała, a więc wszelki nabiał, jaki otrzymywano od owych 4 krów, był używany przez rodzinę gospodarza, służbę i najemników.

Ten zwyczaj nie sprzedawania nabiału był praktykowany w Sudole przez wszystkich chłopów możnych i średnich, natomiast mleko, masło – sprzedawały żony chłopów biednych. Natomiast jaja były sprzedawane przez wszystkie gospodynie wiejskie bez różnicy stanu majątkowego. Pieniądze za jaja, kury, kurczęta stanowiły podręczne fundusze matki i były używane na kupno zapalek, nafty, cukru. Z czego więc płynęły dochody mego ojca? Ze sprzedaży zboża nasion konopi czerwonej, ze sprzedaży cieląt, źrebiąt, hodowanych byczków rzeźnych i podłych buhaji, gdyż ojciec zawsze utrzymywał 1 buhaja, którego puszczał do krów chłopów ze Sudolu, a podstarzałego sprzedawał na targu ale największe źródło dochodu stanowiły oczywiście świnie: prosięta i tuczone, bo bekoniaków jeszcze wtedy nie było.

Za mojej wczesnej młodości stroje chłopskie były w Sudole następujące: Ojciec w lecie nosił kapelusz czarny, a w zimę czapkę baranią. W zimę nosił płaszcz z grubego ciemnoszarego sukna o kroju podobnym do bekieszy, pod spodem nosił kamizelkę zwaną kabatem. Podczas dużych mrozów wkładał zamiast kapoty żółty goły kozuch barani; pod marynarką nosił kamizelkę cechową, spodnie nosił cechowe, w zimie grube, sukienne. Obuwał się aż do śmierci (1912r.) tylko buty z



Wieśniaczka z okolic Jędrzejowa

cholewami. Koszule nosił zawsze z białego cienkiego płótna, zapinaną na białe guziczki, a nie na wstążkę kolorową. Dolna część bielizny była zawsze z cienkiego lnianego (zgrzebnego) płótna.

Matka nosiła na głowie w lecie przy domu zwykłą kolorową chusteczkę bawełnianą, do kościoła i wokół poza domem chusteczkę kolorową wełnianą, cienką. W zimie zaś, poza domem nosiła specjalny związany zawój z dużej ale cienkiej różnokolorowej chustki wełnianej, w domu zaś nosiła zwykłą chustkę bawełnianą. Jako przykrycie na plecy w zimę poza domem nosiła dużą, grubą chustkę wełnianą koloru ciemnopopielatego, a pod tym kaftanik (długa bluzka) flanelowy lub barchanowy. W lecie okrywała się poza domem cienką chustką wyłanianą, kolorową, a kaftanik nosiła wtedy cienki bawełniany spódnice były używane w zimie wełniane, flanelowe lub grube barchanowe, a w lecie – cienkie bawełniane. Jako okrycie nosiły wtedy kobiety początkowo buty uszyte na dwa boczne szwy z cholewami, ale wkrótce zaczęły się te buty znikać, a na ich miejsce zjawily się trzewiki sznurowane z cholewami, oczywiście na wysokich obcasach czasami nawet na mosiężnych podkawkach.

Chłopi nosili buty: starzy na obcasach niskich, młodzież na wysokich. Ale pomiędzy butami męskimi i kobiecymi (...) nie wyszły ze zwyczaju była zawsze (...), że męskie miały cholewy na jeden szew tylni, a kobiece na boczny, przy czym buty męskie miały cholewy długie, wysokie, a kobiece nie krótsze. W czasie mojej młodości starzy chłopi nosili w lecie kapelusze, a w zimie – wełniane okrągłe magierki.

Starzy chłopi powszechnie golili wasy, a młodszy puszczałi; staży zażywali tabakę, młodszy palili papierosy. Tylko jeden chłop w Sudole i w zimie, i w lecie nosił czerwoną rogatywkę czarnym barwnikiem farbowaną, więc go też wszyscy zwali „rogalą”, a jego synów „rogalikami”. W Sudole jak i w całym powiecie jędrzejowskim było mazurzenie i z tego powodu bardzo często sz – wymawiano: s; a cz wymawiano – c.

Jeden z chłopów miał na imię Teodor to też nikt nie nazywał go z nazwiska, a z imienia, a jego synów nazywano: Teodorczykami. Inny chłop miał na imię Rafał, nazywano go więc Rachwałem, a synów jego Rachwalikami.

Podobnie jak moi rodzice ubierali się też inni chłopi i kobiety w Sudole. Choć wieś ta, jak w ogóle, środkowa i południowa część powiatu jędrzejowskiego, należała kiedyś do województwa (krakowskiego) to jednak strojów krakowskich ani męskich, ani żeńskich już nie noszono, z wyjątkiem czarnych aksamitnych gorsetów, wyszywanych srebrnymi cętkami, które to gorsety w lecie w święta dziewczyny nosiły i jeszcze noszą. Tylko dwaj bracia Skowronki – Kazimierz i Piotr – nosili jeszcze w święta białe krakowskie sukmany, przy czym Piotr wkrótce ten stój zarzucił, a Kazimierz mój chrzestny ojciec, nosił krakowską sukmanę w święta aż do swej śmierci, to jest jeszcze kilka lat po roku 1918.

U niektórych za starych kobiet w lecie w kościele można było zaś zauważyć na głowach białe, haftowane z cienkiego lnianego płótna, dobrze wykrochmalone i wyprasowane chustki, zawinięte na głowach w taki sposób, że stanowiły jakby białe turbany. Takie same chustki widziałem nieco później, bo już w roku 1902 u starych mieszczanek w Proszowicach koło Krakowa. Widocznie za dawnych czasów w strojach małomiasteczkowych mieszczanek i kobiet wiejskich w ówczesnym województwie krakowskim różnica była niewielka, albo jej nie było. U mojej matki w skrzyni widziałem w okresie wczesnej młodości taką szatę żeńską, którą nazywano „algierką”. Był to strój z cienkiego granatowego sukna skrojonego na podobieństwo bekieszy i wyszywany srebrnymi cętkami oraz czerwonymi cienkimi tasiemkami. Co się później stało z „algierką”, nie wiem.

Ani w Sudole, ani nawet w całej gminie prząsławskiej chłopi ani lnu, ani konopi nie siali, nie chowali też owiec; żadnych też samodziałów ani lnianych, ani wyłanianych nie robili i nie używali. Ubierali się, jak tylko moja pamięć sięga, tylko w tekstylia fabryczne, zakupywane w Jędrzejowie. Natomiast w gminach Złotniki i Brzegi, gdzie warunki glebowe były



*Targ na jędrzejowskim Rynku, ok. 1910r.*



odpowiedniejsze, len chłopi w tych czasach siali i lniane płótno wyrabiali. Zwyczaj ten w niewielkiej liczbie szczątkowej zachował się tam jeszcze i do dziś (rok 1958), zwłaszcza w gminach Brzegi.

Kobiety nosiły w Sudole koszule z cienkiego białego płótna bawełnianego, ale tylko do pasa, poniżej zaś pasa koszula ta była z nieco grubszego płótna lnianego. Bieliznę wszyscy zmieniali co tydzień. Nocnej bielizny nikt nie znał. Bielizna dzienna służyła za nocną.

Tylko jednej ubraniowej sztuki samodzielowej używano i używa się jeszcze i dziś; są to t.z. „zapaski”. Bierze się kawał grubego wełnianego samodziału utkanego na lnianych niciach szerokości metr, a długości nieco większej, marszczy się jedną stroną brzegu (nie tu gdzie było cięcie) i naszywa się mocną długą taśmę tak, by końce taśmy były dłuższe niż „zapaska”. Taką zapaską może się kobieta opasać w pasie spódnicy wokół siebie jakby szerokim fartuchem chroni od zimna. Ale również tą zapaską może okryć plecy tak, by taśma leżała na szyi a zapaska zwisała w postaci peleryny, a że ten jest gruby i wełniany, stanowić przeto dla kobiet wiejskich poważne zabezpieczenie od zimna. Gdy kobieta w zimę dobrze się ubierze od przodu, ubierze na głowę i na plecy grubą wełnianą chustkę a na to nałoży na ramiona ową „zapaskę” i takowy taśmami zawiąże pod biustem usiadłszy na wozie w słomie, może dzięki zapasce wytrzymać nawet mróz do 20 stopni. Zapaski takie są w powiecie jędrzejowskim używane jeszcze i teraz; jest to jednak element zapożyczony z sąsiedniego powiatu kieleckiego, gdzie z padołu górzystego terenu chłopi do dziś owce hodują. W latach 1882 - 1890 kobiety wiejskie w mojej rodzinnej gminie prząsławskiej nawet w zimie nie nosiły majtek: nie było takiego zwyczaju dopiero po 1890 ta część garderoby kobiecej zaczęła się na wsi rozpowszechniać.

Jak tylko ojciec zaczął gospodarowanie przystąpił do budowy nowych budynków, gospodarstwo odziedziczone po dziadku; stały po obu stronach między, przedzielającej zachodnią połowę posiadaną przez brata Michała od posiadanej przez ojca.

W tym celu kupił ojciec odpowiednią ilość drewna w lesie w Nagłowicach od jednego z chłopów z tutejszych, którzy tam wtedy dostali las od dworu za serwitut. Całą zimę ścinał ojciec z parobkiem owe sosny i zwoził je do Sudołu, po czym grubsze sosny użyte były na podwaliny, a cieńsze, przetarte na połowy wzdłuż – służyły jako dyle na budowę ścian. Z takich połówkowych dyli zbudował ojciec dość dużą stodołę, szopę na wozy, oborę dla krów, stajnię, chlew dla świń i kurnik. Oczywiście budował cieśla.

Ojciec był człowiekiem oszczędnym, można powiedzieć, nawet do pewnego stopnia skąpym. Nie lubił prosić nikogo o jakąkolwiek pomoc, ani też o pożyczkę, więc też budynki te zbudował za własne pieniądze nigdzie nie zaciągając pożyczki.

Oczywiście budynki te były zbudowane na tej ziemi, która po dziadku w podziale ojcu przypadła, a drzewem ze starej rozebranej stodoły i budynków gospodarczych obaj bracia się podzielili. Po kilku latach przystąpił ojciec do budowy domu mieszkalnego oczywiście na swojej wschodniej połowie kolonii. Sosny zakupił w lesie serwitutowym również u chłopów nagłowickich sam je z parobkiem zwiózł, po czym cieśla wybudował dom drewniany z bali ociosanych w kostkę, przez co ściany w domu są grube i mieszkanie jest ciepłe; dom ten stoi do dziś.

Kultura mieszkaniowa u chłopów w Sudole była następująca: wszyscy mieszkali w domach drewnianych, jednoizbowych, bez podłogi na ubitym twardym toku glinianym część mieszkalna była w środku domu, po jednej stronie izby sień, po drugiej – od strony podwórza. Do sieni było wejście z ulicy i drugie na podwórza, a do komory – z izby i od podwórza.

Domy w całej wsi były zwrócone jednakowo na południe. Tak też zbudował i ojciec swój dom mimo nalegań ze strony matki i cieśli. Na wybudowanie domu dwuizbowego ojciec się nie zgodził, uważając, że to luksus; ale co do ówczesnych



*Jędrzejowski Rynek ok. 1910r.  
na pierwszym planie kobieta w zapasce*

chłopskich obyczajów postąpił naprzód, że izbę zbudował dużą, z dużymi oknami i podłogą; okna i drzwi kazał pomalować białą farbą olejną. Była to w owe czasy w Sudole sensacja wywołująca podziw i zazdrość.

Dwuizbowe mieszkanie było tylko u najbogatszych chłopów we wsi – Michałkiewicza, ale ten z innymi chłopami współżył, nosił się po miejsku, nosił podczas deszczu parasol, tylko on w całej wsi w ogóle uważał się za coś lepszego od innych. Takiej zaś postawy; by się uważać za lepszego, niejako za pół chłopca, a nie chłopca ojciec mój nigdy nie miał; to też te nowości, które przy budowaniu domu wprowadził, dlatego stanowiły sensację, która się jeszcze spotęgowała, gdy ojciec do nowego domu ustawił dwie nowe szafy: jedną na ubranie, drugą na naczynia kuchenne, nowy stół, dwa nowe łóżka, oraz zawiesił nowy zegar ścienny.

Oprócz Michałkiewicza nikt wtedy nie miał w Sudole zegara. Jeden z sąsiadów był bardzo zazdrosny; te umalowane na białą okna i drzwi tak na niego działały drażniąco, że przestał chodzić ulicą wiejską koło domu mojego ojca, a chodził nocą, by na te okna i drzwi nie patrzeć i nie spoczął dopóki i u siebie okien i drzwi na białą nie wymalował. Później i inni chłopcy w Sudole zaczęli też okna i drzwi na białą malować i zegary kupować.

Jeżeli mowa o obyczajach, to nadmieniam, że wtedy był taki zwyczaj, że szewc uszywszy buty gospodarzowi lub gospodyni w niedzielę rano osobiście odnosił je zamawiającemu. Pierwszym (w mojej) pamięci szewcem mojego ojca – był niejaki Suchodolski, mieszkający na Podklasztorzu, przedmieściu Jędrzejowa.

Gdy zmarł domowym naszym szewcem był obywatel z Jędrzejowa Andrzej Świtalski. Miał on w Jędrzejowie przy ulicy klasztornej obok Powiatowej Kasy Skarbowej (dziś gmach Narodowego Banku Polskiego) – mały dom z bardzo dobrze urządzonej sadem owocowym. W ogóle mieszczanin Świtalski był człowiekiem zdolnym wielostronnym i był dobrym szewcem, obok tego był dobrym człowiekiem, a oprócz tego był muzykantem i dyrygował orkiestrą parafialną w Jędrzejowie. On też po uszyciu butów przynosił je do rodziców do Sudółu oczywiście w niedzielę. Matka dawała mu wtedy dobre śniadanie na którym była jajecznica, chleb z masłem, ale to prawdziwa kawa grała rolę główną. Świtalski miał kilku synów i wszyscy byli muzykantami: grali na trąbach lub skrzypcach, tego ich Świtalski nauczył.

W czasie karnawału Świtalski ograniczał (...) ze swoich synów i jeździł z tą piękną orkiestrą po wsiach po Kolendzie. U moich rodziców zawsze był chyba przyjmowany i ugoszczony wraz z synami, tego otrzymywał – też na kolędę kilka garnców pszenicy. Gdy miał lat sześć i Andrzej Świtalski chodził po Kolendzie, był przez moich rodziców przyjmowany obiadem, po obiedzie napisał w domu na drzwiach od komory kredą abecadło. A że matka moja umiała czytać nauczyła mnie tych liter. Później kupiła mi „groszówkę” (tak nazywano wówczas elementarz), na który już sam przy pomocy matki nauczyłem się czytać – oczywiście po polsku.

Co się zaś tyczy współżycia moich rodziców z mieszczanami Jędrzejowa, to przypominam jeszcze kilka faktów. Gdy w jakiejś święto przyjeżdżał ojciec do Jędrzejowa do kościoła (parokoni gospodarze z okolic Jędrzejowa wtedy jeździli do kościoła, a nie chodzili), zawsze zajeżdżał na podwórze posesji niejakiego Smackiego (prawdopodobnie był to wychodźca z Przasławia); tam pozostawiał konie z wozem, a sam z matką i z matką szedł do Kościoła, a po nabożeństwie zawsze u tego Smackiego byliśmy podejmowani dobrą białą kawą i bułkami z masłem; później już ojciec do Sarneckiego ojciec nie zajeżdżał i w ogóle się o nim przestało mówić: widocznie zmarł, albo się z Jędrzejowa wyprowadził.

Była też w Jędrzejowie rzemieślnicza rodzina Dalińskich, z ojcem spokrewniona, która się wyprowadziła do Dąbrowy Górniczej, gdy tam kopalnie zaczęły powstawać, ale jeszcze przez kilka lat poszczególni członkowie tej rodziny przyjeżdżali do rodziców do Sudółu w odwiedziny.

Był też w Jędrzejowie bogaty mieszczanin, miał dwa duże domy; nazywał się Nawrot. Był to bliski krewny mojej matki, która też z Nawrotów pochodziła. W jednym z domów owego bogatego Nawrota była na piętrze urząd Naczelnika Powiatu, a na dole restauracja, w domu zaś drugim na piętrze mieszkał ów bogaty Nawrot i lokatorzy, a na parterze znajdowały się sklepy. Ów Nawrot był człowiekiem bardzo otyłym, samotnym, starym dziwakiem i sknerą. Były pewne poszlaki, iż przed powstaniem styczniowym był on karczmarzem w Sudole, albo w Laskowie lub w Chorzewie. Miał on wtedy styczość z powstańcem. Po bitwie pod Małogoszczem jakiś (...) od cofających się powstańców pozostawił skarb kasowy ukryty w gliniankach pomiędzy Chorzewem i Cacowcem. Podobno ów Nawrot albo w tym oddziale uczestniczył, (albo fakty podpatrzył), dość że podobno pieniądze powstaniowe sobie przywłaszczył i za to dwa domy w Jędrzejowie kupił. Tak głosiła fama po wsiach. Czy to pogłoski prawdziwe? Nie wiem. Jednak pytanie skąd taka cicha pogłoska powstała?



Miał ów Nawrot siostrę rodzoną, która wyszła za mąż za Wewerka. Ów Wewerek miał w Jędrzejowie dom, a jego żona (siostra grubego Nawrota) w tym domu szynk prowadziła. Była to dla chłopów bardzo atrakcyjna jadłodajnia i pijalnia wódki i zawsze tam był tłok. Chłopów obsługiwała żona Wawerka za mojej wczesnej młodości była już dość stara – na pewno po sześćdziesiątce – i wcale się nie kryła z tym, że była z moją matką spowinowacona. To też moi rodzice w każdy jarmark zawsze tam zachodzili, by się spotkać z gospodynią tej jadłodajni, a także z sąsiadami. Gdy owa Wawerkowa, zwana też kaflarką, zmarła, szynk po niej prowadził jej syn, zaś jej córka wyszła za mąż mieszczanina Kazimierza Piotrkowskiego, który wkrótce uruchomił swój szynk przy ulicy Klasztornej.

Moja matka żyła w przyjaźni z córką owej Wawerkowej, zamężnej za Piotrkowskim; to też moi rodzice „przenieśli” się do szynku Kazimierza Piotrkowskiego tym bardziej, że był on przy ulicy Klasztornej, która z Jędrzejowa prowadzi do Sudołu, a więc komunikacyjnie był wygodniejszy, a przy tym w posesji Piotrkowskiego było podwórze dość obszerne, w karym ojciec konie i wóz spokojnie zostawiał (często pod moim nadzorem), a sam szedł na miasto za interesami, matka zaś odwiedzała panią Piotrkowską, swoją krewniaczkę, która z mężem tam w tym domu mieszkała.

Ojciec mój nie był pijakiem; czasem w towarzyskie dobrych znajomych nieco wypił, ale zawsze mało. Matka wódki nie lubiła. Zachodzili więc do tego szynku, by w zimie ogrzać i coś zjeść i by oparcie dla nich i dla koni utrzymać bo pozostawienie koni i wozu narażało na ukradzenie koni i wozu przez złodziei lub zabranie ich przez policję do magistratu, jako że był „brak dozoru”, za co płacono się karę. Koniokradztwo tak było wtedy rozwinięte, że konie i wóz były nawet bezpieczne nawet na podwórzu; to też ojciec mnie zabierał na jarmark, bym pilnował koni nawet na podwórzu.

Wymienione powyżej stosunki i znajomi moich rodziców – z mieszczanami tego powiatu miasta powiatowego Jędrzejowa – przytaczam jako przykład, na podstawie którego na podstawie innych spostrzeżeń doszedłem do przekonania, że po utworzeniu Księstwa Warszawskiego i po skasowaniu poddaństwa chłopów, chłopci najczęściej obrotni imali się czasami nawet handlu u karczmarza i powoli przenikali do małych miast i wypełniali szeregi drobnomieszczaństwa; z tego wnioskuje, że odległość pomiędzy kategoriami chłopów i drobnomieszczaństwem była bliższa niż później, gdy miasteczka uległy gwałtownemu zażydzeniu (wynik równouprawnienia wprowadzonego przez hr. Wielopolskiego). To zażydzenie spowodowało wypieranie polskiego drobnomieszczaństwa z handlu, z rzemiosł, a później i z domów.

Ten odwrót drobnomieszczaństwa pod naporem Żydów spowodował zupełne odseparowanie się wsi od drobnomieszczaństwa małych miasteczek tym bardziej, że zbyt liczny na wsi przyrost ludności zaczął emigrować nie do małych miasteczek, zablokowanych przez Żydów, a do wielkich ośrodków fabrycznych, które wtedy zaczęły powstawać. Z tego wychodzi, że emigracja ze wsi w kierunku małomiasteczkowego rzemiosła ustała, a skierowała się do ośrodków fabrycznych jako robotnicza.

Koniokradztwo było wtedy, a nawet i później straszną plagą. Za mojej wczesnej młodości grasowała w Kielecczyźnie banda złodziejska Malarskiego. Miała ona siedzibę w okolicach Włoszczowy, a grasowała w kilku sąsiednich powiatach, a więc i Jędrzejowskim. Oczywiście działała w porozumieniu z carską policją w okolicy Sosnowca. Zaczął wtedy powstawać na Śląsku przemysł górniczy, ale węgiel od kopalni do wyciągu był jeszcze wtedy transportowany i na Śląsku i w zagłębiu Dąbrowskim kolejkami konnymi. Kopalnie węgla po obu stronach granicy potrzebowały koni i dobrze płaciły. Banda Malarskiego kradła konie w Kielecczyźnie, przekazywała je Żydom, a ci je po obu stronach granicy sprzedawali.



*Okres zaboru rosyjskiego - folklor jędrzejowskich ulic*

Gdy dodamy, że policja o tym wiedziała i swój udział za to otrzymywała widać, że sytuacja chłopów w tej sprawie była beznadziejna. Piszę „chłopów”, bo dwory banda omijała. Tak kradli z kilkanaście lat; już aż się w Kielcach taki gubernator pojawił, który postanowił to ukrócić. Zorganizował więc w Kielcach nagły najazd wielkiej masy policji obcej na okolice Włoszczowy i urządził obławę na bandę Malarskiego; sam Malarski był w swej melinie ostrzeżony za późno; rzucił się więc do ucieczki wraz ze swoimi towarzyszami odstrzeliwując się, ale w tej bitwie poległ, a jego banda była rozbita i formalnie przestała istnieć.

Ale poszczególni jej członkowie, najadłszy się trochę strachu, zaczęli znowu w dalszym ciągu rzemiosło złodziejskie uprawiać. Tylko ośrodek złodziejski przeniósł się z okolic Włoszczowy do Jędrzejowa, a to z tego powodu, że rząd carski zaczął doceniać gospodarcze znaczenie Syberii i niechęć jej zaśmiecać złodziejami, wytypował w kongresówce kilka miast powiatowych, do których zaczął zsyłać „na pobyt” z Rosji po odsiedzeniu kary więziennej swoich złodziei. Jednym z takich punktów był i Jędrzejów.

Był nawet w Jędrzejowie przy ulicy Łysakowskiej, za rzeką, taka dzielnica, gdzie ci pobytowi mieszkali. Oczywiście zawarli oni wkrótce znajomości z miejscowymi złodziejami i w ten sposób zbudowali duży zespół złodziejski, a że jedni byli narodowości polskiej, a drudzy – rosyjskiej, nie stanowiło to przeszkody: tak się pobratali. To też w miarę tego jak rosła ilość „pobytowych”, rosła też w Jędrzejowie i okolicy przestępczość. Kradli więc chłopom pieniądze kieszeni, kradli gęsi z wozów kury, zakupione i złożone na wozie buty, a także zakupioną łokciówkę.

Czasami gdy chłop sprzedał konia byka lub krowę, szli za nim złodzieje na rynek i tam w tłumie pomiędzy ludźmi w biały dzień całą bandą napadali na niego i zabierali pieniądze z kieszeni. Pech że policji akurat wtedy tam nie było, a gdy się zjawiał, to było już za późno. Niezależnie od tego złodzieje kradli i po innych wsiach, co się dało. I co chłopom mogli na to poradzić? Byli bezsilni i bezbronni, bo broni palnej nie wolno było trzymać. Pozostało im samosąd. Gdy więc złapali już któregośkolwiek złodzieja winnego kradzieży, to żywy nie wyszedł.

Ale bywały też samosądy zorganizowane. Tak było w Tarnawie, wsi w południowej części powiatu. Był tam złodziej, który sobie kpił ze wszystkich Ale przebrała się miarka: pewnego dnia ludność miejscowa zebrała się w samo południe pod domem tego złodzieja, wywlekła go z chałupy i kijami zabiła. W Przasławiu też był taki: nazywał się Małkowski; miał on spółkę z bandą złodziejską, nic sobie z nikogo nie robił, chodziła jarmark w Jędrzejowie i od poszczególnych chłopów wódki i kiełbasy w celu ubezpieczenia ich od kradzieży się domagał. Kto tego nie zrobił, był okradany. Fundowali mu też wszyscy jadło po różnych wsiach u chłopów nieznanym lub też u takich, którzy nie chcieli mu podpaść.

Pewnego wieczoru odbył się Przasławiu w czworakach dworskich chrzciny, był tam i Małkowski, był pijani, i inni też; rozpoczął awanturę, wynieśli go przed sień i kijami i siekierami zabili, po czym odnieśli go kilkadziesiąt kroków na szosę i rzucili do rowu w śnieg. Chodziłem już wtedy do szkoły do Przasławia i pamiętam, jak ów Małkowski leżał twarzą w śniegu martwy, a na drodze do czworaków do szosy były z Małkowskiego krople krwi, zaś przy czworakach przy sztachetach śnieg był zdeptyany i zakrwawiony, a na sztachetach krew była na metr wysokości rozpryskana: zupełnie, jakby ktoś wieprzka zabijał.

Te samosądy trochę pomagały, ale liczba ich w stosunku do nasilenia złodziejstwa – była za mała. Carski kodeks karny był bardzo ostry, ale tylko za przekroczenia polityczne, zaś za kryminalne – kary były łagodne, zaś za samosąd żadne. Jeżeli złodzieja było więcej niż dwunastu i nie można było ustalić, kto pierwszy uderzył, to kara za samosąd odpadała. W sprawie więc Małachowskiego było ustalone, że bił go tłum, że tłum był pijany i powodem tego morderstwa było takie postępowanie Małachowskiego, że nie można tego było tego już długo znosić po prostu – brakło już wszystkim cierpliwości. Ani więc za samosąd w Jędrzejowie czy w Przasławiu nikt nie był ukarany.

Ale... złodzieje jednak kradli nadal. Moim rodzicom ukradli raz trzy poduszki. Innym razem ukradli ojcu konia od wozu przed młynem w Mierzawie, gdzie zboże zwoził. Było to w nocy; służący zsypywał zboże, ojciec konia pilnował, ale gdy wszedł do młyna zobaczyć, jak zboże zmielono; gdy po 10 minutach wyszedł konia już nie było, a wóz pozostał. Oczywiście służący przepadł. Po kilku latach znowu złodzieje ukradli ojcu parę koni ze stajni. Było to latem parobek spał w stodole; pies chodził po podwórku. Podrzucili złodzieje psu kawał ciepłej kiełbasy z trucizną; pies to chciwie pożarł i zdechł. Złodzieje cicho weszli na posesję przez parkan; otworzyli podrobionym kluczem sztangę w stajni wyprowadzili oba konie i po cichu wrota i wierzchem odjechali. Te konie jednak nie zginęły. Było to z soboty na niedzielę. Zaś w niedzielę rano



chłopi z Krężoła (wieś na południowy zachód od Wodzisławia (jędrzejowskie) poszli na grzyby i w lesie w gąszczu leszczyn znaleźli oba konie przywiązane do drzew, zaprowadzili je policji w Wodzisławiu. Gdy więc w niedzielę ojciec zameldował w Jędrzejowie, że mu konie ukradziono, powiedziano mu tam, że się już znalazły; ale by znaleźć konie ukradzione – był to przypadek bardzo rzadki.

W Jędrzejowie na rogu rynku i ulicy Pińczowskiej był duży dom (i dziś jeszcze jest), w którym za rządów carskich mieścił się urząd powiatowy (starostwo); ponad tym urzędem na parterze była duża restauracja dla obszarników i urzędników, a w podwórzu tej posesji (dość dużym) mieścił się zajazd, w którym podczas jarmarku stało dużo furmanek, powozów i bryczek. Był wtedy w Przasławiu wójtem bogaty chłop Jakub Król; miał on jedną bryczkę i dobre konie. Pewnego dnia podczas jarmarku przyjechał on sam bez parobka do Jędrzejowa, najechał końmi i bryczką na podwórze tej posesji, gdzie był urząd powiatowy, postawił bryczkę i konie na podgórzu i poszedł na piętro do urzędu powiatowego, gdzie jako wójt – miał sprawy do załatwienia. Gdy po połowie godziny zszedł na dół, koni i bryczki już nie było. Wjazd i wyjazd z tego podwórza był tylko jeden: bramą na parterze pod urzędem powiatowym. (...) konie i bryczkę wójtowi (...) z zajazdu, który się mieścił na podgórzu gmachu urzędu powiatowego. Tych koni ani bryczki wójt Król nie odnalazł.



*Targ na jędrzejowskim Rynku*

O pewnym chłopie ze Skroniowa (nazywał się Gawron) dowiedzieli się złodzieje, że ma sporą gotówkę, więc też pewnej niedzieli gdy po sumie wyszedł z cerkwi wraz z innymi na rynek, by zapalić papierosa i pogadać z sąsiadami, napadła go przy wszystkich obecnych banda złodziejska, przemocą zabrała mu z kieszeni ową gotówkę i uciekła. Ów poszkodowany Gawron zaraz zameldował o tym policji, jednak rabusiów nie wykryto.

Przez dłuższy czas pełnił funkcje wachmistrza powiatowego policji w Jędrzejowie Łotyszenko (oczywiście Rosjanin). Był to człowiek na pozór surowych obyczajów, wielki służbista, gorliwy (...) za wszelką robotę polityczną. Dopiero w końcu roku 1905 poległ w bitwie pod Małogoszczem z bojową grupą PPS wyszło na jaw iż w ciągu dość długiego urzędowania w Jędrzejowie miał on kontakt ze złodziejami i pobierał procent od kradzieży. Wyszło również na jaw, iż pośrednikiem pomiędzy Łotyszenką i złodziejami była pewna żydówka, której złodzieje pieniądze doręczali, a ona wachmistrzowi. Taka to była carska policja: wiedziała na przód, gdzie będzie kradzież!

Wracając jeszcze raz do okresu mojej wczesnej młodości, podam, co ojciec mój pamiętał z wypadków powstania styczniowego. Miał wtedy siedem lat, pamiętał tylko to, widział w Sudole. A więc pamiętał, że w czasie powstania chłopów-koloniści w Sudole już mieszkali we własnych budynkach na własnych koloniach i wszelkie sprawy uwłaszczeniowe, już były poza nimi. Z wypadków wojennych tego powstania ojciec pamiętał tylko dwa: jeden – to była potyczka, która stoczył w Sudole jakiś patrol kawalerii powstańczej z kozakami na trakcie w stronę Nagłowic. W wyniku tej potyczki jeden kozak był zabity, leżał na trakcie, a obok niego wielka futrzana zakrwawiona czapa (papacha). Drugi epizod – to był odwrót oddziału kawalerii powstańczej po bitwie pod Małogoszczem w stronę Jędrzejowa przez chłopskie pola sudolskie, obok pola, który wtedy i dziś zwie się „Gaj” oddział tam, wedle pamięci ojca, mógł liczyć około stu jeźdźców. Pamiętał też ojciec, jak jeden z chłopów – Stefański) zwany „Babiniakiewicz”, (...) położony tuż przy Sudole, ale należącej do Chorzewy (...) wybierał się do powstania i jak znajomych żegnał. Ale nie zginął ów Stefański w powstaniu. W jakich bitwach ówczesnych brał udział nie wiem, ale wiem, że cało i bez szwanku do domu wrócił, bo mi go ojciec później pokazał (...) z dziećmi

przeprowadził z Kopaniny do Jędrzejowa na przedmieście Podklasztorza. Był to mojej wczesnej młodości człowiek stary, ale zdrowy i dobrze wyglądający. Żył jeszcze potem długo, a po śmierci dużo ludzi brało udział w jego pogrzebie: był bowiem przez (...) Podklasztorza i pobliskich wsi szanowany bardzo powstaniec.

O bitwie pod Małogoszczem dużo starzy mówili, a między innymi opowiadaniami zasłyszany przeze mnie od chłopów, pamiętał opowiadanie o tym, że carski dowódca Czyngery podczas bitwy kazał duży kocioł miedzowy postawić na wozie, wlał do kotła, siadł tam i dopiero z tego kotła dowodził, liczył bowiem na to, że ołowiowe kule powstańcze kotła nie przebiją. W ogóle stosunek starych chłopów w Sudole do powstania styczniowego nie był zły a raczej sympatyczny. Do powstania chłopci oprócz Stefańskiego nie poszli, bo uważali je za przedsięwzięcie lekkomyślne i z góry skazane na przegraną. Podziwiali jednak odwagę tych, którzy brali udział w powstaniu, ale samo powstanie za wyczyn choć słuszny, ale awanturniczy nieprzemyślany, czyli za porwanie się z motyką na księżyc.

W ogóle i za czasów mej pierwszej młodości i później chłopci w Sudole żyli pod wrażeniem wielkiej, niepokonanej siły cara rosyjskiego. Taki pogląd mieli aż do wojny japońskiej w roku 1904. Dopiero ta wojna otworzyła im oczy, że tak nie jest. Pomimo takich, jak wyżej podałem, poglądów na powstanie styczniowe, tym nie mniej pomiędzy chłopami starymi nieraz słyszałem z wielką czcią wymówione nazwisko Gaszyńskiego, dziedzica z Cierna (odległego od Sudołu o 4 km), który wedle opinii tychże chłopów odgrywał w powstaniu jakąś bardzo poważną rolę, a po powstaniu musiał emigrować do Krakowa. Dopiero później dowiedziałem się, że Gaszyński był podczas powstania naczelnikiem powstańczego Rządu Narodowego na powiat jędrzejowski.

Widocznie stosunek jego do chłopów i dekretu rządu powstańczego w przedmiocie uwłaszczenia był bardzo szczery, życzliwy i uczynny, gdyż pomimo, iż był dziedzicem, jednak przez długie lata chłopci go tak czcili. Ta cześć dla Gaszyńskiego, powiatowego komisarza rządu powstańczego była tu głęboka i tak długa, że jeszcze w Polsce niepodległej w okresie międzywojennym ułatwiała potomkom owego komisarza rządu powstańczego – inżynierowi Stanisławowi Gaszyńskiemu kandydowanie z dobrym wynikiem do senatu przy wyborach do pierwszego senatu.

A teraz pytanie: czy chłopci za czasów mojej dziecinnej młodości czuli dla cara i jego rodziny jaką sympatię, czy też przywiązanie? Stosunek do cara był obojętny, bez szczególnej wdzięczności (za uwłaszczenia). Chłopci się Rosji carskiej bali, ale jej nienawidzili, a osoba cara była im obojętna. Tak było w Sudole. Gdy później rząd carski wybudował w Częstochowie przed klasztorem pomnik Aleksandra II, niby tego, który w 1868 wydał ukaz o uwłaszczeniu chłopów, i gdy pomnik ten ustawiono tyłem do klasztoru, chłopci się tym gorszyli i oburzali i mówili: „Że też to jeszcze nie znalazł się taki, co by ten pomnik zburzył!”.

Przy tej sposobności podam pewne zdarzenie, które miał z chłopami na zebraniu pewien komisarz włościański, nie namawiał chłopów, by w swej dobroci wybudowali pomnik wdzięczności dla cara Aleksandra II i by na ten cel uzbierali jakąś sumę pieniężną. Chłopci wysłuchawszy tego przemówienia oświadczyli: Komisarzu! A czybyśmy to nie mogli tej sumy w areszcie odsiedzieć? Wyjaśniam: za czasów carskich wszelkie kary pieniężne jeżeli ukaranemu było finansowo ciężko na jego prośbę – były zamieniane na więzienie. Chcieli więc i ten ciężar pieniężny budowy pomnika, w areszcie odsiedzieć. Oczywiście widzimy z tego, że poziom umysłowy był bardzo niski, widać też, że i miłość dla cara też była u nich żadna.

W ogóle wybudowanie tego pomnika ze strony rządu carskiego pod względem propagandowym wyczynem zupełnie chybionym, a nawet szkodliwym, gdyż wywołało u chłopów dużą niechęć do carskiej Rosji, a gdy rząd skasował karczmę po wsiach – (w Sudole nie było już karczmę od 1861r.), a pozostawił je w miasteczkach oraz we wsiach ważniejszych, pili nie tylko w tych karczmach i na jarmarkach, ale i w domu przy każdej sposobności. Ojciec często zabierał mnie na jarmark do pilnowania koni i wozu, więc to jarmarczne pijaństwo chłopskie dobrze widziałem. Nie było wtedy nic dziwnego, gdy podczas jarmarku tuż po południu w jednym lub drugim miejscu przy jakiejś ulicy bocznej taki pijak leżał w rynsztoku; nie było tego przy ulicach głównych, bo leżącego pijaka policja zabierała do aresztu, by nie tamował ruchu.

Zauważyłem, że najwięcej pili chłopci z tych wsi, które przy uwłaszczeniu zostały las za serwitut lub wprost ukazowy. Z takiego właśnie lasu ojciec zbudował budynki. Chłopci z tych wsi pili dopóki drzewa z takiego lasu do imentu nie przepili. Pamiętam takie wsie, były to okolice Jędrzejowa i Nagłowice, Cierno, Caców, Mnichów: Najlepiej zaś pamiętam chłopca z Cierna, niejakiego Grada, który prawie w każdy jarmark leżał gdzieś pod wozem.

Nieco mniej, ale też dużo, pili chłopci i z innych wsi. Na przykład – pewien chłop ze Sudolu tak się spił na jarmarków Jędrzejowie, że wracając do domu, na przedmieściu położył się obok szosy i tak bardzo zasnął pijackim, że wieczorem jacyś kpiarze zdjęli mu buty, spodnie i kalesony, a on spał; tak go zostawili na noc (było ciepłe lato). Gdy się zaczęło rozwidniać, ów pijak przetrzeźwiał obudził się i pobiegł do Sudolu boso i z gołymi nogami, a choć się ukradkiem przemykał poza stodołami, jednak byli tacy, co go w takiej śmiesznej sytuacji widzieli; od nich dosiedziała się cała wieś i został całkiem ośmieszony. Nazwiska jego nie podaje choć je znam, by się jego synowie żyjący nie obrazili.

Inny zaś chłop też z Sudolu, podpiwszy sobie mocno w Jędrzejowie, wprawdzie wrócił do Sudolu późno w nocy i ubrany, ale nie mógł trafić do swego domu; laził więc po wsi od chałupy do chałupy, budził śpiących i pytał się o drogę do domu i też się ośmieszył.

Znany też był wtedy w Sudole z pijaństwa i pijackich wyczynów dosyć bogaty chłop – Lipski. Ten znowu miał zwyczaj, że jak sobie dobrze podpił siadał nocą na konia, jeździł po wsi i różne wyczyniał figle, zresztą nieszkodliwe. Miał on też w Sudole przyjaciela Kazimierza Smorąga (też mocno pijącego). Jeżdżąc po wsi na koni już późno nocą, podjeżdżał zazwyczaj do chałupy Smorąga, stukał mocno w okno, budził go i wołał: „Smorąg, dawaj tabaki!”, a gdy Smorąg otworzył okno, poczęstował tabakierką z tabaką, Lipski zażył z konia tabaki, szybko odjeżdżał, mieszkali oni od siebie w odległości półtora kilometra. Gdyby zaś Smorąg nie podał tabaki by mu okna powybił. Wiem to od samego Smorąga, który mi o tym opowiadał. Ale źle skończył ów Lipski, Pewnego wieczoru gdy było bardzo gorąco, opiwszy się wódki, poszedł na Podkasztorze do (...) by się wykapać, a choć dobrze umiał pływać, jednak po pijanemu utonął.



*Targ na jędrzejowskim Rynku*

We wsi, które dostały las i przepiły go należało Cierno, Nagłowice, Umienów – zaobserwowałem później ślady tego pijaństwa w tym te zaznaczyły się pośród innych chłopów tępotą. Znacznie bowiem później, gdy byłem działaczem ludowym i posłem na Sejm, w tych pijackich wsiach przez dłuższy czas nie mogłem wynaleźć choć jednego chłopca, zdatnego działacza ludowego, choćby nawet tylko o zasięgu wioski. Dopiero później te sprawę uległa poprawie na lepsze i wsie te zaczęły się aktywizować ale było to dopiero w latach 1928 – 1934 a więc mnie – więcej potrzeba było aż 20 lat na wyparowanie alkoholu.

Na zakończenie relacji o czasach wczesnej młodości przedszkolnej – muszę jeszcze zaznaczyć, iż wtedy plagą na wsi było pijaństwo: chłopci wtedy pili podczas chrzcina, pili podczas wesel, pili w czasie pogrzebów, pili podczas jarmarków. Przy chrzcie też pito wódkę. Najpierw „babka” która pomagała przy porodzie, musiał przy tym wypić choć „kupczyńkę”. Rodzącej też zaraz po urodzeniu dziecka dawano pod pierzynką szklaneczkę z wódką „słodką”. By w razie chęci mogła pociągnąć. Gdy dziecko ochrzczono, też zaraz cała grupa z rodzicami chrzestnymi szła do szynku, by popić, czyli – jak się wtedy mówiło - by małego ochrzcić w wódce. Wieczorem tegoż dnia, albo w najbliższą niedzielę – musiał ojciec noworodka urządzić chrzciny, na które zazwyczaj z pół wsi zapraszał. Oczywiście zebrani pili do późnej nocy.

Po pogrzebie zmarłego, o którym to pogrzebie trzeba było przynajmniej kilkudziesięciu chłopów zawiadomić – szli wszyscy zaproszeni do najbliższego szynku na stypę, podczas której na pocieszenie po stracie zmarłego też sporo wódki wypijano. Muszę jednak zaznaczyć, iż po pogrzebie, choć dużo pito, trzymano jednak umiar. To też po stypie byli podpić i „pocieszeni”, ale pijanych nie bywało.



Jeżeli brać pod uwagę moje sprawy rodzinne, to w czasie pomiędzy 1906 i 1914 były dwa najważniejsze wydarzenia rodzinne: wyjście za mąż mojej siostry Franciszki za Stanisława Jaszczuka, o czym pisałem powyżej, oraz śmierć mojego ojca. Ojciec mój po przejściu tyfusu plamistego we wczesnej młodości i ciężkiego zapalenia płuc w mojej młodości stopniowo, ale coraz bardziej zapadał na chroniczny katar płuc. Leczył się jak mógł, ale to nic nie pomagało. W lecie czuł się lepiej, w zimie – gorzej. Objawy kataru, zwłaszcza kaszel rano przy wstawaniu bardzo dręczył ojca. Wszyscy lekarze zgodnie twierdzili, że nie była to gruźlica, a zwykły chroniczny katar płuc; twierdzili, że najlepszym lekarstwem byłby wyjazd kuracyjny przynajmniej na pół roku do kraju ciepłego i suchego, najlepiej do Grecji, czy Jugosławii. Ojca nie było stać na to, a ja też jako lichy płatny nauczyciel – nie mogłem ojcu okazać finansowej pomocy. Musiał więc pozostać w kraju, choć coraz bardziej zapadł na zdrowiu.

Oprócz tego ojciec mój cierpiał na dziedziczny i chroniczny artretyzm, który osłabiał mu sercu. W październiku 1912 ojciec woził z pola ziemniaki i zsypywał je do piwnicy. Nie była to praca ciężka, bo ziemniaki wysypywało się z wozu do piwnicy przez drewnianą rurę na dole, by ziemia spadała na dół i nie do piwnicy by do piwnicy spadały tylko ziemianki! Nie ze względów osobistych, bo od 1901r. byłem całkiem samodzielny. Żał mi było ojca, że tak młodo zmarł (55 lat). Wkrótce wybuchła wojna bałkańska i stawało się jasne, że to tylko przygrywka do wojny światowej (pierwszej) i że podczas tej wojny nasi trzej zaborcy będą się prać, to nam ulży. Żał mi było więc ojca bardzo, że do tej chwili nie doczekał, bo sprawami międzynarodowymi bardzo się interesował, był bowiem gorącym patriotą i zdecydowanym przeciwnikiem rządów carskich.

Na grób ojca chodziłem czasami w ciągu lat 20 letniej niepodległości, bom wtedy mieszkał w Jędrzejowie – aż do 1935. Dziś z mogiły ojca nie ma ani śladu. Podczas drugiej wojny Niemcy właśnie na północno – wschodniej części cmentarza wykopali wszystkich zmarłych i pochowali we wspólnej mogile, a na ich miejscu pochowali rzędem pod murem swoich poległych żołnierzy. Tam więc, gdzie była mogiła mojego, ojca, dziś jest niemiecki wojskowy cmentarzyk. Tak giną ślady po ludziach, którzy żyli i działali!

A teraz jeszcze na chwile wrócimy do spraw carskiej administracji w Kongresówce, bo gubernatora, którego urząd nosił rosyjską nazwę: „Gubiernskoje uprawnienie”. W naszym terenie rodzinnym urząd ten mieścił się w Kielcach w pałacu dawnych biskupów krakowskich. (...) a zainteresowani odpowiadali mu po polsku. Ale już w Zjeździe Sędziów Pokoju i w Sądzie Okręgowym, a w Izbie Sądowej tym bardziej – rozprawy odbywały się w języku rosyjskim, a tłumacz sądowy był pośrednikiem pomiędzy sądem i interesantami: stronami i świadkami. Zaś adwokaci zaczynając od Zajadu Sędziów Pokoju musieli mówić po rosyjsku. Przysięgę od katolików odbierał w sądach gminnych – sędzia po polsku, a we wszystkich innych instytucjach sądowych przysięgę od katolików odbierał ksiądz katolicki. Przysięgę od Żydów we wszystkich sądach odbierał po polsku rabin.

Przechodzę do swych spraw samokształceniowych. Po roku 1905 i 1906 postanowiłem zdać maturę nie w Rosji, a w Krakowie; postanowiłem też wstąpić na wyższy zakład naukowy nie w Rosji, a na politechnikę we Lwowie. Z tego powodu zarzuciłem naukę języka rosyjskiego, a zabrałem się do polskiego, niemieckiego i francuskiego; w tym celu w miesiącach letnich wyjeżdżałem do Krakowa lub Kielc, by się uczyć przy pomocy korepetytorów języków obcych oraz matematyki. W lecie w roku 1913 przenieśliem się z Przełaja do Łysakowa. Było to dla mnie o tyle lepiej, że Łysaków jest tuż przy Jędrzejowie, a więc pod względem komunikacyjnym byłem sytuowany znacznie lepiej

(...) na zapalenie okostnej, a następnie na ropne zakażenie dziaśła. Stan mój był groźny. Musiałem wyjechać do Krakowa kurację. Udało mi się to uczynić w ostatniej chwili przy pomocy mojego kolegi z ławy szkolnej Romana Prohaski, który był nauczycielem przy szkole przy kopalni Saturn. Zawiózł on mnie do Krakowa już w stanie na wpół przytomnym i umieścił w lecznicy przy ulicy Siemiradzkiego 1, w której dyrektorem był chirurg profesor Rutkowski. Tam przeleżałem długo i przechodziłem operacje i przebywałem od października 1913r. do marca 1914r.

W szkole zaś w Łysakowie uczył w moim zastępstwie mój przyjaciel Jan Szwaczka, który wtedy był nauczycielem w Węgleńcu koło Łysakowa, ale że nie miał tam wykończonej Sali szkolnej, przeto zastąpił mnie w Łysakowie. Chodził on więc całą zimą do pracy szkolnej z Węgleńca do Łysakowa. Dopiero w połowie marca, choć obandażowany na twarzy rozpocząłem naukę w szkole w Łysakowie. Szkoła ta miesiła się w domu gospodarza Wojciecha Nowakowskiego. Były tam cztery izby podzielone sienią. Dwie izby po jednej stronie sieni były moim mieszkaniem, a drugie dwie po drugiej

stronie sieni po wyjęciu z pomiędzy nich drzwi – stanowiły sale szkolną, w której dwa stopnie odbywały naukę przed południem, a dwa – po południu.

W Łysakowie była kiedy szkoła (gmach szkolny) ale zniszczał. Szkoła była gminna. Zebranie gminne postanowiło sprzedać stary budynek, zawiesić naukę w szkole na kilka lat i pieniądze z etatu nauczycielskiego użyć na fundusz budowy gmachu szkolnego. Gdy wójtem był w tamtejszej gminie Raków świątły chłop Andrzej Sęk, zebranie gminne pod jego przewodnictwem uchwaliło budowę gmachu szkolnego w Łysakowie, gmachu dużego, murowanego. Wójt uchwałę wykonał i w Łysakowie wybudował ściany z cegły. Gmach był duży, wiec i koszta budowy były spore.

Ale miał w tej gminie Brasie swój majątek ziemski niejaki Tymieniecki, adwokat z Kielc. Tenże Tymieniecki obliczył, że on ze swojego folwarku w Brasie, jego szwagrowie mający folwarki w Mokrzku Górnym i Dolnym oraz teść Heliński, dziedzic z Kotlic (wszystko w gminie Raków) – będą musieli sporo płacić na dokończenie tego budynku szkolnego; rozpoczął wiec proces w celu unieważnienia zebrania gminnego od strony formalnej. Przy pomocy haczyków prawnych adwokackich – udało mu się unieważnić prawomocnie uchwałę tego zebrania gminnego. Wtedy wójt musiał zaprzestać budowy; wybudowane ściany nowego gmachu szkolnego musiał rozebrać i cegły sprzedać.



*Wiejskie chatupy*

Gdy upłynął czas, na który nauka w Łysakowie była zamknięta, szkołę trzeba było uruchomić (jak i w Desznie). A że nie było budynku szkolnego, wójt wynajął pomieszczenie dla szkoły u Wojciecha Nowakowskiego w Łysakowie. Gdym więc po chorobie rozpoczął w Łysakowie naukę szkolną, była już połowa marca 1914r. Douczyłem do końca kwietnia, gdyż od maja dzieci przestały chodzić i nauka musiał być przerwana. Choroba, którą przebyłem nadwyrężyła moje zdrowie, powoli jednak wróciłem do zdrowia.

W Łysakowie była ziemia szkolna i plac pod szkołę, ale dowiedziałem się, że tejsze wsi jest i osada karczemna, która zarządza radska dyrekcja lasów państwowych i majątków państwowych która toż dyrekcja dała do użytku miejscowego gajowego lasów powiatowych. A że było zarządzenie, by takie osady karczemne przekazać miejscowym szkołom, rozpocząłem więc starania przez gubernialna dyrekcja szkolną w tym kierunku, by tą dziadówkę przekazać szkole w Łysakowie. Starania moje odniosły skutek: karczmarówka została szkole przydzielona. Zdobyłem w Łysakowie tym posunięciem duża powagę. W lecie roku 1914 było już widoczne, że wybuch wojny wisi na włosku. Liczono dni i tygodnie, ale było jasne, że wojna wkrótce wybuchnie.

Ja, mój przyjaciel Jan Szwaczka z Węgleńca i From. (...) Gdyśmy przejeżdżali przez Łuków, przeczytaliśmy w gazetach, że jakiś Serb zamordował austriackiego następcę tronu Ferdynanda w Sarajewie. Z gazet było czuć, że jest to już początek wielkiej wojny. Zdążyliśmy jeszcze wrócić do Jędrzejowa, ale wojna po kilku dniach wybuchła. Celem tej naszej wycieczki było zbadanie stosunków narodowościowych na Chełmszczyźnie. Ten cel osiągnęliśmy i przekonaliśmy się, że na wielu wsiach, gdzie ludność była na ogół prawosławna, mówiła ona po polsku i do nas i między sobą. Zaś we wsiach, które po 1905 roku powróciły na katolicyzm, ta sprawa była stała (...) jeszcze mocniej. Później, gdym był już posłem, (...) jeździłem też i na tereny Chełmszczyzny na wiece, przekonałem się o tym samym, bom widział gromadę chłopów, którzy z cerkwi po sumie wychodzili, szli na mój wiec rozmawiali pomiędzy sobą po polsku, a nie po ukraińsku; po polsku też ci sami chłopcy rozmawiali ze swym popem, prawosławnym, nazywając go „księdzem proboszczem”.

Przechodzę do swej orientacji politycznej w r. 1914. Już pośrednio nadmieniałem, że na konferencji w Motkowicach ostatecznie zdecydowałem swoje ideologiczne przystąpienie do PPS. Piszę; „zdecydowałem” i piszę szczerą prawdę, bo przedtem nie byłem zdecydowany i szukałam wyboru pomiędzy PPS i ND. Już pisałem, że w Zielone Świątki w 1901 przed ukończeniem seminarium nauczycielskiego byłem w okolicy Jędrzejowa w „Gaju” na tajnym zebraniu seminarzystów – maturzystów, na którym przemawiał i polityczne sprawy referował przedstawiciel PPS – Antoni Olmusz, późniejszy poseł

ludowy z PSL – „Wyzwolenie”. Po zakończeniu seminarium w końcu czerwca tegoż roku byłem w Warszawie (pierwszy raz w życiu) na tajnym zebraniu tychże maturzystów, zorganizowanym przez Arcichowskiego, nauczyciela z Mokotowa; zebranie to było endeckie i na nim przemawiał jakiś wielki endecki wódz, chyba sam Dmowski. Nic, dziwnego, że pomiędzy zebraniem w „Gaju” w roku 1901 i zebraniem w Motkowicach odrzuciłem program endecki na całe życie. Przyciągnąłem też do PPS swego kolegę i przyjaciela, który ukończył seminarium nauczycielskie w roku 1902 i od września 1902r. aż do lata 1914r. był nauczycielem w podstawowej szkole polskiej przy kopalni „Saturn” w Czeladzi.

Do PPS należałem do jesieni 1906. Cały ten czas byłem nauczycielem w Chomentowie. O swej działalności w PPS już po krótko pisałem. Teraz napiszę o rozłamie w PPS. Agitacyjną różnicę pomiędzy większością cywilną w PPS, z której powstała PPS – Lewica, a organizacją bojową PPS, z której powstała Frakcja Rewolucyjna (wcale nie rewolucyjna, a powstańcza) – stanowiła sprawa niepodległości Polski. PPS przed rozłamem głosiła hasło, że walka o niepodległość to łowne zadanie PPS i że walka o socjalizm drugie również b. ważne zadanie PPS. Jechało więc PPS dwoma końmi agitacyjnymi: walką o niepodległość i walką o socjalizm. Szło to bardzo dobrze przed rokiem 1905 i w roku 1905, bo wtedy była ostra walka rewolucyjna w Rosji. Ale gdy walka rewolucyjna została w Rosji przegrana i widoków na powodzenie w dalszej walce o niepodległość Polski nie było, powstało zagadnienie czy tą walkę (...)

Najwięcej wódki zużywano podczas wesel. A obrzędy i obyczaje weselne za czasów mej wczesnej młodości wyglądały w Sudole następująco. A więc chłopak miejski, który się chciał z pewną dziewczyną żenić, mówił o tym najpierw ze swymi rodzicami. Gdy sprawa została zaakceptowana, rodzice i syn wysyłali najpierw swata z wódką do rodziców młodej „na zwiady”. Swatem był zazwyczaj przyjaciel rodziców. Oczywiście swat szedł lub jechał z wódką. Oczywiście że rodzice młodej wiedzieli, po co swat przychodzi, więc gdy swat postawił flaszkę na stole, a rodzice w ogóle byli temu przeciwni, to nie chcieli dać kieliszka. Swat zabierał wódkę i wracał z tą odpowiedzią odmowną do rodziców chłopca. Na tym się sprawa kończyła. Oczywiście strona odmawiająca nie ukrywała tego faktu przed sąsiadami, strona zaś „odpalona” – milczała.

Gdy zaś rodzice dziewczyny byli chętni, to dawali kieliszek i zaczynało się popijanie i rozmowy, przy czym oczywiście gospodarze domu dawali przekąskę: chleb z masłem, z kiełbasą, lub jajecznicę. Po otrzymaniu zgody ogólnej – swat wracał do rodziców kandydata na nowożeńca z przychylną odpowiedzią. Po kilku dniach tenże swat po raz drugi, ale już z nowożeńcem, szli z wódką do rodziców dziewczyny. Tam zaczynało się pić, jeść i rozmawiać i rodzice przywoływali dziewczynę do izby i pytali, czyby wyszła za męża na tego oto kawalera. Oczywiście dziewczyna przecie o tym dobrze wiedziała i tam gdzieś w komorze lub na podwórzu przebywała i na to zawołanie czekała. Wszedłszy więc do izby z wielką jednak żenadą i zawstydzeniem nieśmiało, półgębkiem wyrażała zgodę. Wtedy jej przyszły mąż przypijał do niej z wódką, a ona wzięwszy z jego rąk kieliszek zazwyczaj tylko troszkę wypijała. Ale to już oznaczało, że z jej strony sprawa jest załatwiona.

Resztę wódki wypijali jej rodzice, z kawalerem i swatem. Ta druga ceremonia nazywała się „zmównami”. Sprawy zaś gospodarcze, t.j. kto da ziemię, a kto spłatę i gdzie nowożeńcy złączą gospodarować, - załatwiali pomiędzy sobą rodzice obu stron w osobnej rozmowie na wsi lub przy spotkaniu na jarmarku. Nie przypominam sobie takiego wypadku, by rodzice robili dzieciom gwałt i żenili je przymusowo; starali się zazwyczaj na dzieci oddziaływać perswazją i to w wielu, może w bardzo wielu wypadkach skutkowało. A gdy kawaler lub dziewczyna stanowczo się projektowi sprzeciwiali, to sprawa w ogóle nie była rozpoczynana.

Najczęściej bywało tak, że już przed „zwiadami” młodzi się już gdzieś „spiknęli” i rozmówili, a rodzice to zaakceptowali i uwzględniali sprawy majątkowe. Z tego wychodzi, że w tych czasach związki małżeńskie na wsi były kojarzone prawie zawsze w podwójnej, obopólnej zgodzie rodziców i przyszłych nowożeńców. Oczywiście zdarzało się czasem, że rodzice jakiegoś gapiowatego parobka ożenili z jakąś obrotną a może i starszą od niego dziewczyną, ale nic złego z tego nie wynikało, przeciwnie – chodził pod rozkazami swej żony jak w kieracie i był zadowolony, że za niego myśli.

Zdarzało się też, że rodzice perswazją nakłonili swą córkę, by wyszła za męża za człowieka może nie zupełnie sobie miłego, albo znacznie starszego, oczywiście gdy był bogaty, ale w takich wypadkach najczęściej zachodziło to, co się nazywa, że się do siebie jakoś „przyzwyczaili”. Oczywiście młoda żona nie zachwycała się swym mężem i nie czuła się w pełni



szczęśliwą, ale po cichu zносиła swą gorycz. Wypadków, żeby tego rodzaju młoda żona szukała że innego mężczyzny „pociechy”, nie bywało. Przynajmniej wtedy o tym nic nie słyszałem. Trzeba bowiem wiedzieć, że moralność stała wtedy w tych sprawach bardzo wysoko i na liberalizm miłosny kobiety sobie nie pozwalały.

Wypadki zaś, by jakiś zdrowy chłop, gdy miał stale chorującą żonę, szedł do innej kobiety – bywały. Z trojga złego (pierwsze, gdy to była wdowa; drugie, gdy to była cudza żona, co się zdarzało bardzo rzadko; trzecie, gdy to była dziewczyna) najgorszy był ten trzeci, bo dziewczyna która by wtedy urodziła dziecko nieślubne, była przez księży i w ogóle całe ówczesne społeczeństwo chłopskie bezlitośnie prześladowana, a jej dziecko „znajdą” i „najduchem” nazywane. Ta nadmierna pruderia moralna, która się bardzo kalkuluje duchowieństwu, a znacznie mniej chłopom, z umysłów chłopskich jednak ustępowała bardzo powoli. Na tym punkcie średniowiecze ustępuje z trudem, a humanizm i zwykła ludzka wyrozumiałość dla tego rodzaju przypadków zbyt powoli postępuje.

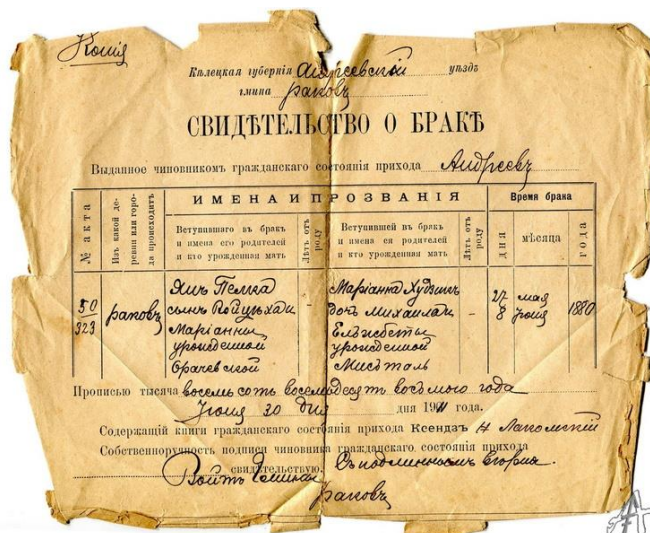
Ale wróćmy do wesel. Gdy wszystko zostało uzgodnione, wyznaczano dzień ślubu. W przeddzień u młodego urządzano zabawę taneczną lub bez tańca, późnym wieczorem, oczywiście z wódką; zabawa ta nazywała się pożegnaniem i trwała do rana. Rano cały orszak z muzyką i drużbami wraz z nowożeńcem udawał się do domu narzeczonej. Jeżeli to było w tejże wsi, orszak szedł pieszo; gdy w innej – orszak jechał na wozach lub saniach. W domu panny młodej też całą noc przygotowywano się do wesela. Rano przybywał młody ze swymi drużbami i orszakiem; trzeba ich było przyjąć śniadaniem. Po śniadaniu drużbowie rozchodzili się po wsiach – prosić krewnych, powinowatych, przyjaciół i dobrych znajomych na wesele.

Nie wszyscy się rozchodzili, część się zostawała przy panu młodym. Drużbowie, którzy udawali się do wsi bliższych, szli tam pieszo; ci zaś, którzy musieli udać się do wsi dalszych, jechali konno, wierzchem. Każdy z nich, oprócz tego, który zapraszał na wesele mieszkańców Sudółu, zabierał ze sobą półlitrową flaszkę z wódką, którą zapraszając na wesele – częstował zapraszanych, a ci dawali jakąś solidną przekąskę.

W owe czasy Sudół należał do parafii w Jędrzejowie. Śluby dla ludności wsi były wyznaczane w południe. Mieli więc czas ci drużbowie, którzy się udali z zaproszeniami do wsi sąsiednich, przybyć na czas do Jędrzejowa na ślub tym bardziej, że był wtedy taki zwyczaj, że zaproszony gospodarz z obcej wsi na ślub nigdy nie szedł pieszo, a zawsze udawał się wozem z żoną i z drużbą. W domu zaś weselnym, t. jest panny młodej, przygotowywano się do wyjazdu do ślubu. Gdy już wszystko było gotowe, następowało uroczyste wychodzenie z domu panny młodej. Wyprowadzały ją jej druhny i t. zwana „staroscina”. Była to bliska krewna panny młodej, która podczas wesela pilnowała, by przestrzegano obyczaje weselne.

Oczywiście, że panna młoda w większości wypadków ze wzruszenia płakała. Płakała też i matka panny młodej zaznaczając, że nie wiadomo, czy jej córce będzie przy mężu tak dobrze, jak przy matce. Cały zaś wyjazd organizowali: ojciec panny młodej i starszy drużba. Na wozie sadzali pana młodego i pannę młodą razem w towarzystwie starszego drużby i starszej druhny. Rodzice zaś młodych, reszta drużbów i druhen oraz inni uczestnicy orszaku weselnego wraz z muzyką – siadali na inne wozy. Przy wsiadaniu na wóz młodej pary, staroscina, druhny i inne obecne przy tym kobiety śpiewały okolicznościową piosenkę weselną, której niestety nie pamiętam; a ojciec panny młodej kropił młodą parę wodą święconą.

W ciągu jazdy do Jędrzejowa muzyka, o ile było ciepło, siedząc na wozie, czasami przygrywała. W mieście muzyka szła z instrumentami do szynku (zazwyczaj – Wawerkowej „Kaflarki” i tam albo czekała, lub pozostawiwszy instrumenty szła do Kościoła na ślub. Po ślubie i spisaniu aktu ślubnego u organisty wszyscy udawali się do szynku Wawerkowej - „Kaflarki”; tam ojciec oblubienicy ugaszczwał wszystkich wódką i przekąską, muzyka grała, a młodzież tańczyła. Tak bawiono się przeczeku wieczorowi. Przed wieczorem, jeszcze za dnia, orszak weselny powracał do domu oblubienicy, gdzie podług obyczajów odbywało się wesele.



Akt małżeństwa w j. rosyjskim

Zaraz po przybyciu zaczynał się obiad, na którym główną rolę grał tłusty kapuśniak, sucho uprażona i mocno okraszona słoniną kasza, a przede wszystkim mięso – przeważnie świnina, a czasami i wołowina. Oczywiście wódki przy tym pito, ile kto chciał. Na ten obiad poślubny zazwyczaj przybywali goście zaproszeni ze Sudolu, a z obcych wsi – tylko członkowie rodziny świeżo poślubionej młodej pary. Do obiadu zastawiano wszystkie stoły, jakie były w sąsiedztwie a także świeżo zbite z desek stoły długie.

Panna młoda ubierała się do ślubu w biel i welon, a młody w zwykły strój świąteczny. Najwyżej – wyróżnił się tym, że miał przy kabacie (marynarce) bukiet z kwiatów lub wstążek, na głowie zaś w zimie – czapkę barankową, czarną, w lecie – kapelusz. Młody, jak w ogóle wtedy wszyscy chłopcy w Sudole, był w długich nowych butach, a panna młoda w wysokich trzewikach. Podobnie byli ubrani drużbowie i drużny z tym oczywiście, że drużny były ubrane w świąteczne ubrania kolorowe, a nie w biel.

Starszy drużba siadając na wóz do wyjazdu do ślubu brał ze sobą i t. z. „palmę”. Był to duży i dobrze związany bukiet kwiatów naturalnych, a w zimie sztucznych, z którego zwisały krótkie i wąskie wstążeczki różnokolorowe. Palmę tą starszy drużba trzymał wysoko w ręku w kościele podczas ślubu, stojąc za starszą drużną tuż za nowożeńcami w czasie ich ślubowania. Po ślubie palma ta była uroczystie przywożona z powrotem na wesele.

W welony ubierały się do ślubu panny młode („młoduchy”) już za czasów, jakie tylko mogę sobie przypomnieć. Ale mówiono mi w Sudole, że za „dawnych czasów” „młoduchy” do ślubu ubierały się w zwykłe ubranie świąteczne kolorowe, a na głowę przywdziewały czapkę, którą nazywano Stróżykiem. Była to dość wysoka kobieca czapka z niebieskiego aksamitu obszyta gęsto srebrnym galonem i wyszyta srebrnymi cętkami. Pokazywano mi nawet przechowywany jako pamiątkę taki stroik, który już w Sudole wyszedł z użycia.

W pierwszy dzień weselny po obiedzie odbywała się zabawa taneczna aż do rana. Podczas tej zabawy rodzice panny młodej co pewien czas częstowali tańczących wódką i kiełbasą – na stojąco, z flaszek i misek. Tańczyli drużbowie i drużny i uczestnicy obiadu oraz przybyli z sąsiedztwa goście. O świcie, kto się wpięrow nie wycofał do swego domu, kładli się wszyscy pozostali spać

Dopiero o godzinie 9 rano budzili się i jedli śniadanie, a koło południa muzyka zaczynała grać i znowu zaczynały się tańce. Wtedy też zaczynali się schodzić na wesele wszyscy ci, co z Sudolu lub innych wsi na ślub byli zaproszeni. Byli to sami stateczni gospodarze z żonami. Miejscowi przybywali pieszo, zamiejscowi wozami. Gdy się taki zaproszony zbliżał do domu weselnego, muzyka – powiadomiona o tym – wychodziła przed dom i wprowadzała tego gościa z żoną grając uroczystego marsza. Gdy gość przyjeżdżał wozem, robiono to samo.

Był zwyczaj, że gość muzyce za takie wprowadzenie płacił. Również marszem wyprowadzała muzyka takiego gościa, gdy wyjeżdżał, i również za to coś dostawała. Gość wchodzący w takiej paradzie na wesele był zaraz po wejściu do domu przyjmowany przez rodziców „młoduchy”, t.j. gospodarzy wesela, wódką i kiełbasą, lub boczkiem oczywiście za stołem. Jednak każdy taki zaproszony gość tego drugiego dnia weselnego przynosi ze sobą wódkę (kwartę – litr) i przekąskę w postaci kiełbasy, szynki, boczku lub kawałka gotowanej wieprzowiny. To wszystko było ustawione na stołach, przy których wszyscy obecni siadali i jedli, pili, a młodszy i chętniejszy tańczyli. Taka zabawa trwała aż do wieczora.

Zaś wieczorem (obowiązkowo drugiego dnia po ślubie) – odbywały się „oczepiny”. Przebieg tego obrzędu weselnego w Sudole był następujący. Najpierw przybywali „kupcy”. Byli to dwaj parobcy poprzebierani za Żydów z brodami: jeden starszy kupiec, drugi jego pomocnik. Kupcy przybywali niby to od p. młodego. Starszy kupiec niósł w worku na plecach garść drobnych skorup, co miało oznaczać pieniądze. Kupcy starali się naśladować polską mowę Żydów, wtrącając co jakiś czas słowa żargonowe – żydowskie. Celem tych kupców było ubawienie zebranych.

Już wchodząc we drzwi starszy kupiec torował sobie drogę pośród licznej weselnej gawiedzi, podrostków – uderzeniami worka ze skorupami tak, by podrostkom czapki i kapelusze z głów spadały. Wszedłszy do izby weselnej i stanąwszy przed starościna, drużbami i drużnymi kupcy pytali się starościnej, czy ma do sprzedania jałówkę. A otrzymawszy odpowiedź twierdzącą prosili, by ją pokazano. Wtedy starościna wyprowadzała „młoduchę” z komory, ubraną w zwykły strój kolorowy z chusteczką na głowie. Kupiec brał młoduchę pod rękę, przeprowadzał po izbie, by wypróbować czy dobrze chodzi i czy jest zdrowa.

Był zwyczaj, że panna młoda wtedy szła udając, że kuleje, a kupiec krzyczał, że to bydłatko kuleje, ale zaraz robił zgodę, czyli targował się, ile ma zapłacić. Gdy dobił targu, prosił by mu dali na ową jałówkę świadectwo, że nie jest kradziona, otrzymawszy od starościny kawałek papieru, zaczynał to świadectwo niby głośno czytać: Czytanie to polegało na wygłaszaniu niby to z podanego papierka różnych humorystycznych kawałów pobudzających ludzi do śmiechu. Na przykład: kupiec czytał o tym, jak to na to wesele jechał i jakie spotykał przeszkody, jak to zastąpiło mu drogę dwóch psów białych jak sadza i dwóch czarnych jak śnieg, jak to przy przeprawie przez rzekę rozwalił się mu wóz i rozwora wpadła kościelnemu do rozpora, a sworzeń uderzył organistę w korzeń i t. p. i t. p. Były to, jednym słowem, różne pleciugi, które jednak wywoływały salwy śmiechu. Oczywiście zależało to od odpowiednich uzdolnień starszego kupca.

Odczytawszy „świadectwo” kupiec zaczął liczyć staroście pieniądze (skorupy) ale tak, żeby mi się ciągle rachunek mylił, co znowu wywoływało śmiechy. Wreszcie, kiedy już naliczył całą sumę, na dodatek wysypał w kąt pod piec resztę skorup. Na tym się „kupno” jałówki kończyło. Starościna oddawała młoduchę kupcowi, a ten starszemu družbie, który przyjąwszy ją z rąk kupca przetańczył z młoduchą krakowiaka albo polkę, przy czym wszyscy się dziwili, że młoducha nie kuleje i dobrze tańczy. Na mnie, jako obserwatorze, przyznam, ten obyczaj kupowania jałówki robił wrażenie niemiłe ze względu na swój prymitywizm i ordynarną rubaszość, wcale nie budującą licznie gapiącej się dzieciarni. Prawdopodobnie był to jakiś zwyczaj z przed kilkuset lat.

Wreszcie po tym kupnie następowały właściwe „oczepiny”, które w Sudole tak wyglądały: Młoduchę prowadzono do komory i ubierano w welon. Na środku izby weselnej ustawiano do góry dnem dzieżkę, w której się na wsi ciasto na chleb rozczynia i rusza, nakrywano ją chustką, wyprowadzano młoduchę, sadzano na owej dzieży i wtedy grono starszych kobiet ze starościna na czele w otoczeniu družb, pana młodego i druhen zaczynało śpiewać pieśni oczepinowe, oczywiście przede wszystkim o chmielu w brzmieniu: Żebyś ty, chmielu, na tyczki nie laźł Nie robił byś ty z panienek niewiast i t. d. Po prześpiewaniu całej pierwszej strofy, śpiewano refren na tenże temat również w takcie  $\frac{3}{4}$  jak i piosenka poprzednia, jednak z tym samym zakończeniem, co pierwsza. Trzecia piosenka oczepinowa była śpiewana wedle taktu poloneza. Słów tego refrenu (2) i tej trzeciej piosenki (3) już nie pamiętam, ale pamiętam melodie i postaram się je na nuty przetransponować.

Kiedy się te śpiewy skończyły, straszy družba uderzył młoduchę „palma” (którą miał przy ślubie) po głowie, a wszyscy zebrani zaraz mu tę palmę rozszarpali, zabierając sobie po kwiatku lub w ogóle po kawałku. Wtedy starościna zdejmowała pannie młodej ślubny welon z głowy i nożycami uroczyście obcinała warkocze, po czym nakładała jej na głowę mały biały i haftowany czepeczek i zawiązywała zwykłą nową kolorową wełnianą chusteczkę i tak przefasonowaną oblubienicę uroczyście oddawała w ręce jej mężowi. W owe czasy kobiety zamężne w Sudole nie nosiły warkoczy, które też uroczyście obcinano p. młodej przy oczepinach.

Oczywiście podczas tych obrzędów chór kobiet w dalszym ciągu śpiewał różne piosenki oczepinowe, których treści też nie pamiętam. Gdy młody mąż ujął pod rękę swą żonę, chór zacichał, zagrała muzyka i młoda para puszczala się w taniec około dzieży. Przetańczywszy ze swą żoną jeden kawałek młody mąż oddawał ją starszemu družbie, który przetańczył drugi kawałek, po czym na dzieży przykrytej stawiano talerz. Wtedy młoda pani brała wszystkich obecnych (oczywiście poważniejszych) do tańca, zaczynając od družby i druhen. Z każdym chwilę potańczyła (ze 2-3 minuty, po czym brała do tańca innego gościa i t. d. Każdy, którego młoda żona tak do tańca użyła, po zakończeniu tańca kładł na talerzu jakąś kwotę pieniędzy – wedle swoich możliwości. Trwało to ze dwie godziny, po czym rozpoczynał się taniec normalny, przy czym młody mąż tańczył ze swą żoną w pierwszej parze, starszy družba ze starszą druhną w drugiej, w następnych inni družbowie z druhnami; w miarę tego, jak pan młody czy družbowie wychodzili z koła tanecznego, na ich miejsce wchodzili inni goście i tak taniec ten trwał do świtu, a gospodarze wesela (rodzice młoduchy) co jakiś czas częstowali tańczących wódką i kiełbasą z chlebem. O świcie zabawa taneczna się kończyła i wszyscy szli spać: gdzie kto mógł.

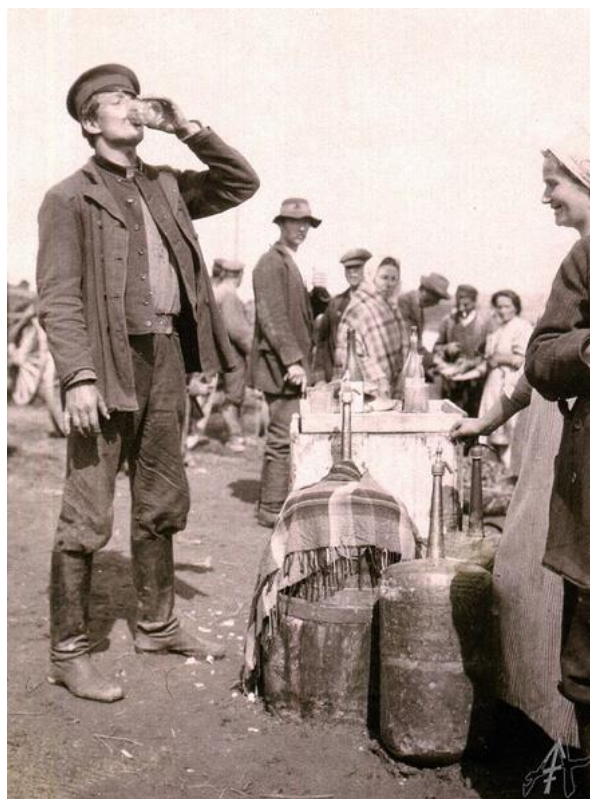
Następnego dnia (trzeciego) zabawa (ospale) zaczynała się koło południa i była przeznaczona w ogóle dla wszystkich, którzy nie byli zaproszeni a na wesele zechcieli przybyć. Była to oczywiście młodzież płci obojga z Sudołu, a czasami nawet ze wsi okolicznych. Każdy taki młody tanecznik, który w danym tańcu przodował, płacił muzyce za ten taniec, czyli że muzykanci weselni oprócz tego, co im zapłacił pan młody (bo on płacił muzykantom) mogli na weselu jeszcze zarobić drugiego dnia przy wprowadzaniu i wyprowadzaniu gości oraz wieczorem tegoż dnia po oczepinach, gdy do tańca po družbach i druhnach wchodzili inni goście zaproszeni, którzy też, tańcząc w pierwszej parze, za zwyczaj muzykantom



płacili i wreszcie dnia trzeciego, w którym tańce dla przygodnych przybyłych odbywały się tylko za zapłatą. Wesele kończyło się trzeciego dnia o północy.

Nie ukrywam, że tych obyczajów i obrzędów weselnych nie lubiłem, na wesela w ogóle nie chodziłem, ani nawet nie tańczyłem ani wtedy, ani w ogóle później. Zaś powyżej przytoczony opis wesela podałem na podstawie uważnej obserwacji wesela przy zaślubianiu najmłodszej siostry mojej matki (ciotki) z Józefem Chabiorem oraz wesela, które wyprawili moi rodzice mojej siostrze Franciszce wychodzącej za Stanisława Jaszczyka z Laskowa (zmarła 30.04.1953r.). Jeżeli takie trzydniowe wesele rozpoczynało się w poniedziałek, trwało przez wtorek i środę. We czwartek był jarmark, wszyscy na ten targ jechali i o weselu gadali.

Muzyka weselna składała się minimum z dwóch osób: skrzypek i basista; ale zazwyczaj pan młody chciał się postawić i angażował orkiestrę trzyosobową, czteroosobową a czasami i pięcioosobową, wtedy dochodził: klarncista z klarnetem, kornecista z trąbką albo też i drugie skrzypce. Harmonijka zaczęła się zjawiać na wsi znacznie później. Po trzydniowym weselu i po trzydniowej przerwie były jeszcze w niedzielę poprawiny, u rodziców nowo zaślubionej, które zaczynały się przed wieczorem a kończyły późną nocą. Była to zabawa taneczna dla młodzieży z sąsiedztwa, na której też rodzice młoduchy gości częstowali wódką, chlebem z kiełbasą lub z serem.



*Rynek jędrzejowski- woda sodowa*

Oczywiście że takie wesele wymagało dużo wydatków na wódkę, której wypijano duże ilości, w mące na chleb i placek, w mięsie i tłuszczach. Powoli jednak świątelnisi chłopcy zaczęli się orientować, że to wydatki zupełnie zbyteczne („jak za płot wyrzucał”) i powoli zaczęli ilość dni weselnych redukować. Najpierw odpadły poprawiny, później skrócono wesele na dwa dni w ten sposób, że zaczynało wesele nie w poniedziałek, a we wtorek. Bardzo biedni skracali nawet do jednego dnia, biorąc ślub we środę. Ale było to rzadko i wesele dwudniowe trwało w Sudole długie lata.

Obyczaj kupców, jako całkiem głupi, też zaczął odpadać, ale oczepiny długo przestrzegano i wreszcie sprowadziły się nie tylko do śpiewów i nakładania nowo zaślubionej zamiast welonu – czepka i chusteczki, gdyż zwyczaj obcinania warkoczy też pomału wygasł i mężatki zaczęły w Sudole (za przykładem miast) nosić (i dziś wszystkie noszą) – warkocze.

Jarmark w Jędrzejowie w czwartek też był funkcją nie tylko handlową ale i obyczajową: na jarmark jeżdżono bowiem wtedy nie tylko, by kupić – sprzedać, ale i by się z innymi zobaczyć, pogadać i przy tym kwaterek, albo półkwatek wypić.

Na Boże Narodzenie był też taki obyczaj, jak w całej Polsce, że obiad (postny, ale wielodaniowy) jedzono wieczorem w wigilię, że łamano się opłatkiem i że gospodarz po takiej wieczery zaścielał całą izbę cienko słomą, wtykając sztywne źdźbła słomy za obrazami i przywiązując do stołowej nogi pod stołem mały snopeczek słomy. Stół zaś był wtedy wysłany sianem, przykryty obrusem, na którym kładziono opłatek, na opłatek nóż, a na nóż bochenek chleba. Na stole zaś na obrusie stawiano dwa lichtarze z zapalonymi świeczkami. Na tak przybrany stole jednak w Sudole nie jedzono, bo miał on funkcję niejako religijną.

Oczywiście po wigilijnej wieczery szło się na pasterkę. Tak zasłana izba była przez cały dzień Bożego Narodzenia. Podczas wieczery wigilijnej, jak i w całej Polsce, łamano się opłatkiem i składano sobie życzenia. W Święty Szczepan (26 grudnia) rano ojciec laską usuwał słomę z obrazów, wiązał z niej cienki snopeczek, wtykał weń laskę, dawał komuś z młodych, by szedł w pole i życie ten snopeczek wetknął. Miało to przyczynić się do urodzajności żyta.

Po wieczery wigilijnej robiono obwiązywanie drzew owocowych w sadach łańcuchami ze słomy, by dobre owoce rodziły. Słomę zaś w izbie rozesołaną też się rano w Św. Szczepan wynosiło i izbę zamykało. Siano zaś ze stołu, opłatek, nóż i bochenek chleba zdejmowano dopiero w Nowy Rok (robił to zawsze ojciec). Robiono wtedy spostrzeżenia, z której strony

nóż zardzewiał: czy od strony opłatka, czy – chleba. Jeśli zardzewiał od strony opłatka, to przepowiadano nieurodzaj na pszenicę; jeżeli zardzewiał od strony chleba, to wróżyło to nieurodzaj na żyto, jeżeli zaś zardzewiał z obu stron, to była to przepowiednia nieurodzaju na żyto i pszenicę, ale jeżeli nóż z obu stron był czysty, to była wtedy radość, bo wierzono, że będzie urodzaj i na żyto, i na pszenicę.

Zaraz po Świętach Bożego Narodzenia za mej wczesnej młodości chodzili po wsi „kolędnicy”; chodzili albo z „kłapaczem”, albo z szopką, albo z gwiazdą, albo z Herodem, a czasami jeździli na koniach prowadząc za sobą kozę lub bociana. Kolędnicy z szopką chodzili tylko we dnie, zaś wszyscy inni tylko wieczorem. Kłapacz (Turoń) był to sztuczny byczy łeb z rogami, uszami, gębą, czerwonym językiem i zębami. Łeb ten zrobiony z bydlęcej skóry i kawałków czarnego i czerwonego sukna był osadzony na krótkim drążku. Do łba była przybita ciemna derka wokół łba, tak by pod łbem był tylko mały nieznaczny otwór. Tego kłapacza brał któryś z parobków za drążek, nakładał sobie na głowę i na siebie derkę i trzymał drążek z kłapaczem tak, by łeb tego wołu był przed jego czołem, ale nieco wyżej i by ów parobek mógł widzieć przez otwór w derce pod gębą kłapacza. Dolna szczeka kłapacza zaopatrzona w brodę i zamiast zębów – wybita ostrymi gwoździemi, była osadzona przy łbie na osi tak, że za tylną część dolnej szczęki, wystającą poza oś, ów parobek mógł pociągać sznurkiem przybitym do tej tylnej części szczęki. Każde pociągnięcie za sznurek wywoływało kłapięcie dolnej szczęki (i zwanie się z górą), czyli zamknięcie gęby; każde zaś poruszenie sznurka powodowało opuszczenie się szczęki. W ten sposób parobek noszący kłapacza powodował, iż ów kłapacz pyskiem kłapał i oczywiście straszyl dzieci, dziewczyny chwytal zębami za spódniczki, a chłopakom zrywał czapki z głów.

Kłapacz chodził w towarzystwie śpiewaków i skarbnika. Śpiewacy nosili latarkę. Taka grupa zazwyczaj wybierała się „po kolędzie” na całą noc i czasami schodziła w noc ze dwie wsie. Gdy kolędników z kłapaczem do domu puszczano, to śpiewacy śpiewali kolędę, a kłapacz kłapał do taktu, po czym skarbnik dostawał datek w gotówce lub w ziarnie do worka i cała grupa szła dalej, przy czym kłapacz w miarę możliwości płał przypatrującej się młodzieży i dzieciom różne figle. Gdy kolędników do izby nie wpuszczono, śpiewali oni przy latarni kolędę za oknem, a kłapacz kłapał przy oknie, przez które dzieci mu się przyglądały. Po prześpiewaniu kolędy, kasjer, stojący za drzwiami dostawał przez uchylone drzwi datek i grupa kolędników szła dalej.

Kolędnicy z gwiazdą chodzili tak, jak to czytamy w wierszu Konopnickiej z tą jednak różnicą, że chodzili tylko po wsi pomiędzy swoimi, bo do dworu do hr. Tarły kolędnicy w ogóle nie chodzili. Herod w przebraniu króla, a więc w czerwonym płaszczu i w koronie na głowie i z berłem – chodził nie sam, a z marszałkiem, kilku żołnierzami, grupą śpiewaków, diabłem, śmiercią i oczywiście ze skarbnikiem. Herod kolędował tylko w izbie. Gdy nie weszła do izby cała grupa kolędowa, śpiewacy śpiewali: „Wśród nocnej ciszy...”. Po prześpiewaniu kolędy Herod siadał na ławie i przybierając wyniosłą pozę królewską dawał rozkaz marszałkowi wymordowania dzieci w Betlejem. Marszałek powtarzał ten rozkaz żołnierzom (co najmniej 2), którzy opuszczali izbę, niby w celu wykonania rozkazu, ale po krótkiej przerwie wracali i meldowali, że rozkaz wykonany. Wtedy występował diabeł i oświadczał, że Herod za swe zbytki musi iść do piekła bo jest bardzo brzydki. Wtedy przybiegała śmierć i kosą (drewnianą) ścinała Herodowi głowę (udawała że ścina) a diabeł kręcił się wokół pochylonego Heroda (niby już nieżywego) i usiłował nadziać go na widły i porwać do piekła. Na tym się przedstawienie kończyło, po czym grupa kolędowa otrzymawszy datek odchodziła.

Grupa konna liczyła dwa konie, t. j. dwóch parobków na drewnianych koniach a la Konik Zwierzyniecki w Krakowie. Do tego dochodzili śpiewacy i kasjer. Czasami do tej grupy dochodził jakiś chłopak przebrany za kozę – w koziej skórze, lub też chłopak mający przed sobą dziób bociani, a na sobie jak „kłapacz” derkę. Gdy taka grupa weszła do izby, śpiewacy śpiewali kolędy, jeźdźcy trzaskali biczami i udawali że jadą, koza beczała, a bocian usiłował tego lub owego z pomiędzy młodzieży dziobem mocno udziobać, czyli końcem dzioba w plecy mocno szturchnąć. Po prześpiewaniu kolędy jeźdźcy jeszcze chwilę harcowali, próbując kogoś z najbliższej młodzieży kopnąć. Oczywiście jeźdźcy byli dziwacznie poubrani i umalowani. Otrzymawszy datek cała grupa „jechała” dalej.

Chodzenie kolędników odbywało się w czasie od Świętego Szczepana do Trzech Króli. Gdy się skończył karnawał (zwany: „mięsopest”) bywały „ostatki”. W drugim dniu ostatek wieczorem urządzano tłustą wieszercę, czyli kolację z wódką, mięsem, kiełbasą i kilku zaproszonymi gośćmi. Posty za mojego dzieciństwa przestrzegano bardzo surowo: cały post nikt w Sudole nie jadł mięsa, ani nie używał słoniny. W niedzielę, poniedziałek, wtorek i czwartek wolno było używać mleka i masła i sera, a we środę, piątek i sobotę wszyscy jedli z olejem, którego było dużo i który był tani. Gdy w poście chłopcy pili

wódkę, to na przegryzkę jedli nie kielbasę, a śledzie. Zaś w Wielki Piątek był już nie post, a tak zwane suszenie, t. z. że cały dzień nie wolno było jeść warzy gotowanej, a trzeba było poprzestać na chlebie z olejem lub gorącą wodą gotowaną. Takie jedzenie z gorącej wody na misce wraz z pokrojonymi kawałkami chleba i posolone – nazywało się „wodzianką”.

Na początku postu organista parafialny jeździł po wsiach i zbierał snopki zboża. Nazywało się to „petycja”. Przed Bożym Narodzeniem tenże organista rozwoził opłatki i po wiązce na dom, za co otrzymywał garniec ziarna. W Wielką Sobotę księża parafialni jeździli po wsiach święcić „święcone”, o czym już pisałem. Punkty zborne były we dworach, a gdy dwory zanikały – u sołtysów lub najbogatszych chłopów.

Ojciec zawsze raz do roku zabijał dużego wieprzka w okresie przed Bożym Narodzeniem. Wieprzowina była jedzona w Boże Narodzenie i w Mięsoupuszcie, a kawałek szynki i sucha kielbasa były przechowywane na Wielkanoc. Stanowiły też one główne pożywienie świąteczne – oczywiście z dodatkiem gorącego kapuśniaku, chrzanu z octem i t. p.

W Krakowie podczas rezurekcji w nocy z Wielkiej Soboty na Wielką Niedzielę tamtejsza ówczesna forteczna artyleria austriacka dawała salwę. Gdy było cicho, to w Sudole było można dosłyszeć te wystrzały. Ja przynajmniej je kilka razy słyszałem.

Sudół należał do parafii w Jędrzejowie (kościół Św. Trójcy). Ale pomiędzy Sudolem i Jędrzejowem w środku był i jest klasztor pocysterski. Był to kościół filialny. W klasztorze było rosyjskie seminarium nauczycielskie, a przy nim prefekt (katecheta) nauczający w tej szkole religii. Na Wielkanoc organizował on uroczystą rezurekcję, ale w Wielką Niedzielę o g. 6 rano. Wobec tego ze Sudolu, z Prząsławia, z Chorzewy, Laskowa i Podklasztorza (przedmieście Jędrzejowa) wszyscy chodzili na tę rezurekcję do klasztoru, a nie do Jędrzejowa. Piszę „chodzili”, ale nie jest to ściśle, bo wszyscy zamożni i średniozamożni chłopcy nie chodzili, a jeździli wozami na to nabożeństwo, chodzili zaś ci, co koni nie mieli. Taki był zwyczaj.

W drugi dzień Świąt, tj. w „Święty Lejek” wyjść z domu nie było można, gdyż różne podrostki a także i młodzież łała wodą każdego młodego i każdą dziewczynę. Na Zielone Święto, które na wsi obchodzono również b. uroczystie, był w Sudole zwyczaj, iż kobiety piekły oprócz placka także gomółki z twarogu zaprawianego jajami i cukrem, a na święto 15 sierpnia (Matki Boskiej) znowu ze świeżo zebranej pszenicy, wymłóconej i zmielonej we młynie lub na żarnach pieczono chleb pszenny.

Oczywiście w okresie Świąt Wielkanocnych wszyscy dorośli musieli iść do spowiedzi. W parafii prowadzono dokładną ewidencję dorosłej ludności, wydawano kartki do spowiedzi, odbierano je przy spowiedzi i sprawdzano, kto był na spowiedzi. W takim stanie nie słyszałem, by na Wielkanoc ktokolwiek ze Sudolu z pośród dorosłych nie był u spowiedzi. Byłby odczytany z ambony. Tego się wszyscy bali. Zabobony.

Napiszę jeszcze parę słów o wierze w czary, uroki i zażęgnywanie. Była we wsi taka kobieta, która mając może ze 3 morgi ziemi, trzymała dwie ładne krowy, dobrze je żywiła i pielęgnowała i miała od nich dużo mleka, a inni mało; w Sudole krążyły ciche wieści, że jest ona czarownicą, i przy pomocy czarów ściąga mleko od krów innych do wymion krów swoich. Mówiono też, że w tym celu przemienia się w ropuchę, by takie odciąganie mleka wykonać. To też jeżeli obok obory krowiej zobaczono ropuchę, co w lata mokre mogło się zdarzyć, za zwyczaj końcem rozpalonego do biała druta wypalano jej oczy (ropusze). Ponieważ jednak to wypalanie oczu żabom tej dobrej hodowczynie krów mlecznych nic na zdrowiu nie szkodziło, ani jej, ani krowom, a ona nic sobie z tych plotek nie robiła, dobrze krowy żywiła i nadal dużo mleka doła, powoli zaczęli chłopcy i baby w Sudole dochodzić do przekonania, że krowa gębą doi i dali tej kobiecie spokój tym bardziej, że była ona również dobrą hodowczynią macior świńskich i dużo pieniędzy za sprzedaż prosiąt otrzymywała; a co do macior żadnych bredni o czarach nie było.



*Mycie owiec*



Jeżeli kogoś nagle zabolęła głowa, wierzono, że go ktoś urzekł. Takiemu urzeczonemu, by „urok odczynić” dawano do picia trochę ciepłej wody w garnuszki, wrzuciwszy doń uprzednio żarzący się węgiel. Urzeczonego powinien być dobrze się napić tej wody a następnie resztę wody ze zgaszonym węgielkiem wychlusnąć przez głowę do góry do tyłu. To miało mu pomóc. Ponieważ takie bóle głowy pochodziły z nagłej niedyspozycji żołądkowej, to wypicie ciepłej czystej wody, neutralizujące zatrucie soków trawiennych, istotnie mogło pomóc. Sądzę, że lepszy by był skutek, gdyby ten urzeczonego napił się rozpuszczonej w wodzie gotowanej sody czystej lub magnezji, albo połknął „kogutka”, ale tych medykamentów jeszcze wtedy na wsi nie znano.

Wierzono też, że czarownik (najczęściej owczarz) może chorego oczarować, podłożywszy mu pod próg czary; delikwent, którego trzeba było zaczarować, przechodząc przez próg zapada na „podrzucaną” mu chorobę. To wierzenie dotyczyło tylko chorób b. przewlekłych, czyli niejako tajemniczych. Czasami się zdarzało, aczkolwiek rzadko, że owczarza, którego posądzano, że czary zadał, t. j. chorobę „podrzucił”, pojono wódką i raczono kielbasą, by czary „zdział”. Ponieważ wkrótce hodowla owiec zupełnie w powiecie upadła, upadła też i wiara w czarowników – owczarzy.

Jeżeli kogoś zabolęło oko, szedł do „zażegnawca”, by mu tę chorobę zażegnał. Znałem też takiego zażegnawca, który pod przykrywką zażegnawania leczył ludzi na oczy. Zażegnawszy ból oka czy oczu, mówił: przepłukujcie te oczy przez trzy dni trzy razy wodą ze źródła, a gdy źródła nie było zalecał wodę święconą. Oczywiście takie zażegnawanie pomagało. Gdy było cięższe zapalenie oczu, po zażegnaniu przeznaczał, by przez trzy wieczory przed snem pomazać oczy maścią cynkową, a rano wymyć je letnią wodą gotowaną. To też pomagało. Ale gdy i to nie pomogło i uformowała się katarakta, wtedy mówił: „za późnoście do mnie przyszli, teraz już wam zażegnawanie nic nie pomoże, teraz musicie się udać do szpitala. Kataraktę zaś, nie wiem dla jakiego powodu, nazywano „lisim pazurem”. A samo zażegnawanie polegało na tym, że przeżegnał zażegnawca oczy raz, odmówił po cichu „Ojcze nasz” i znowu dwa razy przeżegnał. Chory był przekonany, że to pomoże, a zalecenia lecznicze musiał wykonać, boć zażegnawanie byłoby nieskuteczne.

Było też w owe czasy na wsi mniemanie, że gdy się krowa na młodej koniczynie rozedmie, to to jest sprawa „paskudnika”. Ponieważ wtedy u krowy bardzo się zaznaczają na wysadzonych oczach na gałkach ocznych pod powiekami – białe błony, to by tego „paskudnika” przepędzić, brano ostrożnie, by nie uszkodzić gałki ocznej, ową błonę (tylko na jednym oku) na igłę, trochę odciągano na zewnątrz i następnie ostrym nożykiem przecinano. To się nazywało „zrywanie paskudnika”. Krowie do nie szkodziło, a czasami możliwie że od doznanego przez krowę wstrząsu nerwowego – pomagało, ale nie zawsze. To też ów zażegnawca oczu, gdy już nauczył ludzi, jak leczyć oczy i przestał je zażegnawać, nabył sondę i traktor i dziś tymi instrumentami ratuje skutecznie odęte krowy – bez „zrywania paskudnika”.

W ogóle czasami na wsi poszczególni ludzie samorzutnie chwyтали się różnych czynności usługowych. Na przykład moja matka niańczyła niemowlęta, a ojciec kastrował u sąsiadów młode wieprzaczki. Oczywiście była to bezpłatna przysługa sąsiedzka.

Na zakończenie podaję jeszcze jeden przykład wiary w uroki, przez zapomnienie nie podany wyżej. Gdy komuś podczas jazdy koń nagle zachorował i położył się, powszechnie wierzono, że urzekła go jakaś przechodząca baba. Był zwyczaj, że furman prosił pierwszą lepszą kobietę przechodzącą, by konia otarła swą koszulą. Gdy to uczyniła, sprawa była załatwiona i koń powinien był wstać. Istotnie czasami wstawał, gdy se wypoczął i atak kolki przeminął. Gdy zaś żadna kobieta wtedy nie przechodziła, furman zostawiwszy kogoś przy wozie, szedł do najbliższej wsi prosić, by na chwilę pożyczono brudnej koszuli kobiecej dla otarcia konia. Pożyczano. Po otarciu odnosił.

Nietoperza uważano za jakieś tajemnicze stworzenie i wieczorem bano się chodzić z gołą głową, by się we włosy nie wkręcił. Sowę też uważano za współnika diabła i gdy w nocy uderzyła w czyjeś okno był strach, że w tym domu wkrótce ktoś może umrzeć. Strach też był przed kołtunem, który się komuś – na przykład po tyfusie – we włosach utworzył. Mawiano, że kto takiego kołtuna nożycami ostrzyże temu on rękę tak pokręci jak pokręcił włosy. Więc też taki kołtun był noszony, dopóki się włosy same nie rozplątywały. Zresztą wierzenie to już dawno zanikło.

## Część II

# Szkolne czasy, czasy szkoły w Przasławiu

Gdy mi się skończyło 7 lat, matka zaprowadziła mnie do szkoły początkowej w Przasławiu. Było to już na początku zimy. Odległość od domu do szkoły nie przekraczała 2km. Budynek szkolny był drewniany, ale dosyć duży: składał się z sali szkolnej, sieni i trzech izb, w których mieszkał nauczyciel. W tej sali uczyły się dzieci w trzech oddziałach: pierwszym, drugim i trzecim.

Program więc ówczesnej szkoły podstawowej na wsi był trzyletni. Nauka była tylko w języku rosyjskim, czyli język rosyjski był językiem wykładowym. Po poza tym język polski był zaledwie tolerowany. Im go nauczyciel mniej uczył, tym lepiej to było widziane przez carskiej władze szkolne.

Były to czasy Aleksandra III i Apuchtina. Cała sala szkolna w Przasławiu była obwieszona portretami cara, carowej, carskich dygnitarzy centralnych jak ministrowie i krajowych jak generał – gubernator Hurko i kurator szkolny Apuchtin.

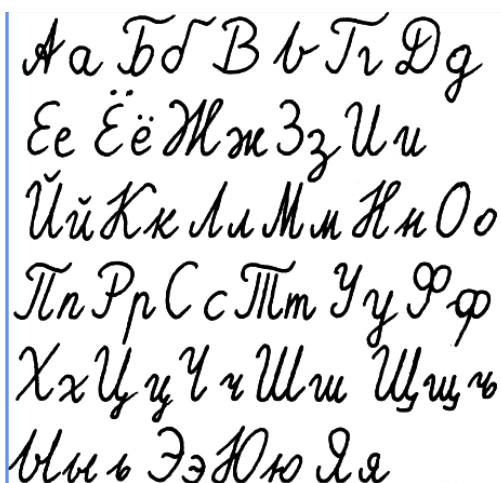
Nauczycielem w Przasławiu (oczywiście jednoosobowo) był Puchalski. Podług moich obserwacji był to człowiek pochodzenia szlacheckiego, albo przynajmniej jego ojciec był gdzieś w dużym dworze rządcą. Żadnego współzycia towarzyskiego lub sąsiedzkiego ze wsią nie prowadził. Nie słyszałem nigdy, by chłopów chamami nazywał lub się wyrażał o nich lekceważąco, ale trzymał się od wsi z daleka. Krótko, był to człowiek z usposobienia dosyć ambitny i zarozumiały, brunet, wzrostu wysokiego, przystojny, z dużymi czarnymi wąsami. Pod względem urody był podobny do hrabiego Tarło. Ubierał się starannie. Wyglądał na poważnego dziedzica.

Wynagrodzenie nauczyciela wiejskiego było wtedy (i później) – nędzne. To też Puchalski musiał dorabiać. W jaki sposób? Przasław odlega od Jędrzejowa o 6 km. Trzymał Puchalski konika i miał małą bryczuszkę. Co dzień więc po zakończeniu lekcji wyjeżdżał tym konikiem i bryczką do Jędrzejowa, gdzie wieczorem pracował w biurze komornika sądowego. Oczywiście późno wieczorem powracał do domu. Uczył w szkole dobrze, ale miał wadę, iż był z usposobienia człowiekiem nie znoszącym najmniejszej opieszałości lub niedokładności, a więc – pozbawiony był wyrozumiałości, która każdemu nauczycielowi jest potrzebna. Charakter miał gwałtowny, a gdy wpadł z gniew, był straszny i wtedy dzieci szkolne bardzo bił. Był to więc duży kawał tyrańca.

Gdym się zjawił do szkoły, już umiałem czytać po polsku, czyli że naukę języka rosyjskiego, która odgrywała wtedy w szkole rolę najglówniejszą, miałem ułatwioną: wystarczyło nauczyć się rosyjskich 34 liter, a sam proces czytania już uprzednio w domu opanowałem. To też choć Puchalski opieszałych bardzo bił: dawał „łapę” linijką w dłoń (a był duży i silny), targał za uszy lub włosy, to jednak mnie te kary nie dosięgały, bo nie było za co. Za złe sprawowanie też nie byłem karany, bo zachowywałem się spokojnie. Ale inni moi sąsiedzi z ławek szkolnych, nim się nauczyli po rosyjsku czytać, sporo przecierpieli.

Uczniowie trzeciego oddziału pełnili dyżury po kolei. Kto się podczas pauzy źle sprawował, tego dyżurny zapisywał na tablicy, a po zakończeniu lekcji na polecenie nauczyciela tenże dyżurny wymierzał zapisanemu linijką – „łapę”. Pamiętam, że jeden z takich dyżurnych raz niesłusznie (za winę innego ucznia) zapisał mnie na tablicy. Oczywiście po lekcjach dostałem od niego „łapę”. Nie była to „łapa” bardzo mocna, ale ten wypadek pamiętam, bo była niesprawiedliwa. Później ten uczeń – dyżurny, gdy dorósł, był dosyć zamożnym chłopem i – należąc do PSL-Piasta – ciągle mi przeszkadzał w mej późniejszej działalności wyzwoleniowo – ludowej.

Co się zaś tyczy Puchalskiego, to choć języka rosyjskiego uczył dość pilnie, jednak rusyfikatorem ducha nie był i żadnej propagandy carskiej wiernopoddańczości na wsi nie szerzył. Był to więc człowiek wychowany w kulturze szlacheckiej, zmuszony popowstaniowymi warunkami życiowymi do pracy w szkole wiejskiej. Rusyfikacja była forsowna. Po rosyjsku



*Alfabet rosyjski*

wykładano nie tylko język rosyjski, ale i rachunki oraz wszelkie inne wiadomości. Rozmowa w szkole nauczyciela z uczniami też miała być prowadzona po rosyjsku z wyjątkiem lekcji języka polskiego i religii. Ale modlitwę przed lekcją i po lekcji uczniowie odmawiali po rosyjsku. Pamiętam, że modlitwa przed lekcją zaczynała się słowami: „Priebłagij Gospadi nam dary ducha twojego swiatogo...” (Boże dobry, ześlij nam dary Ducha Twojego Świętego). Modlitwa zaś po lekcjach zaczynała się słowami: „Błogodarim Tiebia Zasadatiel!”... (Dzięki Ci, Boże, składamy).

Prawdziwą plagą była dla dzieci wiejskich nauka tytułów wszystkich dygnitarzy, zaczynając od cara, następcy tronu, premiera, ministra oświaty, warszawskiego generała – gubernatora, kuratora szkolnego (na całą kongresówkę) i naczelnika gubernijalnej dyrekcji szkolnej. Tytuł – na przykład cara – brzmiał w skróceniu dla szkół: Jego impieratorskoje wieliczesstwo – impierator wsierosijskij Aleksandr Aleksandrowicz. Tytuł carycy: Jeja (jej) impieratorskoje wieliczesstwo impieratrica (cesarzowa) wsierosijskaja Maria Fiedorowna. Tytuł następcy tronu: Jego impieratorskoje Wysoczestwo naslednik prestola (tronu) Nikołaj Aleksandrowicz. Premier miał tytuł: Jego wysoko-priewoschoditidstwo stats-siekrietar (ri) ... (nazwiska nie pamiętam).

Ministrem oświaty był rosyjski hrabia, miał więc tytuł: Jego Jiatelstwo (jaśnie oświecony) ministr narodnago proswieszczenia graf Dielanów. Generał gubernatora tytułowano: Jego wysokoprewoschoditielstwo (wysoka ekscelencja) genierał gubernator Priwislinskogo kraja (król. Pol.) genierał - lejtenant... Górko (imienia nie pamiętam). Kuratora trzeba było tytułować: Jego priewosenoditielstwo popieczytiel Warszawskiego uczebnago okruga – diejswitijelnyj storfskij sowietnik Apuchtin. Szefa gubernijalnej dyrekcji szkolnej musieliśmy tytułować Jego Wysokorodie naczalnik Kieleckoj Uczebnej Direkcji... (nazwiska nie pamiętam).

Ponieważ nauczenie się po rosyjsku modlitwy przed lekcją i po lekcji a także tytułów było obowiązkowe na pierwszych dwóch zimach nauki, to nauczyciel chcąc tego dzieci nauczyć - dużo na to zużywał czasu, co tamowało ogólne postępy nauki w szkole. Rozpoczynanie też nauki czytania i pisanie z siedmioletnimi dziećmi w języku obcym, rosyjskim, z zastosowaniem przy tym przez nauczyciela rozmowy tylko w tymże języku obcym - także wybitnie hamowało postępy naukowe dzieci, gdyż było to rozpoczynanie od trudnego; ale takie były zarządzenia, bo kurator Apuchtin myślał, że w ten sposób całą Polskę połknie.

Przy nauce tytułów wychodziły czasami śmieszne sceny: dzieci zwłaszcza pierwszoroczne wyrazu „tituły” nie mogły wymówić i polszczyły go po swojemu używając wyrazu „pituły”, a zamiast: „tituł” czasami mówiły: „pituł”, co w gminie prząsławskiej oznaczało: gamoń, głupek. Pienił się i rzucał nauczyciel, ale sprawa była trudna. Nauka modlitwy przed lekcją i po lekcji w brzmieniu nawet nie rosyjskim, a starocerkiewno-słowiańskim szła także bar. ciężko, gdyż dzieci nic z tego nie rozumiały. Skąd dzieci miały wiedzieć, że słowo „priebłagij” - znaczy przedobry, bardzo dobry, najlepszy, albo, że wyraz sozdatiel - to znaczy stwórciel.

Śmiech też czasami wynikał w szkole przy tytule nawet samego Apuchtina, bo dzieci wyraz „popieczytiel” (kurator) za zwyczaj wymawiały: „popieprzyciel”. Śmieli się wtedy wszyscy uczniowie, bo wychodziło, że Apuchtin coś gdzieś „popieprzył”, co stawiało go jako wielkiego dygnitarza w pozycji humorystycznej.

Był też przymus, żeby wszystkie dzieci w szkole uczyć po rosyjsku śpiewać, zaczynając przede wszystkim znowu od rzeczy najtrudniejszej, bo od carskiego hymnu rosyjskiego „Boże, caria chrani!”. Same słowa tego hymnu nie są tak znowu trudne, ale melodia była bardzo ciężka, gdyż rozwlekła, z półtonem w środku, czego dzieci polskie, przyzwyczajone do skocznych, wesołych, żywych bez żadnych półtonów piosenek ludowych, nie mogły się nauczyć. To też nauczyciel Puchalski męczył się i pocił, by tego hymnu carskiego dzieci chłopskie nauczyć. Szło mu to jeszcze trudniej, niż nauczanie tytułów. To też, o ile pamiętam, dzieci szkolne w Prząsławiu podczas mojej tam bytności nigdy tego hymnu carskiego dobrze śpiewać nie umiały, ale zwykłą rosyjską piosenkę dziecinną o swawolnym koziołku (o kozlikie) śpiewały chętnie i dobrze.

Ponieważ cały czas przeznaczony na lekcje śpiewu nauczyciel zużył prawie zupełnie na naukę tego carskiego hymnu, to oprócz piosenki o kozlikie (o koziołku) nic już więcej nie nauczył, a nauka piosenek polskich była zabroniona (stożajsze - najsurowiej). Przechodziłem do tej prząsławskiej szkoły miejskiej dwie zimy, nauka bowiem trwała od 1 listopada do palmowej niedzieli, a więc przeważnie do 1 kwietnia. Niewiele się nauczył, ale boć przecie cała dwuzimowa nauka trwała tylko 10 miesięcy z siedmiomiesięczną przerwą w środku.



Gdym miał 9 lat matka za zgodą ojca zainstalowała mnie w szkole ćwiczeń przy seminarium nauczycielskim w Jędrzejowie. Seminarium to mieściło się w budynkach po dawnym klasztorze cystersów, który to klasztor znajdował się w środku pomiędzy Jędrzejowem i Sudołem, a administracyjnie należał do Jędrzejowa. Przedmieście zaś ciągnące się od Jędrzejowa do samego klasztoru nazywało się i nazywa - Podklasztorzem. Oczywiście przy budynkach klasztornych był i jest duży kościół pocysterski, w którym spoczywają prochy kronikarza Wincentego Kadłubka, tu bowiem zakończył swe życie ów kronikarz i biskup.

Przy tym seminarium była wzorowa podstawowa szkoła ćwiczeń, by kończący seminarium uczniowie jako przyszli nauczyciele mogli w tej szkole swe praktyki pedagogiczne odbywać. Szkoła miała trzy oddziały. Nauka oczywiście dawana była po rosyjsku. Religii uczył ksiądz, który był w seminarium prefektem (katechetą), a jednocześnie w kościele poklasztornym - kustoszem, kościół ten bowiem był kościołem filialnym w stosunku do kościoła parafialnego Św. Trójcy w Jędrzejowie. Zaś nauki języka polskiego w tej szkole - ćwiczeniówce w ogóle nie było, bo nie miał kto uczyć, gdyż kierownikiem ćwiczeniówki i jedynym nauczycielem był Rosjanin Konstanty Michajłow, który po polsku nie umiał, a przynajmniej udawał, że nie umie. Ksiądz zaś uczył religii, ale języka polskiego uczyć mu nie było wolno.

Wszelka rozmowa w tej szkole i na dziedzińcu szkolnym odbywała się tylko po rosyjsku w myśl zasady, że „zdzies wosprieszczajetsia gaworit pa polski”. (gowori't - rzadziej wymawiane: goworiti). Takie ogłoszenie na murach szkoły nie było, ale Michajłow takie zakazy dawał ustnie. Gdyby mu doniesiono, że uczeń rozmawia po polsku, toby go ze szkoły usunął. Tylko na lekcji religii mówiło się w tej szkole po polsku.

Do tej szkoły zostałem przyjęty przez Michajłowa za protekcją, to jest za zwykłym poleceniem - księdza nauczyciela religii. Oczywiście rodzice, przynosząc mnie ze szkoły wiejskiej w Przysławiu do szkoły ćwiczeń przy seminarium nauczycielskim, robili to świadomie w tym celu, bym później mógł się uczyć w tym seminarium. Szkoła ćwiczeń i seminarium była odległa od naszego domu również o 2 kilometry tak, jak i szkoła w Przysławiu, tylko leżała jak i klasztor cystersów na wschód od Sudołu, ale również przy szosie ze Szczekocin do Jędrzejowa jak i Przysław, położony na zachód od Sudołu.

A więc jak chodziłem na lekcję co dzień do Przysławia, tak później chodziłem do szkoły ćwiczeń do klasztoru. Kto wpłynął na rodziców, że mnie skierowali do „nauki” oczywiście z tym, że nie będę mówił po polsku? Zrobił to tenże Andrzej Świtalski, który pierwszy napisał mi abecadło kredą na drzwiach. On i w następnym roku jeździł po kołędzie i egzaminował mnie, czy umiem już czytać, a także czas od czasu bywał u rodziców i mną się interesował. Otóż mówił on nieraz rodzicom, że do nauki mam zdolności i dużo chęci i że wobec tego winni mnie skierować do szkoły ćwiczeń a następnie do seminarium. Możliwe, że mówił on też i księdzu katechecie szkoły ćwiczeń i seminarium, bo gdy się u tego księdza z prośbą zgłosiła również moja matka, chętnie się zgodził na poparcie mnie u Michajłowa, gdyż przez Michajłowa i w ogóle nauczycielstwo seminarium nauczycielskiego był bardzo szanowany i poważany. Ów ksiądz nazywał się - Józef Jędrzychowski. Był on rodzonym stryjem znacznie późniejszego działacza komunistycznego Jędrzychowskiego, który w chwili, gdy to piszę, jest w radzie ministra prezesem Państwowej Komisji Planowania w rządzie socjalistyczno-ludowym w Warszawie. Oczywiście obecnego ministra Jędrzychowskiego jeszcze nie było na świecie, a jego ojciec, brat księdza Jędrzychowskiego, był dopiero wtedy studentem Instytutu Komunikacji w Petersburgu.

Do szkoły ćwiczeń przyjął mnie Michajłow do drugiego oddziału. Po trzech latach ukończyłem ową ćwiczeniówkę, przesiadawszy w trzecim oddziale dwa lata. Nauka w tej szkole trwała w roku 10 miesięcy; zaczynała się 1 września, a kończyła w końcu czerwca. Żem dwa lata siedział w trzecim oddziale to nie oznacza, żebym go nie mógł ukończyć w ciągu roku; to znaczy, że w drugim roku nauki w III oddziale tej szkoły powtórzyłem kurs tego oddziału a jednocześnie prywatnie uczyłem się dalej ponad program. Gdym więc ukończył ową ćwiczeniówkę miałem lat 14. Do seminarium nauczycielskiego nie mogłem jeszcze egzaminu zdawać, gdyż do tego trzeba było mieć 15 lat ukończonych. Pozostałem więc formalnie jako uczeń oddziału III-go na rok trzeci, zaś w rzeczywistości uczyłem się przy pomocy korepetytorów, by się do wstępnego egzaminu seminaryjnego przygotować.

Program nauki owego seminarium nauczycielskiego był w przybliżeniu zbliżony do obecnego liceum pedagogicznego; więc też odległość naukowa pomiędzy szkołą podstawową ówczesną i seminarium nauczycielskim była dość duża. Pokonałem ją w przeciągu dwóch lat, podczas których właśnie nadobowiązkowo przebywałem w III oddziale ćwiczeniówki. By wstąpić do carskiego seminarium nauczycielskiego trzeba było być synem chłopą lub robotnika, albo

mieszczanina - rolnika. Synowie urzędników byli też przyjmowani. Jeżeli ktoś był synem kupca lub szlacheckiego pochodzenia, musiał uzyskać zezwolenie na wstęp do seminarium.

Egzamin był w końcu sierpnia - z języka rosyjskiego i matematyki. Miejsc było 30, a zgłaszało się kandydatów 120 - 150. Trzeba więc było egzamin wstępny zdać dobrze, a nie zadawalająco. To mi się udało. Egzamin zdałem dobrze. Zostałem przyjęty. Seminarium mieściło się w budynkach poklasztornych zajmując wszystkie budynki poklasztorne oraz park i ogród przyklasztorny; park przyklasztorny, ogród owocowy i warzywny, w środku których stoi kościół i klasztor, były otoczone wysokim murem, w którym były dwie bramy; jedna od południa - do seminarium i druga od zachodu - do kościoła. (Dziś z tego muru zewnętrznego pozostała tylko część północna i wschodnia, część zaś zachodnia i południowa tych murów została podczas pierwszej wojny światowej przez wojsko austriackie rozebrana i użyta na reperację pobliskiej szosy).

Program nauki tego seminarium był rozłożony na lat trzy: na trzy kursy. Było więc w każdym kursie tej nauki dużo. Największy nacisk kładziono oczywiście na język rosyjski, którego codziennie było na wszystkich kursach 2 godziny. Następnie szła matematyka i fizyka, za nią geografia i historia - powszechna i rosyjska. Ważne miejsce zajmowała pedagogika i praktyki pedagogiczne w postaci lekcji próbnych i pokazowych w szkole ćwiczeń, wykonywane przez uczniów ostatniego roku, t.j. kursu III-go.

Nauki przyrodnicze były podawane w streszczeniu. Na język polski była przeznaczona tylko godzina w tygodniu. Religia była obowiązkowa; na jej naukę, o ile mię pamięć nie myli, było wyznaczone dwie godziny tygodniowo. Oprócz tego były wykładane: nauka rysunków, kreślenia i kaligrafii, nauka śpiewu i wreszcie nauka gimnastyki wojskowej.

Jasna sprawa, że wszystkie te nauki oprócz religii były podawane po rosyjsku, a rozmawiać w szkole można było również tylko w języku rosyjskim, boć przecie szkoła ta była po to, by wychowywać nauczycieli-rusyfikatorów. Tak chciał rząd carski i po to takie szkoły zakładał.

Dyrektorem seminarium był Jewłarupij Stepanowicz Szczurowskij (szczur po rosyjsku - krysa) Nazwisko Szczurowski - nawet nie zrusyfikowane. Jak z nazwiska widać był to Rosjanin jednak polskiego pochodzenia. Był on oczywiście prawosławny; ukończył Akademię duchowną (prawosławną) w Kijowie, ale nie poszedł w kierunku duchownym, lecz pedagogicznym. Był to człowiek lat z 50. Blondyn z jasną brodą. Żonaty był z Niemką i bezdzietny. Był to człowiek z gruntu bardzo dobry; starał się nas w miarę możliwości rusyfikować, ale przecie nie potrafił. Wykładał historię i przedmioty pedagogiczne, ale wielką pracowitością nauczycielską się nie zaznaczał; był wyrozumiały, więc nienawiści lub jakiegokolwiek niechęci do niego ze strony uczniów - nie było. Mimo, iż miał wyższe wykształcenie duchowne, był jednak przeciwnikiem klasztorów - i katolickich i prawosławnych i z tym się nawet nie krył. Widocznie takie nieco „liberalne” poglądy spowodowały, iż nie poszedł w kierunku kariery duchownej.

Byłem uczniem tego seminarium trzy lata. W ciągu tych trzech lat było trzech nauczycieli języka rosyjskiego: Kozackowski, Nowicki i Woskriesienskij. Kozackowski wykładał język rosyjski i geografię, gdym był na kursie pierwszym. Był to Rosjanin, wzrostu wysokiego, chudy, twarz pociągła, nieduża bródka ciemna, także włosy. Ukończył instytut nauczycielski, a więc wyższą szkołę pedagogiczną; był to wściekły rusyfikator, a robił to w ten sposób, iż naukę języka rosyjskiego strasznie forsował, a był przy tym bardzo surowy w stawianiu stopni. To forsowanie nauki języka rosyjskiego było tak gwałtowne, że przytłaczało naukę innych przedmiotów i w nauce tych właśnie innych przedmiotów przeszkadzało; żalili się czasami na to uczniowie dyrektorowi, który starał się poskramiać Kozackowskiego, ale z małym skutkiem, bo sprawa była dla dyrektora drażliwa, a przy tym sam on (dyrektor) był usposobienia łagodnego.



*Seminarium Nauczycielskie w Jędrzejowie*

To też w tych warunkach lekcje języka rosyjskiego i geografii stanowiły dla uczniów prawdziwą łaźnię. A czytać po rosyjsku też musieli dużo, gdyż w dziedzinie lektury rosyjskiej wieczorowej Kozaczkowski był „nienasycony”. Poza tak wielkimi wymaganiami w dziedzinie języka rosyjskiego i geografii i tak wielką gorliwością, pracowitością i surowością przy nauczaniu tych przedmiotów – Kozaczkowski żadnej innej akcji propagandowej za carsławiem lub przeciw polskości nie uprawiał. Ponieważ w seminarium jędrzejowskim nauczycielem był kilka lat, to ci uczniowie, których on uczył języka rosyjskiego na wszystkich trzech kursach, po ukończeniu tej szkoły władali tym językiem znacznie lepiej niż ci, co ukończyli ośmioklasowe gimnazjum w Kielcach. Ja zaś byłem jego uczniem tylko na kursie pierwszym i tą łaźnię na jego lekcjach przechodziłem, ale dawałem sobie z tym radę w zupełności i ze strony Kozaczkowskiego żadnych przeszkód do promocji na kurs drugi nie było.

Nauczycielem matematyki był Polak - Borucki. Ukończył on Instytut Mierniczy w Moskwie i przez długie lata pracował w Rosji jako inżynier mierniczy; dlatego już w późnej starości, bo miał wtedy lat około 70, zawędrował na nauczyciela matematyki do seminarium nauczycielskiego w Jędrzejowie, nikt nie wiedział. Dlatego w tym wieku jeszcze nie był na emeryturze, a musiał pracować, też nikt nie wiedział. Mimo swych lat był to człowiek silny i zdrowy, wysokiego wzrostu, tęgi, twarz polska z płowymi wąsami i niebieskimi oczami. Był wdowcem, miał przy sobie tylko dorosłą, nieco ułomną córkę.

Był spokojny, wykladał dobrze i jasno, oceny stawiał sprawiedliwie. Ale wyprowadzony czymś z cierpliwości, był straszny i ryczał jak lew. Gniew u niego trwał długo i nie prędko przechodził. Uczniowie go się bali, na lekcjach jego pilnie słuchali i lekcje dobrze przygotowywali. Wykladał matematykę, wtrącając do niej tak dużo geodezji, że wielu jego uczniów po ukończeniu seminarium rzuciło nauczycielstwo i poszło do miernictwa. Wykladał też fizykę i nauki przyrodnicze. Do tych wszystkich swych wykładów żadnych podręczników nie zalecał, ani nie stosował, a wykladał wszystko z pamięci powoli, zalecając uczniom, by robili skrypty. Tak też i robili. Przygotowanie więc tych przedmiotów do odpowiedzi kwartalnych i egzaminów odbywało się tylko podług skryptów. Choć Borucki był katolikiem jednak do kościoła nigdy nie chodził; tylko gdy była „galówka”, przychodził do kościoła, siadał w stłach przed wielkim ołtarzem; w ten sposób bywał zawsze obecny na nabożeństwie za cara.

Dyrektor oraz nauczyciele rosyjskiego i matematyki byli dobrze płatni. Dyrektor otrzymywał 120 rubli miesięcznie; a ci dwaj nauczyciele po 100 rubli co wtedy ze względu na wielką taniocę środków spożywczych i mieszkań - było dużo. Sto rubli otrzymywał poborów też naczelnik powiatu (starosta). Inni jednak nauczyciele otrzymywali mniej.

Nauczycielem religii, jak nadmieniałem powyżej, był ks. Józef Jędrychowski. Ukończył on seminarium duchowne w Kielcach i następnie katolicką akademię duchowną w Petersburgu. Był to człowiek spokojny, zrównoważony, poważny. Wykladał nauki religijne dobrze, powoli i jasno; oceniał odpowiedzi sprawiedliwie; nigdy się nie unosił; zawsze był zrównoważony. Gdy czasami wynikały zatargi pomiędzy uczniami lub którymkolwiek nauczycielem, on zawsze był rozjemcą i zawsze ku zadowoleniu obu stron. Przez uczniów był lubiany, a przez nauczycieli szanowany.

Język polski wykladał też Borucki, ale robił to bardzo marnie. Na ten przedmiot była wyznaczona tylko godzina tygodniowo. Ale i w ciągu tego czasu można było wiele nauczyć i skierować uczniów do nauki tego języka poza lekcjami. Ale ani tego nie robił, ani też nawet tej jednej godziny nie wykorzystał. Cała ta jego nauka sprowadzała się do tego, że kazał czytać z jakiegoś przedpotopowego podręcznika jakiś tekst polski i tłumaczyć go na rosyjski, a raz na kwartał wszyscy uczniowie robili to pisemnie - na stopnie. Była to zatem nauka języka rosyjskiego. Na lekcji języka polskiego Borucki mówił tylko po rosyjsku, a o jakiegokolwiek nauce gramatyki, lub też stylistyki albo nawet o jakiegokolwiek wzmiance o literaturze polskiej - nie było na lekcjach Boruckiego ani słowa. Nauka więc języka polskiego w seminarium jędrzejowskim cały ten czas, gdy wykladał Borucki, równała się zeru. Był on więc jako nauczyciel języka polskiego (przez szereg lat) szkodnikiem i rusyfikatorem.

Rozumiał to ks. Jędrychowski; to też na lekcjach religii wprowadził głośne czytanie przez uczniów drugiego i trzeciego kursu rozpraw o moralności oczywiście w języku polskim. kolejne, głośne i powolne czytanie z odpowiednią intonacją, a co ksiądz zwracał uwagę, zmuszało uczniów do uczenia się języka polskiego poza szkołą, by sprostać wymaganiom ks. Jędrychowskiego przy czytaniu po polsku rozpraw o moralności. W taki to sposób reagował ks. Jędrychowski na niedbalstwo Boruckiego. W ogóle ks. Jędrychowski był wrogiem carskiej Rosji a zdecydowanym patriotą i czasami



informował uczniów o zaczynającym się wówczas odrodzeniu polskośći (nap. na Śląsku), o walce polskośći z H.K.T. o dymisji Bismarcka i t.p.

Nauczycielem muzyki był Rosjanin Murawiov, potomek Murawiowa - dekabrysty. Był to człowiek wzrostu wysokiego, lat ze 40, szczupły, brunet, twarz pociągła, śniada i nieco - blade matowa. Brodę golił, wąsy nosił czarne, nieduże. Był to mężczyzna b. przystojny, ale samotny. Uczył muzyki i śpiewu bardzo dobrze i starannie. Zorganizował dobrze grającą dwudziestokilkuosobową orkiestrę i duży kilkudziesięciosobowy chór śpiewaczy. Niektórzy uczniowie pod jego kierownictwem dochodzili w muzyce nawet do wysokiego stopnia doskonałości, a jeden po ukończeniu seminarium ukończył Konserwatorium Muzyczne w Warszawie (u Barcewicza) i zaczynał grać na skrzypcach już (pod niektórymi względami) nawet lepiej niż Barcewicz; niestety wkrótce zmarł. Wielu uczniów Murawiov nauczył robić partyturę, t.j. z nut skrzypcowych rozpisywać nuty na inne instrumenty w orkiestrze, była to już nauka kapelmistrzowska, ale i tego Murawiov uczył. Temperamentu był spokojnego; uczniów traktował bardzo przyjaźnie, nie wynosił się, był bardzo wyrozumiały; wszyscy go lubili. Mówił językiem czysto rosyjskim podług dialektu moskiewskiego.

W seminarium w budynkach poklasztornych był uczniowski internat: sypialnie, jadalnia, kuchnia, sala do zajęć wieczorowych. Murawiov był zawsze wtedy kierownikiem internatu i w ogóle prowadził w seminarium wszelkie sprawy gospodarcze w gmachach, na ogrodach, w sadzie, w ogrodzie, w parku, zorganizował pasiekę, uczył uczniów pszczelarstwa, a chętnych - nawet niektórych rzemiosł. Uczył on nawet uczniów budować łodzie i wiosłować na miejscowym stawie, co się dobrze przyjęło.

Nie uczyłem się ani muzyki, ani śpiewu (nauka tych przedmiotów nie była obowiązkowa) więc miewałem z Murawiwem mniej styczności, niż inni, ale go jednak dobrze pamiętam. Cały czas bytności mojej w seminarium (3 lata) był on tam nauczycielem, a po moim ukończeniu też jeszcze ze dwa lata. W ciągu tego czasu zawsze na wakacje Murawjow wyjeżdżał na Kaukaz, o którym powróciwszy dużo opowiadał, zachęcając do zwiedzenia tego kraju i tamtejszych gór. Z Kaukazu przywoził też różne wyroby miejscowe. Nap. podczas deszczu nosił zawsze burkę kaukaską (czarną, kosmatą, z grubej wełny).

Otóż z takiego jednego wakacyjnego wyjazdu kaukaskiego Murawiw nie wrócił, a wiadomość urzędowa głosiła, że zmarł. Żalowali go wszyscy: uczniowie i nie uczniowie, bo w Jędrychowiu był dość znany. Taki to był potomek dekabrysty! Wszyscy też wiedzieli, że to był Rosjanin nie carsławny, a przyjaźnie usposobiony dla Polaków.

Natomiast nauczycielem rysunków, kreślenia i kaligrafii, które zresztą były obowiązkowe, była śmieszna figura, niejaki Sozont Wasiljewicz Starankiewicz. Był to człowiek stary, wysoki, łysy, siwy, z długą siwą brodą. Niby wyglądał poważnie. Ale był głuchy, mówił bardzo źle, jakoś niewyraźnie, słowa rosyjskie wymawiał jakoś dziwacznie, zdaje się, że z ukraińska. To dawał uczniom asumpt do przedrzeźniania go, do wymawiania wyrazów rosyjskich w taki sam jak i on sposób pokręcony; nosił okulary, ale nosił je na samym końcu nosa, co też było śmieszne. To też uczniowie go wyśmiewali.

Jeżeli któryś uczeń zrobiwszy okulary z drutu i założywszy je sobie na sam koniec nosa zaczął grać rolę Starankiewicza i podczas pauzy prowadzić lekcję niby tak jak i Starankiewicz, to wywoływał salwy śmiechu. Czasami takiego udawacza Starankiewicz przyłapał na gorącym uczynku wchodząc do klasy na lekcję. Wtedy było źle, bo go sobie zapisał w notesie jako „zaczyńszczyka”, t.j. takiego który zaczyna (się z niego śmiać). Taki „zaczyńszczyk” żeby nie wiem jak rysował i kreślił, żeby pisał przepiękną kaligrafią, nie to nie pomogło; zawsze ze wszystkich tych przedmiotów dostawał dwójkę. Rada pedagogiczna jednak o tym wiedziała i takiemu uczniowi na kwartał stawiała trójkę. Tak i kończył seminarium taki zaczyńszczyk nie przeprosiwszy się ze Starankiewiczem, który zresztą nigdy nie dał się ubłagać.

Ale jeszcze śmieszniej wyglądała jego lekcja, gdy o coś pytał jakiegoś ucznia, a ten mu odpowiadał wyrazami tak poprzekręcanyimi, jak je wymawiał Starankiewicz. Wtedy cała klasa wybuchała śmiechem, a Starankiewicz, nie zauważający błędów w mowie uczniowskiej, stał zdziwiony i nie wiedział z czego się uczniowie śmieją; rzucał się, krzyczał, a czasami z lekcji wychodził i sprowadzał dyrektora, który w ogóle w takich wypadkach nic nie mógł wykryć, ale salę uspakajał i lekcja nadal trwała spokojnie.

Pomimo tych śmieszności jednak Starankiewicz niektórych uczniów, zdradzających ku temu zamiłowanie trochę rysunkowości nauczył, a także pojęć o perspektywie, co się w życiu nieraz przydało. Ów star Starankiewicz, głuchy i nawet

słabo widzący, był prawdopodobnie z pochodzenia Ukraińcem; można to było zauważyć ze sposobu wymawiania przez niego niektórych wyrazów. Dlaczego się w ciągu całego swego życia nie nauczył dobrze mówić po rosyjsku - nie wiem.

Nauczycielem gimnastyki w szkole ćwiczeń (była męska) oraz i w seminarium był stary carski, jeszcze mikołajowski, emerytowany feldfebel zawodowy. Uczył on trochę gimnastyki, ale więcej ćwiczeń wojskowych i marszów oraz ćwiczeń marszowych. Nazywał się Afanasjew. Był rdzennym Rosjaninem, ale był żonaty z Polką. Jego syn po śmierci ojca zupełnie się spolszczył i uważał za Polaka, przeszedł też na katolicyzm. Po śmierci starego Afanasjewa gimnastyki i wojskowości uczył carski oficer, który był sekretarzem biura rejonowego naczelnika wojennego w Jędrzejowie (Dziś RKU).

Był w seminarium także i ogrodnik Chrzanowski i stróż. Ogrodnik mieszkał w gmachu seminarium, gdyż jego żona była w internacie kierowniczką kuchni, a stróż Tomasz (po rosyjsku Toma) mieszkał w domku przy bramie wejściowej. Był też przy seminarium, a raczej przy internacie koń, bryczka, stodoła, stajnia. Koniem wożono na bryczce żywność dla internatu. Koniem też i bryczką jeździł dyrektor do Jędrzejowa w sprawach służbowych. Oczywiście był do konia woźnica, który mieszkał w domku, stojącym obok stodółki.

Wszyscy nauczyciele, oprócz dyrektora, nauczycieli: języka rosyjskiego i matematyki byli płatni słabiej; na poziomie 50 rubli miesięcznie, a nauczyciel ćwiczeniówki jeszcze słabiej, bo otrzymywał 30 rubli miesięcznie. Tylko dyrektor, nauczyciel ćwiczeniówki i ogrodnik mieszkali w gmachu poklasztorzym, reszta nauczycieli (i ksiądz) mieszkali na przedmieściu Podklasztorze lub w Jędrzejowie.

Ale zostawmy na chwilę w spokoju seminarium nauczycielskie, a wróćmy do Sudołu. Będąc uczniem ćwiczeniówki a następnie seminarium nauczycielskiego - cały ten czas mieszkałem w Sudole przy rodzicach; do szkoły zatem chodziłem co dzień, byłem więc uczniem przychodnim, a nie internatowym. To też żyłem życiem szkoły i wsi.

Podczas ferii i w ogóle w chwilach wolnych od nauki robiłem w gospodarstwie ojcowskim wszystko, co było do robienia. A więc najpierw pasłem świnie, później krowy, które na przednówku pasłem na ugorze, a gdy ugór został zaorany, co ojciec robił w końcu czerwca, to pasłem bydło na pastwisku; gdy żyto zostało sprzątnięte, zaczynała się paśba na ścierniskach, a jesienią, gdy przymrozki zwarzyły rośliny - nawet na młodej koniczynie lub też na prze roślących podorywkach, albo wreszcie w ziemniakach. Gdym podrastał, przechodziłem do innych prac. A więc bronowałem, później woziłem na pole gnój, orałem, siałem własnoręcznie zboże i nawet koniczynę. Kosilem wraz z parobkiem siano na powyżej już opisanych łąkach, położonych nad Nidą za lasami morawskimi.

Jednej roboty nie robiłem - nie żąłem sierpem. Poprzednio był taki zwyczaj (zwyczaj w tedy na wsi odgrywały dużą rolę), że zboże było żęte sierpem. Było przy tym bardzo dużo pracy. Ale gdym dorastał i już miałem się zabrać do sierpa, przybył do Sudołu skądś bardzo dobry zwyczaj - kosić zboże kosą. Ponieważ ten nowy sposób był łatwiejszy, skracał czas pracy, nie wymagał dużej ilości robotników, a przede wszystkim był znacznie tańszy i w pracy nawet lżejszy, przeto sposób ten szybko się w Sudole rozpowszechnił i zwolnił mnie od sierpa.

Ale kosić - kosiłem: i żyto, i pszenicę, i jęczmień, i owies, i groch, i seradelę i koniczynę czerwoną. Wiązałem snopki, zbierałem garści i wiem, co to jest oset w garściach jęczmienia, woziłem zboże, układałem je w stodole i na brodle, woziłem groch, koniczynę, seradelę i układałem to w stogi, gdy się w stodole nie mieściło. Oczywiście nie robiłem tych prac sam, a razem z ojcem i parobkiem; w ten sposób zmniejszyliśmy znacznie we żniwa najem robotników dniówkowych, o których zresztą w miarę rozwoju przemysłu w Zagłębiu Dąbrowskim było coraz trudniej. Podczas kopania ziemniaków woziłem takowe wozem, zsypywałem do piwnicy; gdy miałem czas, to także robiłem orkę zimową, t.z. „odwrót”.

Ojciec mój był w Sudole rolnikiem postępowym. Słuchał pilnie, co gdzie o rolnictwie mówią i stosował: nie bał się rzeczy nowych. Już pisałem o ugorze; dużo ugoru musiał ojciec zostawiać, by się żyto mogło rodzić. Z żytem jednak było źle: rodziło się go mało. Ale ojciec zasłyszał gdzieś o łubinie. Zaraz go nabył i zasiał. Oczywiście na ziemi żytnej. Wyrósł tak ogromny jak młody las, na wysokość średniego mężczyzny. Wszyscy się z ojca śmiali: po co mu ten łubin.



*Sierp*

Nameńczył się ojciec bardzo, by ten łubin przyorać, ale przyorał i zasiał żyto. Wyglądał ten zasiew bardzo nierówno i znowu się wszyscy śmiali. Ale gdy żyto zaczęło rosnąć, gdy okryło ziemię i mocno rosło, wszyscy aż gęby otwierali ze zdziwienia. A gdy w lecie żyto wyrosło jak las, a kłosa aż się uginały, wszyscy się temu ze zdziwieniem przyglądali, a po cichu zazdrościli. Następnego roku wiosną już wszyscy zaczęli łubin siać. Tak się zjawił w Sudole łubin: z początku niebieski, później żółty.

Przez kilka ładnych lat (prawie z 10) łubin wyrastał wspaniale, a na nim żyto. Zamożność ojca od tej chwili znacznie wzrosła. Miał bowiem żyta ze 4, a może z pięć razy więcej, niż poprzednio, a po życie na łubinie rosły b. dobrze ziemniaki. Dużo żyta i ziemniaków – to nie bagatela! Było co dawać krowom i świniom; krowy dawały znacznie więcej mleka, a świnie – gotówkę. I byczka na rzeź też można było na żytnej ospie uchwycić; a i koniom też można było w razie braku owsa – żyto z sieczką z zachowaniem ostrożności dawać. Więc też podzielenie się pastwiskiem, co ojcu dało kilka morgów ziemi wcale niezłej, i wprowadzenie łubinu postawiło ojca na nogi. Stał się gospodarzem znacznie zamożniejszym. A słomy żytnej było u nas po omłóceniu wszystkiego żyta tyle, że nie było wiadomo, co z nią robić. Oczywiście słało się ją pod krowy, konie i świnie, ile się tylko zmieściło, a z tego i gnoju znacznie przybywało. Więcej gnoju – więcej ziemniaków, jęczmienia, pszenicy, grochu, koniczyny.



*Radło rylcowe*

Taką to gospodarczą rewolucję spowodował w Sudole łubin. Było wtedy w Sudole takie narzędzie rolnicze, które się nazywało radło. Narzędziem tym chłopcy wtedy spulchniali przygotowaną do ziemniaków rolę, a ziemniaki oborywali z pierwszego razu, bo drugi raz – trzeba było ziemniaki ręcznie motyką okopywać, co wymagało bardzo dużo pracy i czasu. Ojciec gdzieś wypatrzył taki instrument, który się nazywał „gruber”, a był to drapacz pięciołapowy, z łapami żelaznymi, sztywnymi, osadzonymi na drewnianej ramie. Zaraz taki gruber ojciec wprowadził i miał przy robocie pracę pięciu redlic (łap), a nie jednej przy radle.

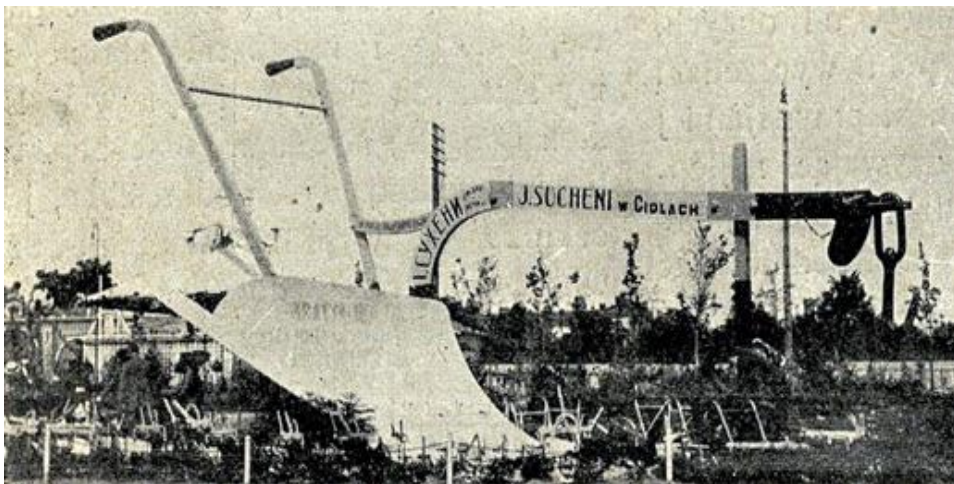
Do uprawy ziemniaków zafundował sobie ojciec płuzek, którym się uprawiało ziemniaki raz i drugi i nie trzeba było je już okopywać. Po pewnym czasie ojciec zobaczył gdzieś żelazny sprężynowy kultywator, zarzucił „gruber”, kupił kultywator i zaczął nim pracować; tu już się nikt nie śmiał, a przeciwnie – wszyscy zaczęli naśladować. Kupił też ojciec później i bronę sprężynową. Z tym też była wygoda: można było nią ściernisko zdrapać, gdy brakowało czasu na wykonanie podorywki.

Wypatrzył też ojciec gdzieś i żelazny pług gidelski Sucheniego; zaraz go kupił i orał, a wszyscy sąsiedzi za jego przykładem też te pługi w całym Sudole wprowadzili. Płodozmian był u nas następujący: na ziemi żytnej: łubin, żyto, ziemniaki na gnoju, owies i znowu łubin i t.d. W życie siało się międzyplon – seradelę, która jesienią służyła jako pastwisko dla bydła. Na ziemi pszennej: ugor – gnój, pszenica, owies, gnój-ziemniaki, jęczmień, koniczyna, pszenica. Drugi wariant był: wyka, gnój – pszenica, owies, gnój – ziemniaki, jęczmień, koniczyna i znowu – pszenica. Była tu więc na ziemi żytnej czteropolówka, a na pszennej – sześciopolówka. Groch ojciec siewał za bardzo dawnych czasów, także i proso, ale zarzucił, bo groch się rodził coraz słabiej (widocznie pod wpływem sąsiedztwa z koniczyną), a proso wymagało żmudnego pielęgnowania (pielienia).



Na ogród warzywny był wyznaczony osobny najlepszy kawałek pola niedaleko od domu. Podzielony on był na dwie roczne zmiany: 1) kapusta, 2) marchew i buraki; a na rok następny: 1) marchew, buraki, 2- kapusta. Gnoj dawano przed kapustą. Buraków pastewnych, lub pastewnej marchwi, albo też buraków cukrowych – ojciec nie sadził. Na buraki pastewne i marchew pastewną nie było jeszcze w Sudole zwyczaju, a na buraki cukrowe – nabywcy. Rzepak ozimy, plantowały wtedy tylko dwory. Lnu i konopi w ogóle w najbliższej okolicy nie siano. Gryki także. Natomiast zaczął ojciec wprowadzać na ziemi żytnej po owsie – peluszkę. Kosił ją na zielono dla bydła i koni, a po niej na pół gnojku siał żyto. Czasami na glebie pszennej siał peluszkę jako poplon po pszenicy. Czasami po pszenicy siał rzepę, ale później – nie wiem dlaczego – zarzucił.

W ogóle w miarę rozwoju przemysłu w Łodzi a przede wszystkim w Zagłębiu Dąbrowskim – o robotników było coraz trudniej i to ojciec musiał brać pod uwagę przy planowaniu zasiewów. Najstarsze ceny zboża, jakie pamiętam, były następujące: żyto za korzec (230 funtów) = 3 ruble, pszenica korzec (240 funtów) = 5 rubli, jęczmień korzec (230 funtów) 3 ruble albo 2rb 80 kop.; owies korzec (240 funtów) = 1rb 50 kopiejek.



*Gigantyczny eksponat - pług z fabryki Sucheniego w Gidlach na wystawie Przemysłu i Rolnictwa w Częstochowie z 1909 roku.*

Pamiętam też, że za buty chłopskie z rzemienia juchtowego, nowe, z długimi cholewami płacono się też 3 ruble; a więc za korzec żyta były nowe chłopskie buty. Później, z biegiem lat, te ceny zaczęły się powoli podnosić na życie: z 3 rubli na 4 ruble, na 4rb 50 kopiejek,

i wreszcie na 5 rubli. Gdy cena za żyto była 3 ruble, to wtedy cena za pszenicę była 5 rubli. Cena ta bardzo powoli rosła z 5 rubli na 5rb 50 kopiejek, na 6 rubli, na 6rb 50 kop i wreszcie doszła do 7 rubli. W roku 1914 ceny były następujące: żyto = 5 rubli; pszenica 7 rubli; jęczmień 4rb – 4rb 50kop, owies 3 ruble, ziemniaki 2 ruble za korzec. Korzec pszenicy liczył 240 funtów = 100 kg. Funt = 400 gramów. Korzec ziemniaków również 100 kg. Korzec żyta, owsa, jęczmienia = 230 funtów = 92 kilogramy.

Gdy byłem jeszcze uczniem w szkole ćwiczeń, już dobrze mówiłem, czytałem i pisałem po rosyjsku. W tym czasie zebranie gromadzkie wybrało ojca na sołtysa. Wybór był przymusowy. Zrzec się nie było wolno. Musiał przyjąć. Spełniał więc tę służbę gromadzką trzy lata. Ponieważ wtedy wszelkie urzędowe sprawy były załatwiane w języku rosyjskim, to też pomagałem ojcu w tych czynnościach, odczytując wszelkie urzędowe „bumagi” (papiery), pomagając rozkładać podatki z wymiarów na całe kolonie – na poszczególnych posiadaczy działek tych kolonii, bo rozpadanie się pierwotnych dużych gospodarstw chłopskich na mniejsze – postępowało. Trzeba też było doręczać ludności całej wsi i dworu wszelkie listy i urzędowe wezwania, bo to do sołtysa należało.

Czasami w różnych sprawach przybywała do sołtysa policja. Czasami ojca nie było w domu. Wtedy ojca w tych czynnościach zastępowałem, tj. albo udzielałem informacji, których policja żądała, albo też musiałem asystować przy różnych jej czynnościach na wsi, bo były wtedy takie przepisy, że policja na wsi działała w asyście sołtysa. Te czynności – były: poszukiwanie broni, poszukiwanie rzecz skradzionych, gdy komu coś w sąsiedztwie skradziono, a podejrzenie padło na kogoś sąsiada, stwierdzenie tożsamości osoby i t.p. przeważnie drobne sprawy. Rzadko się to zdarzało, ale czasami bywało.

Dużo miał ojciec kłopotów z dzierżawcą folwarku w Sudole hrabią Tarłem, u którego wierzyciele ciągle urządzali różne licytacje, przy których ojciec obok komornika musiał być obecny, a czasami musiał się opiekować rzeczami zajętymi do licytacji. Wielkie miał ojciec szczęście tylko w tym, że z owego dzierżawcy nie ścigał podatków, gdyż dwór wtedy w tych sprawach podlegał bezpośrednio referatowi podatkowemu przy urzędzie powiatowym. Kierownik tego referatu

(sekwestrator powiatowy) ściągwał wszelkie podatki ze dworów, a sołtysi ze wsi. Jakie kłopoty miał ów sekwestrator z tym bankrutem Tarłem, to już ojciec się tym nie troszczył.

Po trzech latach – powtórnego wyboru na sołtysa ojciec już nie przyjął (przymus był tylko jednokrotny). Ojciec wódki pił b. mało, matka jeszcze mniej. Ojciec na wesela, chrzciny i w ogóle zabawy chodził bardzo niechętnie i b. mało. Chodzić w goście też nie lubił. Ale miał jednego przyjaciela, u którego często przesiadywał, lub też na odmianę ów przyjaciel przesiadywał u ojca. Był to Michał Nowak, posiadacz działki, położonej niedaleko od domu rodziców. Tego Nowaka wszyscy w Sudole nazywali „Kubikiem”, bo chodził on do sąsiednich lasów (2 km) na roboty jako robotnik leśny, tak się nauczył kubikować drzewa i później czynił to i dla prywatnych kupców (żydów), którzy poręby po lasach kupowali skubikowawszy drzewa, zwozili je na stacje, a odpadki sprzedawali chłopom na opał.

Ów Nowak był człowiekiem całkiem nie głupim. Doszedł w końcu do tego, że te odpadki w postaci wierzchów i gałęzi, układanych w „kupki” i drzewa nie budowlanego układanego w sągi – zaczął od żydów kupować hurtem w lesie, i takowe sągi i kupki sprzedawać okolicznym chłopom detalicznie. Czyli był to człowiek wsi, biedny chłop, posiadacz może morgowej działki pola i chałupki ze stodołą, który powoli, własnym przemysłem przechodził ze stanowiska robotnika leśnego na pozycję początkującego kupca leśnego. Nie można powiedzieć, by się z bogacił, bo tak nie było, ale żył, jak na owe czasy, bez kłopotów pieniężnych i wcale nieźle. Z nim się ojciec przyjaźnił. Zresztą był on dalszym krewnym ojca, gdyż jego matka (już wtedy nieżyjąca) była ciotką mojego ojca – z linii żeńskiej. Obaj albo rozmawiali, a lubili rozmawiać, albo czasami grali w karty w „durnia”, bo gry na pieniądze nigdy nie stosowali.

O tym Nowaku pamiętam bardzo dobrze nie tylko dlatego, że ojciec się z nim przyjaźnił, i że wyróżniał się na wsi tym, iż zaczynał handlować drzewem, ale w dużej mierze także i z tego względu, iż był on wtedy wyjątkowym w Sudole człowiekiem. Ta wyjątkowość jego polegała na tym, iż był on zupełnym wolnomyślicielem – oczywiście w sprawach religijnych. Praktyki religijne wprawdzie wykonywał, ale możliwie mniej, gdy to było konieczne. O swych przekonaniach areligijnych z nikim nie mówił, choć z ojcem mym czasami o tym wspominał, a z ludnością wsi żył dobrze, przykładowo.

Tak szły lata. Wreszcie ów Nowak powoli zaczął chorować, okazało się, że to był rak w żołądku. Gdy się śmierć zbliżała, żona Nowaka chciała mu sprowadzić księdza, by się przed śmiercią wyświadczył, ale Nowak odmówił stanowczo, zaznaczając, iż uważa on tę spowiedź za zupełnie zbyteczną. Twierdził, że sumienie mu nic nie wyrzuca, więc po co się ma spowiadać. Z wielkim trudem żona Nowaka i jego siostra namówiły go do tej spowiedzi. Uczynił to tylko na ich prośbę, ale zupełnie bez przekonania. To jego stanowisko w sprawie spowiedzi było na całej wsi głośne i wywoływało zdziwienie.

Wreszcie Nowak zmarł, a ojciec stracił przyjaciela. Nie miał ów Nowak dzieci; jego osada przeszła na jego żonę, a po żonie dostała się jej krewnym ze Skroniowa. Dziś na tej działce w Sudole po Michale Nowaku stoi młyn motorowy niejakiego Papki, młynarza z Warzyna, a na tym miejscu, gdzie był domek Nowaka dziś stoi okazały dom młynarza Papki (1.9.1953), o pierwszym zaś wolnomyślicielu w Sudole Michale Nowaku dziś już wszyscy dawno zapomnieli.

Gdy ojciec był sołtysem, miał też kłopot z wojskiem, bo co rok zaraz po żniwach odbywały się manewry wojskowe pod Szczekocinami. Na te manewry co rok w sierpniu udawały się dwa pułki piechoty z Kielc; pułk kozaków duńskich z Opatowa i pułk Dragonów z Pińczowa. Wszystko to przechodziło przez Sudół; trzeba było dawać kwatery i podwozy, gdyż carskie wojsko w stanie pokoju nie miało żadnych obozów, a przewoziło się na chłopskich podwodach. Z tymi to podwodami i z ich dostarczaniem miał ojciec dużo kłopotów, tym bardziej, że trzeba je było dawać raz gdy wojsko szło na manewry i drugi, gdy po kilku tygodniach wracało.

W pewnym roku było z tym jeszcze gorzej: generał gubernator Hurko ustąpił, na jego miejsce przybył ks. Imeretyński. Ten dygnitarz przybył wtedy na takie manewry pod Szczekociny. Oczywiście manewry te przekształciły się w manewry krajowe; była masa wojska, Dragonów przechodziło przez Sudół aż 4 pułki (po 6 szwadronów każdy). Manewry były wtedy nie tylko pod Szczekocinami, ale w okolicy Jędrzejowa i Chęcín.

Nawet w Sudole była potyczka dwóch pułków piechoty (W roku 1914 w tym samym miejscu w Sudole była potyczka pomiędzy kawalerią carską i następującymi Niemcami). Podczas tej potyczki wojsk carskich ze dwie godziny była forsowna strzelanina z karabinów; a gdy to ucichło, cała wieś była okryta dymem, bo prochu bezdymnego jeszcze wtedy carskie wojska nie używały. Imeretyński nocował wtedy u dziedzica Górskiego w Motkowicach, bo był z nim nawet jakoś spokrewniony, a Górski należał do obozu wielko obszarowego, t.z. obozu Polityki Realnej. Z przybyciem do Kongresówki

Imeretyńskiego wielkie nadzieje robił Obóz Polityki Realnej (ugodowy, nieliczny), ale z czasem okazało się, że nic realnego z tego nie wynikło, a tak zwanych ulg w nacisku russyfikacyjnym było akurat tyle, co pies napłakał.

W czasie mojej bytności w ćwiczeniówce i w seminarium urodziła moja matka moją siostrę Franciszkę, później mojego brata Franciszka, jeszcze później moją siostrę Zofię i wreszcie jeszcze jedną siostrę – Marysię. Ta najmłodsza siostra przeżywszy rok – zmarła na szkarlatynę. Ponieważ przebieg tej choroby był łagodny, nie można było ustalić, co to jest; a gdy się ukazała wysypka, lekarz zaczął ją leczyć nawet forsownie, ale było już za późno. Zastrzyków przeciw szkarlatynie jeszcze wtedy nie było.

Chociaż wszystko, co tylko miało styczność z chorym i zmarłym dzieckiem było wyszorowane, a szmaty w kotle wywarzone, jednak coś gdzieś niedostrzeżonego z tej choroby nie zostało, bo gdy z wywarzonych szmat, zamiast je spalić, zrobiono ścierki do mycia podłogi wiosną roku następnego, to prawdopodobnie od tych wywarzonych szmat (widocznie niedostatecznie) zaraziła się szkarlatyną już latem roku następnego siostra Zofia – pierwsza z brzegu i ze starszeństwa po zmarłej.

Tym razem była leczona bardzo starannie i od samego początku. Przebieg choroby był lekki, ale przewlekły. Siostra wyzdrowiała, była później zupełnie zdrowa, ale w osierdzu jej pozostały się jednak ślady, o których nikt nie wiedział, a które ujawniły się dopiero wtedy, gdy siostra Zofia dorosła, wyszła za mąż i urodziła dziecko. Wtedy to owe pozostałości po szkarlatynie przedostały się do serca i spowodowały nagłą śmierć siostry Zofii.

W tymże okresie czasu, gdy byłem w ćwiczeniówce i w seminarium, ojciec mój był z zimie w lesie po drzewo, zaziębił się i chorował b. ciężko na zapalenie płuc, ale powoli wyzdrowiał. Ponieważ ojciec już raz w swej przedpoborowej młodości przechorował tyfus plamisty, to teraz po przejściu zapalenia płuc już do takiego zdrowia jakie miał przed tym zapaleniem, nie wrócił. Bardzo nieznacznie i powoli, ale stale zaczął się u ojca rozwijać katar płuc. A że ojciec miał też i dziedziczny po dziadku i ojcu artretyzm, a leczyć się, jak zresztą i wszyscy chłopci, nie lubił, to razem to wszystko wzięwszy, tzn. lekki katar płuc i spacerujący po stawach artretyzm, dawało to w wyniku acz bardzo powolne i niby nieznaczne, ale jednak stałe pogorszenie się zdrowia ojca.

Ale że matka moja była zdrowa, siostra Franciszka i brat Franciszek zaczęli już podraastać a ja w wolnych chwilach od nauki w gospodarstwie ojca pracowałem, to biorąc pod uwagę te okoliczności i pomoc parobka, który także jeszcze był, w wyniku wychodziło, że gospodarstwo szło dobrze. Krów w dalszym ciągu było 4, koni para, cieląt ze dwoje, świń 2-3, kur – 20, gęsi też kilkanaście. Słowem – parokonne gospodarstwo chłopskie.

Ale wróćmy do Seminarium. O nauczycielu języka rosyjskiego Kozackowskim już pisałem. Był on nauczycielem tylko w pierwszym roku mojej nauki w seminarium. W drugim roku, t.j. na drugim kursie – nauczycielem był Josif Wikientiewicz Nowicki, czyli Józef Nowicki syn Wincentego. Ponieważ ojcu jego było na imię Wincenty, a takiego imienia w kalendarzu prawosławnym nie ma i nigdy nie było, łatwo się domyślić, że ojciec tego Józefa Nowickiego był Polakiem i katolikiem. Musiał być jednak żonaty z jakąś Rosjanką, a wedle carskich przepisów prawnych dzieci z takich małżeństw, w których jeden z małżonków był prawosławny, były zapisywane na listę prawosławnych i chrzczone w cerkwi. W taki to sposób syn Polaka i katolika, który się ożenił z Rosjanką, stał się prawosławny.

Gdy dodamy do tego, że ojciec wcześniej umarł, a biedna wdowa nie mogła dać rady z dziećmi, to przekazała syna Józefa na wychowanie do prawosławnego „prijuta” (prztyulek), gdzie go na rządowy koszt (na kuzionnyj szcrot) kształcili, to otrzymamy całkowity obraz, jak wtedy synów Polaków na Rosjan carosławnych i prawosławnych wychowywano. Tak



*Dwór w Motkowicach*



wychowano i owego Nowickiego. Pochodził z Grodzieńszczyzny, a tam przecie rusyfikacja i carsławie kulały i pieniądze ze skarby na „obrusienie”(ruszczenie) dużo otrzymywały. To też w ten sposób Nowicki wychowywany i kształcony na rządowy koszt na janczara prawosławia (oczywiście carskiego) ukończył aż Akademię Duchowną (prawosławną) w Kijowie, ale tak jak i Szczurowski nie poszedł robić kariery w cerkwi, lecz skierował swoje kroki w kierunku pedagogiki i znalazł się jako nauczyciel w seminarium nauczycielskim.

Był to człowiek już po czterdziestce. W odróżnieniu od Kozaczkowskiego, który w nauce języka rosyjskiego kładł duży nacisk na lekturę, na gramatykę i słowotwórstwo, Nowicki kładł duży nacisk na logikę i ścisłość wyrażania się ustnie i pisemnie. Geografię też wykładał, ale słabiej od Kozaczkowskiego. Z tym wszystkim był to jednak człowiek niezły, aczkolwiek robił minę rygorystycznego Rosjanina. Był punktualnym służbistą, ale nie rusyfikatorem. Uczniowie jednak nie bardzo go lubili, bo był wymagający i w ocenach postępów uczniowskich bardzo surowy.

Wszyscy jechali na trójkach; czwórka u Nowickiego była b. rzadkim stopniem, a dwójkę można było dostać za byle co. Ta to zbyt surowość tego nauczyciela w stopniowaniu była przyczyną niechęci do niego uczniów. Znaleźli w jego twarzy podobieństwo do szczupaka, więc go też i szczupakiem nazwali. To przezwisko (widocznie było trafne) przyjęło się w całej szkole, było wszystkim znane, wszyscy go tak nazywali, a on też dobrze o tym wiedział, ale był bezsilny. Zresztą był spokojny, zrównoważony i nigdy się nie unosił.

Ponieważ wtedy przy Dyrekcjach Naukowych gubernialnych tworzone dla szkolnictwa powszechnego stanowiska objazdowych wizytatorów szkół ludowych, przeto Nowicki – przeuczywszy w seminarium jeden rok – przeszedł na stanowisko wymienionego wizytatora i wyprowadził się do Kielc. Spotkamy się z nim w pamiętniku jeszcze raz.

Gdym zaś został promowany z drugiego kursu seminarium do trzeciego, w tym trzecim roku nauki w tej szkole nauczycielem języka rosyjskiego był już nie Nowicki, a Wasilij Woskriesienskij. Był to Rosjanin z Moskwy; wzrostu wysokiego, przystojny, ale trochę za otyły, lat 40, blondyn, golił brodę pozostawiając nieduże wąsy; ukończył on filologię rosyjską na uniwersytecie moskiewskim, mógł więc być nauczycielem w gimnazjum ośmioklasowym. Przesłany zaś był do Jędrzejowa zdaje się jakby za karę, bo okazało się nieco później, iż lubił pić. Wprawdzie nikt go nigdy nie widział pijanym, ani na ulicy, ani w szkole, ale okazało się jednak, że wolne chwile poza nauką w szkole spędzał w restauracji, gdzie miał dla siebie osobiście zarezerwowany pokój pufny, w którym miał zwyczaj wysiadywać samotnie, nie wpuszczając nikogo, i powoli, po trochu pić. W ten sposób wypijał dużo, a nigdy nie był pijany.

Nauczycielem był dobrym i wcale nie rusyfikatorem. Jego specjalnością była historia literatury rosyjskiej. W przeciwieństwie do Kozaczkowskiego, który nieomal terrorem i w sposób gwałtowny zmuszał do wielkich wysiłków w nauce języka rosyjskiego, i do Nowickiego, który ten przymus stosował groźbą dwójek, Woskriesienskij nie stosując takiej presji – starał się uczniów (III kursu) do nauki tego języka pociągać, dobrze i zajmująco wykładając historię literatury (a wymowę miał b. dobrą) i zwracając uwagę uczniów na najlepsze pod względem artystycznym partie poezji rosyjskiej. Tą drogą starał się wyrobić w uczniach zamiłowanie do nauki tego języka, jako języka w środowisku polskim obcego, ale słowiańskiego.

To traktowanie nauki tego języka nie jako urzędowego przymusu do nauki języka narodu rządzącego, lecz jako dobrowolnej nauki języka narodu sąsiedniego – dawało pewne wyniki, gdyż uczniowie (na III kursie) uczyli się języka rosyjskiego chętnie, bez odrazy, chętnie też studiowali najlepsze utwory poezji rosyjskiej. Słowem, jako umiejętny pedagog, bez stosowania przymusu w nauce tego języka w owe czasy t.z. „państwowego” osiągnął większe wyniki, niżli dwaj jego mniej inteligentni poprzednicy.

Po moim ukończeniu seminarium w roku 1901 – pozostał tam jeszcze Woskriesienskij na stanowisku nauczyciela jeszcze kilka lat, ale z powodu choć potajemnego ale stałego picia wódki tak sobie podkopał zdrowie, a zwłaszcza serce, iż wskutek osłabienia działalności tegoż nie mógł już dobrze chodzić pieszo i idąc z Jędrzejowa do seminarium co jakiś czas przystawał, by odpocząć. Z tego powodu musiał przejść na emeryturę i z Jędrzejowa wyjechał. Jaka była przyczyna, że w taki nałóg wpadł, nikt nie wiedział, gdyż wbrew naturze rosyjskiej – był to człowiek zamknięty, nie lubiący się zwierzać.

W poprzednich moich wspomnieniach wtrąciłem wzmiankę o „galówkach”. Teraz wyjaśnię, co ten wyraz oznaczał. Galówka – była to wielka uroczystość państwowa (gala). Takich dni było w roku kilka: imieniny cara, dzień jego urodzin,

imieniny carowej, dzień jej urodzin oraz imieniny następcy cara. W dzień galówkowy ani w urzędach, ani w szkołach nie było zajęć. We wszystkich zaś niepaństwowych zakładach pracy w dniu „galówki” praca odbywała się normalnie.

Wszyscy urzędnicy i młodzież szkolna szli tego dnia do kościoła na msze. Jeżeli w mieście była cerkiew, to prawosławni urzędnicy i prawosławna młodzież szkolna szła do cerkwi, a katolicy do Kościoła; jeżeli zaś cerkwi nie było, to wszyscy szli do kościoła. Duchowieństwo prawosławne i katolickie (i wszelkich innych wyznań) miało obowiązek tego dnia po uroczystej mszy – odmówić specjalną modlitwę na intencję cara, całej jego rodziny i za pomyślność carskiego imperium. Ponieważ seminarium nauczycielskie lokowało się w budynkach poklasztornych tuż przy pocysterskim kościele klasztornym, to taką mszę galówkową odprawiał nauczyciel religii ks. Jędrzychowski.

Cerkwi w Jędrzejowie nie było, ani żadnego popa, a więc na tą mszę przybywali wszyscy nauczyciele bez różnicy religii i wszyscy uczniowie seminarium i ćwiczeniówki. Po mszy po odmówieniu, a raczej odśpiewaniu przez ks. Jędrzychowskiego wyżej wymienionej modlitwy za cara – wszyscy nauczyciele i uczniowie z kościoła udawali się do seminarium do największej sali. Tam stojąc wysłuchali krótkiego okolicznościowego przemówienia dyrektora, które się zawsze kończyło słowami: „Złożmyż więc dziś wszyscy naszemu umiłowanemu Monarsze, całej jego rodzinie i jego imperium nasze gorące życzenia szczęścia i powodzenia (błogosławieństwa) wznosząc trzykrotne hura!” I wszyscy obecni musieli wtedy za dyrektorem przekrzyczeć to hura trzykrotnie (Niech żyje). Na tym się uroczystość kończyła i wszyscy się rozchodzili. Ksiądz nigdy na to przemówienie dyrektorskie nie przychodził, gdyż odśpiewawszy „galówkę” pozostawał w kościele spowiadać ludzi, boć był nie tylko nauczycielem religii, ale i kustoszem kościoła filialnego, a więc spełniał też i obowiązki względem tamtejszych parafian.

Prawosławnych uczniów było w seminarium kilku: 6-8 osób. Mieli oni w seminarium w małej salce prawosławną kapliczkę. Przyjeżdżał do nich czasami (ze dwa razy w miesiącu) pop z Kielc; w tej kapliczce odprawiał dla nich nabożeństwo (obiednia) i tam ich też nauczał religii prawosławnej. Uczniowie prawosławni byli dziećmi tamtejszych miejscowych urzędników – Rosjan. Było ich mało. Żadnej roli w szkole nie odgrywali.

Prąd niepodległościowo – patriotyczny, który się w końcu wieku 19-go zaczął w Kongresówce szerzyć, dotarł i do Jędrzejowa. Pod wpływem tego prądu powstała w zespole uczniów kursu III-go konspiracyjna grupa oświatowa, która też zorganizowała tajną biblioteczkę uczniowską – oczywiście polską. Taka akcja jawna była jak najsurowiej zabroniona, bo przecie w seminarium w tych czasach z całą ścisłością obowiązywała zasada: „zdies wosprieszczajetsia gaworit pa polski”.

Ktoś z uczniów (katolik czy prawosławny – nie wiem) jednak doniósł dyrektorowi, gdzie ta biblioteczka jest przechowywana. Dyrektor, mając dokładną informację, ową biblioteczkę znalazł i zabrał. Był to starannie związany pęk książek polskich, z kilkudziesiąt tomów. Jednak uczniowie wypatryli, że Dyrektor ów pęk książek położył w swym pokoju jadalnym na stole. Nocą więc, gdy Dyrektor spał, uczniowie powoli i po cichu otwarli okno i tą biblioteczkę zabrali, a okno znowu zamknęli.

Przebudziwszy się, Dyrektor nie robił z tego żadnego użytku i potraktował sprawę jako niebyłą; tak mu nawet było wygodniej. Odznaczył się przy tym odwagą i sprytem uczeń Roman Pleniewicz, co niniejszym zaznaczam. Jeżeli idzie o mnie, to po ojcu odziedziczyłem przekonania contra Rosji carskiej, i z biegiem lat stałem się niepodległościowcem. A więc te wszystkie zabiegi, by mię zrusyfikować a zwłaszcza scarosławić spełzły na niczym.

Pamiętam, gdy jeszcze będąc na trzecim roku ćwiczeniówki dostałem skądś jakiś tygodnik polski z ilustracją wyobrażającą ks. Józefa Poniatowskiego. Było to dla mnie tak mocne przeżycie, że jeszcze dziś pamiętam tę chwilę tak, jakby to było wczoraj. Pamiętam, że było to na drodze od bramy wjazdowej w murze klasztornym do gmachu seminaryjnego, akurat na moście, który tam był wybudowany nad kanałem, którym wiosną wody przepływały. Pamiętam, że było to latem, rano i że dzień był jasny. Jeszcze dziś pamiętam, jakem ten tygodnik z tą podobizną brał do ręki, pamiętam że brałem go ręką lewą, bo prawą trzymałem teczkę z podręcznikami.

Pamiętam, że ten mój kolega (nie pamiętam kto) chętnie mi na moją prośbę ów tygodnik podarował. Wyciąłem z niego kawałek z portretem J. Poniatowskiego i przechowywałem jak relikwię. Oczywiście zabrałem się zaraz do czytania książek polskich, a zwłaszcza z historii. Pamiętam, że pierwszą książkę polską, którą w swym życiu przeczytałem, były 24 obrazki z historii polski.

Odtąd zacząłem czytać (od chwili otrzymania owej ilustracji z portretem Józefa Poniatowskiego), a gdy przechodziłem z ćwiczeniówki do seminarium (15 lat ukończonych), byłem już niezłe w historii Polski odczytany; przeczytałem już nawet niektóre powieści historyczne Kraszewskiego. W seminarium zaś, będąc cały czas niepodległościowcem, z konieczności musiałem dużo czytać po rosyjsku: czytałem więc beletrystykę i książki geograficzne, a także podróżnicze, jak np. o podróżach Przewalskiego po Azji Środkowej i inne. Oprócz tego nauki w tym seminarium było dużo, gdyż, jakem pisał, kurs nauk pięcioletni czy sześcioletni był wtłoczony w 3 lata. To przerabianie tak stłoczonego materiału naukowego w przeciągu lat 3ch dawało takie wyniki, że na czytanie książek polskich mało było czasu. Dostrzegłem już wtedy u siebie wielki pociąg do geografii; by to zaspokoić, będąc uczniem, prenumerowałem rosyjski tygodniczek geograficzny: „Wokrug swiata”.

W ćwiczeniówce a później w seminarium miałem dwóch przyjaciół: Roman Prohaska i Marcin Nocoń. Obaj mieszkali na Podklasztorzu, i do szkoły co dzień przychodzili (dziś (3.09.1953) już dawno nie żyją). Dziadek Romana Prohaski – Stanisław Marciszewski był zamożnym obywatelem – rolnikiem na Podklasztorzu i długoletnim ławnikiem w sądzie. Babka pochodziła ze starej jędrzejowskiej rodziny mieszczańskiej – Zakrzewskich. Córka Marciszewskich wyszła za Czecha – Prohaskę, który był malarzem kościelnym. Z tego małżeństwa było dwoje dzieci: Roman i Maria.

Później ów Prohaska – malarz rozszedł się z żoną i wyjechał do Czech; więcej się nie pokazał. Osamotniona jego żona nauczyła się położnictwa (ukończyła kurs położnych w Warszawie), otrzymała stanowisko położnej na kopalni „Saturn” obok Sosnowca i tam zamieszkała na stałe, a oboje jej dzieci (Roman i Maria) wychowywały się u Marciszewskich (dziadków) w Jędrzejowie na Podklasztorzu.

Marian Nocoń był synem bardzo zdolnego i inteligentnego maszynisty kolejowego, który na Podklasztorzu prowadził kolejowy wodociąg, składający się z sadzawki i maszyny, która wodę z sadzawki pędziła aż na stację kolejową w Jędrzejowie do tamtejszej wieży wodnej (zbiornika wieżowego). Przy owej sadzawce i maszynowni był również kolejowy dom mieszkalny, w którym mieszkał ów maszynista Nocoń, ojciec Mariana.



*Budynki dawnego wodociągu kolejowego (współcześnie)*

Obaj ci moi koledzy byli bardzo zdolni; Prohaska – w kierunku – języków, Nocoń – matematyki.

Oprócz tego M. Nocoń grał na skrzypcach; grał będąc w ćwiczeniówce, grał będąc w seminarium, a że miał też dobrego mistrza – Murawiowa, który też na skrzypcach grał znakomicie, to kończąc seminarium był w tej sztuce już niemal artystą. A oprócz tego zdradzał niezmiernie wybitne zdolności w dziedzinie matematyki. Roman zaś Prohaska miał w domu u dziadka b. dużo książek (oczywiście polskich), które czytał i mnie chętnie pożyczał. Gdy ukończyłem seminarium w roku 1901 (czerwiec), a oni obaj w roku 1902, rozjechaliśmy się w różne strony, ale przyjaźń nasza niezmiennie pozostała.

Ta walka rusyfikacji i „obrusienia” z polskością, tak mocno forsowana przez carskie rządy, jeżeli idzie o mnie dała takie wyniki, że kończąc seminarium językiem rosyjskim władałem nawet nieco lepiej niż polskim, ale po upływie roku już u mnie język polski zajął miejsce znacznie wyższe niż rosyjski. To jednak uczenie się w carskiej rosyjskiej szkole, w której wszystko (prócz religii) było wykładane po rosyjsku, to, można powiedzieć, okaleczanie młodzieży, to łamanie języka polskiego z rodziny wyniesionego, ta dziesięcioletnia rusyfikacja szkolna u mnie dała takie wyniki, że jeszcze dziś nie mam w przyzwyczajeniu dobrego i czystego stylu polskiego. Boć jeżeli się ktoś w ciągu dziesięciu lat swej najbardziej chłonnej młodości uczył tylko po rosyjsku, to choćby później nawet bardzo się starał pisać i mówić poprawnie – nie jest w stanie pozbyć się tego kalectwa, tego szkolnego obarczenia, tego forsownego psucia języka polskiego, które wtedy w uciemnionej Kongresówce w carskim szkolnictwie stosowano.

Duży też wpływ na mój sposób ustnego i pisemnego wyrażania się wywarła późniejsza moja nauka łaciny i niemieckiego. Łacina bardzo mi się podobała. W ducha tego języka starałem się bardzo wżyć, by go łatwiej opanować. To mi ułatwiało

naukę łaciny, ale psuło polszczyznę. Duży wpływ stylistyczny wywarły na mnie też Kazania Sejmowe Skargi, budową których bardzo się zachwyciłem. Zawsze bowiem miałem pociąg do takiej pięknej prozy, która graniczy z poezją.

Te wszystkie szkolne, młodzieżowe obarczenia, te wpływy łaciny, niemieczyny i Kazań Sejmowych oraz pociąg do prozy poetycznej w sumie sprawiły, że jeszcze dziś nie mam w swych pracach piśmiennych dobrej rutyny w dziedzinie stylistyki polskiej, co – sędzę – czytelnicy łatwo zauważą, a za co ich przepraszam. Wybaczcie: dziesięć lat uczono mię tylko po rosyjsku. Tego faktu cofnąć nie można.

Wracając do spraw politycznych zaznaczam, że walka PPS i Narodowej Demokracji (Ligi Narodowej), która w końcu wieku 19go w Polsce się rozgrywała, dotarła i do ówczesnego seminarium nauczycielskiego w Jędrzejowie. A więc w Zielone Świąta r. 1901 przybył do Jędrzejowa przedstawiciel PPS – Antoni Anusz i na zebraniu konspiracyjnym, zorganizowanym z uczniami III-go kursu w samo południe pierwszego dnia tych świąt w pobliskim „Gaju” mówił o programie i celach P.P.S. (Później działacz ten przeszedł do PSL Wyzwolenia i w pierwszym Sejmie Ustawodawczym był przewodniczącym Komisji Wojskowej. Stanowił o wtedy w PSL-Wyzwolenie prawe skrzydło).

Już nawet nie pamiętam, kto z uczniów III kursu zorganizował to zebranie w Gaju. Treści przemówienia Anusza w Gaju też nie pamiętam. Tyle wiem, że odtąd Anusza znałem. Po ukończeniu seminarium cały kurs III (kończący) urządził pieszą wycieczkę do Częstochowy. Mieliliśmy tylko jedną furmankę, która wiozła nam bagaże i żywność. W Częstochowie przebywał były prefekt (nauczyciel religii) seminarium nauczycielskiego w Jędrzejowie – ks. Adamczyk, który uczył religii przed ks. Jędrychowskim. Przy pomocy więc ks. Adamczyka otrzymaliśmy (było nas 25) na Jasnej Górze kwaterę i stołowanie (w refektarzu) Byliśmy tam 4 dni. Zwiedziliśmy klasztor i miasto. Wycieczka ta nie miała jednak charakteru pątniczego, a raczej krajoznawczy. Z Częstochowy rozjechaliśmy się do domów koleją.

Wkrótce jednak potem nie przypominam sobie kto zorganizował w lecie r. 1901 drugą naszą wycieczkę koleżeńską do Warszawy. Nie pamiętam również, czy były na to jakie koszty podróży, czy też jeździliśmy na koszt własny. Raczej skłaniam się do tego, że ten zjazd był zorganizowany przez nauczyciela z Warszawy Arcichowskiego (czy też Arciszewskiego), który w owe czasy był znanym działaczem Ligi Narodowej (Narod. Demokracji), a którego później widziałem jako posła z obozu t.z. „narodowego” w pierwszym Sejmie Ustawodawczym. Był on wzrostu dość wysokiego, chudy, szczupły, z małą bródką. W czasie posłowania był on urlopowanym nauczycielem w Warszawie, a szkoła jego była gdzieś w sąsiedztwie kościoła na Mokotowie, przy ulicy Puławskiej.

Na to zebranie jednak nie byli proszeni wszyscy b. uczniowie III kursu, a tylko niektórzy. Z liczby 25 było nas tam z 10ciu. Oczywiście byliśmy tam na zebraniu t.z. „narodowym”, na którym przemawiał ów nauczyciel Arcichowski i inni mówcy „narodowi”, a w tej licznie i jakiś wielki wódz, którego wszyscy tam wielce honorowali jakby jakąś wielką powagą. Prawdopodobnie był to „sam Dmowski”.

Zebranie trwało prawie cały dzień. Co na tym zebraniu mówiono, już dziś nie pamiętam. Po zebraniu otrzymaliśmy po kilka książek; tytuł jednej nawet pamięta. Była to książka krajoznawcza p. t. „Z biegiem Wisły”. Przytaczam te fakty zaś poto, by było jasne, że – biorąc pod uwagę raz zebranie Anusza (PPS) a drugi Arcichowskiego (ND) – należy wywnioskować, że PPS i ND ostro wtedy walczyły o umysły i polityczne nastawienie przyszłych nauczycieli ludowych.

Przyznaję się, że wysłuchawszy raz przemówienia Anusza (w Gaju), a drugi – Arcichowskiego (i Dmowskiego) w Warszawie – nie od razu mogłem się połapać, co jest lepsze: i to było dobre, i owo również. Długo więc myślałem i nie mogłem wyrozumieć. Dopiero gdym przepracował jako nauczyciel ludowy w Chomentowie już całą zimę, zaprosił mnie do siebie w przewodnią niedzielę do Motkowic do szkoły nauczyciel tejże szkoły Henryk Krynicki (późniejszy kierownik 7 klasowej szkoły podstawowej w Chmielniku, dziś już nie żyje). Nie tylko mnie zaprosił, ale jeszcze innych: razem kilku młodych nauczycieli. Przybył tam znowu przedstawiciel PPS (zupełnie mi nieznany) i odbyło się zebranie konspiracyjne, które trwało pół dnia.

Po wysłuchaniu przemówienia tego delegata PPS i po przeprowadzeniu dyskusji ostatecznie rozstałem się z ND, co trwa do dziś (3.09.1953). Z tego wynika, że przechyliłem się ostatecznie na stronę PPS. Tak było w rzeczywistości. Mój wybór odbył się na podstawie następującego rozumowania: Jedna strona mówi o niepodległości Polski (ND) i druga również (PPS), ale druga dodaje, że w tej niepodległej Polsce trzeba też walczyć i o to, by sprawiedliwość społeczną na ziemi do ludzi przybliżyć, a pierwsza o tym nic nie wspomina. Z tego wychodziło, że strona pierwsza, gdyby osiągnęła Polskę



niepodległą, to do ulepszeń życia społecznego nie będzie się kwapić, bo to życie uważa widocznie za dostatecznie dobre (konserwatyzm). Druga zaś strona zapowiadała, że nie tylko trzeba walczyć o niepodległą Polskę, ale również o to, by w tej Polsce było dobrze, zwłaszcza ludziom biednym, którzy pracują.

To właśnie dążenie do lepszego, ten program ciągłego ulepszania życia, a co za tym idzie – wchodzenia na drogę postępu – spowodował, iż wybrałem program PPS. Zdecydowały więc zestawione obok siebie dwa wyrazy: konserwatyzm (zastój) i postęp. Przechyliwszy się wtedy, w roku 1902, na drogę postępu kroczę nią w miarę mych sił do dziś. Dlatego też to motkowskie zebranie odegrało w moim życiu rolę decydującą, a Henryk Krzywicki, o 3 lata starszy ode mnie, pozostał moim przyjacielem do swej śmierci, która nastąpiła w latach 1937-1938.

Moi zaś przyjaciele, o których pisałem nieco wyżej, ukończywszy seminarium w roku 1902 – również obaj przechyliłi się na stronę PPS, to jest na stronę jedynej wówczas w Polsce partii postępowej. Roman Prohaska i Marian Nocoń zdecydowawszy zgodnie przejście na stronę PPS, rozjechali się: Nocoń pojechał do Warszawy studiować muzykę w Konserwatorium, a Prohaska otrzymał stanowisko nauczyciela szkoły podstawowej przy kopalni „Saturn”, utrzymywanej przez tę kopalnię. Była to ta sama kopalnia, przy której pracowała jego matka. Zamieszkał więc u matki. Tam wszedł w stosunki z tamtejszymi organizacjami PPS i stał się tamtejszym działaczem tej partii.

Ja zaś, będąc już nauczycielem w Chomentowie, od roku 1902 przez Prohaskę też nawiązałem łączność z PPS w Zagłębiu, wzięłem niejako pod swoją opiekę seminarium nauczycielskie w Jędrzejowie i przez kilka lat organizowałem w końcu roku szkolnego (czerwiec) z kursem III-cim (kończącym) zebrania konspiracyjne, na które sprowadzałem prelegentów z Zagłębia (przy pomocy Prohaski). Oczywiście robiłem to w tym celu, by przyszli nauczyciele byli ludźmi postępowymi.

Udawało mi się to tylko częściowo, boć „narodowcy” też robili swoje i niektórych do swego obozu przeciągali, czyli walka polityczna i ideologiczna trwała i na odcinku młodonauczycielskim. Nauczyciele zaś, którzy ukończyli to seminarium znacznie wcześniej, gdy prądu niepodległościowego jeszcze nie było i w Kongresówce panował zupełny polityczny zastój, byli z nielicznymi wyjątkami mniej ciekawi, to jest byli bezwolnym narzędziem carskich władz szkolnych, czyli nie sprzeciwiali się złu, którym była rusyfikacja dzieci i kraju.

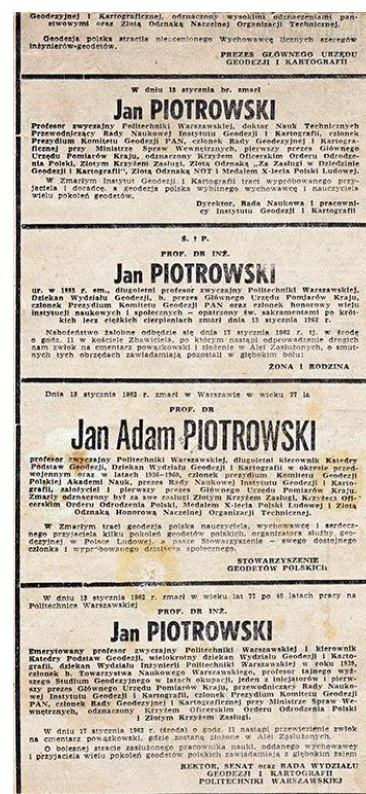
Dyrektor Szczerkowski po ukończeniu przeze mnie seminarium urzędował jeszcze w Jędrzejowie kilka lat; wreszcie przeszedł na emeryturę i wyjechał do Kielc. Tam jego młoda i przystojna żona dość jaskrawe prowadziła znajomości z kieleckimi oficerami, co zatruwało życie jej męża. Widziałem go ostatni raz w lecie 1914 w ogrodzie miejskim w Kielcach; był już niedołężnym staruszką, nawet mię już nie poznał. Gdy się rozpoczęła wojna (sierpień 1914) wyjechał do Rosji i więcej go nie widziałem.

Ów dobry nauczyciel matematyki, mierny nauczyciel przyrody i lichy nauczyciel jęz. polskiego – Borucki – w dwa lata po moim wyjściu z seminarium zmarł na raka w szpitalu w Warszawie. Nauczyciel rysunków i kaligrafii Starankiewicz pracował i dziwactwa wyczyniał jeszcze kilka lat, poczym przeszedł na emeryturę i wyjechał do Rosji. Książd Jędrzychowski pracował jako prefekt do r. 1910; przeszedł w tym roku na stanowisko proboszcza do Ogrodzieńca (pow. Olkusz), a w roku 1930 – do Krzcięcic (pow. Jędrzejów), gdzie już pozostał do śmierci (w czasie drugiej wojny światowej).

Większość moich szkolnych kolegów pozostała w nauczycielstwie; straciłem z nimi łączność i nawet nie wiem, gdzie pracowali, i kto z nich żyje. Ale była też spora część i takich, którzy poszli w zupełnie innym kierunku. Na przykład – jeden z nich wkrótce okazał się burmistrzem m. Pabianice, dwóch poszło na księży; ci żyją i na parafiach jeszcze pracują, a kilku



Profesor Jan Piotrowski



### Nekrologi prof. Jana Piotrowskiego

pod wpływem Boruckiego pojechało do Rosji, tam ukończyli szkoły miernicze i pracowali jako jeometry; byli to: Baryłko, Dercz, Gudowski, Szlezyngier, Skalski, Górski; dwaj zaś – Warchałowski i Jan Piotrowski, syn Kazimierza z Jędrzejowa, o którym pisałem znacznie wyżej, ukończyli moskiewski instytut mierniczy i poszli w kierunku naukowym. Obaj wyjechali na Syberię i tam byli profesorami miernictwa na tamtejszej świeżo założonej politechnice.

Po powstaniu w roku 1918 państwa polskiego – obaj powrócili do Warszawy. Warchałowski został rektorem politechniki warszawskiej, a Piotrowski – profesorem. W roku niniejszym (1953) przeniesiono Warchałowskiego na stanowisko profesora, co spowodowało jego śmierć, która nastąpiła w tymże roku. Profesor zaś Piotrowski w dalszym ciągu pracuje na politechnice warszawskiej.

## Część III

# Praca w szkolnictwie

Ukończyłem seminarium nauczycielskie mając lat 18. Zaraz też dostałem nominację na nauczyciela w Chomentowie, gmina Sobków, pow. jędrzejowski – od 1 września 1901. Pojechalśmy też obaj z ojcem do Sobkowa do tamtejszego wójta, który miał mię wprowadzić w urządowanie. By skrócić drogę jechaliśmy nie przez Brzegi i Sokołów, a z Mnichowa przez Smyków i przez Nidę w bród. Woda w Nidzie była wtedy dość duża; z trudem więc przez tą rzekę przejechaliśmy.

Wójt wyjechał na objazd gminny; musieliśmy czekać do wieczora; pisarzem był kielczanin Bolesławski (później był pracownikiem magistratu w Kielcach). Gdy wójt powrócił (był to chłop Pyzowski), pojechalśmy z nim i pomocnikiem pisarza do owego Chomentowa. Tam zgłosiliśmy się do proboszcza, bo w Chomentowie jest kościół, by odebrał ode mnie przysięgę służbową. A więc wieczorem w tamtejszym kościele złożyłem w obecności wójta, pomocnika sekretarza i miejscowego sołtysa odczytaną przez księdza przysięgę służbową (po polsku), następnie sporządziliśmy protokół o tej przysiędze (po rosyjsku), który podpisali: ksiądz – proboszcz, ja, wójt, pomocnik pisarza i sołtys. Następnie wróciliśmy do Sobkowa, gdzie w kancelarii gminnej podpisałem protokół, że szkołę w Chomentowie od wójta gminy przyjąłem. Odtąd więc stałem się nauczycielem w Chomentowie.

Nie znaczy to, że zaraz zacząłem dzieci uczyć, boć będąc w Chomentowie dowiedziałem się od tamtejszego sołtysa, że nauka w szkole podług przyjętego zwyczaju rozpocznie się 3 listopada. Wróciłem więc z ojcem do domu i pracowałem nadal w gospodarstwie. Zaś wójt przesłał do Dyrekcji Szkolnej (gubernijalnej) urzędowe zawiadomienie, że szkołę przyjąłem i załączył protokół o dokonanej przysiędze.

Dopiero w trzeciej dekadzie października odwiózł mnie ojciec do Chomentowa; tym razem jechaliśmy drogą najkrótszą przez Mokrzko; woda w Nidzie była mała, a i bród w Mokrzku jest dobry; przeprawa więc przez rzekę odbyła się dobrze. Zabrałem ze sobą łóżko żelazne, kuferek z garderobą, siennik i pościel, trochę naczyń kuchennych, kubły na wodę i maszynkę do gotowania „Prymus”.

Szkoła mieściła się w budynku własnym, drewnianym, oszalowanym deskami. Dom ten stoi do dziś. Stoi on na najwyższym punkcie w Chomentowie, tak że cała wieś i kościół są jakby „pod nogami” szkoły. W budynku była dość duża sala lekcyjna i mieszkanie dla nauczyciela; mieszkanie składał się z dwóch izb (pokój i kuchnia) i spiżarki.

Ponieważ pokój był obrócony na północ, trochę wilgotny i zagrzybiony, zamieszkałem w kuchni, która była słoneczna i którą przefasonowałem na ładny pokój mieszkalny. Stała tam szafa szkolna, przedzielona na dwie części: jedna – książki i akta i druga do wieszania ubrania. Nie potrzebowałem więc szafy kupować, stołów szkolnych było dwa: jeden w mieszkaniu dla nauczyciela, drugi w sali szkolnej. Nie potrzebowałem też kupować stołu; krzesełek szkolnych też było kilka i również nie trzeba ich było kupować.

W szafie zainstalowałem palto, a w połowie dla książek – środki spożywcze. Książki, o których wspominam, miały imitować t.z. „bibliotekę szkolną”. Było ich zaledwie kilka; były to jakieś stare, przedpotopowe książczyska rosyjskie, trochę niby treści pedagogicznej, trochę beletrystycznej; krótko: t.z. „biblioteka szkolna”, która miała niby rusyfikować dzieci – równała się niemal zeru. Tego Apuchtin nie dopatrzył. Tym lepiej: rusyfikacja się nie udała a ja miałem w szafie dużo miejsca na środki spożywcze.

Co się tyczy aktów szkolnych – to były to dwie teczki: w jednej były wszyte wszystkie okólniki, jakie do szkoły przychodziły. Było ich ze 30. W drugiej były wszyte odpisy wszystkich pism, jakie moi poprzednicy – nauczyciele do Dyrekcji szkolnej do Kielc kiedykolwiek wysyłali. Było tego z kilkadziesiąt, bo szkoła istniała tam przede mną już ze 20 lat. Nauczyciel, który pracował tam przede mną – Węgrzecki wyjechał już wiosną tegoż roku. Szkołę oddał wójtowi, a z ramienia wójta sołtysowi. Od sołtysa więc przejąłem praktycznie to wszystko.

W pokoju pustym zainstalowałem na taborecie miednicę i kubel z wodą, a drugi z pomyjami. Wodę przynosił mi z sąsiedniej studni wynajęty chłopiec, który też wynosił pomyje. Wszelkie inne czynności domowe wykonywałem sam. W kuchni, która stanowiła moje mieszkanie, był dobry komin kaflowy z blachą do gotowania; był też i piec kaflowy, który ogrzewał jedną

stroną kuchnię, a drugą pusty pokój. Na kominie kuchennym zainstalowałem maszynkę Prymus, zasłoniłem komin płócienną firanką, postawiłem stół przy ścianie południowej pomiędzy oknami, które wychodziły na południe, postawiłem obok stołu kilka krzesełek, przykryłem łóżko ładnym połyskującym wełnianym kocem, a stół porządną ceratą; powiesiłem na ścianach kilka obrazków, a że podłoga była czysto wymyta i starannie szmatą wytarta – wszystko to razem tworzyło wcale niebrzydki, wesoły pokoik. Śniadania i kolacje przyrządzałem sobie sam. Chleb, masło, ser, mleko, jaja mogłem zawsze dostać na wsi bez trudności. Herbatę, kawę (w ziarnie) lub kakao, którego dużo używałem, przywoziłem z miasta: z Jędrzejowa lub Kielc.

W tym czasie rozpoczęła się już samorzutna akcja usuwania ze wsi żydowskich sklepikarzy; stało się to i w Chomentowie; i tam się też zainstalował sklepikarz polski. Był to były ślusarz fabryczny z Zagłębia Dąbrowskiego, rodak z Piotrkowic odległych od Chomentowa o 7-8 kilometrów; nazwał się – Ciosek. Wynajął on w domu chłopca Skorodnia pomieszczenie na swe mieszkanie i sklepik, i takowy założył. Sprzedawał tam wszystko, co dla wsi było potrzebne a także słoninę, kiełbasę, kiszkę, wieprzowinę; wieś mu płaciła jajami, a także gotówką. Wódki nie sprzedawał, był bowiem sympatykiem PPS i przeciwnikiem pijaństwa. Ponieważ wieś go popierała masowo, przeto poprzedni żyd – sklepikarz – doprowadzony do nędzy – musiał wieś opuścić. Działo się to na moich oczach, bo Ciosek sprowadził się do Chomentowa zaledwie w dwa miesiące wcześniej ode mnie, a zbankrutowany żydowski sklepikarz wyjechał ze wsi wiosną r. 1902. U tego to sklepikarza Cioska obstałowałem sobie obiady, gdyż jego żona dobrze gotowała, a sklepik był od szkoły blisko.

Przy szkole była stodołka, pomieszczenie na krowę, drwalka i ustęp. Podwórko było ogrodzone sztachetami. Ze stodołki i pomieszczenia na krowę korzystał sąsiedni chłop Ignacy Kwas. Wprawdzie była przy szkole i ziemia: pięć morgów w Staniowicach i 3 w Chomentowie. Ziemia w Staniowicach była nawet wcale niezła, a w Chomentowie bardzo kamienista. Ziemię tę wydzierżawiałem chłopom ze Staniowic i z Chomentowa, stodołka więc i pomieszczenie na krowę lub świnie nie były mi potrzebne. Drzewa sągowego można było kupić w sąsiednim lesie w Łukowej odległym ze 4 kilom. Wynajmowałem co rok w jesieni furmanki, jechałem z nimi do lasu, kupowałem drzewo sągowe w takich ilościach, by wystarczyło na całą zimę i składałem je w drwalce. Drzewo dla siebie i dla szkoły rąbałem sam, dając ludziom przykład, że nowy typ t.z. inteligenta chłopskiego nie wstydzi się pracy fizycznej. Również i wszelkie drobne reperacje w budynku szkolnym, o ile tylko były możliwe do wykonania, jak nap. – wprawianie szyb – wykonywałem sam.

Sala szkolna była dość spora. Miała 4 okna (i ma, bo jest do dziś); dwa na południe i dwa na północ, ale na miejscowe potrzeby była jednak już wtedy za ciasna. Piec kaflowy był jeden. Dobrze grzał; w sali było ciepło. Wejście do sali szkolnej i do mieszkania nauczyciela a także i do spiżarki (zupełnie pustej) było jedno, z sieni. Przed sienią był ganek, na który wchodziło się i wchodzi po wysokich schodach kamiennych. Ten dom szkolny stoi tam i dziś (5.09.1953), uległ tylko tej przeróbce, że ściana pomiędzy kuchnią i pokojem w dawniejszym mieszkaniu nauczyciela została rozebrana, z kuchni i pokoju utworzono drugą salę szkolną, bo dziś szkoła ta została z trzyoddziałowej przekształcona na więcej klasową, a nauczycielstwo ma mieszkania na wsi. Wtedy zaś, tj. w roku 1901 i następnych szkoła była trzyoddziałowa z jednym nauczycielem. Do tej więc szkoły przybyłem w końcu października; wynająłem kobietę na wsi, która w sali szkolnej, sieni i w mieszkaniu dobrze wybieliła ściany i powały i wymyła podłogi i okna. Sprowadziłem drzewo na opał, przeczekałem święto 1 listopada i Dzień Zaduszny i 3 listopada zacząłem zapis dzieci do szkoły. Trwało to kilka dni, po czym rozpocząłem naukę.

Nim przejdę do tej nauki, muszę jeszcze podać kilka wiadomości o ówczesnej organizacji szkolnictwa wiejskiego. Szkoły wiejskie były „gminne” lub „sielskie”. Gminne były te, które postanowiło uruchomić zebranie gminne; gminne szkoły utrzymywały gminy. Sielskie szkoły zaś były te, które były utrzymywane przez jedną wieś lub kilka wsi, t.j. przez jedną gromadę lub kilka gromad. Gdy szkołę utrzymywała cała gmina na mocy uchwały zebrania gminnego, to płaciła też na tą szkołę składkę szkolną cała gmina, t.j. wsie i dwory. Nadmieniam: „składkę szkolną”, gdyż na utrzymanie szkoły był osobny podatek z morgi, który się właśnie nazywał składką szkolną. Zaznaczam również, że w owe czasy gmina wiejska nie miała oprócz składki z morgi żadnych innych dochodów.

Wysokość składki szkolnej przy szkołach gminnych uchwalano zebranie gminne. Raz uchwalona wysokość tej składki (czyli w rzeczywistości i budżet szkoły) nie mogła być zniżona, bo były takie przepisy, że jeżeli gmina uruchomiła szkołę gminną i wyznaczyła na jej utrzymanie ze swej strony pewną sumę pieniędzy, to w następstwie mogła tą sumę tylko



podnieść, a nie mogła zniżyć. Szkoła zaś sielska była wtedy, gdy jedna wieś lub kilka postanowiły szkołę założyć i wyznaczyły na to pewną sumę pieniędzy, którą też mogły w następnych latach podnieść (jeżeli zechciały) ale nie zniżyć.

Wieś mogła się składać z gromady ukazowej samej, lub razem z rozparcelowanym obszarem dworskim. Dwór nierozparcelowany do gromady ukazowej nie należał i należeć nie mógł. Ale tenże dwór rozparcelowany i zagospodarowany przez chłopów stanowił wtedy jedną lub kilka grup parcelacyjnych. Taka gmina parcelacyjna (właśnie urzędowo nazywała się „grupą”) miała swój wewnętrzny samorząd (o czym jeszcze będę pisał później) i mogła z miejscową gromadą „ukazową” razem szkołę budować.

Dwór też mógł się z gromadą połączyć i wspólnie szkołę założyć, ale nigdy tego żaden dwór nie chciał (a przymusu nie było), bo o naukę dzieci fornalskich przecie nie dbał. Krótko: dwór do gromady nie należał; dwór nierozparcelowany z gromadą chłopską „ukazową” łączyć się nie chciał; natomiast dwory rozparcelowane, czyli t.z. chłopci – parcelanci chętnie w sprawach szkolnych z gromadami się łączyli. Szkoła w Chomentowie była więc utrzymywana przez, można powiedzieć, niejako – spółkę szkolną, składającą się z gromady ukazowej Chomentów, z trzech grup parcelantów po byłym dworze w Chomentowie, z gromady Staniowice i grup parcelacyjnych po byłym dworze w Staniowicach, z gromady Drochów i grupy parcelacyjnej po rozparcelowanym dworze w Drochowie, z gromady Lipa (nierozparcelowany dwór w Lipie do szkoły nie należał (bo nie chciał), z gromady Jawor (nierozparcelowany folwark w Jaworze również do szkoły nie należał (bo właściciel nie chciał) i z małej grupy parcelacyjnej Karsy, powstałej z rozparcelowanego folwarku Karsy, należącego do dużego dworu w Korytnicy.

Chłopi więc, tj. właściciele gruntów w tych gromadach i grupach byli członkami tego niby towarzystwa, które tą szkołę postanowiło założyć, wybudować i utrzymywać i które pewne kwoty na to uchwaliło – „z morgi”. Tym kolegium urzędowym, które te uchwały podjęło, było zebranie szkolne posiadaczy gruntów w tych gromadach i grupach. Takie zebranie szkolne odbywało się w sali szkolnej w Chomentowie pod przewodnictwem wójta gminy, a protokół tego zebrania pisał w odnośnej księdze uchwał szkoły w Chomentowie – pisarz gminy lub jego pomocnik (uchwały i całe urządowanie były w języku rosyjskim). Resztę czynności wykonawczych wykonywał zarząd gminy

Gdy zaś miała być budowa gmachu szkolnego, to zebranie szkolne wybierało ze swego grona komitet ludowy szkoły. Oczywiście po ukończeniu budowy – zebranie szkolne wysłuchiwało sprawozdania z budowy, które to sprawozdanie składał wójt, bo on w porozumieniu z komitetem szkołę budował. Gdyby zebranie szkolne dostrzegło przy budowie nadużycia, uchwalało przekazać sprawę prokuratorowi.

Tak oto były fundowane i utrzymywane szkoły sielskie. Taką właśnie szkołą sielską była szkoła w Chomentowie. Gdyby się wszystkie dzieci w wieku szkolnym z tych wymienionych gromad i grup do szkoły zgłosiły, to zapewne było by ich ponad 200, ale przymusu nie było, więc zapisywało się razem do trzech oddziałów dzieci 60. Więcej niż połowę stanowiły dzieci z Chomentowa, reszta była z Lipy, z Jawora, z Drochowa, z Kars (2) i jeden ze Staniowic. Do dziś pamiętam, że ci dwaj z Kars nazywali się bracia Jegierscy (jeden się utopił, drugi dziś gospodaruje w Karsach), a ten jeden ze Staniowic nazywał się Grzegorz Chechelski (nie wiem, czy żyje) i był synem chłopca, który w Staniowicach mieszkał na samym końcu wsi od strony Chomentowa. Dzieci służby dworskiej z folwarków nierozparcelowanych lub dzieci tych mieszkańców tych szkolnych wsi, którzy nie posiadali pola i nie mieli uprawnienia do chodzenia do szkoły – do nauki się nie zgłaszały. Z 60 zapisanych przychodziło co dzień średnio 50. Przyjął bym i tych, którzy nie mieli prawa do nauki, bo w sali nie było ciasno, ale się nie zgłaszali.

Szkół w powiecie Jędrzejowskim było wtedy b. mało. W gminie Wodzisław dwie, w gminie Nawarzyce – trzy, w gminie Sędziszów dwie, w gminie Mstyczów cztery, w gminie Nagłowice jedna, w gminie Węgleszyn dwie, w gminie Przasław trzy, w gminie Złotniki dwie, w gminie Małogoszcz dwie, w gminie Brzegi jedna, w gminie Sobków dwie, w gminie Raków dwie i w gm. Imielno (Mierzawa) jedna. W latach 1901-1909 był tylko jeden nauczyciel prawosławny – w Brzegach. Tam więc ksiądz uczył religii. Gminne szkoły były w gminach: Wodzisław, Nawarzyce, Sędziszów, Nagłowice, Węgleszyn, Złotniki, i Brzegi i Raków; reszta gmin miała szkoły sielskie.

Dzieci szkolne były podzielone na trzy oddziały: pierwszy, drugi i trzeci. W pierwszym była nauka czytania i pisania; w drugim – tą naukę trzeba było udoskonalić, a w trzecim mieli już biegle i płynnie czytać (po rosyjsku). Arytmetyka – wszystko w zakresie 4 działań arytmetycznych. Język polski – program podobny do rosyjskiego. Religia – 1 rok – nauka

pacierza, II rok – katechizm, III rok krótka historia starego i nowego testamentu. Najpierw starałem się co dzień przed południem przeprowadzić lekcje z pierwszym oddziałem (wstępniakiem). Na to zużywałem 3 lekcje (po 40 minut z 5cio minutowymi przerwami) – rosyjski, arytmetyka, polski. Reszta uczni w oddziale II i III wykonywała wtedy prace pisemne z języków i arytmetyki

Żadnego pisania w domu nie „zadawałem”, wychodząc z założenia, że warunki bytowania i mieszkania chłopskiego w owe czasy były ku temu nie bardzo sprzyjające. Wszelkie więc pisanie odbywało się tylko w szkole. Po trzeciej lekcji (w południe) oddział I odchodził do domu. Pozostawały się dwa pozostałe oddziały, w których miałem jeszcze 4 lekcje: oddział II 1 lekcja – rosyjski, oddział III 2 lekcja – rosyjski, oddział II – 3 lekcja arytmetyka lub polski, oddział III – 4 lekcja arytmetyka lub polski.

Ten oddział z liczby pozostałych dwóch, z którymi nie prowadziłem lekcji (prowadząc ją z innym) miał obowiązek przygotowywać się do najbliższej lekcji ustnej. A jeżeli to był oddział II, to mógł się też przysłuchiwać nauce, która się wtedy odbywała w oddziale III-cim. Przy takiej nauce oddział wstępny (najliczniejszy) miał w tygodniu 6 lekcji rosyjskiego, 6 lekcji arytmetyki i 5 lekcji polskiego, gdyż ta 6ta lekcja była zużyta na naukę religii.

Oddział II miał również w tygodniu lekcji rosyjskich, 3 arytmetyki i 2 polskiego, gdyż 3cia była użyta na naukę religii. Oddział III miał w tygodniu lekcji ustnych: 6 rosyjskiego, 3 arytmetyki, 2 polskiego gdyż 3cia była zużyta na religię. Ponieważ w oddziale III-cim była też przepisowo nauka geografii i w dużym streszczeniu nauka historii Rosji, to na naukę geografii zużywałem 1 lekcję kosztem arytmetyki, a na naukę historii Rosji – 1 lekcję z liczby przeznaczonych na rosyjski. W ten sposób szczegółowo było w oddziale III tygodniowo 5 lekcji rosyjskiego, 2 lekcje arytmetyki, 2 lekcje polskiego, 1 lekcja religii, 1 geografii i 1 historii.

Tak było do Nowego Roku. Po 1 stycznia oddział I pozostawał się w szkole i po południu, by odrobić 3 lekcje pisemne z rosyjskiego (bo już trochę pisał) z polskiego i arytmetyki. W lutym, gdy dnia przybyło, uczniowie oddziału II i III po ostatniej lekcji pozostawali się raz w tygodniu na gimnastykę (bez dziewczyn), którą urządzałem zużywając na to ze 30 minut w tygodniu.

Powyżej wymieniany rozkład lekcji był dostosowany do przepisów wydanych przez carskie władze szkolne. Święta Bożego Narodzenia były długie, bo podwójne: Katolickie i prawosławne. Święta prawosławne zaczynały się w dzień 3 króli; lekcje więc kończyły się na dzień przed Wigilią (jak i obecnie), a zaczynały trzeciego dnia po 3 królach, o ile tego dnia nie przypadała niedziela. Tak było we wszystkich szkołach niższych, średnich i wyższych w całej Kongresówce.

Językiem wykładowym dla nauki – rosyjskiego, arytmetyki, geografii, historii Rosji i gimnastyki – był język rosyjski. Język polski i religia były wykładane w języku polskim, czyli że tylko na tych lekcjach mógł nauczyciel rozmawiać po polsku, a na innych wymienionych powyżej powinien był rozmawiać po rosyjsku. Piszę „powinien”, bo takie były wymagania władz szkolnych, ale że kontrola, czyli inspekcja była słaba, przeto i praktyka była „rozluźniona”.

Na wsiach obyczajowo nauka kończyła się w sobotę przed Palmową Niedzielą. Już w Poście Wielkim frekwencja słabła, a w sobotę przed Palmową Niedzielą przychodziła już z połowa zapisanych. Nie było przymusu. Taka więc była nauka w ówczesnej szkole wiejskiej, ludowej, powszechnej, a ostatnio – podstawowej.

Naukę religii wykładali wtedy w szkołach wiejskich nauczyciele. Takie było zarządzenie. Dopiero, gdy w jakiejś wsi był nauczycielem człowiek prawosławny, to w tej szkole naukę religii był obowiązany dawać właściwy proboszcz. Tak było do 1905 roku. Wtedy wyszło zarządzenie, że naukę religii we wszystkich szkołach wiejskich mają wykładać miejscowi proboszczowie lub ich wikariusze, o ile się o to będą starać. Byłem nauczycielem w Chomentowie siedem lat, a więc już i po 1905 roku, ale że miejscowy proboszcz po roku 1905 o wykłady religii w tamtejszej szkole wcale się nie starał, to religii w Chomentowie w ciągu siedmiu lat sam wykładałem.

A teraz pytanie: Czy taka szkoła, przeznaczona przez carskie rządy do zupełnego zrusyfikowania wsi polskiej, spełniła swoje zadanie, czy nie. Nie spełniła. A więc pytanie drugie: Czy w takim stanie rzeczy była ona instytucją ostatecznie pozytywną czy szkodliwą? Była pozytywną. Stwierdzam więc z całą siłą, że agitacja endecka (stronictwa „Narodowego”) głosząca po roku 1905, by nie zakładać szkół wiejskich rządowych, a szkółki prywatne, nie była słuszna, bo w praktyce

realnej była na wsi niewykonalna, a dawała tylko takie wyniki „uboczne”, że tamowała wzrost liczebny wiejskich szkół normalnych (rządowych) i powstrzymywała w ten sposób rozwój oświaty na wsi.

Tej to endeckiej agitacji, wyglądającej od parady patriotycznie, że to niby, panie dzieju, walczymy z rusyfikacją, uchwycili się dziedzice i zaczęli po roku 1905 agitację po wsiach i na zebraniach gminnych, by nowych szkół gminnych, ani „sielskich” nie zakładać, a w zamian organizować po wsiach szkolnictwo prywatne, że to niby jest ono z językiem wykładowym polskim (oprócz wykładu języka rosyjskiego). Wiedzieli ci „patrioci”, że ówczesny chłop w Kongresówce nie jest w stanie zorganizować szkolnictwa prywatnego, agitując więc przeciw zakładaniu nowych szkół wiejskich normalnych (rządowych), w praktyce realnej agitowali w ogóle przeciw szerzeniu oświaty, by... nie płacić składki szkolnej ze swej ziemi dworskiej na... oświatę dzieci chłopskich. Nie wszyscy to robili, ale byli tacy i były też takie nastawienia, co w niniejszych pamiętnikach notuję.

Jeżelim powyżej nadmieniał, że ówczesna szkoła wiejska – miała się stać zakładem wielce szkodliwym – stała się w wyniku końcowym instytucją pożyteczną, to postaram się to twierdzenie udowodnić. Prawda, że nauka języka rosyjskiego godzinowo mocno górowała nad arytmetyką i językiem polskim, ale prawda też i to, że nauka języka polskiego, przyswajana przez dzieci polskie chętnie i łatwo dawała w wyniku końcowym znacznie większe rezultaty niż nauka języka rosyjskiego, którego dzieci polskie uczyły się niechętnie i z wielkim trudem. I wszystko to dotyczyło tylko tych szkół, gdzie nauczyciel był zwykłym zjadaczem chleba razowego, ale przecież wielu pośród ówczesnych nauczycieli górowało podam ten poziom zwykłego chlebowego zjadacza.

Wielu, wielu z pośród nich uczyło języka rosyjskiego tyle, ile musiało, a polskiego tyle, ile tylko mogło. To jest druga i poważna okoliczność na korzyść mojego twierdzenia. A trzecią okolicznością, podstawową i zasadniczą było to, że ta cała carska i apuchtinowska kombinacja rusyfikacyjna była oparta na chytrej lecz naiwnej spekulacji, że Polacy Polaków zrusyfikują, i że to nawet zrobią tanio, wprost za psi grosz. Praktyka zaś wykazała, że Polacy Polaków jak mogli – uczyli, a rusyfikować – wcale nie mieli chęci. A dzieci polskie też nie miały chęci się rusyfikować. Ponieważ obie strony nie miały chęci, wynik był taki, iż całe zamiary carsko – milutinowsko – apuchtinowskie na odcinku rusyfikacji nie osiągnęły celu.

Nie dziwny się ani Apuchtinowi, ani Hurce; oni przecie czytali Puszkina, tego gorącego zwolennika „diekabrystów”, tego którego uważamy za kwiat kultury rosyjskiej; a przecie w poezji Puszkina jak wół stoi, że „słowiańskie ruezji soljutsia w russkom morie”. Tymczasem dziś, w chwili gdy to piszę, wszystkie strumienie i rzeki polskie płyną nie do morza rosyjskiego, tylko... do Bałtyku. Jeżeli się pomylił tak wielki luminarz i wieszcz – Puszkina, to nic dziwnego, że pomylili się też i Apuchtin, i Hurko i inni. Pomylił się też haniebnie i Fryc rzekomo wielki i Bismark i pyszałkowaty a gadatliwy Wilhelm II. Pomylił się też nawet i sam „heil Hitler”.

Ale wróćmy do szkoły w Chomentowie. Staralem się, ile mogłem, by się choć o trzy milimetry podnieść wyżej ponad poziom zwykłego zjadacza chomentowskiego chleba razowego. To też starałem się, by wykłady języka rosyjskiego były minimalne, a polskiego i arytmetyki maksymalne. Pomagały mi w tym same dzieci, które języka polskiego uczyły się 5, 6 razy szybciej i łatwiej, niż rosyjskiego. Kupowałem, oczywiście na swój koszt, w Kielcach drobne i bardzo popularne powiastki i nowelki polskie (były bardzo tanie) i takowe dzieciom III-go a nawet II-go stopnia dawałem, by w domu czytały. Rozumowałem bowiem, że mało jest nauczyć dzieci czytać, ale że trzeba je jeszcze wdrożyć do czytania, bo trzeba dążyć, by u nich powstał nałóg czytania. Robili to i inni nauczyciele.

W programie języka polskiego nic nie było powiedziane o nauce gramatyki. A przecie w III roku nauczania uczyłem gramatyki polskiej i nie tylko etymologii, ale i składni i pisowni i nauki o interpunkcjach t.j. nauki, gdzie pisać przecinek, gdzie średnik, dwukropek itp. Kto cały trzechletni kurs tej szkoły ukończył, ten się tego u mnie nauczył. Przykładałem się także dobrze do nauki arytmetyki, a jeszcze lepiej do nauki geografii (III oddział), jako, że jest to mój przedmiot ulubiony.

Co się tyczy języka rosyjskiego, robiłem tyle, ile stanowił przymus. Ci którzy szkołę trzechletnią w Chomentowie (i gdzieindziej) w pełni ukończyli, w prawdzie biegle i płynnie po rosyjsku nie mówili, ale po rosyjsku umieli nieźle pisać, mogli każdy urzędowy akt łatwo przeczytać i zrozumieć i bez żadnego trudu rozumieli to, co rosyjski urzędnik, policjant lub kozak do nich mówił. To stanowiło dla nich życiowe ułatwienie.

Po opuszczeniu tej carskiej szkoły wiejskiej Polak szybko zapominał naukę rozmowy rosyjskiej, a coraz mocniej utwierdzał się w rozmowie polskiej. Krótka, co było dawane z wysoko-odgórną złą tendencją, to od ucznia odpadało, a co było dlań użyteczne, - pozostawało. Zupełnie tak jak się śpiewa: „Co złe, to w gruzy się rozleci; co dobre – wiecznie będzie żyć”.

Religii – mimo narastających u mnie przekonań wolnomyślnych – uczyłem też gorliwie. Oprócz wymienionego powyżej programu religii – uczyłem też po łacinie ministrantury i tego, jak służyć do mszy; to też wykształciłem pewną liczbę takich uczniów którzy potem stale do mszy służyli. Tym się tłumaczy, że tamtejszy ówczesny proboszcz, poczciwina ks. Stan. Białas, nawet po roku 1905 do nauki religii w szkole wcale się nie spieszył, wiedział, że robię to starannie.

Płaca nauczyciela szkoły sielskiej była wtedy następująca: 15 rubli miesięcznie jako wynagrodzenie zasadnicze oraz kwoty na opał całego domu szkolnego, na utrzymanie tego domu w czystości i na wydatki kancelaryjne. Razem suma na te tak zwane wydatki rzeczowe stanowiła tam wtedy 6 rubli z kopiejkami miesięcznie. Razem więc otrzymywałem wszystkiego 21 rubli z kopiejkami. Z tego musiałem opalać gmach szkolny, utrzymywać go w porządku: bielić, wprawiać szyby, myć podłogi i t.p. oraz czynić wydatki kancelaryjne. Był to zaiste „psi grosz”.

Tak rozpocząłem swoją karierę życiową. Wprawdzie nauka trwała krótko: od listopada do kwietnia, ale też co dzień trzeba było siedem lekcji odrabiać. Ten zwyczaj – chodzenia dzieci do kwietnia chciałem przełamać. Ogłosiłem więc, że lekcje w szkole będą i po świętach Wielkanocnych, przybyłem do Chomentowa po Świętach w Przewodnią niedzielę i czekałem na uczniów ze dwa tygodnie, ale nikt się nie zjawił, więc wyjechałem do Sudołu, pozostawiając klucz u sołtysa. Próbowałem też uruchomić naukę nie po pierwszym listopada, a zaraz po 1 października, ale również bezskutecznie.

Jak się przedstawiała sprawa nadzoru, t.j. wizytacji? Władzą szkolną nad szkołami podstawowymi i seminarium nauczycielskim w Jędrzejowie na całą gubernię kielecką (7 powiatów) był naczelnik t.z. gubernialnej dyrekcji szkolnej. Żadnych pomocników nie miał. Sam jeden jednoosobowo miał wizytować seminarium nauczycielskie i szkoły podstawowe w miastach i wsiach wszystkich 7miu powiatów. To było za wiele. To też wizytacje szkół po wsiach był rzadkie. To była bardzo poważna szczyba w tym systemie rusyfikacyjnym. Nauczyciele przecie o tym wiedzieli. Z tego też powodu a także i z tych, o których już wspominałem, rusyfikacja ta ześlizgnęła się z mas chłopskich w Kongresówce jak woda z gęsi, gdy się w rzece kąpie.

W ciągu mojej siedmioletniej bytności w Chomentowie wizytator w osobie ówczesnego naczelnika gubernialnej dyrekcji szkolnej był dwa razy. Był to dość wysoki dygnitarz szkolny w stopniu tak zwanego rzeczywistego radcy stanu, a więc tytułować go trzeba było „Wasze Priewoschodótelstwo”, t.j. Ekscelencjo! Wtedy w szkolnictwie carskim był taki sposób witania wizytatora przez dzieci jak i w wojsku carskim. A więc, gdy wchodził do szkoły, dzieci winny były wstać, a gdy się z nimi po rosyjsku niby przywitał mówiąc: „Zdrawstwujtie dieti!” – dzieci winny były odpowiedzieć zbiorowo: „Zdrawia żelajem, Wasze priewoschodótelstwo!”, co znaczyło: „Zdrowia życzymy, Wasza Ekscelencjo!”.

Oprócz wiadomości, które były w programie nauczania, musiały dzieci znać dobrze tytuły, o których pisałem na początku, jak również musiały dobrze zaśpiewać carski hymn państwowy i ze dwie rosyjskie piosenki. Trzeba więc było, spodziewając się wizytacji, nauczyć dzieci owego zbiorowego powitania, o którym wyżej, tytułów oraz śpiewać carski hymn i ze dwie rosyjskie piosenki. Dużo na to trzeba było zużyć czasu, ale był to mus i trzeba to było wykonać. Szczególnie dużo trzeba było zużyć czasu na nauczenie dzieci śpiewu carskiego hymnu „Boże, caria chrani!”, który miał melodię powolną, rozwlekłą z półtonowym cieniowaniem. Dużo musiałem włożyć w to pracy, nim doprowadziłem do tego, że dzieci nauczyły się śpiewu tego hymnu. To też obie wizytacje i pod względem programu naukowego i pod względem tytułów, śpiewu carskiego hymnu, rosyjskich piosenek i nawet przywitania i pożegnania wizytatora – wypadły zadowolniająco. A pożegnanie znowu było takie, że gdy wizytator wychodził ze szkoły, żegnał się z dziećmi mówiąc: „Proszczajtie, dieti!” (Żegnajcie, dzieci), to dzieci winny były wstać i odpowiedzieć: Szczęśliwo ostawatisia, Wasze Priewoschodótelstwo! (Bądźcie szczęśliwi, Wasza Ekscelencjo!).

Ogółem mogę stwierdzić, że te wszystkie plany rusyfikacyjne i wymagania rusyfikacyjne zajmowały nauczycielom dużo czasu i dużo mozołu na ich realizowanie, przeszkadzały w nauce języka polskiego i innych przedmiotów naukowych, a swego celu nie osiągnęły. Słusznie Żeromski zwał to wszystko „szyfową pracą”. Tyle tylko ta rusyfikacja robiła, że zabierając dużo czasu – zmniejszała wyniki nauczania języka polskiego i innych przedmiotów naukowych.



Każdy nauczyciel wiedział, że po wizytacji następna może być za dwa lata, do tego po wizytacji nie był skrępowany urzędowym rozkładem lekcji i uczył, jak chciał. Ten więc słaby nadzór nad tą rusefikacją był słabym punktem tej carskiej polityki rusefikacyjnej. Wizytator interesował się nie tylko nauką, ale również i nastawieniem ludności do szkoły a także warunkami materialnymi szkoły. Przy pierwszej wizytacji, przeglądając budżet szkolny, zauważył, że na opał i na utrzymanie porządku była za mała kwota pieniężna przeznaczona. Zapisał to sobie w notesie. A swoje spostrzeżenia dotyczące sposobów nauczania oraz wyniki lustracji wizytator zapisywał w księdze wizytacyjnej, która w szkole się znajdowała. Po odjeździe wizytatora nauczyciel musiał w przeciągu tygodnia wysłać do Kielc do Dyrekcji szkolnej gubernialnej – odpis tego protokołu.

Co się tyczy notatki odnośnie niedostatecznej sumy na opał i utrzymywanie czystości w domu szkolnym – wizytator powróciwszy do Kielc napisał o tym naczelnikowi powiatu w Jędrzejowie, a ten znowu wójtowi, by zorganizował zebranie szkolne w Chomentowie i zaproponował podwyższenie sumy na opał i utrzymywanie czystości. Tak też wójt zrobił. Ale że zebranie szkolne odmówiło jakiegokolwiek podwyżki na te cele budżetowe, to naczelnik sam podług swego uznania podwyższył te obie kwoty do wysokości, jaka była w innych szkołach, i polecił tą podwyżkę dołączyć do składki szkolnej. Nazywało się to „primuditielnaja rozkładka” (rozkład przymusowy). Na mocy więc tego rozkładu przymusowego budżet szkoły „sielskiej” w Chomentowie uległ nieznacznemu powiększeniu, tak że od trzeciego roku tamtejszej służby pobierałem na wszystko miesięcznie zamiast 21 rubel z kopiejkami – sumę 26 rubli.

W roku 1906 rząd carski uregulował sprawę płac nauczycielskich w szkołach gminnych i sielskich na 300 rubli rocznie, co miesięcznie stanowiło 25 rubli poborów. Brakujące kwoty rząd z funduszków skarbowych gminom dla każdej szkoły ze swej strony dopłacał. Wtedy więc płaca zasadnicza 2 rubli plus dodatki budżetowe stanowiły około trzydziestu pięciu rubli miesięcznie, co było znacznym polepszeniem w stosunku do pierwotnej kwoty 21 rubel. Taka regulacja płac w szkołach wiejskich (gminnych i „sielskich”) pozostała do wybuchu pierwszej wojny światowej.

Chomentów nie był podobny do Sudółu. Sudół był wsią poduchowną (klasztorną), Chomentów – prywatną (szlachecką); w Sudole uwłaszczenie było w roku 1861 i chłopci dostali ziemię w koloniach i bez szachownicy, zaś w Chomentowie chłopci byli uwłaszczeni dopiero w r. 1864, dostali tą ziemię, którą mieli przed uwłaszczeniem i tam gdzie była przed uwłaszczeniem; w Sudole były kolonie, a w Chomentowie szachownica; w Sudole nie było kościoła, w Chomentowie był kościół, w Sudole nie było szkoły, w Chomentowie była szkoła. W Sudole był dwór i w Chomentowie również.

W Sudole dwór zajmował południową i lepszą część obszaru wsi i w Chomentowie było to samo i pod względem dyslokacji dworu i pod względem gatunku dworskiej ziemi. Różnica jest tylko ta, że ziemia chłopska w Chomentowie jest nieco lichsza niż w Sudole, a ziemia dworska w Chomentowie jest również nieco lichsza niż ziemia dworska w Sudole. Gdy pracowałem w Chomentowie, dworu już tam nie było, gdyż na kilka lat przed moim przybyciem był rozparcelowany, ale ziemię dworską przez parcelację wzięli nie sami chłopci z Chomentowa, a przybysze, przeważnie z powiatu opoczyńskiego z okolic Białaczewa. Wzięli i chłopci z Chomentowa też po kawałku, ale mało, bo byli za biedni.

Cała parcelacja dworu z Chomentowie odbyła się przy pomocy t.z. „Banku Włościańskiego”. Był to bank państwowy. Zarząd tego banku na gubernię piotrkowską i kielecką był w Piotrkowie. Manipulacja kancelaryjna i formalna była dość prosta. Gdy dziedzic porozumiał się z nabywcami co do ceny, to meldował o tym dyrektorowi banku w Piotrkowie, który przybył do Chomentowa osobiście (taki był zwyczaj) i sklasyfikował ziemię, ogłaszając jednocześnie, ile Bank da pożyczki na każdą morgę. Wtedy nadwyżkę, jaka powstała pomiędzy ceną uzgodnioną przez dziedzica z nabywcami a wysokością pożyczki, nabywcy wpłacali dziedzicowi w postaci zadatku.

Nie wiem, jaki był w Chomentowie ten zadatek, ale z praktyki innych parcelacji wynikało, że zadatek ten zazwyczaj wynosił od 10 do 40 rubli na morgę. Gdy to było wykonane, resztę formalności pomiędzy bankiem i nabywcami wykonywał wójt gminy i pisarz gminny, bowiem zarząd gmin był w każdej gminie aparatem wykonawczym tego państwowego Banku Włościańskiego. Że dziedzic wykonał formalności prawne z pełnomocnikiem banku w hipotecę w Kielcach, to rzecz, która sama się przez się rozumie.

Nabywcy w Chomentowie byli podzieleni na trzy grupy parcelacyjne; Grupa Chomentów A, Grupa Chomentów B. Grupy te miały ziemię przy wsi ukazowej. Ziemia tak, jakem wyżej wspominał, była nieco lepsza niż ziemia ukazowa, włościańska. Ale była jeszcze i trzecia grupa parcelantów; nazywała się: Grupa Chomentów – Michalinówka (obyczajowo nazywała się „Rejzmanka”). Był to przed parcelacją mały chomentowski dworski folwark (ze 100 morgów), położony za Chomentowem, za lasem Korytnickim w stronę wsi Łukowej. Z Chomentowa od szkoły do tej Rejzmani było ze 2 km. Ziemia w tej Rejzmance była żytnia i słaba.

Jak z tego wynika, Chomentów składał się z następujących części: Chomentów ukazowy (włościański, b. pańszczyźniany), Chomentów dworski: grupa A, grupa B i grupa Michalinówka (Rejzmanka), wszystkie trzy – chłopci parcelanci. Ale była jeszcze i piąta część, która się nazywała Chomentów – Dziadówki. Skąd to powstało? Przed rokiem 1864 był w Chomentowie plebański folwark; liczył ze 100 morgów. Otóż podczas uwłaszczenia rząd carski z tego folwarku wykrajał proboszczowi tylko 6 morgów, a resztę podzielił na parcele od 2 do 5 morgów (średnio 4 morgi) i takowe rozdał różnym biednym chłopom chomentowskim, którzy się też na tych parcelach pobudowali. Tak zrobił rząd carski w roku 1864 w całej Kongresówce we wszystkich parafiach: proboszczom zostawił 6 morgów, resztę ukazem rozdał chłopom biednym, by sobie ich zjednać.

W ten sposób była w Chomentowie i piąta grupa Chomentów – Poduchowny, grupa ukazowa. Obyczajowo nazywała się ta część wsi Chomentów – Dziadowski. Była ona (i jest) położona pomiędzy wsią Chomentów ukazowy i lasem korytnickim. Chłopi byli tam pobudowani przy drodze rzędem, każdy w swej działce; wyglądało to, jakby jakie małe kolonie, boć przecie mieli ziemię scaloną w odróżnieniu od Chomentowa ukazowego, który miał ziemię w szachownicy. Centrum Chomentowa był (i jest) Chomentów ukazowy. Tam w samym środku wsi w odole był i jest kościół, plebania, organistówka, cmentarz kościelny i tuż obok cmentarz grzebalny, a tuż obok kościoła, ale na górze, była szkoła; była ona na najwyższym punkcie Chomentowa.

W jaki sposób Bank Włościański zapłacił dziedzicowi za majątek ziemski, czy obligacjami, czy gotówką, nie wiem. Czytelnicy ciekawi mogą to znaleźć gdzieindziej. Natomiast długi chłopów – parcelantów z tytułu nabycia ziemi – do Banku Włościańskiego były rozłożone na 40 lat, na raty półroczne. Nie zajmowałem się nigdy szczegółowo bankowymi operacjami tego Banku Włościańskiego, ale wiem jedno, że wszyscy parcelanci bankowi w Chomentowie i w sąsiedniej wsi Staniowicach żyli w nędzy i że już w listopadzie stodoły ich były puste. W rozmowie z nimi dowiadywałem się, że dusiły ich owe raty bankowe, które, o ile mię pamięć nie myli, płacili w listopadzie i w kwietniu. Oprócz tych rat płacili też i normalne podatki.

Cena za ziemię nie była wysoka, raty były rozłożone na 40 lat; zdawałoby się, że nie powinny być rujnujące, a jednak były rujnujące. Jaka była przyczyna? Chyba za wysokie oprocentowanie kapitału bankowego. O ile mnie pamięć nie myli, Wł. Grabski w swych książkach ekonomicznych robi bankowi tenże zarzut. Chyba ta była przyczyna. Ale była jeszcze jedna, którą ja zauważyłem: parcelant – w miarę opłaconych corocznych rat – miał co rok mniejsze zadłużenie, a więc i co rok należało zniżyć mu ogólną sumę oprocentowania (przy niezmienionej stopie oprocentowania). Tymczasem bank zniżał sumę oprocentowania (a nie stopę) nie co rok, a co pięć lat. To, zdaje się, było drugą przyczyną, która parcelantów bankowych gnębiła.

Co do tych parcelantów, t.z. dłużników Banku Wł., był jeszcze taki przepis statutowy, że każda grupa parcelacyjna była zobowiązana do solidarnej poręki za swoich członków. Jeżeli więc któryś z członków grupy nie mógł wpłacić jakiejś raty, to zarząd gminny, który był ekspozyturą B. Wł., rozkładał tą zaległość na wszystkich innych członków grupy, którzy musieli płacić. Jeżeli taki bankrutujący parcelant nie wpłacił kilka rat i było widoczne, że z tych trudności nie wybrnie, to grupa żądała przybycia zarządu gminnego na miejsce (wójt i pisarz) i na mocy ogólnego zebrania członków tej grupy, odbytego

OPIS GRUNTÓW PRZYLEGLYCH	
powiatu jędrzejowskiego	
Dział 1.	
0a A do B	Grunty kolonii Chomentów-Zagórze lit. A.
B C	Chomentów-Michalinówka
C D	Chomentów-Intenówka
D E	wsi Chmielowice
E F	mej. Chmielowice
F G	mej. Drochów Dolny
G H	wsi Drochów Dolny
H J	Jawor
J K	mej. Jawor
J K	kolonii Chomentów-Bankowy
K L	parafii rz. kat. Chomentów
L Ł	wsi Chomentów-poduchowny
Ł M	parafii rz. kat. Chomentów
M N	wsi Chomentów-poduchowny
N A	kolonii Chomentów-Gałzówka
O O	parafii rz. kat. Chomentów
Dział 2.	
P R	Grunty kolonii Chomentów-Gałzówka
R S	wsi Chomentów-poduchowny
S P	kolonii Chomentów-Zagórze lit. A.
Dział 3.	
U W	Grunty wsi Chomentów-poduchowny
W U	kolonii Chomentów-Bankowy

Chomentów - fragment geodezyjnej mapy scaleniowej, z roku 1938

pod przewodnictwem wójta lub jego zastępcy i zaprotokółowanego przez pisarza gminnego w księdze uchwał tejże grupy, - grupa miała prawo takiego niewypłacalnego swego członka (parcelanta) z grupy usunąć, a jego parcele przekazać innemu chłopu bez względu na to, czy do grupy należał, czy nie. Oczywiście – ten zaangażowany nowonabywca musiał grupie zwrócić wszelkie zapłacone przez nią zaległości podatkowe i bankowe.

Za mojej bytności w Chomentowie takich wypadków w tamtejszych grupach bankowych było ze trzy. Oczywiście niewypłacalny parcelant wyrzucony z grupy tracił wszystko i miał prostą drogę iść do dworu na fornała, lub do fabryki na robotnika. Środka prawnego przeciw takiemu wyrzuceniu – nie było. Oczywiście takie „wyrzucenie” z grupy i wyrzucenie ze wszelkiego majątku, boć i wpłacone raty przepadały – zdarzało się rzadko, ale bywało i prawnie było możliwe. Zdarzało się to tylko wtedy, jeżeli bankrutujący parcelant był wyjątkowo niedołężny, lub też, gdy parcelant i jego żona zmarli, a nikt nie zechciał jako opiekun ich dzieci przyjąć na siebie zobowiązania wpłacać za te dzieci rat Banku Wł.

Najczęściej zaś bywało tak, że gdy parcelant doszedł do przekonania, że sobie z Bankiem nie da rady, to sam wyszukał nabywcę, zrobili obaj umowę, nabywca coś sprzedawcy zapłacił, i sprzedawca mu ową działkę odstąpił. Ale bywało też i tak, że parcelant zwyczajnie dobrowolnie są parcelę sprzedał drugiemu nabywcy i wyprowadził się na nowy teren. I w pierwszym i drugim wypadku te transakcje zatwierdzało ogólne zebranie członków grupy, odbyte na miejscu pod przewodnictwem wójta i zapisane w księdze uchwał grupy przez pisarza gminnego. W taki sam sposób grupa przyjmowała i prawnego sukcesora po zmarłym członku grupy, który to sukcesor na mocy wyroku właściwego sądu jako nowy właściciel parceli do grupy wstępował.

Jak z tego widać, grupa miała coś w rodzaju swego samorządu z zakresie gospodarczym. To zaś solidarne poręczenie całej grupy za każdego członka, zwane po rosyjsku „krugowaja porunka”, które stanowiło podstawę tego grupowego „samorządu”, trwało, o ile mię pamięć nie myli, do 1910 roku. W tym dopiero czasie Bank Włóś. zmienił nieco swój statut w tym kierunku, że tworzenie grup parcelacyjnych z solidarną poręką nie było przymusowe. Po tym więc czasie, gdy parcelanci nie chcieli tworzyć grup i odpowiadali każdy za siebie, Bank Wł. nie mógł ich do tego przymusić i z niewypłacalnym dłużnikiem załatwiał się sam; nie stanowiło to nawet wielkiego dla B. Wł. kłopotu, bo w każdej gminie zarząd gminny był jego ekspozyturą.

Za czasów mej pracy w Chomentowie było tam tylko czterech gospodarzy zamożniejszych, reszta byli to chłopci biedni lub słabi średniacy. Najzamożniejszym był niejaki Kondras (parcelant), następnie po nim szedł Pawlak (również parcelant). Ci dwaj byli przywódcami tej grupy, która z pod Białaczewa do Chomentowa na parcelowany dwór przybyła i przy parcelacji najlepsze części dworu otrzymała. Pawlak jednak wkrótce zmarł i jego gospodarstwo uległo podziałom rodzinnym. Zaś potomek Kondrasa do dziś jest najzamożniejszym rolnikiem w Chomentowie.

Z pośród zaś t.z. „ukazowych” najzamożniejszym był Woźniczko, mieszkający w pobliżu szkoły. Miał on tylko dwóch synów: Pawła i Karola; obaj chodzili do mnie do szkoły. Karol wkrótce po ożenieniu się zmarł. Paweł żyje do dziś i gospodaruje (9.9.53). Jest on dość zamożnym gospodarzem, a ze względu na zalety swego umysłu (to świątły człowiek) i charakteru jest on w Chomentowie już przeszło od 20 lat przywódcą politycznym wsi. Zamożnym był także na terenie ukazowym i Kuchta, który mieszkał tuż za szkołą i przez dłuższy czas był ławnikiem w sądzie gminnym w Sobkowie.

Jako ławnik nie był zbyt odpornym na pokusy ludzi, którzy mieli sprawy w sądzie. Zaczął więc pić. To mu zrujnowało zdrowie. Opowiadali mi chłopci Chomentowscy, że gdy raz w lecie ów ławnik wracał w nocy z Sobkowa do Chomentowa w stanie pijanym (w pijanym widzie – Mucha - Buchner), to w sobkowskich krzakach usnął, a w czasie snu ktoś mu zdjął buty i ukradł. Wrócił więc ów ławnik do Chomentowa w niedzielę rano (bo było to z soboty na niedzielę) zupełnie już trzeźwy, ale boso. Wódka szkodzi na zdrowie. To też i ów Kuchta wkrótce zmarł choć był człowiekiem wzrostu dużego i nie stary. Pozostały się po nim tylko córki; najstarsza wyszła za niejakiego Kwasa, który osiadł na gospodarstwie po Kuchcie, nie był z natury dość rozgarnięty, musiał część gospodarstwa po teściu oddać też młodszemu swym szwagierkom i z tego powodu zszedł na średniaka. Jego syn (oczywiście Kwas) ukończył Wyższą Szkołę Handlową w Warszawie i dziś (...)

Zaczynam od swej orientacji politycznej w r. 1914. Już poprzednio nadmieniałem, że na konferencji w Motkowicach ostatecznie zdecydowałem swoje ideologiczne przystąpienie do PPS. Piszę „zdecydowałem”, i piszę szczerze prawdę, bo przed tą konferencją nie byłem zdecydowany i szukałem wyboru pomiędzy PPS i ND (Nar. Dem.)

Już pisałem, że w Zielone Świątki r. 1901r. przed ukończeniem Seminarjum Nauczycielskiego byłem w okolicy Jędrzejowa w „Gaju” na tajnym zebraniu t.z. seminarzystów - maturzystów, na którym przemawiał i polityczne sprawy referował przedstawiciel PPS - Antoni Anusz, późniejszy poseł ludowy z PSL - „Wyzwolenie”, a po ukończeniu seminarjum, w końcu czerwca tegoż roku byłem w Warszawie (pierwszy raz w życiu) na tajnym zebraniu tychże maturzystów, zorganizowanym przez Arcichowskiego; zebranie to zaś było endeckie i na nim przemawiała jakaś wielka endecka powaga (chyba sam Dmowski!

Toteż pomiędzy zebraniem tajnym A. Anusza (początek czerwca 1901) i zebraniem w Motkowicach, które było albo w końcu r. 1901, albo wczesną wiosną roku 1902 - byłem chwiejny. Dopiero po tym zebraniu odrzuciłem program NDecji na całe swe życie. Przeciągnąłem też do PPS na jesieni 1902r. swego przyjaciela Romana Prochoskę, który w lecie r 1902 ukończył seminarium też w Jędrzejowie i od 1 września 1902r. aż do lata 1914 był nauczycielem w podstawowej fabrycznej polskiej szkole przy kopalni „Saturn”. Do PPS należałem do końca 1906r. Cały ten czas byłem nauczycielem w Chomentowie.

O swej działalności w PPS już po krótkce pisałem. Teraz napiszę o rozłamie w PPS. Agitacyjne różnice pomiędzy większością cywilną PPS, z której powstała PPS-Lewica, a organizacją bojową PPS, z której powstała PPS - Frakcja Rewolucyjna, stanowiła sprawa niepodległości Polski. PPS przed rozłamem głosiła hasło, że walka o niepodległość to główne zadanie PPS i że walka o socjalizm - to również główne zadanie PPS. Jechała więc PPS dwoma końmi agitacyjnymi: walką o niepodległość i walką o socjalizm. Szło to bardzo dobrze przed rokiem 1905 i w roku 1905, bo była w tym czasie w Rosji rewolucja, i walka zbrojna PPS z carem szła, ale gdy rewolucja w Rosji przegrała i stworzyły się nadzwyczaj nikłe widoki jawnej pracy w Związkach Zawodowych, powstało zagadnienie: czy wobec upadku w Rosji rewolucyjnej walki zbrojnej z carem - zawiesić również chwilowo walkę zbrojną PPS z Rosją o niepodległość, czy też ją kontynuować. Na tym punkcie wynikł rozłam (przynajmniej tak nam mówiono).

PPS-Lewica głosiła: ponieważ proletariat rosyjski zaprzestał walki zbrojnej z carem (bo był przez cara rozbity) to i my w Polsce zawieśmy walkę zbrojną z carem o niepodległość, bo dalsze prowadzenie tej walki to awanturnictwo; przedstawiciele zaś frakcji rewolucyjnej mówili: walkę zbrojną z Rosją o niepodległość Polski należy prowadzić nadal, a tego że ma być ta walka przefasonowana na ruch wojskowo-legionowy i włączona w akcję pierwszej wojny światowej - nie ujawniali.

Podczas więc rozłamu, gdy w Kielcach na Słowika odbyła się konferencja okręgowa, ja, jako przedstawiciel pow. Jędrzejowskiego, głosowałem za lewicą PPS jako za stanowiskiem (wydawało się) logicznym. Głosowałem z całego okręgu (guberni) sam jeden, wszyscy inni w liczbie przeszło 210 delegatów głosowali za frakcją. Nietylkom głosowałem, ale się nawet z okręgowej organizacji PPS-Frakcja wyłączyłem zupełnie, a natomiast nawiązałem kontakt z okręgową organizacją PPS - Lewica w Zagłębiu Dąbrowskim przy pomocy Romana Prochoski, gdyż w Zagłębiu znowu - na odwytkę - prawie cała organizacja PPS przeszła do lewicy.

I odtąd straciłem łączność z frakcyjnymi Kielcami, a nawiązałem ją z lewicowym Zagłębiem; w tym czasie (od 1906 do 1914) co rok organizowałem w Jędrzejowie z tymi seminarzystami, którzy seminarium kończyli w czerwcu każdego roku, zebrania konspiracyjne, na które zawsze przybywał delegat PPS - Lewicy z Zagłębia. Z tego wcale nie wynika, by mnie cokolwiek łączyło z SDKPiL. Przeciwnie: czułem do tej partii awersję a to z powodu Róż Luksemburg, która głosiła, że walkę o Niepodległość Polski z programu SDKPiL należy zupełnie usunąć co też owa partia wtedy wykonała i walczyła tylko o socjalizm.

Przyznam, że nie miałem wcale ochoty walczyć o ten potrójny socjalizm trójzaborowy: o socjalizm w cesarstwie niemieckim, o socjalizm w cesarstwie austriackim i znowu o socjalizm w cesarstwie rosyjskim. Że to była fikcja (to jest taki program SDKPiL) wykazał przebieg pierwszej wojny światowej, który zmiotł w ogóle wszystkich trzech cesarzy i w ogóle uniemożliwił walkę o trójcesarski socjalizm. Ale w tej sprawie Róża Luksemburg napisała nawet książkę, w której starała się udowodnić, że Norwegowie, którzy się wtedy oderwali od Szwecji, mają podstawy gospodarcze dla swej



niepodległości, że ówczesna kilkumilionowa Serbia i także Bułgaria także mają podstawy gospodarcze dla swego niepodległego bytu, i że ma podstawy dla swego bytu nawet Czarnogóra licząca 250.000 osób, tylko nie ma podstaw gospodarczych dla swej niepodległości jedynie naród polski, liczący wtedy w Europie ponad 20 milionów głów.

Takie pozbawione logiki stanowisko Róży Luksemburg i SDKiL było nie do przyjęcia przez Polaka. To też i ja z powodu takiego luksemburgizmu też odsunąłem się od SDKPiL. Ale jednak moja ideologiczna współpraca z PPS-Lewicą i odseparowanie się od Frakcji PPS dała taki wynik, iż nie miałem żadnej łączności z ruchem strzeleckim, który w Galicji zorganizowała Frakcja, przeniósłszy tam z Kongresówki swą działalność. Poszczególne grupy strzelców ujrzałem w Krakowie dopiero na początku roku 1914, gdym po dłuższej chorobie i operacji opuścił lecznicę profes. Rutkowskiego w Krakowie przy ul. Siemiradzkiego 1.



*Senator Józef Kruk*

Zaznaczam jednocześnie, że już w roku 1907 otrzymałem polecenie z ramienia PPS-Lewicy, bym się przeniósł do ruchu ludowego, a mianowicie do PZL, który już w tym czasie powstawał, gdyż jestem synem chłopa i wieś znam dobrze, a życie robotnicze jest mi obce, co było prawdą. Wkrótce też przybył do mnie delegat PZL (Polskiego Związku Ludowego) w osobie Zygmunta Nowickiego. Do dziś pamiętam to pierwsze swoje spotkanie z Z. Nowickim. Pamiętam, że dzień był pochmurny, i że spotkanie nastąpiło na przedmieściu Jędrzejowa - Podklasztorzu, na placu przed ówczesnym sklepikiem Beoka Garfinkieła, który już dawno nie żyje.

Od tego dnia przeszedłem więc do ruchu ludowego, opuściwszy działalność w PPS-Lewicy. Razem z ówczesnym ruchem ludowym PZLu przeszedłem do ruchu (...), w którym brałem czynny udział aż do wybuchu wojny, zachowując tylko luźny kontakt z PPS-Lewicą w Zagłębiu. A więc w chwili wybuchu wojny nie miałem żadnej łączności z ruchem strzeleckim a następnie legionowym.

Zaraz po wybuchu wojny wszelkie władze carskie gubernialne uciekły z Kielc do Radomia, nie zapłaciwszy nauczycielstwu nawet poborów za sierpień (był to początek sierpnia 1914). Kilkunastu nauczycieli obecnych w Jędrzejowie wydelegowało nas obu z Józefem Krukiem, nauczycielem z Jędrzejowa, do Radomia po pieniądze dla nauczycielstwa. Wynajęliśmy więc dobre konie bo kolej nie chodziła, i udaliśmy się do Radomia. Na kilkanaście minut przed naszym wyjazdem z Jędrzejowa przed wieczorem, weszła do tego miasta Kompania Kadrowa Strzelców i zakwaterowała się w Jędrzejowie w szkole. Od jej więc dowództwa otrzymaliśmy już przepustkę na wyjazd z Jędrzejowa do Radomia i powrót.

Wyjechaliśmy wczesnym wieczorem. Posterunek strzelecki stojący na szosie z Jędrzejowa do Kielc pod Podchojnami, ujrawszy naszą przepustkę, nie czynił nam żadnych przeszkód. Pojechaliśmy więc żwawo do Radomia końmi na noc. Po drodze nie widzieliśmy już żadnego wojska. W Kielcach dopiero na przejeździe szosowym przez tory kolejowe pod samym miastem ujrzeliśmy żandarma kolejowego carskiego na warcie. Nie robił nam żadnych przeszkód do wjazdu do Kielc, tylko nas zapytał, czy to prawda, że do Jędrzejowa weszli już Austriacy. Powiedzieliśmy mu, że wczoraj wieczorem wszedł do Jędrzejowa oddział piechoty polskiej. Bardzo się tym zasmucił i zdziwił.

Pojechaliśmy więc dalej do Radomia i zajechaliśmy wieczorem, gdzieś tam przenocowaliśmy i rano udaliśmy się w poszukiwaniu władz; okazało się, że władze kieleckie uciekły z Radomia do Dębina. W Radomiu było jeszcze wojsko carskie. Wyjechaliśmy zaraz z Radomia do Kielc z powrotem. Nikt nam nie czynił przeszkód. Tegoż dnia nie spotykając żadnych przeszkód przejechaliśmy przez bezpańskie Kielce i szybko skierowaliśmy się w stronę Jędrzejowa; dopiero w Tokarni pod Chęcunami spotkaliśmy Kompanię Kadrową strzelców w marszu do Kielc.

Dopiero po przybyciu do Jędrzejowa pierwszy raz usłyszałem, że wodzem marszu strzeleckiego jest Józef Piłsudski. W kilka dni zobaczyłem go też jadącego dorożką, a wyróżniał się swoimi wąsami. Widziałem też wtedy i Sosnowskiego, który był młody, wysoki, przystojny, w binoklach.

Jakiż więc był mój stosunek do ówczesnego ruchu strzelecko-legionowego? Obserwacyjny i wyczekujący. Wyjaśniam: zawsze się interesowałem historią Polski i byłem już wtedy w tej sprawie dość dobrze odczytany. Ruch strzelecki (legionowy) Piłsudskiego uważałem za powstanie przeciw Rosji. A trzeba wiedzieć, że oba poprzednie powstania: i

listopadowe z r. 1831 i styczniowe z r. 1863 uważałem za wyczyny polskiej lekkomyślności. Pierwsze zaprzepaściło polski rząd, skarb i wojsko królestwa kongresowego; drugie zaprzepaściło wprowadzenie statutu organicznego A. Wielopolskiego.

Dziś na projekty Wielopolskiego mam pogląd nieco inny, ale wtedy uważałem że lepszy by był nawet bardzo lichej samorząd (Wielopolskiego) niż popowstaniowa rusyfikacja, bardzo zresztą długa bo około 50 lat. A więc w stosunku do ruchu legionowego byłem ostrożny po chłopsku i czekałem, jaki będzie wynik wojny: rozumowałem, że jeżeli Rosja carska wygra, to ruch legionowy przeciw Rosji jest szkodnictwem, bo wywoła represje ostre ze strony zwycięzcy w stosunku do tych, którzy brali udział w ruchu legionowym, a jeżeli Rosja przegra, to ruch okaże się trafnym, bo popiera Austrię, która Polakom dała w Galicji autonomię, i stanowi on polski samodzielny orężny wkład zbrojny w akcję pierwszej wojny światowej.

Ale czekałem tylko do bitwy pod Gorlicami. Byłem zdania, że bitwa ta na zawsze usunęła panowanie w Kongresówce Rosji carskiej. Wtedy się zdecydowałem. W porozumieniu więc z legionowym oficerem werbunkowym w Jędrzejowie udałem się do Piotrkowa do Departamentu Wojskowego NKN, by wstąpić do legionów. Ale tam spotkałem się z Zofią Praussową, żoną Ks. Praussa, kierownika Wydziału Oświaty Krakowskiego NKN. na (...). Pani Praussowa mówi mi: „A poco ma się Pan zapisywać do Legionów, kiedy właśnie Piłsudski dał dyspozycję, by zaprzestać legionowy nabór? Natomiast będziemy organizować nową organizację wojskową POW, skierowaną raczej przeciw Niemcom. Tą organizację powinniście tworzyć, tym bardziej że na wieś będziemy z tą organizacją przenikać przez nauczycieli. Właśnie odbędzie się wkrótce zjazd nauczycieli z okupacji austriackiej w Częstochowie, to powinien Pan na ten zjazd przybyć.

Opuściłem więc Piotrków i wróciłem do Jędrzejowa. Wkrótce też odbył się ów zjazd nauczycieli w Częstochowie, przybyłem na ten zjazd i nawet na nim przewodniczyłem. Było kilku dziesięciu nauczycieli. Przemawiał Ksawery Prauss. Zjazd miał charakter niepodległościowy. Po zjeździe w porozumieniu z P. Praussową zorganizowaliśmy w lecie roku 1915 w Jędrzejowie miesięczny kurs nauczycielski. Przemawiałem przy otwarciu tego kursu. Głównymi wykładcami byli: Weyhert-Szymanowska - historia literatury polskiej; Witkowska - historia Polski, H. Radlińska - sprawy oświatowe dorosłych, Piwowar - nauki przyrodnicze i Ksawery Prauss - organizacja szkolnictwa w Polsce niepodległej (projekt). Pani zaś Praussowa wykladała potrzebę równouprawnienia kobiet.

Kurs ten miał oblicze bardzo patriotyczne i niepodległościowe. Najwięcej się do tego przyczyniła Weyhert Szymanowska. Co się zaś tyczy mojej pracy w szkole na wsi w Łysakowie, to w jesieni roku 1914 nie było żadnych zajęć szkolnych z powodu częstych zmian frontów. Dopiero wiosną roku 1915 uruchomiłem naukę w Łysakowie; nauka odbywała się w języku polskim; dzieci chodziły do szkoły chętnie aż do końca czerwca.

Podczas wakacji odbył się ów kurs nauczycielski wakacyjny, a od 1 września rozpocząłem (i wszyscy inni nauczyciele) naukę w szkole. Zaszło ciekawe zjawisko, że nawet nikomu na wsi nie przyszło do głowy odkładać naukę do listopada, jak to było za czasów carskich. Razem z ustąpieniem władzy carskiej odpadł też i ten głupi obyczaj rozpoczynania nauki dopiero w listopadzie.

Ale praca moja w szkole trwała w Łysakowie w jesieni roku 1915 tylko 2 miesiące. Austriacy postanowili bowiem ściągnąć z chłopów kontyngent zbożowy. W tym celu kazali nauczycielom zrobić po wsiach spis rolny i urodzajowy jako podstawę do owego kontyngentu. To wykonaliśmy. A wtedy postanowili uczynić z nauczycieli aparat do ściągnięcia tegoż kontyngentu zbożowego. A że te zamiary okupanta były bardzo źle widziane pośród chłopów, nie można było tego robić. To też nauczycielstwo w całym powiecie urządziło strajk i postanowiło odmówić swego udziału w ściągnięciu kontyngentu zbożowego. Austriacy ustąpili i nauczycieli zwolnili od sprawy poboru tego kontyngentu zbożowego, ale mnie jako organizatora tego oporu (zresztą słusznie) - zwolnili z pracy w szkole podstawowej.

## Część IV

# Praca społeczna

Pracy w progimnazjum było mało. W wolnych chwilach, a miałem ich dużo, zacząłem organizować POW. Zaczęło się to od przybycia do mnie pierwszego organizatora POW na okręg kielecki - ob. Sewera. Zebrało nas się kilkunastu w lesie na Podchojnach, samych nauczycieli. Sewer przemówił do nas w sposób następujący (w streszczeniu): „Sytuacja wojenna jest już wyklarowana: jest widoczne, że Rosja carska już do Polski nie wróci. Pozostają więc dla nas dwie alternatywy: albo zgodzić się na to, by Polska była pod panowaniem Austrii lub Niemiec, ale na razie walczyć o niepodległość Polski. Wybieramy to drugie. A jeżeli tak, to powinniśmy tworzyć siłę wojskową, gdyż wojsko jest najwybitniejszą cechą państwa. Takim naszym wojskiem ma być Polska Organizacja Wojskowa. Przeciw komu ją tworzymy? Przeciw państwu centralnym”.

Te argumenty trafiły nam do przekonania; toteż kilkunastu z nas złożyło przyrzeczenie jako członkowie POW. Powstała więc pierwsza sekcja nauczycielska POW. Należeli do niej: ja, Kruk, Jan Szwaczka, Al. Kaczorowski, Kacper Niemiec, Gabriel Czerwik i inni. Ja byłem komendantem tej sekcji. By się ta organizacja mogła w powiecie rozwijać, należało wykonać bardzo dużo propagandy. Do tego ja byłem najwięcej przygotowany. Zaś Kacper Niemiec zdradzał najwięcej chęci do nauki wojskowości. Wobec tego Sewer wysłał go na kilkutygodniowy kurs oficerski. Ja zaś rozpocząłem w powiecie pracę propagandową i organizacyjną.

Oczywiście prowadziłem ją przede wszystkim po wsiach, ale także i w Jędrzejowie, gdzie wkrótce powstał kilkunastoosobowy oddział POW. Wyróżniali się z pomiędzy tego oddziału bracia Jachimowscy i młody Kulesza. Najwybitniejszym jednak promotorem i protektorem ruchu peowiackiego w Jędrzejowie był aptekarz Smągłowski i jego żona, z domu Chrzastowska. Była też w tych czasach w Jędrzejowie legionowa i peowiacka działaczka ob. Tekla Dulińska. Dziś ani Smągłowski, ani jego żona już nie żyją; Dulińska zaś całą drugą wojnę światową przesiedziała w Ravensbrück, a wróciwszy w roku 1945 do Jędrzejowa z tego obozu, zmarła wkrótce po powrocie, t.j. w roku 1945.

Co się zaś tyczy udziału powiatu Jędrzejowskiego w ruchu legionowym, to zaznaczam, iż z tego powiatu brało udział w walkach legionowych około trzystu osób. Spośród nauczycieli do legionów wstąpił Jabłoński z Niegosławic, który następnie po zakończeniu pierwszej wojny światowej przez długie lata pracował jako kierownik szkoły w Bogucicach pod Pińczowem. Próbował też wstąpić do Legionów również i naucz. Ignacy Majecki z Lubczy (pow. Jędrzejów), ale go nie przyjęli z powodu defektów fizycznych. Pozostał więc w Lubczy na nauczycielstwie aż do śmierci; zmarł w Jędrzejowie w 1957 roku.

Propagandę na rzecz POW rozpocząłem najpierw w Seminarium Nauczycielskim w Jędrzejowie, później na przedmieściu - Piaski, następnie na drugim przedmieściu Podchojny, a wreszcie po wsiach - Skroniowie, Sudole, Łysakowie i t.d. W czasie nieobecności Kacpra Niemca obowiązki komendanta pełnił inżynier Toczyski z Jędrzejowa (dyr. ubez. od ognia).

W seminarium zgłosiło się do POW kilkudziesięciu uczniów i powstała tam dość mocna grupa POW. Dyrektor seminarium Naszydłowski nie przeszkadzał, a zaciekle prześladował peowiaków obskurny endecki agitator ks. Stanisław Marchewka, który wtedy był w seminarium katechetą. Oczywiście uczniowie nastawieni patriotycznie, nie słuchali go i do POW należeli, a że ich często prześladował, zniechęcili go do szczeru. W chwili wybuchu wojny byłem zaraniarzem, a więc ludowcem. W roku 1915, gdy wojska carskie usunęły się na wschód poza Bug i gdy Lublin nieco odetchnął, powstała tam grupa inteligencji niepodległościowej, a pośród niej wyłoniono inteligencki załazek ruchu ludowego. Z tego powstało Pol. Str. Ludowe w Lublinie z zasięgiem na całą okupację austriacką.

Austriacki generalny gubernator hr. Szeptycki - żadnych przeszkód nie czynił. Zaczęło więc wychodzić w Lublinie pismo (tygodnik) ludowe p.t. „Polska Ludowa”. Redaktorem była Jadwiga Marcinowska. Pojechałem więc do Lublina, przystąpiłem do tej organizacji ludowej i stałem się kolporterem tego organu. Tam pierwszy raz w życiu spotkałem się z Kazimierzem Bagińskim (Florek) który robił w Lubelszczyźnie propagandę POW i ruchu ludowego; postanowiłem i ja robić to samo, a to tym bardziej, że propaganda niepodległości i POW była znacznie na wsi skuteczniejsza, gdy się ją podawało z wyraźną cechą ludową.

Nie można powiedzieć, by chłopci w powiecie jędrzejowskim byli nastawieni carsko, ale byli ostrożni; przez 50 lat widzieli niczym nie zachwianą potęgę cara i nie mogli uwierzyć, że jego panowanie już się w Polsce skończyło. Obawiali się więc angażować masowo w kierunku niepodległościowym, by się nie narazić na zemstę carskich urzędników, gdyby wojska i rządy do Polski powróciły. Dopiero bitwa pod Gorlicami i przegrana wołyńska ofensywa wojsk carskich Brusilowa - przekonała ich, że car już nigdy nie wróci. A jeżeli tak, to trzeba pomyśleć o niepodległości, by nie być pod panowaniem „dziadów” (Austriaków). Ale nie wystarczy myśleć, trzeba też stworzyć taką organizację, która ma za zadanie walczyć o niepodległość Polski. Z kim? Z Austriakami i Niemcami! Taką organizację powinna stworzyć młodzież chłopska. Im więcej będzie w tej organizacji synów chłopskich, tym większe znaczenie będą mieć w Polsce chłopci. Taką organizacją jest POW; do tej organizacji powinna należeć cała młodzież chłopska. Taka była propaganda na wsi na rzecz POW.

W sprawie rozwoju Stronnictwa Ludowego trzeba powiedzieć, że agitacja była następująca: Polska niepodległa powstanie na pewno, ale kto będzie w niej rządził? Szlachta i bogacze, czy chłopci i robotnicy? By Polską rządzili chłopci i robotnicy, trzeba żeby już teraz, póki jeszcze czas, organizowali swoją siłę polityczną. Robotnicy już to robią. Już czas, by i chłopci robili to samo. Taka chłopska organizacja już jest; nazywa się Polskie Stronnictwo Ludowe, a jego gazeta nazywa się „Polska Ludowa”. Czytajcież więc „Polską Ludową” i twórcie organizację PSL. A więc chłopci do PSL, a wasza młodzież do POW! Jeżeli zaś tego nie zrobicie, to Polską rządzić będzie szlachta i kapitaliści, a wy będziecie w Polsce popychadłem! Taka była moja agitacja za PSLelem.

Gdzie ta propaganda szła najłatwiej, a gdzie najtrudniej? Najłatwiej szła w tych miejscowościach, gdzie był ruch zaraniarski lub gdzie byłem nauczycielem. A więc: parafia krzcięcicka: Ślaboszowice, Mierzawa, Krzęcice, Piołunka, Deszno, cała gmina wodzisławska, cała gmina nawarzycka, cała gmina mstyczowska, okolice Jędrzejowa, a szczególnie Piaski, Łysaków, Skroniów, Sudół. Robiłem również propagandę w południowej części gm. Nagłowice, ale sprawa była ciężka. Łatwe to było w Chomentowie, gdzie byłem 7 lat nauczycielem. W gminie Brzegi cała praca i propaganda opierała się o Walentego Kamińskiego i o młodego Strojka, który później długie lata służył w Policji Państwowej. W gminie Małogoskiej praca ludowa i peowiacka opierała się o osobę Stanisława Forczewskiego, późniejszego wójta tejże gminy. W gminie węgleszyńskiej promotorem był Kazimierz Golka. W gminie złotnickiej pomagał pisarz gminny (człowiek wyjątkowo światły) - Grosicki, późniejszy długoletni pisarz gminny w Wodzisławiu.

Najtrudniejsza do poruszenia a jednocześnie najwięcej nasiąknięta carskimi była gmina Imielno. Ale ona się też w całym powiecie wyróżniała tym, iż przed wybuchem pierwszej wojny światowej nie było w niej ani jednej szkoły, czyli była to gmina najciemniejsza. Dopiero w końcu wojny wynalazłem w tej gminie w Turze Górnym jednego światłego chłopca: nazywał się Józef Biały. Ale nie wiele już tam mogłem zrobić, gdyż wtedy wojna dobiegała już końca.

Trzy wsie były pod względem kulturalnym i politycznym przez długie lata najgorsze: Cierno i Mnichów i Nagłowice. Jaka była przyczyna tego zjawiska? Pijaństwo. Cierno dostało dużo lasu przy uwłaszczeniu; Nagłowice zaś i Mnichów - przy likwidacji serwitutu. Oczywiście otrzymany las chłopci z tych wsi sprzedawali, a pieniądze przepijali; kwitło, a raczej śmierdziało tam w tych wsiach długie lata przed pierwszą wojną światową - pijaństwo. To też podczas pierwszej wojny światowej wsie te nie nadawały się do żadnej pracy społecznej. Dopiero w końcu okresu międzywojennego wsie te zaczęły się nieco budzić z martwoty umysłowej spowodowanej pijaństwem. Otrzeźwienie więc nastąpiło dopiero po dwudziestu latach od czasu zupełnego wyprzedania otrzymanych kiedyś lasów.

Inżynier Toczyński, pełniący obowiązki komendanta powiatowego POW, nie miał czasu na pracę organizacyjną w POW; organizacja więc posuwała się powoli. Dopiero, gdy Kacper Niemiec wrócił z kursu oficerskiego i zwolnił się ze stanowiska nauczyciela w Łukowej w gminie Sobkowskiej - sprawa organizacji POW zaczęła szybko posuwać się naprzód. Nie będę dziś pisał dokładnej historii POW w powiecie jędrzejowskim. Podam tylko niektóre szczegóły. A więc: Komendantem okręgowym POW na całą gubernię kielecką był najpierw Kirtiklis (ps. Sewer), a jego pomocnikiem Zieliński.

Po Sewerze komendantem okręgowym był Nowowiejski, późniejszy pułkownik w Kontroli Wojskowej, a po nim ostatnio inż. Herfurt, późniejszy podpułkownik w wojskowym instytucie topograficznym (kartograficznym). Gdy komendę powiatową POW objął Kacper Niemiec, z początku przysyłano mu z Kielc pomocników (instruktorów), później jednak zorganizował się kilkusobowy sztab pomocników komendanta powiatowego. Byli to: Tadeusz Damański, dwaj bracia Jachimowscy, młody Kulesza, Henryk Łuszczkiewicz, były nauczyciel z Jędrzejowa, Gabriel Czerwik, nauczyciel ze Skroniowa i inni.



Gdy pierwsza wojna światowa zbliżała się ku końcowi, organizacja POW w powiecie jędrzejowskim wyglądała w sposób następujący: Największe skupienie POW było w Jędrzejowie (miasto, przedmieście Piaski i Seminarium Nauczycielskie), w gminie wodzisławskiej, w gm. nawarzyckiej, w gm. sędziszowskiej oraz mniejsze skupienia w gminach: prząsławskiej, mstyczowskiej i rakowskiej, czyli przeważnie w południowej części powiatu, a także w środkowej; w północnej części w gminach Złotniki, Węgleszyn, Brzegi, Małogoszcz, Nagłowice i Imielno nie było nic. Wyjątek stanowiła gmina Sobkowska, w której była organizacja POW w samym Sobkowie.

Ogółem było oprócz tych 150 peowiaków, przydzielonych do policji - jeszcze sześć pełnych kompanii, co stanowiło liczbę nie mniej niż tysiąc osób z powiatu. W roku 1918 w czasie mobilizacji POW - 4 kompanie były dołączone do grupy majora Meraka i poszły na front ukraiński, a dwie o kilka dni później były wysłane do Kielc i tam dołączone do innych kompanii i utworzyły jednostkę wyższą.

## Rok 1916.

Po zwolnieniu mnie z pracy nauczycielskiej w Łysakowie przez Austriaków - byłem nauczycielem rysunków w progimnazjum prywatnym w Jędrzejowie, prowadzonym przez p. dr Szybalską i J. Wasintyńską. Ale byłem tam nauczycielem tylko od jesieni 1915r. do końca roku szkolnego tj. do końca czerwca 1916r. Po wakacjach w roku 1916 już do tej pracy nie wróciłem. Mając więc dużo czasu, zająłem się wyłącznie robotą ludową i polityczno-wojskową przy organizacji PSL i POW. A środki pieniężne? Miałem właśnie zaoszczędzone na kształcenie się we Lwowie około tysiąca rubli carskich, które jeszcze wtedy kursowały w Kongresówce na równi z koronami i markami. Tych więc funduszy używałem powoli dla sfinansowania mojej ówczesnej działalności politycznej i społecznej. Była to okoliczność dla mnie bardzo sprzyjająca, bo umożliwiła mi intensywną działalność polityczną i wojskową.

Oto przy pomocy Piotra Sobczyka z Piasków, Wincentego Mroza z Mierzawy, Ignacego Chabiora ze Słaboszowic i innych zorganizowałem powiatowy Związek Kółek Rolniczych. Na prezesa wybraliśmy Władysława Wielowiejskiego, dziedzica z Przewód. Nie był on endekiem, lecz konserwatystą.

Jeżeli endecy zaciekle zwalczali Piłsudskiego, legiony i POW, to konserwatyści tego nie robili; zajmowali więc w stosunku do ówczesnego „nowego” stanowisko nie wsteczne, a wyczekujące. Ale wybraliśmy Wielowiejskiego na prezesa Związku Kółek Rolniczych nie tylko dlatego, że był konserwatystą, ale przede wszystkim dlatego, że był nieskazitelnie uczciwym człowiekiem, działaczem bezinteresownym i prezesem powiatowego Komitetu Ratunkowego w Jędrzejowie. Pow. Kom. Ratunkowy miał spore fundusze; z tych funduszy na wniosek Wł. Wielowiejskiego było dawane subsyduum na utrzymanie instruktora Kółek Rolniczych w Jędrzejowie - na ręce zarządu tegoż Związku Kółek.

Lokal dla Kółek wynaleźliśmy w Jędrzejowie przy ulicy Łysakowskiej. W tym lokalu urządziliśmy siedzibę Powiatowego Związku Kółek Rolniczych i konspiracyjną komendę powiatową POW. Przy prezesie Wielowiejskim wiceprezesami byli Piotr Sobczyk, sokołowiak, oraz Wincenty Mróz z Mierzawy, zaraniarz, a sekretarzem byłem ja, organizator nie tylko POW, ale i PSL (Polska Ludowa), a więc w tymże lokalu była również i powiatowa centrala ludowa. Wielowiejski o tym wiedział, ale mu to nic nie przeszkadzało.

Mieszkał on aż w Przewodach w odległości 20 km od Jędrzejowa, a droga była bardzo zła, zwłaszcza po deszczu, bo rędzina. Przyjeżdżał więc do Jędrzejowa tylko raz na tydzień we czwartki na posiedzenia. Resztę dni w tygodniu Związek Kółek Rolniczych prowadziłem ja i instruktor Góralewski, zwolennik POW. Sprawy wojskowe i ćwiczebne POW załatwiał



*Wincenty Mróz,  
w latach 1919-1922 poseł Sejmu  
Ustawodawczego z ramienia  
Polskiego Stronnictwa  
Ludowego 'Wyzwolenie'*

Kacper Niemiec przy pomocy H. Łuszczkiewicza, Jachimowskich i Kuleszy, sprawy ludowe i organizacyjne POW załatwiałem ja. Ale wkrótce potem przybył do Jędrzejowa również i zastępca Niemca Tad. Domański (Czarny); wszyscy więc razem dobrze i sprawnie prowadzili POW.

Gdy instruktor Góralewski opuścił Jędrzejów, na pracownika Związku Kółek przybył inżynier rolny i hodowca Zenon Łopuski, były Legionista. Ten pracował bardzo gorliwie nie tylko w Związku Kółek, ale również i w POW. Na skutek pracy Kac. Niemca, Domańskiego, Łuszczkiewicza i Łopuskiego - miałem więcej czasu na organizowanie ruchu ludowego; ale wkrótce postanowiliśmy powołać do życia Powiatową Spółdzielnię Rolniczo - Handlową. Po dłuższym wysiłku udało mi się przy pomocy Kółek Rolniczych zorganizować ową spółdzielnię. Znowu prezesem zarządu tej spółdzielni został Wielowiejski, Sobczyk wiceprezesem, a ja sekretarzem. Zarząd był siedmioosobowy, bo rady nadzorczej nie było. Byłem więc sekretarzem powiatowego Związku Kółek Rolniczych i Powiatowej Spółdzielni Rolniczo - Handlowej.

W Warszawie już w tym czasie (1917r.) powstała Centrala powiatowych spółdzielni rolniczo-handlowych. Sprawy handlowe w tej nowopowstałej spółdzielni podjął się prowadzić Piotr Sobczyk, sokołowiak; ponieważ wkrótce przywiózł on sporo garderoby męskiej oraz obuwia, przeto Tadeusz Domański przyjął w tej spółdzielni płatną pracę sklepowego; sprzedaż towarów i ich przechowywanie zostały zorganizowane w lokalu Związku Kółek Rolniczych, składającym się z dwóch izb.

Uruchomienie spółdzielni nie przeszkadzało, a raczej pomagało rozwojowi PSL, POW i Kółek Rolniczych, bo do tego lokalu co dzień przychodziło z różnych gmin dużo chłopów w celu zakupu towarów i przy ich pomocy łatwo było utrzymywać łączność w PSLu i POW. W takiej sytuacji ob. Domański pełnił w POW raczej funkcje sekretarza organizacyjnego, a zastępcą Komendanta Powiatowego POW został Hen. Łuszczkiewicz. Ja zaś, będąc odciążony w pracy Kółek Rolniczych przez Łopuskiego, w POW przez Niemca i Łuszczkiewicza, a w spółdzielni przez Sobczyka, kładłem większy nacisk na organizację PSL; ale wkrótce przybyła mi nowa praca i obowiązki, praca samorządowa.

Najwyższą instancją samorządową w gminie było Zebranie Gminne. Pisałem już o tym powyżej. Póki ludności w Kongresówce było mało, zebranie gminne było organizacyjnie sprawne, ale w przeciągu 50 lat ludność Królestwa zwłaszcza na wsi znacznie a znacznie się rozrosła. Gdyby więc na zebranie gminne przybyli chłopci z całej gminy wszyscy, posiadający przynajmniej 6 morgów gruntu, to ich liczba sięgałaby średnio do 1500 uczestników, a w dużych gminach nawet do 2000 osób. W takiej liczbie dość trudno było obradować i zebrania gminne przekształcały się w wiece dosyć tłumne. By liczbę uczestników zmniejszyć, rząd carski ogłosił, że na zebraniu gminnym mają głos tylko ci chłopci, którzy posiadają przynajmniej 6 morgów pola, ale osobiście, a nie wspólnie z żoną.

Pewna więc liczba gminniaków odpadła, ale i ci, co pozostali te z dużą liczbą stanowili i na przykład w zimie pod gołym niebem nie mogli spokojnie obradować. Krótko: zebrania gminne już wtedy stały się instytucją przestarzałą. Słusznie więc zrobiły okupacyjne władze austriackie, że ogłosiły rozporządzenie, że w gminach tworzy się Rady Gminne, wybierane na zgromadzeniach gminnych. Jednocześnie ustanowili Austriacy Sejmiki Powiatowe, składające się z delegatów Rad Gminnych (kuria drobnej własności), z delegatów kurii wielkiej własności i kurii miast.

Jędrzejów był dotąd osadą miejską, więc go też Austriacy przekształcili na miasto. Ponieważ obszarnicy (kuria wiel. włas.) mieli, ich zdaniem, za mało głosów w Sejmiku Powiatowym, przeto zaczęli agitować, by chłopci bronili zebrań gminnych, a bojkotowali wybory do rad gminnych (dosyć demokratyczne). Najgłupszy chłopci dali posłuch tym podszeptom i myśleli o bojkotowaniu wyborów. Ale organizacja PSL i Kółka Rolnicze były już w powiecie dość silne; to też i ja i Łopuski, kierownik Pow. Związku Kółek opanowaliśmy sytuację i wybory w gminach się odbyły. Oczywiście do rad gminnych weszli sami chłopci, bo to zresztą była ich kuria. Ja wszedłem do Rady Gminnej w Przysławiu.

Rady gminne wybrały po dwóch delegatów do Sejmiku. Wszedłem więc do Sejmiku jako delegat rodzinnej gminy. Z Jędrzejowa weszło też dwóch delegatów: Laskowski (sklep kolonialny) i Józef Misztalski ślusarz. Z obu znałem się dobrze, a Misztalski był nawet zaraniarzem (a więc ludowcem). Przy jego pomocy namówiłem i Laskowskiego do tego, że kuria miejska zawarła sojusz wyborczy z kurią chłopską przy wyborach do Wydziału Powiatowego Sejmiku (był to Wydział Wykonawczy Sejmiku, składał się z 6 osób). Mając większość nad obszarnikami wybraliśmy do Wydziału Powiatowego ze swej strony 4 członków, a obszarnicy dwóch. W liczbie tych 4 członków Wydziału Powiatowego było nas ze wsi trzech:

ja, Wincenty Mróz, Ignacy Chabior oraz przedstawiciel miasta Laskowski, a z ramienia obszarników sędzia Edward Łuszczkiewicz z Zagaja oraz Bielski z Deszna.

Przewodniczącym Sejmiku z urzędu był cywilny zastępca austriackiego Kreiskomendanta - major Leurman (Polak, konserwatysta). Ale był to przewodniczący raczej tytułarny, gdyż marszałkiem Sejmiku i Wydziału Powiatowego (był taki tytuł) mógł być członek Sejmiku. Wybraliśmy więc na marszałka Sejmiku sędziego Łuszczkiewicza. Był to człowiek niezły, a jako sędzia bardzo sprawiedliwy. Wybór Łuszczkiewicza był umówiony jako łączny z drugim stanowiskiem - lustratora gmin. Na to stanowisko zostałem wybrany ja. Lustrator gmin nieco później nazywał się powiatowym inspektorem samorządu gminnego. Ówczesny Sejmik powiatowy miał wyraźnie określone dochody, nawet dosyć znaczne, i przy końcu roku 1917 był już całkiem zorganizowany. Rozpoczął więc swą działalność i wkrótce uchwalił budżet swój na rok 1918. W budżecie tym uchwalono płace miesięczne: dla marszałka sejmiku 1000 koron miesięcznie, dla lustratora gmin i dla sekretarza sejmiku 700 koron, a dla powiatowego inżyniera drogowego - 800 koron.

**Zaczął się listopad 1918 roku.** Ówczesny CKN, Komenda Główna POW (Rydz-Śmigły) PPS, + PSL-Wyzwolenie i Stron. Niezawisłości Narodowej w pierwszych dniach listopada utworzyły w Lublinie - Rząd Ludowy, rząd ten ogłosił że nie uznaje Rady Regencyjnej jako rządu polskiego, że ustanawia w Polsce ustój republikański i że wzywa chłopów, robotników i w ogóle wszystkich, którzy nie chcą w Polsce monarchii, aby stanęli przy nim, aby poparli w Polsce rząd ludowy i ustrój republikański.

Część polskiego wermachtu i o najlepsza przeszła na stronę POW, szybko pomaszzerowała do Lublina i pomogła rządowi ludowemu do opanowania sytuacji. Rząd ten wyznaczył w każdym powiecie swego Starostę z poleceniem przejęcia władzy w powiecie. Ci ówczesni starostowie rządu ludowego nazywali się powiatowymi komisarzami ludowymi. Otóż ja otrzymałem taką nominację na komisarza ludowego powiatu jędrzejowskiego, Z. Łopuski otrzymał także nominację do powiatu pińczowskiego.

Jednocześnie było ogłoszone że POW to armia rządu ludowego. W tejsze więc chwili przystąpiliśmy do rozbiorzenia tej byłej austriackiej kompanii Polaków, którzy w Jędrzejowie przebywali. Wykonał to Z. Łopuski i ja przy pomocy mocnego oddziału POW. Oficer Woźniakowski, jako prawnik, dostał nominację na wysokie stanowisko sądowe i wyjechał z Jędrzejowa, a pozostali dwaj oficerowie nie stawiali oporu. Po rozbrojeniu owej b. austriackiej kompanii - jej żołnierze i oficerowie wyjechali do Krakowa. Kompania na była rozbrojona dlatego, gdyż stała przy Radzie Regencyjnej. Wieczorem tegoż dnia zażądałem od Wł. Wielowiejskiego, by mi przekazał władzę w powiecie. Uczynił to bez żadnych przeszkód. Prezesem Pow. Związku Kółek i Prezesem Powiatowej Hurtowni Rolniczo-Handlowej oczywiście pozostał nadal (...)

A więc zostałem Komisarzem Powiatowym Ludowego Rządu Lubelskiego. Pierwszą moją czynnością było odebranie przysięgi od Straży Bezpieczeństwa. Było to wykonane zaraz następnego dnia. Cała Straż Bezpieczeństwa pod komendą Jachimowskiego chętnie złożyła taką przysięgę, boć przecie składała się z samych peowiaków. Następną moją czynnością było przeprowadzenie wyborów nowych wójtów, nowych rad gminnych, i nowych sołtysów. Zarządziłem przeto starym wójtom (urzędowali całą wojnę), by natychmiast zwołali zebrania gminne i dokonali wyborów nowych wójtów i nowych rad gminnych. Na niektóre zebrania gminne pojechałem sam, a na niektóre wyznaczałem jako swego delegata i zastępcę - Stanisława Dukwicz. Tak się też stało.

Zebrania gminne były bardzo liczne; We wszystkich gminach zostali wybrani nowi wójci i zastępcy i nowe rady gminne. Wybory wójtów, zastępców i rad gminnych zaraz zatwierdziłem tak, jak byli wybrani. W tym też czasie nadszedł Dekret Rządu Ludowego, że Stare Sejmiki i Wydziały Powiatowe są rozwiązane i że nowe Sejmiki mają się składać z delegatów od Rad Gminnych i od Rad miejskich, a Kurię kasuje się. Sędzia Edward Łuszczkiewicz a zarazem dotychczasowy Marszałek Sejmiku zrozumiał, że więcej do Sejmiku nie wróci. Był smutny, ale musiał się z tym pogodzić, tym bardziej że w Dekrecie Rządu Ludowego stało, że w nowych Sejmikach przewodniczy Powiatowy Komisarz Ludowy (Starosta).

W tym czasie (11 listopada 1918) powrócił Józef Piłsudski z Magdeburga i zjawił się w Warszawie. Rada Regencyjna - twór okupantów, nie miała za sobą nikogo. Opinia powszechna stała za Piłsudskim jako więźniu niemieckim. Więc też Rada Regencyjna przekazała mu swą władzę jako Naczelnikowi Państwa. Wtedy Rząd Ludowy przybył do Warszawy, uznał nad sobą władzę Piłsudskiego, a Piłsudski uznał za ważne wszystkie Dekrety tego rządu, poczym nastąpiła pewna

rekonstrukcja tego rządu idąca tylko w tym kierunku, że na stanowisko premiera zamiast Ignacego Daszyńskiego - wszedł Andrzej Moraczewski podobno więcej zaprzyjaźniony z Piłsudskim. Inne drobne zmiany były nieistotne.

Wymieniany kilkakrotnie powyżej Zenon Łopuski został powołany na Powiatowego Komisarza Rządu Ludowego w powiecie Pińczowskim i wyjechał z Jędrzejowa. Stanisław Dukwicz, dotychczasowy sekretarz Powiatowego Komitetu Obywatelskiego, który to komitet w Polsce Niepodległej już nie działał, a Stanisław Dukwicz pomagał mi w pełnieniu funkcji Komisarza Powiatowego, wkrótce został on powołany na stanowisko



*Michalina i Andrzej Waleron*

Komisarza Powiatowego w Noworadomsku i na tym stanowisku starosta pozostał kilka lat (ze 3 lata) i zmarł przedwcześnie (rak w płucach - sarkoma). Szkoda go wielka! Był to człowiek b. uczciwy; b. inteligentny i dobrze znał wieś i mógł znakomicie przemawiać do chłopów z dużym skutkiem propagandowym, a jednak bez demagogii. Byłby więc dobrym nauczycielem chłopów. Szkoda wielka że zmarł i to w tak młodym wieku (38-40 lat).

W powiecie włoszczowskim Ludowym Komisarzem Powiatowym został Jan Ledczowa Woch, a w Kielcach ob. Lefler - socjalista. Pisałem powyżej, że w Mstyczowie był taki proboszcz, który ostro zwalczał „Zaranie”, prowadził tryb życia nie dający dobrego przykładu, a poza tym uważał, że majątek parafialny to majątek jego własny. Chłopi go nienawidzili. Przy zwalczaniu zarania posługiwał się sposobami nic nie mającymi wspólnego ze sprawą narodową. Jak się tylko dowiedzieli, że ja jestem starostą, zebrali się przed plebanią z całej parafii, a widząc, że Straż Obywatelska pod Komendą ob. Kowalskiego, nauczyciela z Przelaja, nie myśli się wtrącać do tej sprawy, wynieśli wszystkie rzeczy owego proboszcza (Nazywał się Kaczmarek) z plebanii na ulicę i wszelki jego inwentarz martwy, a inwentarz żywy też na ulicę wyprowadzili. Zaś na miejsce Ks. Kaczmarek parafianie osadzili ks. Andrzeja Huszno, który był zwolennikiem kościoła narodowego.

Objął on z woli parafian ową parafię Mstyczowską. Wyłonił tam Radę Parafialną, która miała rządzić całym majątkiem parafialnym. Rada Parafialna ustanowiła taksę parafialną za posługi religijne; opłaty za posługi pobierał Skarbnik Rady Parafialnej; a zaś ks. Huszno pobierał od Rady miesięczną pensję. Wszystkie te przepisy były uchwalone na zebraniu parafialnym i stanowiły Statut Parafialny. W tym też Statucie było powiedziane, że parafia mstyczowska jest parafią kościoła Demokratyczno Narodowego. Oczywiście ks. Huszno odprawiał nabożeństwa po polsku.

Jasna sprawa, że biskup kielecki nie chciał się na to zgodzić, i po pewnym czasie przysłał innego swojego proboszcza. Znowu się zebrali parafianie; oświadczyli temu proboszczowi biskupiemu, że go do parafii nie przyjmują, zamknęli przed nim kościół, wzięli go delikatnie pod rękę, wsadzili na wóz z tym, by go na koszt parafii do stacji w Sędziszowie odwieźli. Tak się też stało. I w tej sprawie znowu Straż Obywatelska, pilnując tylko bezpieczeństwa tego biskupiego proboszcza, do meritum spraw nie wtrącała się.

Później przybył dziekan i próbował namówić do posłuszeństwa. Na próżno! Tak przeszło kilka miesięcy, może z rok. I ks. Huszno, nie uznający nad sobą władzy biskupiej, był proboszczem we Mstyczowie, płatnym przez Radę Parafialną, nabożeństwa odprawiał po polsku, czynił też wszelkie inne powinności kościelne, jak zwykle każdy proboszcz.

Zaraz po rozbrojeniu Austriaków i wyekspediowaniu ich do domu, zwolnił się w Jędrzejowie przy skrzyżowaniu ulicy Strażackiej i Krzywe Koło na pierwszym piętrem lokal mieszkalny kuchnia i duży pokój; zająłem więc ten lokal, sprowadziwszy żonę z Łączyna do Jędrzejowa. Wkrótce też potem żona zwolniła się ze służby nauczycielskiej i do tej pracy w szkolnictwie już nie powróciła.

Po powrocie Piłsudskiego do Warszawy zaczęła się organizacja administracji państwowej w całej Polsce, a przede wszystkim w Kongresówce. Pomorze Zachodnie jeszcze do Polski nie należało; w Poznańskim dopiero była walka zbrojna powstania poznańskiego z Niemcami. W Galicji Zachodniej rządy sprawowała Galicyjska Komisja Likwidacyjna z siedzibą w Krakowie. Granica wschodnia Galicji była płynna, bo Ukraińcy urządzili w Galicji Wschodniej powstanie, by się oderwać od Polski.

Rozpoczęła się też pomiędzy Ukraińcami i Polakami walka o Lwów, którą to walkę prowadziła młodzież szkolna polska z Ukraińcami oraz nieliczne oddziały b. wojska austriackiego, składające się z Polaków, które się nie zdemobilizowały.



Wschodnia granica Kongresówki też była płynna, bo na Podlasiu jeszcze siedzieli Niemcy, a we wschodniej części Lubelszczyzny grasowały oddziały Ukraińskie pochodzące z Galicji Wschodniej. Rozpoczęła się też walka z Czechami o Śląsk Cieszyński. Śląsk Górny był pod panowaniem Niemców, powstanie polskie też tam wybuchło, ale nieco później.

W takiej sytuacji czas naglił. Nie było ani chwili do stracenia. To też Józef Piłsudski przystąpił szybko do tworzenia wojska, gdy inni ministrowie tworzyli administracje w swoich resortach. Wkrótce też z ramienia Min. Spraw Wojs. przybył do Jędrzejowa major Merak i Kapitan Roman Ciborowski (obaj oficerowie legionowi) i przejęli władzę nad POW w powiecie. Major Merak został komendantem na cały powiat, a Ciborowski (mój stary znajomy) został komendantem placu w Jędrzejowie. Dotychczasowy komendant Kac. Niemiec i jego zast. Hen. Łuszczkiewicz weszli pod komendę majora Meraka. Z rozkazu M. S. Woj. major Merak wybrał z powiatu 4 kompanie POW przekształcił je na batalion wojska liniowego i wyruszył z nim w Lubelszczyznę by usunąć oddziały 78 Ukraińskie, które się aż pod Kraśnik posunęły.

Przed wyruszeniem na front owe 4 kompanie złożyły w Jędrzejowie na rynku na ręce majora Meraka i moje (jako przedstawiciela Rządu) uroczystą przysięgę wojskową, którą odebrał ksiądz z Jędrzejowa, gdyż wszyscy Peowiaczy byli katolikami. Na komendanta straży obywatelskiej przemianowanej na Policję Państwową został wyznaczony ob. Szanełowski, były oficer armii carskiej, Polak i b. członek Korpusu Muśnickiego. Przy tej sposobności dotychczasowy komendant Straży Obywatelskiej Jachimowski (starszy) przeszedł do wojska i niektórzy członkowie straży też; ich miejsce zajęli nowi ochotnicy. Kacper Niemiec został wydelegowany do szkoły oficerskiej M. S. Woj.

Reszta peowiaków została pod dowództwem H. Łuszczkiewicza w Jędrzejowie jeszcze kilka dni, po czym owa reszta była wysłana do Kielc i tam składała przysięgę, którą również ja odbierałem z Łopuskim i komisarzem powiatowym kieleckim Leflerem, bo przysięgę składali peowiaczy z powiatu jędrzejowskiego, pińczowskiego i kieleckiego. W ten sposób cała organizacja POW z powiatu poszła do Armii i na front wedle przeznaczenia. Hen. Łuszczkiewicz, Tadeusz Domański (Czarny) obaj bracia Jachimowscy zostali wyznaczeni do szkół oficerskich. W tej liczbie poszło do wojska około kilkudziesięciu peowiaków, uczniów seminarium nauczycielskiego w Jędrzejowie. Poszedł też do wojska jako peowiak i ochotnik nauczyciel ze Skroniowa Gabriel Czerwik (rodak z Krzcięcic) jako szeregowiec, bo do szkoły oficerskiej nie zgłosił się.

Rząd Ludowy zaraz na początku swego istnienia ogłosił dekret iż Polską jest Rzeczpospolitą a nie monarchią, po czym zmontowawszy aparat państwowy ogłosił Dekret o wyborach do Sejmu Suwerennego, oraz dekret o Ordynacji Wyborczej. Zaczęły się wybory. Zorganizowałem wkrótce zebranie przedwyborcze powiatowe PSL-Wyzwolenie, które postawiło z powiatu jędrzejowskiego do Sejmu dwie kandydatury: moją i Wincentego Mroza z Mierzawy. Wobec tego zaraz zrezygnowałem ze stanowiska Komisarza Powiatowego (starosty) a na swoje miejsce postawiłem kandydaturę Józefa Kruka. Min. Spraw Wew. tą kandydaturę zatwierdziło; przekazałem więc władzę w powiecie Józefowi Krukowi, który ją pełnił chyba ze dwa lata, oczywiście nieco później już z tytułem starosty. Ja zaś zająłem się Kólkami Rolniczymi, powiatową Hurtownią Rolniczo-Handlową i przede wszystkim wyborami do Sejmu.

Jeszcze przedtem odbyły się wybory do Sejmiku Powiatowego. Każda Rada Gminna wybrała 2 delegatów do Sejmiku Powiatowego a miasto Jędrzejów 4. Ja zostałem wybrany z gminy prząsławskiej, swojej rodzinnej gminy. Sejmik Powiatowy zagał Józef Kruk jako Starosta Powiatowy. Szło mu to zagajenie nieśmiało, bo nie był do tego przyzwyczajony. Po zagajeniu nastąpiły wybory do Wydziału Powiatowego. Ja zostałem do Wydziału Powiatowego wybrany; z miasta Jędrzejowa został wybrany Józef Mistulski, a że członków było 6, to którzy byli reszta 4 członkowie, nie pamiętam. Zaistniał więc i Wydział Powiatowy pod przewodnictwem Józefa Kruka. Na inspektora samorządu gminnego powołaliśmy Karola Piękosia, b. legionistę, na instruktora oświatowego Jana Szwaczkę, nauczyciela z Węgleńca. Sekretarzem pozostał nadal dotychczasowy sekretarz Sejmiku Powiatowego Dziewiącki, a na kierownika wydziału finansowego Sejmiku powołaliśmy Wincentego Nawrota z Piasków.

W czasie wyborów nastąpił zamach wojskowy na Rząd Ludowy zorganizowany przez pułkownika Januszajtisa i księcia Eustachego Sapiechę. Udało się zamachowcom nawet uwięzić niektórych ministrów, np. Thugutta. Dopiero oddziały wojskowe, stojące przy Piłsudskim, zlikwidowały 79 zamachowców i uwolniły aresztowanych członków rządu. Ciekawe, że J. Piłsudski złapanych zamachowców puścił na wolność zamiast ich za warcholstwo przykładowo ukarać. A nawet wręcz przeciwnie - księcia Sapiechę - Naczelnik Państwa zamianował wtedy nawet na ambasadora Polski w Anglii. W ten sposób Sapiecha zamiast do więzienia - pojechał do Londynu i w dodatku na rządowy koszt.

Zaraz po tym zamachu nastąpiła zmiana rządu. J. Piłsudski udzielił Rządowi Ludowemu dymisji, a na jego miejsce powołał rząd Paderewskiego. Paderewski, jako głośny artysta - muzyk, znał b. dobrze Francję, Anglię, Stany Zjednoczone A. Pół. Był to człowiek zamożny, a nawet bogaty. Pod względem poglądów społeczno-politycznych był to człowiek zbliżony do Narod. Demokracji. W dziedzinie zaś polityki zagranicznej miał znacznie większe możliwości działania niż przedstawiciel endecków Roman Dmowski, który jako jaskrawy antysemita miał z tego powodu dużo przeciwników pomiędzy dyplomatami mocarstw zachodnich, którzy to ówczesni dyplomaci zachodni, a zwłaszcza angielscy i amerykańscy, byli przeciwnikami antysemityzmu.

A Paderewski antysemitą nie był, albo przynajmniej tego nigdy nie okazywał, choć był katolikiem. Piszę to dlatego, bo już wtedy mówiło się, że to właśnie Paderewski jako premie pojedzie na Konferencję Pokojową do Wersalu, a towarzyszyć mu ma jako drugi delegat Roman Dmowski. O tym, żeby tam na tę konferencję miał jechać jakiś delegat lewicy, np. minister spraw zagranicznych Rządu Ludowego - Leon Wasilewski (PPS) nie było mowy. Mówiło się natomiast że lewica nie ma takich ludzi, którzy by się do tego nadawali. Czy tak było nie wiem. Wiem tylko, że ówczesna Konferencja Pokojowa w Wersalu składała się w dużej większości ze zdecydowanej kapitalistycznej prawicy. Może więc Piłsudski chciał się do tego dostosować a może nie wierzył już wtedy w siłę lewicy! I jedno i drugie jest możliwe. Ale jak to było, nie wiem.

Mówiło się więc wtedy w Warszawie po cichu, że Piłsudskiemu ze względu na Wersalską Konferencję Pokojową zawadzał Rząd Ludowy i Leon Wasilewski i że chcąc się go pozbyć, zainscenizował zamach Januszajtisa na ten rząd, by mieć podstawę do jego dymisjonowania, jako ośmieszonoego. Czy tak było, nie wiem. Ale nie jestem pewien, czy te pogłoski były prawdziwe, czy też błędne. Jedno wiem, że usunięcie Rządu Ludowego podczas wyborów nie wyszło na dobre obozowi ludowemu. Niełatwa to była sprawa zorganizować wybory do Sejmu, gdy administracja państwowa była dopiero w załączku. Ale udało się, a głównie dlatego, iż miny już były uporządkowane i działały sprawnie, a Urząd Powiatowy z Józefem Krukiem też już był zmontowany, a Straż Obywatelska również.

Prezesem Okręgowej Komisji Wyborczej został Zygmunt Nowicki (Wyzwoleniec) zesłanek jako prezes Sądu Okręg. w Kielcach. Okręg wyborczy stanowiły powiaty Kielecki, Jędrzejowski i Włoszczowski. Kandydatami ludowymi byli: z pow. jędrzejowskiego: And. Waleron i W. Mróz, z pow. Włoszczowskiego Jan Ledwoch i F. Jęczmyk, z Kieleckiego - Piwko i ob. Boruń, lista miała kolejkę: A. Waleron, Jan Ledwoch, Piwko, W. Mróz, F. Jęczmyk, Boruń. Lista ta otrzymała № 3, № 2 otrzymała lista socjalistyczna, a numer 1 nosiła zdaje się lista ND. № 4 miała zdaje się lista żydowska. Były też jakieś listy dzikie, bez znaczenia.

Ponieważ te wybory były w Polsce pierwszy raz i nie było doświadczenia, przeto popełniono w powiecie błąd organizacyjny, bo wyznaczono za duże obwody głosowania. Oczywiście walka w okresie wyborów była b. duża i ostra, ale tylko z Nar. Dem. Z PPSem walki żadnej nie było: mówiło się: kto chłop, głosuj na 3, a kto robotnik na 2.

Na liście PPS stał na pierwszym 80 miejscu Lefler znany w Kielcach działacz socjalistyczny a zarazem niepodległościowy. Znałem się z nim b. dobrze. Mogę o nim pisać tylko dobrze, a nawet jak najlepiej. Na endeckiej liście stał M. Sejda z Poznania, Walenty Równicki, chłop z powiatu Jędrzejowskiego (Brynica Mokra) i inni

Endecy wynajęli z Poznania całą chmarę agitatorów i puścili ich w teren. Mieliśmy więc z nimi walkę. Hasłem endecków była niby obrona wiary, mówili i krzyczeli: brońcie wiary, bo ją socjaliści i wyzwolenicy zniszczą i głosujcie na numer „narodowy”. My zaś mówiliśmy: kto chce, by Polską rządili chłopci i robotnicy i by była reforma rolna, niech głosuje na 3, to jest na numer chłopski. Pieniądzy na akcję wyborczą nie mieliśmy żadnych, więc zrobiliśmy składkę pomiędzy działaczami chłopskimi, a kandydaci - ja i Mróz też się pieniądze do tej sprawy przyczyniliśmy.

W gminie Małogoszcz głównym naszym działaczem był Stanisław Forczewski z Ludwinowa, w Brzegowskiej - Walenty Michalski i jego syn Stefan Michalski, w gminie Sobkowskiej - Paweł Woźniczko, mój uczeń, i Andrzej Kondras, ówczesny wójt tej gminy; w gminie Rakowskiej - agitowali działacze: Stanisław Wrona z Węgleńca i A. Chabior z Łączyna; w gminie Imielskiej najpoważniejszym działaczem był Ludwik Kowalski i Franciszek Krakowski, obaj z Kawęczyna, w gminie Nawarzyckiej przywódcą był Andrzej Wójtecki z Nugosławic i oraz Iz. Kubicki z Nawarzyć, w gminie Wodzisławskiej wodzami byli: Walenty Turek, Stanisław Samek, i Stanisław Turek z Promyka, w gminie Sędziszowskiej przywódcą był Ignacy Chabior ze Słaboszowic, w gminie Mstyczowskiej - Marcin i Władysław Lubonie, w gminie Nagłowickiej o

wybitnego przywódcę było niełatwo, ale znaleźliśmy światłego chłopca, Antoniego Siomka z Nagłowic, a oprócz tego był tam bardzo wpływowym stary przyjaciel mojego ojca młynarz Antoni Równicki ze Zdanowicz.

W gminie Węgleszyńskiej cieszył się dużą powagą światły i inteligentny chłop - Kazimierz Golka. W gminie złotnickiej wodzami byli Raus z Wygnarowa, P. Szatański z Kasznic i stary a mądry chłop z Wali Teserowej, który wtedy powrócił z emigracji w Związku Radzieckim. W mojej rodzinnej gminie Prząśławskiej przywódcami byli: Andrzej Czerwik z Deszna, Wincenty Pakuła z Potoka, Piotr Rogowski ze Skroniowa. W samym Jędrzejowie miałem też kilku przyjaciół jak Józef Misztalski - zaraniarz, Józef Kruk - starosta (powiatowy Komisarz Ludowy), Jan Szwaczka, Wincenty Nawrot i inni.

Podczas tych wyborów zorganizowałem kilkadziesiąt wieców w powiecie. Dostarczyliśmy też wszystkim kartki z numerem 3. Ostatni wiec 25 stycznia 1919r. urządziłem w Kozłowie małoskim i rano przybyłem do Sudołu; po śniadaniu dnia 26 stycznia 1919r. poszedłem do głosowania do Prząśławia. Frekwencja była stuprocentowa, tłok straszny, bo jak powyżej nadmieniałem obwody były za duże. Tłok był we wszystkich obwodach w całym powiecie. Głosowanie w Prząśławiu trwało całą niedzielę, całą noc z niedzieli na poniedziałek, cały poniedziałek i skończyło się dopiero późno w nocy z poniedziałku na wtorek. Komisja Obwodowa obliczyła głosy dopiero rano, a we wtorek wysłała i kartki wyborcze i protokół do Kielc do Okręgowej Komisji Wyborczej. Pełnomocnikiem listy był Jan Sznuczka.

Wynik głosowania był następujący: Zostali wybrani z listy №3 - ja, Jan Ledwoch, Piotr Piwko i Wincenty Mróz. Z listy №2 - wybrano na posła Leflera, a z listy endeckiej M. Sejdę i Walentego Równickiego z Brynicy Mokrej. Ale zaraz po wyborach był złożony protest przez endeków, że ja, Ledwoch i Piwko podczas wyborów byliśmy na państwowych stanowiskach administracyjnych i z tych stanowisk oddziaływaliśmy na wyborców. Sprawę sędził Sąd Najwyższy. Okazało się, że ja zaraz na początku wyborów, gdy tylko była wysunięta moja kandydatura, ustąpiłem ze stanowiska powiatowego komisarza rządu (starosty), a Ledwoch tego nie uczynił, zaś Piwko podczas wyborów 81 pełnił funkcję państwowego leśniczego w pow. Kieleckim. To też Sąd Najwyższy unieważnił mandaty J. Ledwocha i P. Piwko, a na ich miejsce weszli zastępcy Fran. Jęczmyk i Stanisław Boruń. **W ten sposób ja i inni ludowcy weszliśmy jako posłowie do pierwszego Sejmu Ustawodawczego Rzeczypospolitej.**

## Część V

# Działalność parlamentarna w okresie międzywojennym

Sejm miał się składać z 524 posłów, a mianowicie: z Królestwa 241, z Galicji i Cieszyna 171 oraz z zaboru pruskiego 112 posłów. Tymczasem w okręgach wyborczych augustowskim, białostockim i bielskim byli jeszcze Niemcy i wybory tam odbyły się później. W Galicji na wschód od Sanu wybory nie mogły się odbyć, z powodu walki z Ukraińcami, w Cieszyńskim też się nie odbyły, gdyż wojska czeskie wbrew umowie z Cieszyńską Radą Narodową napadły na terytorium Cieszyńskiego i zamiast spokojnych wyborów - były tam walki.

W zaborze pruskim, w Poznańskim, była walka zbrojna z Niemcami, a sprawa przyłączenia do Polski Pomorza Zachodniego nie była jeszcze przez Antantę załatwiona. To też w oznaczonym terminie przybyło do Sejmu z wyborów z Kongresówki 226 posłów, z Galicji 70. Do tego doszło 44 posłów t.z. starych, a mianowicie: 28 z Galicji Wschodniej wybranych przed wojną do parlamentu w Wiedniu, 9 z Poznańskiego, 2 z Pomorza i 5 ze Śląska Górnego wybranych również przed wojną do parlamentu niemieckiego w Berlinie.

Razem więc Sejm Ustawodawczy w dniu otwarcia, t.j. 10 lutego 1919r. liczył 340 posłów. Byli oni podzieleni na 11 klubów i grup. A więc Związek Ludowo-Narodowy (Nar. Dem.) miał 116 posłów, Polskie Zjednoczenie Ludowe 27 posłów, Klub Pracy Konstytucyjnej (Konserwatyści z Galicji) - 18tu, Narodowy Związek Robotniczy 16tu, PSL-"Piast" - 44, PSL-Wyzwolenie 58, PSL-Lewica (Stapińczycy) - 16 pos., PPS - 32 pos. Klub żydowski 10 posłów, grupa ks. Okonia pos., Niemcy - 2 pos., oraz kilku dzikich. Nikt więc nie miał wyraźnej większości.

Należałem do klubu PSL-Wyzwolenie. Lokal klubu mieścił się w Sali nad cukiernią „Szwajcarską” na rogu ulic Szpitalnej i Zgody. Dom ten został podczas powstania warszawskiego w roku 1944 zupełnie zburzony, obecnie gdy to piszę (1961) na tym miejscu zbudowano nowy wysoki dom. Do klubu PSL Wyzwolenie przyłączył się również i ks. Okoń ze swoją grupą liczącą 4 posłów i klub ten liczył podług mojej pamięci 63 posłów. Taka była liczba początkowa członków tego klubu. Ktoś jednak z przywódców wyzwoleniowych powiedział Okoniowi, by się z klubu wyprowadził, bo będzie wydany. Kto to uczynił, nie wiem. W każdym razie ks. Okoń wyszedł ze swymi zwolennikami i liczba członków Klubu PSL-"Wyzwolenie" zmalała do 58. Tego usunięcia ks. Okonia z PSL-"Wyzwolenie" nie uważałem wtedy za dobre i mam to przeświadczenie, że miałem słuszość, bo ks. Okoń, działając później samopas, warcholił i różne brewerie polityczne i osobiste wyczyniał i w końcu zszargał się i zmarniał. Kto wie, czy by do tego doszło, gdyby był członkiem PSL-"Wyzwolenie".

Wtedy na początku naszego posłowania największą rolę w Klubie odgrywał Stanisław Osiecki, b. działacz zaraniarski o charakterze i nastawieniu gospodarczym. Obok niego wysuwał się też Błażej Stolarski, prezes stronnictwa i były minister w Rządzie Ludowym. Gdyśmy się tylko w Warszawie zebrali, wynikała zaraz na posiedzeniu klubu poselskiego sprawa, by w klubie dopuścić do głosu byłych przywódców „Zarania”, a więc M. Malinowskiego, Jadwigę Dziubińską i Irenę Kosmowską, którzy podczas pogromu „Zarania” przez policję carską byli aresztowani, wywiezieni do Rosji i nie zdążyli wrócić stamtąd na czas do Polski przed wyborami; to też nie zostali do Sejmu wybrani.

Jako zaraniarz byłem gorącym zwolennikiem, by ich w klubie do głosu dopuścić. Jakie było w tej sprawie stanowisko Osieckiego, nie pamiętam, ale wiem, że wodzem tych, którzy byli przeciwnikami, był Maciej Rataj, który wtedy był wybrany w okręgu zamojskim z listy PSL-"Wyzwolenie". Miał też w tej sprawie swoich zwolenników. Było to więc prawe skrzydło klubu wyzwoleniowego. Po kilkudniowej bardzo ostrej dyskusji postanowiono niedużą większością głosów przyjąć do klubu na członków - dyskutantów - powyżej wymienione 3 osoby. W okręgu Zamość Krasnystaw tamtejszym działaczem był Stanisław Wrona, powiatowy Komisarz Rządu Ludowego w Krasnymstawie. Podczas wyborów nie mógł on kandydować, gdyż był przez tamtejszych endeków okręgowych oskarżony o komunizm i wsadzony do więzienia. To też z tego okręgu został wybrany bez konkurencji Maciej Rataj.



Pomieszczenie dla Sejmu przygotowano przy ulicy Wiejskiej w gmachu wyższej szkoły żeńskiej, w której przed pierwszą wojną światową uczyły się córki rosyjskich dygnitarzy urzędujących w Warszawie, a noclegi dla posłów z poza Warszawy zorganizowano w Politechnice. Otwarcia Sejmu dokonał Józef Piłsudski w dniu 10 lutego 1919r. Następnie Sejm dokonał wyboru marszałka. Zgłoszono trzy kandydatury: Witos (PSL-Piast), Trąpczyńskiego (ND) i Ostachowskiego (Zjed. Lud.). W głosowaniu otrzymali: Witos 144, Trąpczyński 128, Ostachowski 25. W następnym ścisłym głosowaniu Trąpczyński otrzymał 155 głosów, Witos 149, czyli głosy Zjednoczenia Ludowego były w większości przerzucone na Trąpczyńskiego, który w ten sposób został marszałkiem Sejmu, a Zjednoczenie Ludowe ujawniło, że większość jego członków ciąży do Narodowej Demokracji, a nawet nie do „Piasta”. Wice-marszałkami zostali na mocy porozumienia klubów - Andrzej Maj (ND), Stan. Osiecki (Wyzw.), Jakub Bajko (Piast), Moraczewski (PPS) i Ostachowski (Zjed. Lud.).

Na trzecie posiedzenie Sejmu przybył Piłsudski i złożył swą władzę. Wtedy to, t.j. 20 lutego 1919 Sejm uchwalił t.z. Małą Konstytucję:

- a) że władza suwerenna i prawodawcza należy do Sejmu;
- b) że ustawy uchwalone przez Sejm ogłasza marszałek Sejmu;
- c) że Naczelnik Państwa jest zwierzchnikiem władzy wykonawczej cywilnej i wojskowej;
- d) że każdy jego akt urzędowy wymaga podpisu właściwego ministra;
- e) że Naczelnik Państwa powołuje Rząd, ale w porozumieniu z Sejmem;
- f) że Naczelnik Państwa i Rząd są odpowiedzialni przed Sejmem.

Tą „Małą Konstytucję” Sejm uchwalił jednomyślnie. Jednomyślnie też Sejm powołał na stanowisko Naczelnika Państwa w dalszym ciągu Józefa Piłsudskiego. Tegoż dnia stanął przed Sejmem Paderewski i jako premier złożył sprawozdanie ze swej działalności oraz przedłożył plan działania na przyszłość. Poparcie dała mu prawica i centrum, ale na ich żądanie ustąpili z rządu Paderewskiego dwaj ministrowie, którzy tam pozostawali jeszcze z Rządu Ludowego: byli to ob. Próchnik oraz Supiński; na ich miejsca weszli ministrowie o obliczu politycznym prawicowym. Utworzono też nowe ministerstwo dla dzielnicy pruskiej. Ministrem został Władysław Seyda. Ustąpił też minister skarbu English, a jego miejsce zajął Leon Biliński, galicyjski konserwatysta. Ustąpił również minister rolnictwa Janicki i aprowizacji - (...); na ich miejsca weszli: Zygmunt Chmielewski i Stanisław Śliwiński.

Te zmiany dokonane były na żądanie endeków i spowodowały przesunięcie się rządu Paderewskiego od centrum ku prawicy. A choć w tym czasie odbyło się posiedzenie Rady Naczelnej PSL-Wyzwolenia, na którym zapadła uchwała, że należy dążyć do rządów włościańsko-robotniczych, to było to już wtedy kiwanie palcem w bucie.

Tymczasem wypadki biegły szybko. A więc Niemcy zaczęli się wycofywać z Suwalszczyzny i z Podlasia w stronę Prus Wschodnich. Z tego powodu 16 lutego 1919r. odbyły się wybory do Sejmu w okręgu Suwalskim (wybrano 4 posłów), a 15 czerwca w okręgach - Białostockim i Bielskim (wybrano 11 posłów). Jeszcze przedtem, bo 14 marca 1919r., Sejm przyjął do swego grona 6 posłów z jedynej listy wyborczej złożonej do wyborów w okręgu Cieszyńskim, a w czerwcu tegoż roku po wypędzeniu Niemców z Poznańskiego przybyło do Sejmu 42 posłów z Wielkopolski, a ustąpiło 9, którzy byli jeszcze przed wojną posłami w parlamencie w Berlinie. Oczywiście przybycie do Sejmu 42 posłów poznańskich również wzmocniło znaczenie siły sejmowej prawicy, ale Sejm liczył już 394 posłów.

Przechodzenie jednak posłów z klubu do klubu i tworzenie nowych klubów trwało nadal. A więc w lipcu 1919 roku 12 posłów ze Związku Ludowo-Narodowego (ND) i 17 posłów z Narodowo Robotniczego Koła Parlamentarnego stworzyli klub nowego stronnictwa - Chrześcijańskiej Demokracji. Przewodnictwo objęli ks. Adamski (późniejszy biskup) oraz Gdyk. W sierpniu tegoż roku kilku posłów z Józefem Ostachowskim na czele przeszło ze Zjednoczenia Ludowego do PSL-„Piasta”, 24 zaś posłów z obozu ND przeszło do Zjednoczenia Ludowego, którym przewodził Skulski, a we wrześniu 13 posłów wystąpiło z obozu ND i stworzyło Klub Mieszczański, którego prezesem był de Rosset.

Jednocześnie dokonywało się rozszerzenie i utrwalenie granic. A więc w lipcu wojska polskie dotarły do Zbrucza. W miarę tego, jak na ziemiach wschodnich ustępowała okupacja niemiecka, wojska polskie posuwały się na wschód, a radzieckie

na zachód; spotkały się w b. guberni grodzieńskiej i wołyńskiej. W czasie tej akcji wojska polskie 19 kwietnia 1919 zajęły Wilno, latem tegoż roku doszły do Dźwiny i górnego Dniepru, zajęły część Inflant i odstąpiły je Łotwie.

W sierpniu tegoż roku wojska polskie zajęły Mińsk, a w październiku doszły do linii Berczyny, Ptyczy i Słuczy. Zaś o granicach zachodnich zdecydował Traktat Wersalski z 28 czerwca 1919. Zgodnie z tą decyzją i wynikami walki z Niemcami najpierw została z Polską złączona ziemia poznańska, a następnie, ale dopiero 17 stycznia i 10 lutego 1920r. - zostało przyłączone Pomorze Zachodnie oraz część brzegów Bałtyku od Sopotu do jeziora Żarnowieckiego i rzeczki spływającej z tego jeziora do morza.

Delta Wisły (Sopot, Oliwa, Gdańsk, Nowy Dwór) na zachód od głównego koryta Wisły miała stanowić Wolne Miasto Gdańsk, którym miała zarządzać ludność tego terytorium pod kontrolą Wysokiego Komisarza Ligi Narodów. Polska miała na terenie Wolnego Miasta Gdańska koleje, mogła utrzymywać tam dla siebie swoją pocztę, a oprócz tego Gdańsk w orbitę polskiego obszaru celnego. Czyli w zakresie kolejowym i celnym Gdańsk należał do Polski, a we wszystkich innych sprawach był od Polski niezależny. Władzę kontrolną nad Gdańskiem spełniał Komisarz Ligi Narodów, ale że nie miał do dyspozycji żadnej siły zbrojnej, władza jego nad Gdańskiem była teoretyczna. Był też w Gdańsku i Komisarz z ramienia Polski, ale miał pod swoją opieką tylko koleje, pocztę i cła. Było więc Wolne Miasto Gdańsk wrzodem w organizmie ówczesnej Polski, a także przednią strażą prusactwa, boć przecie od wschodu graniczyło z Prusami Wschodnimi, forpocztą ówczesnej niemieckiej nacjonalistycznej zaborczości.

Na mocy tegoż Wersalskiego Traktatu Pokojowego w Prusach Wschodnich, na Śląsku Górnym i Cieszyńskim miał się odbyć plebiscyt. Ustanowiona przez Wersalski Traktat Pokojowy tak zwana Rada Najwyższa Wschodniej Koalicji ostatecznie zgodziła się na zajęcie terenów pomiędzy Sanem i Zbruczem i administrowanie nimi w ciągu 25 lat z tym, iż po tym terminie miał się tam odbyć plebiscyt. Tak Rada Najwyższa ustanowiła prowizoryczną granicę pomiędzy Polską i Litwą.

Administrację nad Galicją i Śląskiem Cieszyńskim pełniła Komisja Rządząca, ale w marcu r. 1919 ustanowiono na ten teren Delegata Rządu i przy nim Wydział Samorządowy. W Poznańskim najpierw rządziła Naczelną Radą Ludową, dopiero w jesieni r. 1919 zorganizowano tam administrację państwową podległą Ministrowi Dzielnicy Pruskiej. Władzę nadzorczą nad administracją Śląska Cieszyńskiego na mocy Traktatu Wersalskiego objęła Komisja Międzysojusznicza aż do wyników projektowanego tam plebiscytu. Co się tyczy administracji na ziemiach wschodnich, t.j. na Wileńszczyźnie, w Grodzieńszczyźnie, na Polesiu i Wołyniu - to na początku 1920r. był tam ustanowiony Zarząd Cywilny Ziem Wschodnich z trzema okręgami administracyjnymi: Wileńskim, Brzeskim i Wołyńsko-Podolskim.

Sprawa reformy rolnej niezawodnie była podstawą a zarazem i motorem ruchu ludowego. To też w lecie r. 1919 stała się głównym przedmiotem obrad Sejmu: najpierw w Komisji Rolnej, a później na pełnym posiedzeniu. Dla skuteczniejszej walki o tą sprawę wszystkie trzy grupy ludowe zawarły ze sobą związek sejmowy posłów chłopskich. Liczył ten związek 134 głosy. Na razie była ta sprawa przedłożona Sejmowi jako uchwała o zasadach reformy rolnej. Dnia 7 lipca 1919r. Komisja Rolna złożyła Sejmowi wniosek, by największy obszar posiadłości rolnej na jednego rolnika wynosił od 60 do 300 morgów - w zależności od stopnia uprzemysłowienia danego terenu. Z tego wychodziło, że nadwyżki obszarów rolnych (dworów) ponad te liczby mają iść na reformę rolną.

Jasna sprawa, że obszarnicy zadrżeli ze strachu, a ich przyjaciele i obrońcy, t.j. kler katolicki, również. Zrobili więc w Sejmie swoje. Toteż w głosowaniu wniosek ten upadł. Za nim głosowało 178 posłów, przeciw - 184, zaś wstrzymało się od głosowania 3ch. Następny wniosek, by w okręgach przemysłowych maksimum posiadania było od 100 do 300 morgów, a w okręgach (...) 500 morgów - też przepadł, bo za nim głosowało 181, a przeciw też 181, a więc nie osiągnął nawet małej większości. Wtedy posłowie chłopscy ze śpiewem „O cześć wam, panowie, magnaci!” - opuścili salę posiedzeń, ale nie wyszli z Sejmu, i tu popełnili błąd, bo powinni byli w ogóle opuścić Sejm, który bez posłów chłopskich nie mógłby istnieć i musiałby być rozwiązany.

Przeprowadzenie wyborów w jesieni r. 1919 pod hasłem wyraźnym - walki z obszarnikami o ziemię - byłoby niezawodnie dało większą siłę obozowi chłopskiemu. Ale nie stało się tak. Posłowie chłopscy poszli w tej sprawie po linii mniejszej fatygi. Wrócili więc następnego dnia do Sejmu; artykuł upadły zwrócono znowu do komisji, tam go przerobiono i 10 lipca Sejm uchwalił, że maksimum posiadania w Polsce ma być 180ha (około 350 morgów). Za wnioskiem głosowało 183,

przeciw 182. Stało się widoczne, że za tak ważną sprawą połowa Sejmu była za, a druga połowa przeciw, i że prawica jeden swój głos przerzuciła na stronę lewicy, aby ułagodzić posłów chłopskich i odprowadzić ich od zamiaru opuszczenia Sejmu i wyborów pod hasłem walki o ziemię dworską.

Z ramienia obozu chłopskiego głównymi mówcami w tej sprawie na posiedzeniach Sejmu byli - Jan Dębski, Juliusz Poniatowski, a także Stapiński. Ja też byłem członkiem komisji rolnej, ale na pełnym Sejmie w tej sprawie nie przemawiałem, natomiast czynił to jako drugi mówca z Wyzwolenia poseł Jan Smoła. Piszę to też i dlatego, by zaznaczyć, że Jan Dębski, który był w sprawie zasad reformy rolnej nie tylko czołowym mówcą, ale także referentem komisyjnym tej sprawy - stał się w Sejmie z powodu zacieklej walki o zasady reformy rolnej - posłem bardzo popularnym; poseł zaś Jul. Poniatowski, zresztą mający wyższe wykształcenie rolne, stał się w Wyzwoleniu w sprawach rolnych dużą powagą.

Wkrótce też dnia 22 lipca tegoż roku Sejm uchwalił ustawę o powołaniu Głównego Urzędu Ziemskiego, a następnie ustawy o rozstrzygnięciu przez państwo zatargów z robotnikami rolnymi oraz o ośmiogodzinnym dniu pracy i o skróceniu pracy w soboty do godzin 6.

W czasie walki o zasady reformy rolnej doszło do zbliżenia klubów PSL-„Wyzwolenie” i PSL-„Piast”. Wyzwoleńcom zdawało się, że pomiędzy grupą „Wyzwolenia” i grupą „Piasta” nie ma różnicy. Toteż połączyły się te dwa kluby w jeden klub, ale stronnictwa się nie połączyły; do tego zjednoczonego klubu jednak nie przystąpił też klub Stapińskiego. Oczywiście Stapiński lepiej znał Witosą, niżli wyzwoleńcy, i łączyć się nie chciał.

W tym czasie trwał jeszcze rząd Paderewskiego, ale już po uchwaleniu zasad reformy rolnej Witos porozumiał się potajemnie ze Skulskim, prezesem klubu Zjednoczenia Ludowego, z klubem chadeckim i mieszczzańskim, że obalą rząd Paderewskiego a stworzą swój, parlamentarny. Ułożyli więc program dla tego nowego rządu. Program był następujący: odnośnie konstytucji: Sejm dwuizbowy, prezydenta wybiera Zgromadzenie Narodowe, prezydent ma mieć w stosunku do uchwał Sejmu prawo weta, Senat ma się składać z 70 senatorów wybranych przez Sejm, 30tu - wybranych przez samorządy terytorialne i 21 wirylistów jako przedstawicieli wyznań religijnych, nauki, sztuki; uchwały Sejmu, odrzucone przez Senat, by były ważne, musi je Sejm uchwalić powtórnie, ale większością 3/5 głosów. Było to więc jaskrawe ograniczenie praw Sejmu przez prezydenta i Senat.

Tymczasem PSL-Wyzwolenie duże nadzieje pokładała właśnie w Sejmie jednoizbowym, wybranym w wyborach pięcioprzymiotnikowych. W sprawie reformy rolnej kompromis pomiędzy Witosem i Skulskim polegał na tym, że maksimum posiadania miało być od 180-400ha i że parcelacja może być państwowa, ale może też być i prywatna. Jak z tego widać kompromis Witos - Skulski i w dziedzinie konstytucyjnej, i w dziedzinie reformy rolnej - był poważnym odejściem od programu PSL-Wyzwolenie. Toteż, gdy Witos projekt tej umowy zreferował w połączonym klubie, powstało pomiędzy niektórymi wyzwoleńcami wzburzenie. A że sprawa połączenia dwóch klubów nie była jeszcze zatwierdzona przez Kongres PSL-Wyzwolenia, Zarząd Główny tegoż stronnictwa postanowił powołać ów kongres dla rozstrzygnięcia tej sprawy.

Ja osobiście miałem pogląd, iż pakt Witos-Skulski był zagładą radykalnego ruchu ludowego i wielką szkodą dla sprawy chłopskiej. W tej sprawie, nie pamiętam już z czyjej inicjatywy, odbyła się poufna konferencja trzech: ja, Thugutt i Poniatowski. Na tej konferencji przekonałem ich, że należy odejść od PSL-Piasta, wznowić samodzielność PSL-Wyzwolenia, by miał kto prowadzić dalszą walkę o konstytucję demokratyczną i reformę rolną.

Tą tezę przeprowadziliśmy również i na Zarządzie Głównym PSL-„Wyzwolenia”. Gdy się więc zebrał kongres wyzwoleńcowy, a był bardzo liczny i bojowo nastawiony, i gdy Zarząd Główny przedłożył owemu kongresowi swój wniosek, to po długiej i bardzo gwałtownej dyskusji na wniosek Sosnowca, delegata z Tomaszowa Lubelskiego, kongres jednomyślnie uchwalił tezę Zarządu Głównego PSL-„Wyzwolenie”, aby klub PSL-„Wyzwolenie” odszedł od „Piasta” i z powrotem wznowił swą samodzielność.

Ale, gdy przyszło do wykonania tej uchwały, to Maciej Rataj i Alfons Erdman zbuntowali poważną część klubu i z tego powodu od „Piasta” odeszło tylko 23 posłów wyzwoleńcowych, a 35 pozostało. Ci, którzy pozostali, pod kierownictwem Rataja przez jakiś czas niby stanowili jakby odrębną grupę, ale po pewnym czasie rozplynęli się w „Piast”. Grupa zaś 23 posłów (i ja do niej należałem) ustanowiła z powrotem klub PSL-„Wyzwolenie” i kontynuowała dalszą walkę w Sejmie i

poza Sejmem o wykonanie swego programu. Walka ta odbyła się najpierw w powiatach rodzinnych owych 35 posłów. Była to więc walka 23 przeciw 35ciu.

Muszę stwierdzić, że prawie we wszystkich tych powiatach na wiecach masy chłopskie wypowiedziały się przeciw grupie Rataja i Erdmana. Ta opinia mas chłopskich poważnie wzmocniła na duchu nas - 23 posłów wyzwoleniowych. Ja osobiście zorganizowałem cztery zgromadzenia publiczne w powiecie stopnickim, z którego kandydował Erdman i Wojciech Zajda. Nastroje chłopskie w tym powiecie były dla nich wrogie do tego stopnia, że się nawet na żadnym nie zjawili. Chłopi więc publicznie potępił ich. Tak było w wielu, wielu powiatach. To też w dalszym biegu wypadków, przy następnych wyborach do Sejmu, z liczby tych 35 odstępców, z wyjątkiem Rataja i Erdmana - prawie wszyscy poprzepadali i nigdy już do Sejmu nie wrócili.

Gdy więc Konferencja Pokojowa w Wersalu, w której brał udział Paderewski, zakończyła swą pracę, Witos i Skulski swą umowę w życie wprowadzili. Wtedy na posiedzeniu Sejmu oświadczył Witos w imieniu świeżo zorganizowanego ze Skulskim zespołu, że Sejm nie ma zaufania do rządu Paderewskiego. Po ustąpieniu Paderewskiego 9 XII 1919r., powstał więc rząd Skulskiego. Oczywiście premierem został Skulski, ministrem spraw wewnętrznych Stanisław Wojciechowski (sympatyk „Piasta”), ministrem spraw wojskowych - gen. Leśniewski, ministrem dzielnicy pruskiej Wł. Zejda, sprawy skarbowe objął Władysław Grabski, kolejnictwo Kaz. Bartel, zagraniczne - Stan. Patek; ministrami jego zostali Marian Zejda i Jan Dąbski; szkolnictwo - Łopuszański, zdrowie - Chodźko, poczta - Tołłoczko, roboty publiczne - Andrzej Kędzior, a rolnictwo Fr. Bardel. Weszło więc do tego rządu trzech endeków, czterech piastowców, a reszta bezbarwni skulszczycy. Trwał ten rząd 6 miesięcy, a obaliły go trzy sprawy: 1) Że zwłóczył z wykonaniem reformy rolnej, 2) Wydarzenia wojenne i zaburzenia w Poznaniu.

W marcu 1919r. przybył do Moskwy delegat Polski - Więckowski, by rozpocząć pertraktacje pokojowe, ale gdy wojska polskie 19 kwietnia zajęły Wilno, Rząd Sowiecki polecił Więckowskiemu opuścić Moskwę. Wojna więc pomiędzy Polską a Związkiem Radzieckim trwała dalej. Ale już w końcu stycznia 1920r. Rząd Sowiecki zadeklarował, że uznaje niepodległość Polski, że jego wojska nie przekroczą na zachód od Dnyszy i Płocka, a na Wołyniu i Podolu na zachód od Cudnowa i Baru, i że gotów jest do pertraktacji pokojowych na przykład w Borysowie, ale z tym, żeby działania wojenne były zawieszane na całym froncie. Błąd popełnił minister Patek, że się na to zawieszenie broni na całym froncie nie zgodził, a proponował tylko zawieszenie broni w rejonie Borysowa. O to się też rozbiły pertraktacje i wojna trwała dalej.

Było to w kwietniu 1920 roku. W końcu kwietnia Piłsudski rozpoczął ofensywę głównie na froncie ukraińskim. Chciał widocznie realizować swe polityczne marzenie, tj. utworzyć niepodległą Ukrainę. W tym celu zawarł w Zamościu z ukraińskim atamanem Petlurą umowę, w której była przewidziana granica pomiędzy Polską i przyszłą niepodległą Ukrainą; granica ta miała być od południa, na Zbruczu, a dalej na północ zachodnia część Wołynia miała należeć do Polski, a wschodnia - do Ukrainy. W zamian za takie rozgraniczenie Polska miała pomagać Petlurze w walce o niepodległość Ukrainy.

Był w tej umowie słaby punkt: nie przystąpiła do tego Rumunia, dalszy bieg wypadków wykazał, że bez udziału Rumunii sama Polska nie miała tyle siły, by się na tak wielkie przedsięwzięcie porywać. Wojska polskie rozpoczynając ofensywę w kierunku na Kijów, nie spotkały ze strony Związku Radzieckiego wielkiego oporu, więc też zajęły Żytomierz, a nawet Kijów, ale prawie ich skrzydło na przestrzeni od ujścia Zbrucza aż do Dniepru zawisło w powietrzu, czyli że prawobrzeżna Ukraina południowa, leżąca pomiędzy Rumunią i Dnieprem nie była i nie mogła być zajęta przez wojska polskie.

Tymczasem Związek Radziecki przygotował grupę uderzeniową w postaci dużej masy kawalerii na lewym brzegu Dniepru, na wprost tej południowej części Ukrainy, w której nie było wojsk polskich. Radziecka więc armia konna Budionnego przeprawiła się bez przeszkód na prawy brzeg Dniepru i skierowawszy swój pochód na północny zachód, zaczęła zajmować tyły wojsk polskich. W takich warunkach nastąpił odwrót armii polskiej z Kijowa z tym, że armia Budionnego ciągle napadała na armię polską od południowej strony. Odwrót więc przybrał rozmiary katastrofy.

W tymże czasie nastąpiła również kontrofensywa armii radzieckiej na froncie północno-wschodnim. Armia polska, zajmująca tam stanowiska w rejonie Mińska, również nie wytrzymała uderzenia i rozpoczęła odwrót w kierunku Grodna i Warszawy. Najslabiej była atakowana armia Sikorskiego na Polesiu. Jedynie ta armia, zresztą mniejsza od południowej i północnej, rozpoczęła odwrót równoległe do odwrotu armii południowej i północnej i wykonała go w dobrym stanie, prawie

bez strat. Ale wojska sowieckie idące w ślad za ustępującymi wojskami polskimi nie szły w jednym kierunku, a w dwóch, a mianowicie na Lwów i na Warszawę. Był to ich błąd strategiczny, który wybitnie pomógł Piłsudskiemu do wyjścia z trudnej sytuacji.



*Harczerze jędrzejowscy - ochotnicy wojny polsko-bolszewickiej*

Oczywiście za to wszystko odpowiadał rząd, w tym wypadku - Skulskiego. To też na skutek niepowodzeń wojennych, zaburzeń kolejarzy w Poznaniu, a także i niechęci do tego rządu ludowców z powodu niewykonywania reformy rolnej - rząd Skulskiego 9 czerwca 1920r. ustąpił. Próbowano więc w Sejmie powołać rząd centrowo-lewicowy z Brejskim na czele, ale się to nie udało; a że front wojenny zbliżał się do Warszawy i „ziemia się paliła pod nogami” i nie było czasu na przewlekanie, przeto powstał w Sejmie 24 czerwca 1920 pozaparlamentarny rząd Władysława Grabskiego, który zatrzymał ministerstwo skarbu i premierowstwo. Niektórzy ministrowie pozostali z rządu poprzedniego, niektórzy ustąpili; a więc zamiast Patka ministerstwo spraw zagranicznych objął E. Sapieha, na miejsce Kędziora wszedł G. Narutowicz, a na miejsce Bardla wszedł profesor Bujak.

Oprócz tego Sejm powołał do obrony Polski Radę Obronną Państwa w składzie: Naczelnik Państwa, Marszałek Sejmu, premier, 3 ministrów, 3 osoby wyznaczone przez Naczelnego Wodza oraz 10 posłów. Z ramienia klubu PSL-Wyzwolenie wszedł do ROP poseł J. Woźnicki, który wtedy był faktycznym kierownikiem tego klubu. ROP wydała do narodu odezwę wzywającą do obrony niepodległości i do wstępowania do wojska ochotników. Zaczęła się więc tworzyć armia ochotnicza, która wkrótce doszła do 80 tysięcy ludzi.

W tym też czasie rozpoczęła się Konferencja Ententy w Spaa. Grabski pojechał na tę Konferencję prosić o pomoc i 10 lipca tegoż roku zgodził się na rozejm na następujących warunkach: wojska polskie cofną się na linię, wyznaczoną przez Konferencję, a sowieckie na linię odległą od linii poprzedniej na 50 km. Wilno ma być oddane Litwie; w Galicji Wschodniej wojska obu stron cofną się na 10 km od linii zajmowanej w chwili zawieszenia broni; Polska przyjmie decyzję koalicyjnej Rady Najwyższej w sprawie ostatecznego rozgraniczenia z Litwą, w sprawie Galicji Wschodniej, Cieszyna i Gdańska.



Na tych warunkach Anglia w imieniu tej Konferencji ma się zwrócić do Związku Radzieckiego z wnioskiem o zawieszenie broni, a gdyby Zw. Rad. odmówił, Anglia udzieli Polsce pomocy w materiałach, uzbrojeniu i amunicji. Taki układ Grabski podpisał i wrócił do Warszawy, ROP zatwierdziła ten układ, a wtedy Anglia zaproponowała Związkowi Radzieckiemu zawieszenie broni na warunkach Konferencji w Spaa.

Ale rząd radziecki odmówił. Wtedy i rząd Grabskiego upadł. Zaraz też, t.j. 20 lipca 1920r. ROP powołała rząd koalicyjny z Witosem na czele, jako premierem, i Daszyńskim jako wicepremierem; w tym rządzie Władysław Grabski zatrzymał ministerstwo skarbu, Sapieha min. spraw zagranicznych, Bartel komunikację, Narutowicz - roboty publiczne, Chodzko - zdrowie, ministrem spraw wojsk. został Kazimierz Sosnkowski, spraw wewnętrznych - Skulski, oświaty - Rataj, sprawiedliwości - Nowodworski, pracy - Peplowski, poczt - Stesłowicz, a rolnictwa - Jul. Poniatowski. Premier Witos zaraz ogłosił, iż jest to rząd obrony narodowej, ale niezależnie od tego wysłał delegata do pertraktacji z naczelnym wodzem radzieckim.

Do pertraktacji nie doszło. Delegat powrócił do Warszawy. Stawało się coraz jaśniejsze, iż rząd radziecki widocznie dąży do zajęcia Warszawy; wtedy rząd Witosza wzywa wszystkich zdolnych do broni do obrony niepodległości. Wtedy rząd sowiecki, nie przerywając działań wojennych, zgodził się na pertraktacje w Mińsku białoruskim; toteż wiceminister spraw zagranicznych Jan Dąbski wraz z delegacją udaje się do Mińska.

A wojna trwa i przebieg jej jest następujący: Wojska radzieckie, idące od strony Kijowa, rozdzieliły się na dwie armie; jedna poszła na Lwów, druga z północnego Wołynia - na Warszawę. Piłsudski postanowił pobić każdą z nich osobno. Udał się więc do Lwowa, stanął na czele wszystkich wojsk polskich, które tam były u w ciężkiej bitwie pod Toporowem pobił południową armię radziecką i odepchnął ją na zachód, pozostawił tam małe siły polskie do dalszej obrony Lwowa, a koncentrację główną wojsk polskich wyznaczył na północ od Lublina a na południe (...) Wieprza, t.j. na południowy wschód od Dębina.

Do obrony Warszawy była wyznaczona armia Józefa Hallera z dużą ilością artylerii; armia ta zajęła stanowisko w okolicy Radzymina; trzecia armia pod dowództwem Sikorskiego zajęła stanowisko w okolicy Modlina. Dla osłony prawego skrzydła głównych sił polskich, stojących nad Wieprzem, była wyznaczona kawaleria polska, i rozstawiona we wschodniej Lubelszczyźnie.

Północna armia radziecka, idąca od Mińska na Warszawę, jednak nie uderzyła wprost na stolicę Polski, a omijając Warszawę przez Ciechanów, Mławę, Płońsk poszła na Płock zamierzając tam przeprosić się przez Wisłę i uderzyć na Warszawę od zachodu. Stojąca w Modlinie armia Sikorskiego nie przeszkadzała tej armii radzieckiej w pochodzie na Płock. Natomiast linia Wisły pomiędzy (...) i Dęblinem pozostała prawie bez żadnej obrony. Jak z tego widzimy plan generalnego rozstrzygnięcia tej wojny ze strony Polski był nie kordonowy, a ruchomy.

Gdy więc armia radziecka idąca pod dowództwem Tuchaczewskiego na Warszawę od strony północnego Wołynia i Polesia podeszła pod Radzymin, nastąpiły tam ostre jej walki z armią Hallera, walki te trwały kilka dni; wtedy Piłsudski z głównymi siłami Polski, stojącymi nad Wieprzem, nagle uderzył na armię Tuchaczewskiego od południa i zaczął ją zachodzić od tyłu. Takiego uderzenia Tuchaczewski się nie spodziewał, ani też nie był na nie przygotowany. Toteż armia Tuchaczewskiego została zupełnie rozbita i straciła prawie całą artylerię (300 armat).

Gdy zaś północna armia radziecka pod Płockiem napotkała na opór, zorganizowany tam osobiście przez Moraczewskiego, wtedy armia Sikorskiego uderzyła wprost na Ciechanów i odcięła odwrót północnej armii radzieckiej. Próbowała ta armia przerwać się przez wojska Sikorskiego, ale nie mogła tego wykonać, więc zwróciła się na północ, przeszła granicę Prus Wschodnich (dziś woj. olsztyńskie) i złożyła broń Niemcom. Próbował wprawdzie Budionny iść na pomoc armii Tuchaczewskiego, ale był zatrzymany pod Zamościem i po stoczony tam bitwie musiał się wycofać na wschód. Związek Radziecki zgromadził jednak swe rezerwy nad Niemnem pod Grodnem, ale i te były wczesną jesienią 1920r. pobite. Armia więc polska ruszyła ku wschodowi bez przeszkód.

Wtedy delegacje polska i radziecka zebrały się w Rydze i zaczęły radzić o pokoju. Wreszcie 12 października 1920r. podpisano warunki pokoju i wojna Polski ze Związkiem Radzieckim została zakończona na następujących warunkach: 1) Związek Radziecki uznał Polskę jako państwo niepodległe i suwerenne 2) Granicę pomiędzy Polską i ZSRR ustalono następująco: na północy granicę stanowiła rzeka Dwina Zachodnia; granica wschodnia zaczynała się na Dwinie Zachodniej,

a kilka kilometrów na wschód od miasteczka Dżisny i biegła w kierunku z lekka południowo-zachodnim do początków rzeki Wilii na wschód od miasteczka Dałkinów; następnie linia graniczna odchodziła od Wilii i zmierzała na południe ku Radoszkowiczom i ku wsi Kołosowo i na wschód od miasta Stołpce i miasteczka Klecka dochodziła do rzeki Słucz, następnie granica z biegiem rzeki Słucz dochodziła do Prypeci, przekraczała Prypec i biegła na południe do miejscowości Ostki, a następnie do Korca; omijając to miasteczko od wschodu zmierzała w kierunku południowo-wschodnim do Ostrogu, a stąd obok Szumska i Łanowiec biegła do górnej części Zbrucza i wreszcie z biegiem tej rzeki dochodziła do Dniestru, który odgraniczał Polskę od Rumunii i na przestrzeni od Okopów Św. Trójcy do Zaleszczyk. Dalsze zaś rozgraniczenie Polski od Rumunii i Czecho-Słowacji było identyczne z przedwojennym rozgraniczeniem Galicji od Rumunii i Węgier.

Późną jesienią 1920r. Sejm wraca do normalnej pracy parlamentarnej. Rząd koalicyjny z Witosem na czele, powołany do obrony Polski, po zawarciu pokoju stawał się coraz mniej potrzebnym. Wtedy ustąpiło z niego 7 ministrów, ich stanowiska objęli inni i Rząd zmienił swój charakter. W grudniu 1920r. - PPS wycofał z rządu Ignacego Daszyńskiego, zaś w lutym 1921 ustąpił Poniatowski. W Sejmie zaś Komisja Konstytucyjna pracowała nad projektem konstytucji.

Ale wróćmy do granic północnych i zachodnich. Pomorze Zachodnie (obecnie woj. gdańskie bez Gdańska i Lęborka) oraz obecne woj. bydgoskie powrócił Polsce traktat pokojowy w Wersalu. Na mocy tego traktatu Polska otrzymała na prawym brzegu Wisły powiaty: Grudziądz, Chełmno, Toruń, Brodnica i Lubawa, zaś z Gdańska wraz z okolicą leżącą przy ujściu Wisły od Sopotu aż do Nogatu Malborgu - traktat Wersalski utworzył Wolne Miasto Gdańsk pod zwierzchnictwem Komisarza Ligi Narodów z tym, że Polska ma z Gdańskiem unię celną i paszportową, ma tam swoją pocztę, część portu gdańskiego (Westerplatte) oraz kolej przechodzącą przez Gdańsk z Tczewa do Gdyni.

W tymże traktacie określono rozgraniczenie pomiędzy Wielkopolską i Rzeszą Niemiecką. Zaś rozgraniczenie pomiędzy Kongresówką i Prusami Wschodnimi oraz na Śląsku Cieszyńskim pomiędzy Polską i Czechosłowacją miało się odbyć na mocy plebiscytu. Oba plebiscyty były wyznaczone na lipiec 1920r. W przebiegu wypadków okazało się, że lipiec był wtedy dla Polski bardzo niebezpieczny: niepodległość była zagrożona przez działania wojenne. Był to więc czas dla plebiscytu bardzo niesprzyjający.

Plebiscyt jednak odbył się w oznaczonym terminie. Z powodu ówczesnej ciężkiej sytuacji Polski na froncie wojennym oraz niemieckiego terroru w Prusach Wschodnich głosowało tam za Polską na tym terenie plebiscytowym dnia 11 lipca 1920r. tylko 15 tysięcy, za Niemcami 460 tysięcy. Otrzymała więc Polska z tego terenu plebiscytowego tylko powiat działdowski i kilka wsi z powiatu kwidzyńskiego.

Plebiscyt na Śląsku Cieszyńskim nie odbył się, gdyż za zgodą Polski i Czechosłowacji - sprawa ta była załatwiona arbitrażowo, przy czym Polska otrzymała z całego terenu plebiscytowego, liczącego 2222 km kwadratowych tylko 1002 km kw. z 142 tys. ludności, a resztę otrzymała Czechosłowacja. Plebiscyt zaś na Górnym Śląsku był wyznaczony na 20 marca 1921r. Z tego powodu Sejm 15 lipca 1920r. ustawą zagwarantował Górnemu Śląskowi autonomię.

Długa była w Sejmie walka o konstytucję, ale się skończyła 17 marca 1921r. Podstawowe zasady tej konstytucji były następujące: Polska jest Rzeczpospolitą. Najwyższą władzą prawodawczą i kontrolną jest Parlament dwuizbowy: Sejm i Senat. Szefem władzy wykonawczej i przedstawicielem Państwa jest Prezydent R.P., wybierany na lat 7 przez Zgromadzenie Narodowe, składające się z Sejmu i Senatu razem połączonych. Sejm i Senat są wybierane na 5 lat. Prawo wyborcze do Sejmu ma każdy obywatel czy obywatelka po ukończeniu 21 lat, a do Senatu po ukończeniu 30 lat. Posłem może być tylko obywatel czy obywatelka, którzy ukończyli 25 lat, zaś senatorem tylko ten czy ta, którzy ukończyli 40 lat. Prezydent może rozwiązać Sejm przed terminem, ale za zgodą 3/5 Sejmu. Sam Sejm może się rozwiązać przed terminem tylko większością 2/3. Gdy jest rozwiązany Sejm, następuje rozwiązanie i Senatu. Prezydent mianuje Rząd, ale za zgodą Sejmu. Senat zatwierdza ustawy uchwalone przez Sejm. Jeżeli Senat nie zatwierdzi ustawy uchwalonej przez Sejm, lub uchwali do niej poprawki, to - by się stało tak jak Sejm uchwalił pierwotnie, musi Sejm swoje poprzednie uchwały uchwalić po raz drugi większością 11/20. Zmiana Konstytucji może być uchwalona przez Sejm i Senat, ale większością 2/3 głosów obu tych izb ustawodawczych. Co 25 lat Zgromadzenie Narodowe (Sejm i Senat) może zmienić Konstytucję zwykłą większością głosów.

Oczywiście przy uchwalaniu tej konstytucji była bardzo ostra walka przeciw projektowi Senatu. Prowadziły ją dwa kluby: PSL-Wyzwolenie i PPS. Walka ta doszła aż do obstrukcji, w której przodowało PSL-Wyzwolenie. To jednak nic nie

pomogło. Większość uchwaliła Konstytucję z Senatem. Pamiętam jeszcze, że z tą sprawą trzeba się było bardzo spieszyć, aby Konstytucja była uchwalona przed plebiscytem na Górnym Śląsku, iżby Ślązacy wiedzieli, za jaką Polską mają głosować. Z tego powodu posiedzenia Sejmu trwały dwa dni i dwie noce z rzędu bez przerwy i w drugą noc do każdego głosowania trzeba było posłów budzić; byli więc w tym celu w każdym klubie ustanowieni „budziciele”, którzy budzili posłów do głosowania, bo podczas dyskusji większość spała w krzesłach.

Następnego dnia po uchwaleniu Konstytucji, t.j. 18 marca 1921 roku Sejm zatwierdził preliminaria pokoju zawartego w jesieni roku poprzedniego w Rydze pomiędzy Polską i Związkiem Radzieckim. A 20 marca oczywiście tegoż roku odbył się plebiscyt na Górnym Śląsku. Ponieważ bandy niemieckie nie pozwalały tamtejszej ludności polskiej szerzyć uświadomienia narodowego za Polską, przeto w sierpniu 1919r. wybuchło na Górnym Śląsku przeciw Niemcom powstanie; było ono jednak przez Niemców stłumione.

Wtedy przybyła na Śląsk z ramienia Rady Najwyższej traktatu wersalskiego Komisja Międzynarodowa wraz z wojskiem francuskim, angielskim i włoskim. Inspekcja nie zapewniła polskiej ludności tego terenu wolności słowa, przeto w sierpniu 1920r. wybuchło tam drugie powstanie polskie. Wtedy Komisja Międzynarodowa usunęła z terenu plebiscytowego policję niemiecką, ale pozwoliła głosować tym Niemcom, co się urodzili na Górnym Śląsku, ale od kilkunastu lub nawet kilkudziesięciu lat w tym kraju nie mieszkali. To dało Niemcom aż 200 tysięcy głosów dodatkowo. Z tego też powodu za Niemcami głosowało 707 tysięcy, a za Polską 479 tysięcy.

Ponieważ Komisja wahała się, jak ten kraj podzielić i zarysowała się w niej większość za Niemcami, to dla poparcia sprawy polskiej czynnie wybuchło na Górnym Śląsku trzecie powstanie. Dopiero wtedy Rada Najwyższa, jako organ wyznaczony przez traktat wersalski, na wniosek Komisji Międzynarodowej podzieliła Górny Śląsk w ten sposób, iż powiaty katowicki, pszczyński i część powiatów rybnickiego, zabrskiego, gliwickiego, bytomskiego, tarnogórskiego i lublinieckiego przyznała Polsce, a resztę Śląska Górnego pozostawiła przy Rzeszy Niemieckiej.

Od tej chwili Sejm zajął się tylko sprawami wewnętrznymi Polski. A więc 18 maja 1921r. Sejm przedłużył swoją władzę aż do ukonstytuowania się Sejmu następnego, wybranego na mocy świeżo uchwalonej nowej Konstytucji. Aż do tej chwili miała obowiązywać Mała Konstytucja. Dwa kluby poselskie PSL-Piast i Zjednoczenie Ludowe, które wtedy miały największy udział w rządzie, odwlekały sprawę nowych wyborów do Sejmu i Senatu, bo się obawiały, że mogą w wyborach dużo stracić. Z tego powodu Sejm trwał jeszcze 1 ½ roku. A gdy z rządu wycofały się grupy prawicowe z Dubanowiczem na czele, wtedy rząd Witosa stracił poparcie większości Sejmu i charakter rządu koalicyjnego, jaki miał odr. 1920.

Wreszcie 13 września 1921r. rząd Witosa podał się do dymisji. Wtedy powstał rząd Ant. Ponikowskiego o obliczu centrowym i pozaparlamentarnym. Najważniejszą osobą w tym rządzie był min. skarbu Michalski. Dla ratowania skarbu wniósł on do Sejmu projekt daniny państwowej, co Sejm uchwalił. Zaraz na początku r. 1922 Litwa Kowieńska zażądała, by Wileńszczyzna była przyłączona do Litwy. Tymczasem wojska polskie po bitwie pod Grodnem w r. 1920 powtórnie zajęły Wilno i ziemię wileńską.

Trzeba więc było przystąpić do jakiegoś załatwienia tej sprawy, tym bardziej, że Litwini na Wileńszczyźnie stanowili bardzo małą mniejszość. Wtedy generał Zeligowski z podległymi sobie oddziałami armii polskiej, działając niby samowolnie, zajął Wileńszczyznę, ustanowił tam tymczasowy zarząd cywilny, stanął na jego czele i zorganizował tam wybory do Sejmu wileńskiego, by ten Sejm zdecydował o dalszych losach Wileńszczyzny. Do wyborów stanęły organizacje polityczne: PPS, Odrodzenie (ekspozytura PSL-Wyzwolenia), Rady Ludowe, Piast, Białorusini i Narod. Demokracja.

Litwini i Żydzi nie brali udziału w wyborach. Tylko PPS i „Odrodzenie” byli zwolennikami, by ziemię wileńską połączyć z Polską na zasadach federacji, reszta zaś stronnictw żądała wprost wcielenia Wileńszczyzny do Polski. Z ramienia PSL-„Wyzwolenia” jeździłem wtedy do Wilna w celu zorganizowania tam bloku wyborczego centrowo-lewicowego, ale zawarłem blok tylko z PPS, z resztą wcieleniowców nie dogadałem się 8 stycznia 1922r. odbyły się wybory. Większość mandatów osiągnęli wcieleniowcy, to też 20 lutego 1922r. Sejm Wileński uchwalił przyłączenie Wileńszczyzny do Polski i wyznaczył 10 osobową delegację poselską do Sejmu w Warszawie.

Sejm polski zaakceptował uchwałę Sejmu wileńskiego i przyjął do swego grona ową jego delegację. Kilka osób z tej delegacji wstąpiło do klubu sejmowego PSL-„Wyzwolenie”. Byli to poseł Helman, poseł Adamowicz i inni. Po owej

uchwale wcieleniowej Sejm wileński się rozwiązał, a Wileńszczyzna została do Polski przyłączona i taki stan trwał aż do wybuchu drugiej wojny światowej.

W tymże czasie poseł Stapiński ujawnił przed Sejmem sprawę spółek leśnych, w których niektórzy przywódcy klubu piastowców grubo zarobili ze szkodą dla odbudowy wsi w Małopolsce. Wyszła też na wierzch afera Dojlid; polegała ona na tym, że bank będący w rękach piastowców kupił dobra Dojlidy za 75 mil. marek, a sprzedał Lubomirskiemu za 410 milionów; powinien był je rozparcelować z umiarkowanym zyskiem, ale zamiast tego sprzedał je magnatowi z lichwiarskim dochodem.

Prezesem Głównego Urzędu Ziemskiego, który na to pozwolił, był wtedy stary działacz ludowy Wł. Kiernik. Składał on w tej sprawie przed Sejmem wyjaśnienie; Sejm wyjaśnienia nie przyjął, Kiernik się podał do dymisji, ale trzysta kilkadziesiąt milionów marek w banku piastowym pozostały. Ujawniła się też wtedy gruba różnica pomiędzy grupami ludowymi PSL-Piast i PSL-„Wyzwolenie”. O ile „Wyzwolenie” dążyło do tego, by ziemię wyznaczoną na reformę rolną przejęło państwo i rozparcelowało ją po niskich urzędowych cenach pomiędzy chłopów małorolnych i służbę dworską przy pomocy Państwowego Banku Rolnego, o tyle piastowcy dążyli do parcelacji dzikiej, prywatnej, przy której po wyższych cenach mógł kupić tylko chłop bogaty, a nie małorolny lub bezrolny. Była to różnica zasadnicza, która zawsze psuła jakiegokolwiek porozumienie pomiędzy piastowcami i wyzwolencami.

Z ujawnionych zaś afer spółek leśnych i Dojlid wyszło na wierzch, że niektórzy przywódcy piastowców pod osłoną polityki rzekomo ludowej robili różne geszefty leśne i parcelacyjne dla szybszego wzbogacenia się. Powoli okazało się też, że jest to grupa polityczna, która może być dogodna tylko dla bogatych chłopów, a szkodliwa dla całości polityki chłopskiej, gdyż forytowanie chłopów bogatych, odpychało od ruchu ludowego średniaków, małorolnych i bezrolnych, czyli powodowało rozbieżności polityczne mas chłopskich.

Posłowie wyzwoleniowi, którzy pod wodzą Macieja Rataja odeszli od „Wyzwolenia” i przyłączyli się do klubu piastowców, rzucili się na prywatną dziką parcelację w Polsce etnograficznej, na Wołyniu, ponabylali sobie ładne gospodarstwa chłopskie, nie dbając o swych wyborców; okazało się, że mandatów poselskich użyli przede wszystkim dla osobistego bogacenia się; toteż duża ich większość straciła zaufanie u wyborców i do drugiego Sejmu już nie weszła.

Patrząc na to wszystko, nie miałem żadnych wyrzutów, że w dużej mierze przyczyniłem się osobiście do oderwania klubu wyzwoleniowego od klubu piastowego i że nie dopuściłem do zaniku radykalnego ruchu ludowego, jakim wtedy było PSL-„Wyzwolenie”. Pod wpływem tej polityki piastowców i Wincenta Witosa, mój dalszy stosunek do PSL-„Piasta” przybrał oblicze zdecydowanie negatywne.

Na żądanie Naczelnika Państwa rząd Ponikowskiego ustąpił. A że kluby sejmowe nie mogły pomiędzy sobą uzgodnić składu nowego rządu, zwrócono się do Naczelnika Państwa, by sam powołał rząd. Więc też J. Piłsudski powołał rząd z Arturem Śliwińskim na czele, ale rząd ten istniał tylko kilka dni, gdyż w Sejmie większość składająca się z prawicy i klubu Skulskiego (Zjednoczenie Ludowe) wypowiedziała się przeciw niemu. Wtedy prawica i centrum (Skulski) wyznaczyła na premiera Korfatego, w odpowiedzi na to Naczelnik Państwa odmówił mu nominacji.

Walka prawicy z Piłsudskim o Korfatego trwała kilka tygodni, a że robotnicy w fabrykach zaczęli się burzyć przeciw Korfantemu, prawica ustąpiła. Ale że Sejm i wtedy nie mógł wyłonić żadnej kandydatury, Piłsudski wyznaczył na premiera profesora Juliana Nowaka, zbliżonego do PSL-„Piast”. Większość Sejmu (240 głosów) wypowiedziała się za tą kandydaturą, więc też 31 lipca 1922r. powstał rząd Nowaka. W tym rządzie sprawy wewnętrzne objął Kamiński (demokracja postępową), zagraniczne - Narutowicz, wojskowe - Sosnkowski, a skarbowe - Jastrzębski.

Mało się ten rząd różnił od rządu Ponikowskiego, chyba tym, że był najbliższy klubowi piastowców. Toteż poseł Alfons Erdman, ówczesny mąż zaufania W. Witosa, jeździł po Polsce, odwiedzał starostów i nakłaniał ich, by się zapisywali do PSL-„Piasta”. Wielu z nich musiało to uczynić, chcąc się utrzymać na posadach. Tak to poseł Erdman starostów, powiatowych urzędników państwowych, przekształcał na agitatorów partyjnych Witosa, zapominając, że **największą ozdobą urzędnika państwowego jest bezstronność, a nie stronniczość.**

Głównym celem rządu J. Nowaka było przeprowadzenie wyborów. Akcja wyborcza zaczęła się w lecie 1922r. Zainteresowanie wyborami było małe. Nar. Demokracja, zwana Związkiem Ludowo-Narodowym, Narodowo-

Chrześcijańskie Stronnictwo Ludowe (Dubarowicz) i Chrześcijańska Demokracja (ChD) zgłosili wspólną listę, która przybrała nazwę: Chrześcijańska Jedność Narodowa (Ch. J. N.). Była to prawica. Zjednoczenie Ludowe (Skulskiego) i grupa Katolicko-Ludowa (Matakiewicza) nazwały się Polskim Centrum i wystawili drugą listę wspólną.

Ugrupowania polityczne, również centrowe, jak Zjednoczenie Mieszczańskie, wileńskie Rady Ludowe i Narodowa Partia Robotnicza, stawiały listy osobne. PSL-Piast również postawił swoją listę osobną pod No.1. PSL-„Wyzwolenie” wystawiło swoją listę pod No.3. PPS wystawiło swoją listę No.2, a grupa Stapińskiego (PSL-Lewica) i Okonia (Radyk. Stron. Chłop.) wystawili również swoje listy. Komuniści wystawili listę pod nazwą: Związek Robotników Miast i Wsi. Mniejszości narodowe, a więc Ukraińcy (z Wołynia), Białorusini, Żydzi i Niemcy ustanowili Blok Mniejszości Narodowych z numerem 16. Ukraińcy z Małopolski Wschodniej bojkotowali wybory, a z Pokucia brali udział w wyborach, ale na listach lokalnych. Żydzi z Małopolski Wschodniej również do Bloku Mniejszości nie przystąpili i stawiali tam listy osobne.

Wybory do Sejmu odbyły się w niedzielę 5 listopada 1922r. Organizowałem je z ramienia PSL-Wyzwolenia w okręgu kieleckim (powiaty: kielecki, jędrzejowski i włoszczowski). Walkę mieliśmy tylko z prawicą i piastowcami. Zwrócił wtedy moją uwagę na rzucający się w oczy fakt, że piastowcy mieli wtedy dużą ilość agitatorów, co oznaczało dużą ilość pieniędzy. Wkrótce się to wyjaśniło. Oto w najbliższy czwartek, a więc 9 listopada, w Jędrzejowie podczas jarmarku rozniosła się ustna wiadomość, że PSL-Piast zawarł z całą prawicą pakt w Lanckoronie, że wspólnie będą tworzyć rząd.

Wiadomość ta wywarła na działaczach ludowych w powiecie wrażenie przerażające. Wynik wyborów był następujący: Chrześcijańska Jedność Narodowa - 163 man.; Polskie Centrum 6 mandatów, Piast 70, NPR - 18, Wyzwolenie 49, PSL-Lewica (Stapiński) 2, Okoniowcy 4, PPS - 41, komuniści 2, Blok Mniejszości Nar. 66 man., Żydzi z Mał. Wschod. 15, Żydzi z Mał. Zach. 2, Żyd - ludowiec 1 i Ukraińcy z Pokucia (Chliboroby) -5 man.

W następną niedzielę 12 listopada odbyły się wybory do Senatu z wynikiem podobnym do sejmowego. Z wyborów okazało się, że Zjednoczenie Ludowe Skulskiego zupełnie przepadło, a Matakiewicz uzyskał tylko 6 mandatów, że prawica odniosła niewielki sukces, że dla PSL-Piasta wybory przeszły dobrze, że PSL-Wyzwolenie z 23 mandatów przeszło na 49 i że PPS też wyborów nie przegrała, ale Blok Mniejszości Narodowych odniósł duży sukces.

Co się tyczy sprawy tworzenia rządu, to mogły istnieć tylko dwie koncepcje: albo „Piast” z prawicą, albo Piast z lewicą i mniejszościami narodowymi. Pogłoska zaś, że Witos zawarł w Lanckoronie pakt z prawicą okazała się prawdziwą. Okazało się, że aranżerem był Hamerling i że brał w tym wybitny udział również M. Rataj. Hamerling przebywał długie lata w USA - zajmował się tam sprawami prasowymi, zrobił na tym grube pieniądze, podczas pierwszej wojny światowej prowadził cały koncern prasowy, prowadził w nim propagandę z Niemcami, naraził się opinii społecznej w USA, przyjechał do Polski, kupił dobra w Lanckoronie, wszedł do PSL-„Piasta” na członka, otrzymał mandat do Senatu, dał piastowcom grubą forszę na wybory, zorganizował pakt lanckoroński i zamierzał żerować na polityce chłopskiej W. Witos.

Dnia 28 listopada 1922r. nastąpiło otwarcie nowego parlamentu. Dokonał tego J. Piłsudski jako Naczelnik Państwa. Przystąpiono do wyborów marszałków. Na marszałka Sejmu klub „Piasta” postawił kandydaturę M. Rataja, a PSL-„Wyzwolenie” Eug. Sminowskiego. W głosowaniu M. Rataj otrzymał 252 głosy prawicy i „Piasta” (podług umowy w Lanckoronie), a Smiarowski 177 głosów. Wybrany więc był Rataj. W Senacie prawica postanowiła kandydaturę W. Trąpczyńskiego, a PPS - Ksawerego Praussa. Prawica i PSL-Piast głosowali na Trąpczyńskiego, a PSL - Wyzwolenie, PPS i mniejszości narodowe - na Praussa. Większość otrzymał Trąpczyński - również zgodnie z umową lanckorońską.

Nim przystąpimy do relacji dotyczącej wyboru Prezydenta RP, muszę czytelników niniejszego poinformować o sprawie, o której, przypuszczam, mało kto wie. Był w PSL-„Wyzwolenie” poseł Jan Tabor; był to zamożny i światły chłop; znał się on dobrze z W. Witosem, a W. Witos też miał do niego pewnego rodzaju zaufanie. Na kilka więc tygodni przed wyborami do drugiego Sejmu W. Witos zwierzył się Taborowi, że chciałby kandydować na Prezydenta R.P. Tabor mię o tym poinformował z zastrzeżeniem poufności. Zachowałem więc poufność. Ale dziś, gdy to piszę (1961r.), upłynęło już 39 lat i wiele się w Polsce zmieniło. Uważam, że z tej poufności czas mię zwolnił, a historia też domaga się prawdy. Podałem więc prawdę.

Nie ulega wątpliwości, że wybory marszałków Sejmu i Senatu odbyły się podług umowy w Lanckoronie: dla „Piasta” przewodnictwo w Sejmie, dla ND w Senacie. Jaka była umowa względem prezydentury w RP, nie wiemy. Z przebiegu wypadków należy wnioskować, że jednak Witos zgodził się na to, by kandydatem na prezydenta RP był endeck, a on w



zamian za to - premierem. W każdym razie W. Witos wysłał do Piłsudskiego dwóch delegatów: jednym była Alfons Erdman, drugim - osoba, której i dziś nie mogę ujawnić, bo żyje. Obaj delegaci zjawili się u Piłsudskiego i oświadczyli, że klub piastowców nie będzie głosował za jego kandydaturą na prezydenta, o ile by była postawiona. Wtedy to Piłsudski urządził [nieczytelne] 1922r. w Sali malinowej „Bristolu” zebranie, na którym oświadczył, że nie kandyduje na Prezydenta RP, bo podług nowej konstytucji Prezydent ma małe prawa, a zalecił wybrać takiego człowieka, „który ma ciężki chód, a lekką rękę”.

9 grudnia 1922r. zebrało się Zgromadzenie Narodowe. Endecy zgłosili na prezydenta Maurycego Zamojskiego, największego obszarnika w Polsce. W klubie Piasta powstało wzburzenie, bo podług umowy lanckorońskiej ludowi posłowie z „Piasta”, przeważnie chłopci, nie chcieli forsować największego obszarnika w Polsce na Prezydenta RP. Wykorzystał tę sytuację Jan Dąbski i na posiedzeniu klubu, wszedłszy na krzeselko, gorąco przemówił przeciw kandydaturze Zamojskiego i postawił kandydaturę Stanisława Wojciechowskiego. W. Witos milczał, klub kandydaturę Wojciechowskiego przyjął. Przyczyną takiego chwiejnego zachowania się Witos a chyba było to, że pakt lanckoroński był bardzo źle widziany pomiędzy chłopami, a kandydatura Zamojskiego - jeszcze gorzej.

Na Zgromadzeniu Narodowym były więc wysunięte następujące kandydatury: z ramienia prawicy - Maurycy Zamojski, z ramienia „Piasta” - Stan. Wojciechowski, z ramienia „Wyzwolenia” - Gabriel Narutowicz, z ramienia PPS - Ignacy Daszyński, z ramienia mniejszości narodowych profesor Jan Baudouin de Courtenay. W głosowaniu Zamojski otrzymał 222 głosy (prawicy i kilku Niemców), Wojciechowski 105 głosów (Piast i NPR), Baudouin de Courtenay 103 gł., Narutowicz - 62 gł., Daszyński 49 gł. Ponieważ nikt nie otrzymał bezwzględnej większości, przystąpiono do głosowania powtórnego. Wtedy Zamojski otrzymał 228 gł., Wojciechowski 152 gł., Narutowicz 151 gł., a Daszyński 1. Mniejszości narodowe przerzuciły swój głos na Narutowicza, a PPS - na Wojciechowskiego. W trzecim głosowaniu przy skreśleniu kandyd. Daszyńskiego - otrzymali: Zamojski 228 gł., Narutowicz 158 gł., Wojciechowski 150, a Baudouin - 5 gł. W czwartym głosowaniu po skreśleniu Baudouina otrzymali: Zamojski 224 gł., Narutowicz 171 gł., a Wojciechowski 146 gł. W piątym głosowaniu po skreśleniu kandydatury Wojciechowskiego - otrzymali: Zamojski 227, Narutowicz 289 gł., białych i nieważnych 29 kartek. Narutowicz został więc wybrany na Prezydenta.

Po ogłoszeniu wyników wyborów powstało u endecji oburzenie przeciw Witosowi, że jego klub głosował na Zamojskiego, a wystawił kandydaturę Wojciechowskiego i że w ostatnim głosowaniu głosował na Narutowicza. Istotnie Witos zachowywał się przy tych sprawach jakoś biernie, a jego klub poszedł za prądem lewicy, gdyż kandydatura Zamojskiego była albo piastowych posłów - chłopów zbyt jaskrawa niestrawna. Z tego wyraźnie widać, że pakt lanckoroński w klubie Witos a było źle widziany. Ale znacznie większa wściekłość ogarnęła endeków, że ich kandydat na prezydenta upadł i że został wybrany kandydat lewicy, głosami centrum piastowymi i mniejszości narodowych.

Narutowicz pochodził ze Żmudzi, z zawodu był inżynierem - elektrykiem. Przez długie lata przed przybyciem do polski był profesorem na politechnice w Zurychu i dziedzinie elektryfikacji opartej na spadku wody cieszył się powagą o zasięgu międzynarodowym. Pomimo to jednak endecy postanowili obalić jego wybór przez niedopuszczenie go do złożenia przysięgi przed Zgromadzeniem Narodowym.

Dnia 11 grudnia 1922 roku miało się odbyć zaprzysiężenie prezydenta na posiedzeniu Zgromadzenia Narodowego. Tłumy zorganizowanych endeków otoczyły gmach Sejmu, by nie dopuścić doń posłów i senatorów. To się jednak nie udało, bo wielu posłów jak przykład klubu PSL Wyzwolenie, nocowało w Sejmie, wielu weszło do gmachu sejmowego wcześniej, niż go tłum otoczył. Również niektórym mało znanym udało się przedostać do Sejmu niepostrzeżenie; kilku zaś znanych tłumowi, a zwłaszcza socjalistów, zatrzymano na placu trzech krzyży. W tej liczbie zatrzymani byli i nawet pobici mocniej Daszyński i Limanowski.

Gdy się robotnicy o tym dowiedzieli, zaczęli rzucać pracę i pobiegli ratować swoich posłów. Rozpoczęła się walka robotników z tłumem w którym dużą część stanowili studenci. Jeden robotnik został zabity, kilku rannych, ale że ciągle podbiegały nowe grupy robotników, studenci przestraszyli się, wycofali z Placu Trzech Krzyży, a Daszyński i Limanowski weszli do Sejmu. Część endeckiego tłumu zajęła Aleje Ujazdowskie, i by nie dopuścić Narutowicza do sejmu zagroziła okolice ławkami.

Schwytany przez otoczenie morderca oświadczył, że zamordował Narutowicza za to że, choć został wybrany przez Sejm to przy pomocy mniejszości narodowych, a więc nie Polaków. Wieść o zamordowaniu prezydenta szybko się po całej Polsce i wywarła u robotników i chłopów nienawiść do prawicy, że nawet przy niewielkiej agitacji można było wywołać wolać nienawiść do dworów obszarnczych. W samym zaś parlamencie powstały dwa wrogie sobie obozy. Oczywiście morderca był skazany na karę śmierci i stracony zgodnie z nową konstytucją.

Po śmierci prezydenta władza naczelnika państwa przeszła do rąk marszałka sejmu Rataja, który na miejsce ustępującego rządu Juliana Nowaka powołał nowy rząd generała Sikorskiego, który obok stanowiska premiera objął też ministra spraw wewnętrznych. Podług mojej oceny bo to jeden z najlepszych rządów w Polsce w okresie międzywojennym. Ministrem skarbu był w tym rządzie z początku Jastrzębski, później Władysław Grabski, a ministrem spraw zagranicznych Aleksander Skrzyński.

Tymczasem marszałek Rataj po raz drugi zwołał Zgromadzenie Narodowe w celu wyboru prezydenta. Tym razem zgłoszone tylko dwóch kandydatów: ze strony prawicy Kazimierza Morawskiego ze strony PSL - Piasta Stanisława Wojciechowskiego. Zaraz po pierwszym głosowaniu Morawski otrzymał 221 głosów, a Wojciechowski 298 głosów. Wojciechowski został, więc wybrany na prezydenta. Na Morawskiego głosowali ci co dali głosy na Zamojskiego, a na Wojciechowskiego wszyscy ludowcy, socjaliści i mniejszości narodowe. Przeciw Wojciechowskiemu już nie czynili żadnego buntu, złożył więc bez przeszkód ślubowanie i objął urzędowanie i zatwierdził rząd Władysława Sikorskiego.

Rządowi temu udało się uspokoić wzburzony naród i zatrzymać spadek marki, wywołało poprawę gospodarczą toteż dwudziestego trzeciego stycznia 1923r. rząd Sikorskiego otrzymał w Sejmie wotum zaufania - głosami PSL - Piasta i mniejszości słowiańskich, a piętnastego marca 1923r. Sikorski uzyskał zatwierdzenie wszystkich granic polski.

Tymczasem Witos wznowił pertraktacje z prawicą i znowu w Lamchorowie utworzono przeciw rządowi Sikorskiego sejmową większość prawicowo - centrową, czyli t.j. chjenopiasta. Nie bacząc przeto z goła na wybitne sukcesy które ten rząd osiągnął większość prawicy i piastowego centrum dnia 26 maja 1923r. obaliła rząd, skreśliwszy mu w budżecie fundusz dyspozycyjny. Rząd zgłosił dymisję, a 28 maja tegoż roku zamianowany nowy rząd. Premierem został W. Witos, min. spraw wewnętrznych - Władysław Kiernik, sprawiedliwości Nowodworski, spraw zagranicznych Marian Seyda, oświaty Stanisław Głębiński, rolnictwa Jerzy Gościcki ministrem przemysłu i handlu Władysław Kucharski. Jak z tego widać na czele rządu stanęli PSL - Piast i endecka prawica, ministrem skarbu zostaw z poprzedniego rządu Władysław Grabski, ministrem spraw wojskowych generał Osiniński.

Zaraz po ogłoszeniu list nowego rządu Józef Piłsudski ustąpił ze stanowiska szefa sztabu generalnego wojska i zamieszkał w Sulejówku. Z ekspozycji premiera Witosy najważniejsze było - zapowiedź reformy waluty i założenia banku emisyjnego, parcelacja prywatnej do 400 tys. mor. rocznie, a w dziedzinie przemysłu popierania inicjatywy prywatnej (prywatny kapitalizm). Przy głosowaniu przeciw rządowi Sikorskiego w klubie Witosy powstał rozłam, gdyż grupa Jana Dąbskiego nie głosował przeciw Sikorskiemu i w liczbie 15 posłów wystąpiła z klubu i stronnictwa Witosy, stworzyła nieduży klub ludowy pod nazwą PSL-Jedność. Po pewnym czasie grupa ta połączyła się z PSL-Wyzwolenie i po połączeniu te ugrupowania przybrały nazwę PSL- Wyzwolenie i Jedność Ludowa”. Połączone kluby liczyły już 61 posłów. To jednak nie powstrzymało Witosy i jego kumania się z endekami. Toteż po wysłuchaniu ekspozycji premiera nastąpiło głosowanie: cała prawa prawica (i Chrześcijańska Demokracja) oraz klub Witosy (bez 12 posłów) głosowali za rządem. Rząd Witosy otrzymał 226 głosów, przeciw 171 (PSL-Wyzwolenie, PSL-Jedność Ludowa, grupa Stapińskiego i Okonia, PPS i mniejszości narodowe).

To kumanie się Witosy z prawicą nie wywołało w jego klubie radości; nie był też zadowolony z tego, że Piłsudski ustosunkował się do tego rządu negatywnie; żeby jakoś gniew Piłsudskiego załagodzić, klub Piasta zgłosił w Sejmie wniosek, że Józef Piłsudski jako Naczelnik Państwa i naczelny wódz zasłużył się narodowi. Wniosek otrzymał 162 głosy, przeciw 88 głosów (endecy się wstrzymali od głosowania).

Głównym celem tego rządu była reforma walutowa i stabilizacja nowego pieniądza. Można tego było dokonać albo przy pomocy jakiejś dużej niskoprocentowej pożyczki, albo też przez nałożenie na społeczeństwo dużej daniny, oczywiście przede wszystkim na ludzi bogatych i zamożnych. Tymczasem właśnie ci bogaci mieli swych rękach rząd i nie chcieli nakładać na siebie dużych ciężarów; usiłowali więc albo te ciężary przerzucić na biednych, którzy nie byli w stanie tego

uiścić, albo też w ogóle tą sprawę przewlekać. W takiej sytuacji marka zaczęła gwałtownie spadać, zaczęła się taka inflacja, takie skoki cen, że co rano po godzinie 8 kosztowało 100 marek, to o godzinie 10 kosztowało 200 marek, a miesięczna pensja urzędnicza wystarczała nie na miesiąc a na 10 dni.

Wprawdzie następowały zmiany w rządzie, bo Władysław Grabski nie mogąc się do doczekać odpowiednich świadczeń podatkowych ze strony prawicy ustąpił, po nim to ministerstwo objął Kucharski, sprawy zagraniczne objął Roman Dmowski, a wojskowe - generał Szeptycki, ale nie nic nie pomogło. Marka coraz szybciej spadała. Najwięcej cierpieli na tym robotnicy, boć przecie kapitaliści nie dawali im żadnych inflacyjnych podwyżek; zagrażał więc rolnikom kompletny głód. Nie mając więc innego sposobu, chwyтали się strajku, ale kapitaliści byli nieustępliwi.

Wtedy PPS wezwała robotników do powszechnego strajku w dniu 5 listopada 1923 roku. Istotnie w tym dniu nastąpił strajk. Rząd odpowiedział na to stanem wyjątkowym i wprowadził przeciw robotnikom wojsko i policję. W Krakowie i Bogusławiu doszło do ostrej przepychanki. 6 listopada w Krakowie robotnicy rozbroili oddział piechoty i zabrali broń. Wtedy rząd wysłał przeciw nim oddział kawalerii. Ale że asfalt i bruk był śliski, a przy tym robotnicy otwarli przeciw szarżującej kawalerii ogień karabinowy, szarża załamała się. Zginęło trzech oficerów i jedenastu żołnierzy. Rannych było 101 żołnierzy i trzydziestu ośmiu robotników; koni padło 39. Spośród robotników Krakowie też było sporo ofiar.

W Bogusławiu w walce z wojskiem zginęło trzech robotników, ciężko rannych było dziesięciu. Także i w Toruniu wybuchła walka i w niej padło 5 robotników. Ale w Krakowie sytuację opanowali robotnicy, krótko: zaczynała się rewolucja. Wtedy posłowie socjalistyczni pojechali do Krakowa i doprowadzili do porozumienia pomiędzy robotnikami i rządem. Rząd usunął tamtejszego dowódcę wojsk gen. Czikiela, a robotnicy oddali broń. Gdy się pytał posła Barlickiego (lewe skrzydło klubu PPS), dlaczego zaprzestano walki, odpowiedział mi w sposób bardzo dziwny: „Dowiedzieliśmy się, że Piłsudski zgromadził w Pszczynie znaczną grupę wojska z zamiarem uderzenia na Kraków i obalenia rządu Witosza zbrojnie; zdajemy sobie z tego sprawę, że po przeprowadzeniu takiego planu, Piłsudski wprowadziłby w Polsce dyktaturę wojskową. Toteż wyprzedziliśmy go. Wolimy taką, jaką można było zarobić pacyfikacją, niżli dyktaturę”. Com słyszał od Barlickiego to niniejszym podaję do wiadomości.

Była jeszcze druga sprawa drażniąca: reforma rolna. Ówczesny Główny Urząd Ziemski Sejm przemianował na Ministerstwo Reform Rolnych. Ministrem został piastowiec Stanisław Osiecki. Posłowie w jego klubie domagali się wykonania reformy rolnej. Osiecki obiecywał, ale nie mógł tego uczynić, bo mu prawica nie pozwalała. Wreszcie przyszedł na klub z projektem, że od parcelacji maksimum może dochodzić do 1200 hektarów, i że grunta przeznaczone do parcelacji będzie się parcelować w ciągu 10 lat i to przy pomocy prywatnych spółek parcelacyjnych. Nie wytrzymała tego grupa Bryla i Pluty; dnia 14 grudnia 1923 roku grupa ta (15 posłów) wyszła z klubu Witosza. Znikła więc parlamentarna większość za rządem i Witos i jego chwiejno-piastowy rząd podał się do dymisji. Grupa zaś Bryla i Pluty - 11 maja 1924 połączyła się z małą grupą Stapińskiego i utworzyła „Związek Chłopski”, który liczy 17 posłów.

Po upadku rządu Witosza Stanisław Traugutt, prezes klubu PSL-Wyzwolenie i Jedność Ludowa, próbował zorganizować rząd parlamentarny centrowo-lewicowy łącznie z Chrześcijańską Demokracją (ks. Adamskiego). Do tego rządu miał wejść także Józef Piłsudski jako minister spraw wojskowych. Ale Chrześcijańska Demokracja (Chadecy) nie zgodziła się należeć do takiej większości. Wobec tego Prezydent powołał rząd pozaparlamentarny z Władysławem Grabskim na czele, który obok stanowiska premiera zatrzymał tekę skarbu. Było to 19 grudnia 1923 roku. W skład tego rządu jako ministrowie wchodziłi fachowcy; w czasie trwania tego rządu ministrowie zmieniali się, premier zaś pozostał ten sam.

W swym expose wygłoszonym w Sejmie 20 grudnia 1923 roku Grabski zapowiedział, że głównym jego zadaniem będzie reforma skarbowości, ustanowienie banku emisyjnego i stałej waluty opartej na złocie. Obok tego zażądał od Sejmu pełnomocnictw w celu wykonania tego planu. Kilkudziesięciu posłów wstrzymało się od głosowania, reszta większością głosów przyjęła to expose do wiadomości. Dnia 5 stycznia 1924 roku Sejm uchwalił pełnomocnictwa. Przy pomocy daniny majątkowej i różnych oszczędności Grabski zrównoważył budżet i zaprzestał drukowania marek, czyli ustalił kurs marki. Wtedy zorganizował Bank Polski (emisyjny), jako akcyjny.

Spółeczeństwo poparło go tak mocno, iż na kapitał akcyjny Banku Polskiego zebrano więcej funduszy niżli Grabski projektował. Wtedy wprowadził ustabilizowaną walutę: złoty polski, a marki wymieniano na złote. Ustanowienie nowej waluty ustabilizowanej ożywiło życie gospodarcze. W przemyśle fabrycznym liczba bezrobotnych zaczęła się zmniejszać.

Zaistniały jednak zjawiska gospodarcze, które utrudniały działalność rządu. Był to nieurodzaj w latach 1924-25 oraz spadek cen na rynku międzynarodowym na węgiel i cukier, to jest na głównie polskie towary eksportowe. Grabski z trudem pokonał te problemy.

W okresie rządów Grabskiego osłabła walka stronnictw o władzę, ale podczas tego zacisza były stawiane zarzuty przeciw Hammerlingowi, senatorowi „Piasta”, oraz przeciw Wł. Kucharskiemu w sprawie Żyrardowa. Sprawę pierwszą sądził sąd marszałkowski. Sąd ten stwierdził, że Hammerling przebywając w Ameryce nie przyznawał się do tego, że pochodzi z Polski, podał fałszywie, że się urodził w Honolulu na Hawajach i że podczas pierwszej wojny światowej istotnie prowadził w USA silną propagandę prawną przeciwko udziałowi Stanów Zjednoczonych w wojnie, co by się równało pogromowi Francji przez Niemcy, co z kolei uniemożliwiłoby powstanie Polski niepodległej. Nie stwierdzono natomiast jakoby to czynił na niemiecki obstalunek. To jednak wystarczyło, że Hammerling uciekł i na widowni politycznej przestał się pokazywać.

Sprawa Kucharskiego dotyczyła wielkiej fabryki wyrobów lnianych w Żyrardowie. Fabryka ta była własnością akcjonariuszy francuskich. Wiosną roku 1919 akcjonariusze zamknęli ją. Polska przyjęła ją pod zarząd państwowy i włożyła w jej remont 2.586.168 franków szwajcarskich. Fabryka dawała zyski i zatrudniała 5.500 robotników. Wtedy jej właściciele zażądali, by im fabrykę zwrócono. Poprzednie rządy żądały, by właściciel wypłacił Polsce całą sumę, którą rząd polski w odnowienie fabryki włożył i by ta fabryka była czynna. Gdy ministrem przemysłu i handlu został Władysław Kucharski (w rządzie Witosa) oddał on fabrykę akcjonariuszom i wziął od nich tylko tyle, że po przeliczeniu na franki szwajcarskie stanowiło to tylko 18.870 franków szwajcarskich. Skarb stracił 2.137.684 franki szwajcarskie. PPS zgłosiła wniosek, by Kucharskiego jako ministra oddać po Trybunał Stanu.

W głosowaniu za wnioskiem głosowało 175 posłów, 139 przeciw, a 32 kartki oddano białe. Ponieważ 175 głosów nie stanowiło większości kwalifikowanej, przeto wniosek ogłoszono za upadły. Klub Witosa był w ten dzień językiem u wagi; gdyby ten klub w pełnej liczbie głosował za wnioskiem, to wniosek uzyskałby ową większość kwalifikowaną, ale klub głosował słabo, a niektórzy posłowie mniejszości narodowych też skrewili i Kucharski wyszedł cało, a należała mu się ciężka kara za taką wyraźną działalność na szkodę państwa.

Rząd Grabskiego, by powiększyć opodatkowanie fabryk, robił próby odejścia od ośmiogodzinnego dnia pracy; to wywołało walkę ze strony robotników i strajki, zamiary więc rządu w tej dziedzinie były wykonane chwilowo tylko w hutnictwie, natomiast w przemyśle włókienniczym robotnicy w uzyskali nawet 10 procent podwyżki, a niezależnie od tego Sejm uchwalił ustawę o ubezpieczeniu od bezrobocia (lipiec 1924 roku). Natomiast do wykonania reformy rolnej rząd nie przystępował.

W tym czasie odbył się kongres P. P. Socjalistycznej. Ponieważ Józef Piłsudski przebywał w tym czasie w Sulejówku i pogłoski głosiły, że tam się szykuje do jakiegoś uderzenia w prawicę, przeto na tym kongresie postanowiono bronić ładu parlamentarnego własnymi siłami i nie liczyć na Piłsudskiego. Poseł Perl tak określił na tym kongresie twój stosunek do Piłsudskiego: „Jeżeli chodzi o Piłsudskiego, to stwierdzić musimy, że ktokolwiek by był dyktatorem, nie uznajemy dyktatury!”. Sprawę tą dlatego przypominam, gdyż stanowisko Perla odpowiadało moim poglądom.

Odstawione od rządów stronnictwa prawicowe i centrowe (Chyjenopiast) jednak myślały o tym, by do władzy wrócić. W tym celu powstał w łonie endecji tajny związek pod nazwą „Pogotowie Patriotów Polskich”. Związek ten dążył do obalenia rządu Grabskiego siłą i do ustanowienia dyktatury. W tym celu związek ten ciągał do swej sieci organizacyjnej także i wojskowych: generałów, pułkowników. Gdy jednak z polecenia rządu Grabskiego przywódcy związku zostali aresztowani, sprawa ucichła. Wtedy w klubie PSL-Piast powstał projekt zmiany ordynacji wyborczej tak, by w następnych wyborach prawica i Piast zdobyli większość i uchwycili rządy w swoje ręce.

Ale tymczasem rząd Grabskiego trwał, i prawica nie miała większości, by na drodze parlamentarnej stworzyć swój rząd, dla lewicy zaś rząd Grabskiego był dogodny, bo ją osłaniał od rządów prawicowych. W październiku 1924 roku przy dyskusji nad budżetem na rok 1925 poseł Głabiński, jeden z czołowych przywódców ND, ostro zaatakował rząd Grabskiego; na żądanie premiera Sejm musiał zająć w tej sprawie stanowisko. Wprawdzie Sejm większością głosów zaakceptował politykę rządu Grabskiego, ale premier dostrzegł, że lewica mocniej ją popiera, niż prawica. Toteż Grabski postanowił szukać oparcia na lewicy ludowej. Zwrócił się więc do Traugutta z propozycją objęcia w rządzie stanowiska

wice-premiera. Traugutt się zgodził. Ale gdy referował tą sprawę w klubie PSL -Wyzwolenie, klub jednoznacznie zajął stanowisko przeciwne. Traugutt uznał że klub się myli, zrezygnował z prezesury klubu, opuścił stronnictwo i przyjął stanowisko wice-premiera w rządzie Grabskiego.

Było to bardzo dziwne zjawisko polityczne, boć wszak prezes dość pokaźnego klubu zrezygnował z prezesury, wystąpił ze stronnictwa i wziął udział w rządzie; widocznie był mocno przekonany, że będzie mógł na tym stanowisku uczynić dużo pożytecznego. Istotnie zajął się sprawami bardzo trudnymi, bo sprawami mniejszości narodowych; a więc próbował skonstruować dla Małopolski Wschodniej projekt autonomii, a gdy to się okazało trudne do zrealizowania, zajął się sprawą szkolnictwa dla dzieci mniejszości narodowych, ale i w tej dziedzinie niewiele dokonał, gdyż i w jednej i w drugiej sprawie przeszkadzała prawica, z którą Grabski, mający na głowie sprawy skarbowe, nie mógł prowadzić walki i musiał się do jej żądań stosować.

Ponieważ wyjście z PSL-Wyzwolenia tak wybitnego członka wywołało w masach chłopskich wielkie zdziwienie, musiałem z polecenia klubu wyjaśnić tą sprawę w tygodniku „Wyzwolenie”. Po moim artykule, wyjaśniającym wyczyn Stanisława Traugutta, w szeregach PSL-Wyzwolenie i Jedność Ludowa nastąpiło uspokojenie. Praktyka wykazała, że Traugutt się mylił, bo ani sprawy autonomii dla Małopolski Wschodniej, ani sprawy szkolnictwa dla mniejszości narodowych nie przeprowadził, wobec tego ze stanowiska wicepremiera ustąpił i pozostał w Sejmie jako poseł dziki. Tak się skończyła polityczna kariera Traugutta.

W końcu października i na początku listopada 1925 roku Sejm uchwalił ustawę o reformie rolnej. Podług tej ustawy na parcelację miały iść w poszczególnych zaborach nadwyżki ponad stu osiemdziesięciu hektarów (na Kresach Wschodnich ponad 300 ha). Który obszar miał nadwyżkę, tego rząd wyzywał, by ją w przeciągu dwóch lat rozparcelował do rąk rolników bezrolnych (służba folwarczna) i małorolnych po cenie handlowej. Jeżeli by obszar ten w tym terminie nie wykonał, to uczynił to rząd. Parcelanci nabywszy ziemię, będą mieli pierwsze 5 lat ulgowe, czyli że należność za ziemię będą wpłacać w przeciągu czterdziestu lat, ale wpłata rozpoczynać się będzie po pięciu latach od dnia nabycia ziemi.

Uchwalona jednak ustawa o reformie rolnej nie była wykonywana, gdyż widownię polityczną wychodziły wciąż inne bardziej poważne sprawy. A więc w końcu roku 1925 nastąpiło znaczne pogorszenie się sytuacji gospodarczej i skarbowej. Na tym tle nastąpiły zatargi Grabskiego z prezesem Banku Polskiego, a większość sejmowa, która rząd popierała, też zaczęła się kruszyć. W takiej sytuacji Grabski wyraził z rządem po bez mała dwuletniej działalności 13 listopada 1925 roku podał się do dymisji. Wtedy powstał projekt zorganizowania w Sejmie większości centrowo-lewicowej z Chrześcijańską Demokracją włącznie, ale ani klub Witosa ani Chadece nie chcieli się na to zgodzić. Wtedy powstał nowy projekt powołania rządu składającego się z posłów i nie posłów, ale opartego na lewicowej większości Sejmu.

W taki sposób powstał 20 listopada 1925 roku rząd Aleksandra Skrzyńskiego, oparty na klubie prawicy, Chrześcijańskiej Demokracji, Piasta, PPS i NPR (Narodowa Partia Robotnicza). PSL-Wyzwolenie do tego rządu nie weszło. Na podstawie porozumienia weszło do rządu dwóch endeków, dwóch piastowców, dwóch PPSowców, 1 chadek i 1 enperowiec; reszta ministrów - byli bezpartyjni. Bezpartyjnym był też i premier. Był on w rządzie Grabskiego ministrem spraw zagranicznych, więc też i teraz, obejmując prezesurę w rządzie, zatrzymał dla siebie również i sprawy zagraniczne. Zaś ministerstwo spraw wojskowych objął generał Żeligowski, przyjaciel Józefa Piłsudskiego. Ale stan spraw gospodarczych i finansowych ciągle się pogarszał, złoty spadał, ceny rosły. Trzeba było ratować złotego. W tym celu trzeba było nałożyć na społeczeństwo ciężary. Prawica chciała nałożyć je na obóz pracujący, lewica na warstwy zamożne; zgody nie osiągnięto. Powstał też projekt skrócenia służby wojskowej, ale przeciw temu ostro wystąpił Piłsudski. W tych warunkach socjaliści ustąpili z rządu. Wkrótce też, 5 maja 1926 roku zgłosił dymisję również i rząd Aleksandra Skrzyńskiego. Tak się skończyła nienaturalna koalicja prawicowo-centrowo-lewicowa! Nim jednak przyjdziemy do spraw tworzenia nowego rządu, musimy przyjrzeć się przemianom, które w tym czasie dokonywały się na obozie ludowym.

Już pisaliśmy powyżej o tym, że 14 grudnia 1923 roku wyszło z klubu Witosa 15 posłów z Plutą na czele; po pewnym czasie połączyli się oni z dwoma posłami - stapięńczykami i utworzyli Związek Chłopski, liczący 17 posłów. Pisaliśmy też, że z klubu PSL-Wyzwolenie wystąpił jego prezes Stanisław Traugutt i objął w rządzie Władysława Grabskiego stanowisko wice-premiera. Teraz dodajemy, że za nim wyszli: Stanisław Gaszyński, Bartel, Smiarowski, i razem z Traugutta utworzyli mały klub poselski; wkrótce do nich przyłączył się Ludwik Bielski. Było to w lecie 1924 roku, a w jesieni tegoż roku



wystąpiło znowu z PSLWyzwolenie kilku posłów i stworzyli nową grupę polityczną, zwaną Niezależną Partią Chłopską (N. P. Ch.). Byli to: Sylwester Wojewódzki, B. Szapiel, Szakun, Balin, Hołowacz. Była to grupa komunizująca.

Grupa Pluty (Związek Chłopski), opuściwszy klub Witosy, zwróciła się z prośbą by ją przyjęto do klubu wyzwoleniowego. Wtedy to w klubie wyzwoleniowym aby powstał raz rozdwojenie; jedni byli za tym by, grupy Pluty nie przyjmować, drudzy - by ją przyjąć. Przeciwnicy przyjęcia mniej jednak w klubie nieznaczną większość. Wobec tego klub wyzwoleniowy tą nieznaczną większością odrzucił propozycję łączeniową grupy Pluty. W takim stanie rzeczy w grupie Pluty nastąpiła mała depresja i niektórzy posłowie tej grupy zaczęli myśleć o powrocie do Witosy; dwóch nawet wróciło, reszta zawahała się. Jeżeli zaś weźmiemy pod uwagę skład osobowy posłów wyzwoleniowych, którzy byli za przyjęciem do klubu wyzwoleniowego grupy Pluty, to zaznaczam, że byli to chłopci lub inteligenci chłopskiego pochodzenia. Przeciwnicy zaś przyjęcia to byli inteligenci niechłopskiego pochodzenia; w tej grupie wodzami byli: Poniatowski, Miedziński, Kosmowska, Bagiński, tj. sami zdeklarowani piłsudczycy. Ja osobiście byłem zdecydowanym zwolennikiem przyjęcia, również za przyjęciem byli: Jan Dębski, Stanisław Wrona, Jan Tabor, Jan Zalewski, Władysław Fijałkowski, Duro, Chyb, Dubrownik i inni. Działo się to za czasów istnienia rządów Władysława Grabskiego i Skrzyńskiego.

Dostrzeżliśmy już wtedy wyraźnie manewry prawicy i Witosy zmierzające do ponownego stworzenia rządów prawicowo-centrowych, oczywiście z Witosem na czele. We Włoszech już wtedy była dyktatura Mussoliniego. Prawica polska, nie chcąc dopuścić do władzy lewicy, układała projekt dojścia do władzy w Polsce na drodze sejmowej przez stworzenie rządu chyjenopiastowego, a następnie utwierdziwszy się we władzy, zamienić ten rząd z parlamentarnego na dyktatorski; była to więc dyktatura obozu kapitalistycznego, wzorowana na takiejże dyktaturze Mussoliniego, którego endecy zaczęli uważać nieomal za swego proroka, a w każdym razie za wzór do naśladowania. Jasna sprawa, że tego zamiaru nie mogli dokończyć bez pomocy Witosy; tymczasem Wincenty Witos na całego szedł na wznowienie rządu centrowo-prawicowego i nawet napisał broszurę, nawołującą w niej przeciw głosowaniu pięcioprzymiotnikowemu, a przeciwnie - za uwstecznieniem ordynacji wyborczej.

Kto więc nie chciał wznowienia rządów chyjenopiastowych, a następnie endeckiej dyktatury, ten powinien był nie dopuścić do ponownego stworzenia endecko-witosowej posłowej większości. Właśnie do takiego celu dążyła grupa chłopska w klubie wyzwoleniowym; chciała przyciągnąć do klubu wyzwoleniowego grupę Pluty (Związek Chłopski) i w ten sposób nie dopuścić do powiększenia siły klubu piastowego, by prawica i klub witosowy nie mogli w Sejmie osiągnąć większości. Toteż na żądanie grupy chłopskiej klub wyzwoleniowy kilka razy dyskutował nad sprawą przyjęcia zgłaszającej się do połączenia grupy Pluty. Dyskusja była bardzo zaciepła, nie mogliśmy zrozumieć przyczyny oporu grupy inteligencko-wyzwoleniowej; nasze najważniejsze argumenty, a mianowicie, że się nie dopuści do powrotu tej grupy do Witosy i w ten sposób uniemożliwi ponowne stworzenie rządu endecko-piastowego, oraz że przez przyjęcie grupy Pluty - klub wyzwoleniowy stanie się klubem dużym i będzie punktem koncentracyjnym dla całego ruchu ludowego - nie trafiły inteligenckiej grupie wyzwoleniowej do przekonania.

Dopiero pewnego dnia, podczas takiej dyskusji, gdym nadmieniał, że grupa Pluty, gdy jej do PSLWyzwolenia nie przyjmą, wróci do klubu piastowego i umożliwi Witosowi stworzenie rządu chyjeno-piastowego, że przeciw temu rządowi wystąpi J. Piłsudski zbrojnie, że walkę wygra, ale parlamentaryzm przepadnie - wtedy obecny przy tej dyskusji wyzwoleniowy poseł Miedziński wyraził się półgłosem, że to nie będzie nic złego. Wtedy otworzyły nam się oczy i zrozumieliśmy, że ci ludzie chcą tej walki zbrojnej Piłsudskiego z Witosem i że uważają to za najlepsze wyjście z sytuacji. Zrozumieliśmy, że się z nimi nie dogadamy; toteż, 15 marca 1925r. przedstawiliśmy tą sprawę na kongresie PSL-Wyzwolenie i Jedność Ludowa.

Ale inteligencka grupa wyzwoleniowa miała w swych rękach organizację stronnictwa (Bagiński) i tak zorganizowała ten kongres, że wniosek, by przyjąć grupę Pluty, został odrzucony. Wtedy Pluta oświadczył nam, że w takim razie on chyba nie będzie mógł powstrzymać swych kolegów od powrotu do Witosy. Ponieważ dostrzeżliśmy że to nie pogrożka, przeto po długim namyśle i zapytaniu się naszych wyborców i uzyskaniu u nich aprobaty - na początku stycznia 1926 roku w grupie 17 posłów opuściliśmy PSL-Wyzwolenie i jego klub, połączyliśmy się z grupą Pluty (Związkiem Chłopskim) i stworzyliśmy w ten sposób Stronnictwo Chłopskie. Było nas siedemnastu, grupa Pluty liczyła wtedy posłów 15, po połączeniu powstał więc od razu spory klub liczący 32 posłów, którego prezesem został Jan Dąbski.

Naszą deklarację ideową ogłosiliśmy 24 stycznia 1926r. w „Gazecie Ludowej”, tygodniku wydawanym przez Jana Dąbskiego, jako organ grupy „Jedność ludowa”. Z deklaracji wynikało, że Stronnictwo Chłopskie będzie nieco radykalniejsze niż PSL-„Wyzwolenie”. Dnia 14 lutego tegoż roku przemianowaliśmy „Gazetę Ludową” na „Gazetę Chłopską” i uczyniliśmy ją organem Stronnictwa Chłopskiego. Tegoż dnia, 14 lutego, weszli do naszego klubu posłowie ludowi z Kresów Wschodnich - Adolf Dubrownik, Br. Wędziagolski i Jan Adamowicz. Zaś 21 lutego tegoż roku wstąpili do naszego klubu i stronnictwa dwaj posłowie od Okonia - Dziduch i Kudelski.

W dniu 2 i 3 marca 1926r. zorganizowaliśmy zebranie i ukonstytuowanie Rady Naczelnej Stronnictwa Chłopskiego. Na prezesa Rady Naczelnej i Stronnictwa Chłopskiego wybrano mnie, niżej podpisanego, na wiceprezesa Jana Stapińskiego i Plutę, na sekretarza Jakuba Pawłowskiego, na skarbnika Jana Ledwocha, na kierownika wydziału organizacyjnego dr Stanisława Wronę. Niestety, wszelkie nasze wysiłki, zmierzające do tego, by nie dopuścić do utworzenia się rządu centrowo-prawicowego, nie odniosły skutku. Przy wyraźnym poparciu tego nowego sojusznika zaczęła się wyłaniać w Sejmie nieznaczną ale zgrana większość, składająca się z czterech klubów, a mianowicie: Związku Ludowo-Narodowego, Chrześcijańskiej Demokracji, PSL-„Piasta” i Narodowej Partii Robotniczej.

Prawica mocno zabiegała o powstanie tego rządu, gdyż bała się, by Władysław Grabski ponownie nie doszedł do władzy. Toteż po ustąpieniu rządu Skrzyńskiego Piłsudski proponował powołanie rządu koalicyjnego składającego się z mocnych ludzi z Władysławem Grabskim na czele, ale projekt ten nie uzyskał poparcia prawicy. Wtedy prezydent Wojciechowski zaproponował na premiera posła Chacińskiego (Chrześcijańska Demokracja), a następnie Jana Dąbskiego (PSL-Piast), ale ci propozycji nie przyjęli. Wyłonił się też projekt stworzenia rządu centrowo-lewicowego z Moraczewskim lub Thuguttem na czele, ale zgrana już większość prawicowo-witosowa nie zgodziła się na to. Wobec tego Prezydent 10 maja 1926 roku wyznaczył na premiera Wincentego Witosa. Ministrem Skarbu w tym rządzie został Zdziechowski, oświaty - Stanisław Grabski, rolnictwa - Władysław Kiernik, przemysłu i handlu Osiecki, spraw wewnętrznych Stefan Smulski, spraw wojskowych - generał Józef Malczewski, sprawiedliwości - Piechocki, komunikacji Chaciński, robót publicznych Rybczyński, pracy Jakowski, reform rolnych Radwan, spraw zagranicznych - Dzierżykraj-Morawski. A więc PSL-Piast otrzymał 3 teki, Związek Ludowo-Narodowy (ND) - 2 teki, Chrześcijańska Demokracja - 2 teki, i NPR - 2 teki.

W drugiej połowie kwietnia 1926 roku było jasne, że po ustąpieniu Skrzyńskiego powstanie rząd Witosa i że Piłsudski wystąpi z wojskiem przeciw temu rządowi. Nie zdziwiłem się, więc gdy w końcu tego miesiąca było zorganizowane w Warszawie poufne spotkanie Piłsudskiego z posłami lewicy. Zebranie odbyło się w oficynie poprzecznej, podobnej do małego pałacyku, w którymś domu przy ulicy Chmielnej na odcinku pomiędzy Bracką i Nowym Światem, strona północna. Kto to spotkanie organizował, nie pamiętam; przypuszczam jednak, że Miedziński. Zaproszonych było po dwóch posłów z trzech klubów lewicy: PPS, Wyzwolenia i Stronnictwa Chłopskiego. Z naszego klubu byli zaproszeni Dąbski i ja.

Piłsudski siedział pośrodku i chętnie rozmawiał ze wszystkimi. Rozmawiano o zbliżającej się walce Piłsudskiego z obozem prawicy wspieranej przez Witosa. Dąbski milczał, zabrałem głos i powiedziałem, że jestem pewien, iż obóz legionowy (Piłsudski) tą walkę wygra i że po zakończeniu walki zwycięzca powinien zorganizować taki rząd, który by się oparł na masach chłopskich i robotniczych, gdyż to będzie oparcie mocne i trwałe. Piłsudski pilnie słuchał mego przemówienia, a gdy skończyłem, demonstracyjnie odwrócił się ode mnie i zaczął i zaczął mówić o dużej dysproporcji pomiędzy cenami żywności na wsi i miastach. Do dziś nie wiem, co oznaczała ta demonstracja ze strony Piłsudskiego. Zebrani nie powzięli żadnych uchwał. Przypuszczam, więc że Piłsudskich chciał wysondować jedynie opinie lewicy nie wiążąc się jednak z nią żadnym zobowiązaniem.

Gdy więc powstał rząd Witosa, dalszy bieg wypadków był szybki. Piłsudski zażądał ustawienia generała Malczewskiego i powierzenia tego stanowiska osobie przez siebie wskazanej, a gdy otrzymał odmowę z wiernym sobie odziałem wojska zorganizował zbrojną demonstrację przeciw rządowi chcąc widocznie nakłonić Prezydenta Wojciechowskiego do ustępstwa. Ponieważ do tego nie doszło nastąpiła walka zbrojna pomiędzy wojskiem stojącym po stronie Piłsudskiego tym, które stało przy Prezydencie. Masy chłopskie i robotnicze stały przy Piłsudskim. Walka trwała trzy dni. Wojska Piłsudskiego zajęły całą Warszawę. Prezydent i Rząd wycofali się do Wilanowa. Zaraz na początku walki Prezydent wezwał na pomoc wojska z Poznańskiego, gdyż deklarowały się za Rządem. Ale kolejjarze ogłosili strajk i nie puścili tych wojsk do Warszawy. Natomiast wojska z Wileńszczyzny, stanęły po stronie Piłsudskiego, szybko i bez problemów zbliżyły się do stolicy. W

takiej sytuacji Prezydent Wojciechowski i Rząd uznali, że ich sprawa jest przegrana, i Rząd Witosa podał się do dymisji, a Prezydent ustąpił ze swego stanowiska i przekazał władze marszałkowi Sejmu Ratajowi.

Wszyscy przypuszczali, że Piłsudski po zwycięstwie ogłosi swoją dyktaturę i rozwiąże Sejm. Stało się jednak inaczej. Piłsudski uznał marszałka Rataja jako formalnego zwierzchnika państwa, ale siłę wojskową zachował w swych rękach. Działalność więc Rataja jako pełniącego obowiązki Prezydenta musiała uzgodniona z Piłsudskim. Przed przewrotem majowym Prezydent musiał uzgadniać swą działalność z większością Sejmu po przewrocie - z Piłsudskim. To też pierwszym „uzgodnionym” premierem został prof. Kazimierz Bartel były poseł z Wyzwolenia, a następnie członek małej grupy poselskiej zwanej Klubem Pracy. Rząd Bartla objął urządowanie 15 maja roku 1926. W tym rządzie Piłsudski objął wojsko, sprawy wewnętrzne - Młodzianowski, zagraniczne - August Zaleski, skarb Gabriel Czechowicz, oświatę - Mirosław Pomorski, rolnictwo i reformy rolne - Raczyński, przemysł i handel - Gliwic, czyli młodzi ludzie przeważnie o charakterze urzędniczym. Oczywiście lewica żądała, by Piłsudski został Prezydentem, by powołał Rząd chłopsko - robotniczy, rozwiązał Sejm i Senat i przeprowadził nowe wybory.

Dalsza praktyka wykazała, iż żądania te były machaniem palcem u nogi w lewym bucie. Dnia 31 maja 1926 roku. Marszałek Rataj zwołał Zgromadzenie Narodowe w celu wybory prezydenta. Lewica postawiła kandydaturę Piłsudskiego. W głosowaniu Piłsudski otrzymał 292 głosy, Bniński - 193 głosy. Za kandydaturą Piłsudskiego głosowała lewica i część centrum, za Bnińskim prawica; prezydium klubu Piasta dało przy głosowaniu naszym członkom wolną rękę, posłowie ukraińscy, białoruscy i komuniści wstrzymywali się od głosu. Piłsudski, wiec został wybrany, ale wyboru nie przyjął, motywuując to tym, że prezydent ma małą władzę.

Wobec tego następne Zgromadzenie Narodowe było wyznaczone na dzień 1 czerwca. Wtedy Prawica ponownie podtrzymała kandydaturę Bnińskiego, premier Bartel w porozumieniu z Piłsudskim postawił kandydaturę Ignacego Mościckiego, profesora politechniki lwowskiej, który w tym czasie był dyrektorem fabryki nawozów azotowych w Chorzowie. Klub PPS postawił kandydaturę posła Marka. Pierwsze głosowanie nie dało wyników rozstrzygających. Przystąpiono do drugiego głosowania. Ponieważ w pierwszym głosowaniu poseł Marek miał głosów najmniej, klub PPS w drugim głosowaniu wycofał jego kandydaturę, a wtedy najmniejszą liczbę głosów bo - 281 otrzymał Mościcki, a Bniński - 200. Mościcki, więc został wybrany na Prezydenta.

Przysięgę od nowo wybranego Prezydenta miało odebrać Zgromadzenie Narodowe. Piłsudski żądał, by członkowi Zgromadzenia Narodowego, t.j. Posłowie i Senatorowie, gdy Mościcki będzie wchodził na sale, wstali. Ponieważ było wiadome, że członkowie Zgromadzenia Narodowego tego nie uczynią, t.j. że powstaną, ale nie wtedy, gdy prezydent będzie wchodził na sale lecz wtedy, gdy będzie składał przysięgę, premier Bartel w porozumieniu z Marszałkiem Sejmu zorganizował akt przysięgi na zamku królewskim w dużej sali, w której w ogóle nie było krzeseł. Na czołowym miejscu tej sali było podwyższenie był ustanowiony stół dla prezydium Zgromadzenia Narodowego, tj. dla marszałka Sejmu i dwóch sekretarzy. Środek Sali zajęli zgromadzeni posłowie i senatorzy, a tył sali odgrodzony czerwonym sznurem zajął korpus dyplomatyczny, tj. ambasadorowie państw obcych.

Gdy, więc w wyznaczonym czasie marszałek w towarzystwie dwóch sekretarzy zajęło miejsce za stołem prezydialnym i otworzył zebranie Zgromadzenia Narodowego, premier Bartel wprowadził Mościckiego na sale, a za Mościckim wszedł i rząd. Wtedy najzupełniej niespodziewanie kilkusobowa grupa posłów N.P.CH z Wojciechowskim na czele zaczęła krzyżeć: „Precz z faszyzmem!” Piłsudski stał wtedy pośród ministrów, widziałem, jak się bardzo zaniepokoił, ale gdy dostrzegł, że tą burdę czyni Wojewódzki zupełnie się uspokoił. Wojewódzki i jego towarzysze powyżej wymieniony okrzyk wnieśli ze trzy razy ucichli. Wtedy marszałek Sejmu Rataj bez żadnych przeszkód odebrał od Mościckiego przysięgę.

Pamiętam, że z polecenia marszałka Sejmu notę przysięgi czytał sekretarz prezydium Sejmu poseł Jan Ledwocki, a profesor Mościcki powiedział głośno słowa przysięgi. Po zakończeniu tego aktu urzędowego, marszałek Sejmu zamknął zebranie Zgromadzenia Narodowego i wszyscy opuścili zamek. W taki oto sposób odbyło się po przewrocie majowym przysięga prezydencka Mościckiego. Członkowie Zgromadzenia Narodowego, gdy prof. Mościcki wchodził na sale, stali, na Sali nie było krzeseł do siedzenia. Już wtedy było widoczne, że Piłsudski, chce z Prezydenta uczynić władcę podobnego do monarchy. Powyżej napisany akt przysięgi Mościckiego pamiętam bardzo dobrze i podaje go do wiadomości publicznej.

Prezydent Mościcki zatwierdził rząd Bartła dokonawszy w nim nieznacznych zmian personalnych. Przy tej sposobności Piłsudski proponował Dębskiemu tekę ministra oświaty, ale Dębski nie uzyskawszy zgody Witos - propozycji nie przyjął. Powszechnie przypuszczano, że po wyborze prezydenta nastąpi rozwiązanie Sejmu i Senatu nowe wybory, ale wkrótce, jednak okazało się, że Piłsudski miał inny zamiar. Od dnia 16 czerwca (1926) rząd przedłożył Sejmowi projekt zmiany konstytucji w tym roku, prezydent miał prawo rozwiązania Sejmu, kiedy zechce, oraz zwoływania oraz odraczania sesji sejmowych podług swego rozeznania, oraz by prezydent i rząd mieli prawo wydawać dekry w czasie, gdy Sejm nie obraduje.

Opinia społeczna była za powiększeniem władzy prezydenta, to też ustawa o zmianie konstytucji została w Sejmie uchwalona większością głosów 246 przeciw 95 głosom. Przeciw głosował PPS, NPCh, komuniści i mniejszości narodowe. W ten sposób Polska z republiki parlamentarnej zmieniła się na republikę prezydencką. Głównym ośrodkiem politycznej siły i znaczenia stał się prezydent, a nie Sejm. Można było na tej reformie poprzestać i zająć się sprawami gospodarczymi i społecznymi, ale nie stało się tak, gdyż Piłsudski i jego otoczenie po pewnym czasie poszli dalej i rozpoczęli akcje niszczenia Sejmu i stronnictw politycznych: prawicowych i lewicowych

Jeszcze przedtem, mniej - więcej po miesiącu od chwili wyboru Mościckiego na prezydenta, odbyło się posiedzenie Zarządu Głównego PSL - Piast pod przewodnictwem Witos. Był na tym posiedzeniu jako członek Zarządu Głównego działacz ludowy Romuald Wasikowski, siedział on przy telefonie; nagle zadzwonił telefon, Wasilewski podniósł słuchawkę do ucha i usłyszał głos premiera Bartła: „Z polecenia marszałka Piłsudskiego chciałbym na osobności porozmawiać poufnie z prezesem Witosem. Wasilewski trzymając słuchawkę w ręce, powtórzył Witosowi proporcje Bartła. Na to W. Witos odpowiedział odmownie, ale w formie nieparlamentarnej i wysoce obraźliwej. Wasielewski, więc odpowiedział premierowi Bartłowi, że prezes Witos nie zgadza się na taką rozmowę, a Bartel oświadcza mu przez telefon: „Wiem wszystko, bo odpowiedz Witos słyszałem przez telefon, gdyż pan trzymał słuchawkę podniesioną!” Incydent ten nie był tajemnicą w Klubie PSL - „Piast”.

W kilka, więc dni później, gdy mar. Rataj napotkał się z Miedzińskim, otrzymał od niego wyjaśnienie, że Piłsudski chciał zaproponować Witosowi zgodę i stanowisko prezydenta po Mościcki, który w tym wypadku ustąpił z tego stanowiska, ale że wobec negatywnej odpowiedzi W. Witos sprawa ta jest już nieaktualna. Powyższą informację słyszałem od Romualda Wasilewskiego, który z całą stanowczością twierdzi, że jest prawdziwa. Dalej Wasilewski twierdzi, że nie jest sprawą pewną, czy istotnie Piłsudski miał zamiar proponować Witosowi stanowisko prezydent, ale jest to bardzo prawdopodobne, iż Piłsudski chciał zaproponować Witosowi jakiś projekt zgody i współpracy, a nie mógł tego uczynić, wobec tego, iż Witos chciał w tej sprawie żadnej rozmowy.

Następnie przechodzę do stosunku J. Piłsudskiego do Sejmu i podaję kilka przykładów w tej dziedzinie. W końcu roku 1926 Sejm uchwalił wotum nieufności dla dwóch ministrów rządu Bartła. Rząd Bartła podał się do dymisji, ale Prezydent, idąc za radą Piłsudskiego powołał ten sam rząd z tymi dwoma ministrami. W budżecie na rok 1927 Sejm zmniejszył wydatki o 34 miliony złotych. Rząd Bartła podał się do dymisji. Prezydent za doradą Piłsudskiego powołał ten sam rząd lecz z Piłsudskim na czele i z Bartlem jako wicepremierem.

Rząd na mocy pełnomocnictwa wydał bardzo ostry dekret prasowy. Sejm odmówił zatwierdzenia tego dekretu, ale Rząd tego dekretu nie odwołał niby pod tym pozorem, że uchwała Sejmu nie było zatwierdzone przez Senat; a gdy Senat przystąpił do zatwierdzenia uchwały Sejmu. Prezydent odroczył posiedzenie Sejmu i Senatu. W ogóle tym zamykaniem lub odraczaniem sesji sejmowych Prezydent Mościcki (za doradą Piłsudskiego) doprowadził prawa Sejmu do uchwalenia ustaw i kontrolowania rządu - do zera.

Przy takim postępowaniu rządu i Piłsudskiego oprócz ulicznego kilkusobowego Klubu Pracy, do którego należał Bartel, zaczęły przechodzić do opozycji wszystkie kluby Sejmowe. Najpierw przeszła do opozycji cała prawica jako zasadniczy wróg Piłsudskiego potem mniejszości narodowe, następnie NPR, PSL - Piast, PPS i PSL - Wyzwolenie. W miarę tego przechodzenia do opozycji z klubów tych występowali poszczególni posłowie; a wiec z Klubu Witos wystąpiła grupa Bojki i Kosydarskiego, z klubu socjalistycznego wystąpili Moraczewski, Jaworowski, i Wojtek Malinowski, z klubu wyzwoleniowego - Bogus, Miedziński i Kościałkowski. Stronnictwo Chłopskie, jako najmłodsze było bardzo ostrożne.

A więc nie angażujące się mocno w kierunku opozycji, czekało aż Piłsudski i jego obóz sam się skompromitują w oczach szerszych mas chłopskich, co też i nastąpiło. Natomiast w tym czasie działacze Stronnictwa Chłopskiego wzięli się mocno do pracy w organizacjach rolniczych (CZRR), w spółdzielni rolniczo - handlowej i w instytucjach samorządowych, gminnych i powiatowych i w krótkim czasie osiągnęli w tych dziedzinach poważne sukcesy. W tej dziedzinie duże sukcesy osiągnęli posłowie W. Fijałkowski, A. Waleron, St. Gawtowczak, St. Wrona, J. Ledwoch, Konstanty Pac i inni. Był jeszcze jeden czynnik, który klubowi Stron. Chłopskiego przeszkadzał organizować się w kierunku opozycyjnym: była to grupa Pluty, która w grupie Stron. Chłop. Stanowiła poważną część, a która groziła, że w wypadku przejścia klubu do opozycji wystąpi z klubu i przyłączy się do grupy Bojki, która z klubu piastowego już wyszła. To był powód dla, którego klub Stron. Chłop. Był bardzo ostrożny.

Wkrótce nastąpiły wypadki, które całemu polskiemu obozowi pracy, tj. chłopom i robotnikom - otworzyły oczy. Oto Piłsudski w jesieni 1926 roku przybył do Nieświeża, głównej siedziby książąt Radziwiłłów, i zawarł z nimi porozumienie polityczne. W następnym roku z polecenia Piłsudskiego, Walery Sławek udał się do Dzikowa, siedziby hrabiego Tarnowskiego, i tam zawarł sojusz z magnaterią małopolską. Wtedy już wszyscy zrozumieli jaką będzie polityka Piłsudskiego i jego obozu.

Tymczasem w końcu roku 1927 dobiegła kadencja Sejmu. Sejm i Senat zostały rozwiązane. Głosowanie do trzeciego Sejmu było wyznaczone na dzień 4 marca 1928 roku. Na początku okresu wyborczego, z polecenia J. Piłsudskiego, został zorganizowany Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem (BBWR). Zaraz też odbył się w Warszawie pierwszy zjazd organizacyjny tej partii; zebrani manifestanci włączyli się do Belwederu, by wyrazić hołd Piłsudskiemu, który wyszedł na balkon, podziękować za przybycie i wyrazić zdanie, że wszyscy przy wyborach powinni skupić się przy rządzie i głosować na BBWR. Był to więc pierwszy wiec przedwyborczy, na którym J. Piłsudski wykonał krótką agitację przedwyborczą. Zaraz potem Składkowski wezwał do swego gabinetu Jana Dąbskiego i mnie, i zapytał się nas, czy Stronnictwo Chłopskie przystąpi do BBRu. Odpowiedzieliśmy odmownie i od tej chwili Stronnictwo Chłopskie przeszło do opozycji.

W tym czasie Składkowski jako minister spraw wewnętrznych ogłosił komunikat, że on będzie kierował akcją wyborczą BBWR, gdyż rząd będzie brał udział w wyborach. Wkrótce też ów agitator wyborczy, a zarazem minister wydał rozkaz do wszystkich województw i starostw by jak najsilniej popierali ów BBWR, by zmuszali wszystkich urzędników powiatowych i samorządowych, a także i nauczycieli by ci agitowali za BBWRem.

Po przejściu do opozycji Stronnictwa Chłopskiego wystąpili z niego Jan Stapiński i Józef Samojca i przyłączyli się do BBWR, zaś grupa Pluty pozostała nadal w Stronnictwie Chłopskim. Rozpoczęła się akcja wyborcza. Na Generalnego Komisarza wyborczego wbrew opinii Sądu Najwyższego, prezydent i rząd wyznaczyli znanego krętacza prawniczego St. Cara. I Rząd i ów Komisarz dołożyli wszelkich wysiłków, by okręgowe komisje wyborcze składały się tylko ze zwolenników BBWRu. BBWR wystąpił do wyborów z czterema listami wyborczymi: jedną pod szyldem BBWR, drugą pod szyldem katolickim, trzecią pod szyldem narodowego bloku pracy (prorządowa grupa NPR) i czwartą pod szyldem chłopskim (Stapiński i Samojca).

Stronnictwa nie należące do BBWRu występowały, każde oddzielnie. Ukraińcy z Małopolski Wschodniej przestali bojkotować wybory i weszli do bloku mniejszości narodowych. Oprócz tego było jeszcze kilka różnych list lokalnych. Razem zgłoszono 25 list wyborczych o zasięgu ogólnopolskim oraz wiele regionalnych. Nieco wcześniej powstała organizacja monarchistyczna; popierali ją magnaci. Ta organizacja również zgłosiła swą listę kandydatów.

Rozpoczęła się agitacja przedwyborcza: brały w niej udział tysiące agitatorów, najętych przez BBWR, oraz duża ilość urzędników i część nauczycieli. Użyto też ze strony BBWR ogromna masa druków i tak zasypano nimi wsie, i miasta, że chłopcy je zgarniali i używali na ściółkę pod krowy. Choć było widać, że magnaci i bogaci obszarnicy dużo dali pieniędzy na te wybory, to jednak wszyscy widzieli i rozumieli, że BBWR otrzymał na te wydatki fundusze ze skarbu. Powoli też wyszło na wierzch, że prezes rady, ministrów (Piłsudski) w tym czasie otrzymał ze skarbu do swej dyspozycji 8 milionów złotych i że podjął je Składkowski, minister spraw wewnętrznych i zarazem kierownik akcji wyborczej ze strony BBWRu.

Tego rodzaju przypuszczenia szybko się rozchodziły po kraju i wywoływały oburzenie przeciw wydawaniu pieniędzy skarbowych „na patiów kawałek”, t.j. na BBWR. Oprócz tego zastosowano przeciw opozycji nowy sposób - unieważnianie list wyborczych, oczywiście opozycyjnych. W ten sposób przez unieważnianie kilku list wyborczych w kilku okręgach -



stworzono fakt, iż wyborcy, w tych okręgach nie mieli na kogo głosować i agitatorzy prorządowi agitowali ich, by w takim razie głosowali na BBWR. Wreszcie komisarz wyborczy Car i Składkowski wydali rozporządzenie, by obwodowe komisje wyborcze po zakończeniu głosowania i obliczeniu głosów protokoły wyborcze i głosy odstawiły bezpośrednio nie do okręgowych komisji wyborczych, a do starostw. Było powszechne zdanie, że starostowie przerabiali wyniki wyborów na korzyść BBWRu. Wreszcie 4 marca 1928 roku odbyły się wybory do Sejmu, a w tydzień później do Senatu. Podług ogłoszonego wyniku BBWR otrzymał 122 mandaty, NPR - lewica (grupa Ciszaka) 5 mandatów, grupa Stapińskiego i Sanojcy 3 mandaty - razem 130 mandatów. Związek Ludowo - Narodowy 37 mandatów. Centrum: Chadey 19 mandatów. Lewica: Stronictwo Chłopskie 26 mandatów, PSL - Wyzwolenie - 40 mandatów, PPS 63 mandaty, Samopomoc Chłopska 1 mandat (ST. Wójtowski), komuniści 7 mandatów; razem 137 mandatów. Wreszcie mniejszości narodowe 86 mandatów, a więc rząd J. Piłsudskiego i Składkowskiego na czele nie otrzymał większości.

Dawna większość prawicowo - centrowo - piastowa uzyskała razem tylko 91 mandatów, a więc przestała istnieć. Lewica, łącznie z komunistami, mając 137 mandatów, też nie miała większości, a z Klubem Piasta (137 + 21 = 158) też nie stanowiła większości. Natomiast klub „Piasta”, lewica i mniejszości narodowe mogły stworzyć w Sejmie większość z liczbą 244 głosów, ale dogadanie się w tak dużym zespole i stworzenie jakiejś wspólnej platformy politycznej - na przykład Klub Piasta z mniejszościami narodowymi, zwłaszcza różnymi drobnymi grupami ukraińskimi - było nie możliwe, sądzę, że nie było też możliwe w owych czasach dogadanie się socjalistów z komunistami. Gdy nie można było tworzyć żadnej większości parlamentarnej w celu zorganizowania rządu sejmowego, to przy przewodzie prezydenta nad Sejmem, o czym już wyżej pisałem, pozostawało ten rząd, za którym stał prezydent, a więc rząd Piłsudskiego lub tych, których on wskaże.

Krótko: niebezpieczeństwo większości prawicowo - Witosowej minęło, natomiast stanęło przed nami niebezpieczeństwo BBWRu. W takiej sytuacji, po głębokim rozważaniu doszliśmy do przeświadczenia, że trzeba rozpocząć akcję zjednoczenia ruchu narodowego. Tak też uczyniliśmy. Ta nasza propaganda nie budziła w „Piaście” dużego odgłosu, a w „Wyzwoleniu” wywołała kierowaną przeciwko nam nienawiść; nic dziwnego: przecież przejęliśmy w swe objęcia grupę Pluty. Ale ta nasza propaganda ruchu ludowego wywołała żywy oddźwięk na wsi i stworzyła u chłopów naszą popularność. To też odeszło z BBWR trzech posłów chłopskich i wstąpili do Klubu Stron. Chłopskiego. Byli to posłowie: Jan Krysa, Ciegłak i Targoński. Liczba posłów naszego wzrosła do 29.

W kilku okręgach wyborczych Sąd Najwyższy unieważnił wybory; odbyły się powtórne wybory. W powtórnych wyborach Stronictwo Chłopskie miało powodzenie i liczba jego posłów doszła do 40. Co się tyczy PPSu, to wystąpił z niego grupa R. Jaworowskiego i przyłączyła się do BBWR; liczba, więc posłów w klubie PPS spadła do 532. Ponieważ przy wyborach powtórnych, które się odbyły w kilku okręgach, BBWR nie brał udziału, to stracił on tam pewną liczbę mandatów i w końcu istnienia trzeciego Sejmu liczył tylko 101 posłów. Senat ani przy drugim, ani przy trzecim Sejmie nie odgrywał poważniejszej roli.

Dnia 27 marca 1928 roku nastąpiło otwarcie Sejmu. Dokoła tego J. Piłsudski. Gdy stanął na trybunie, by odczytać odnośne pismo prezydenta, posłowie komuniści zaczęli krzykować: „precz z faszystowskim rządem Piłsudskiego!” wtedy Składkowski sprowadził policję, która na jego polecenie aresztowała siedmiu posłów komunistycznych i wyprowadziła ich z Sali sejmowej. Przystąpiono do wyboru marszałka Sejmu. Obóz prorządowy postawiło kandydaturę Bartla, a PPS - Daszyńskiego. W głosowaniu Daszyński otrzymał większość i został marszałkiem Sejmu. Jeżeli idzie o obronę praw Sejmu i podniesienie jego powagi, była to kandydatura jak najlepsza. Oczywiście kandydatura ta bardzo się nie podobała Piłsudskiemu, ale musiał się z tym pogodzić. Klan BBWR powołał na swego prezesa posła Walerego Sławka, który od tej chwili prowadził od tej w chwili w Sejmie i w Polsce Politykę Piłsudskiego podług instytucji, które otrzymywał od Piłsudskiego co tydzień. W Senacie natomiast, na Marszałka został wybrany prof. Szymański z obozu prorządowego, gdyż za jego kandydaturą oprócz posłów prorządowych głosowali także senatorowie z chrześcijańskiej demokracji i żydzi.

Przyszła chwila uchwalenia budżetu. Opozycja mogła być odrzucić budżet i podług obyczajów parlamentarnych spowodować ustąpienie Rządu, ale przedstawiciele klubów opozycyjnych doszli do przeświadczenia, że tego Rządu przy Prezydencie Mościckim tym sposobem się nie usunie. Walkę więc z Rządem w celu przywrócenia praw parlamentu odłożono na później do chwili odpowiedniejszej. Budżet więc na rok 1928-29 został uchwalony głosami BBWR, centrum i lewicowych klubów chłopskich w dniu 22 czerwca 1927. Zaraz po uchwaleniu budżetu Piłsudski oddał prezesurę w Rządzie z powrotem Bartłowi, zatrzyma sprawy Wojskowe; lista reszty ministrów przedstawiała się następująco:

Składkowski - sprawy wew, Zalewski - zagraniczne, Czechowicz - skarb, Maysztowicz - sprawiedliwość, Niezabitowski - rolnictwo, Kwiatkowski - przemysł i handel, Moraczewski - roboty publiczne, Jurtkiewicz - praca i opieka, Staniewicz - reformy rolne, Niedziński - poczta i telegraf, Kazimierz Świtalski - oświata, Kuhn - komunikacje.

Po swym ustąpieniu ze stanowiska premiera Piłsudski rozpoczął walkę z Sejmem w prasie. A wiec 1 lipca 1928r. ukazał się w prasie prorządowej wywiad Piłsudskiego, w którym była charakterystyka trzech sejmów.: pierwszy sejm nazwał Piłsudski sejmem ladacznic, drugi sejm nazwał sejmem korupcji, a pod adresem trzeciego sejmów rzucił groźbę okrojowania konstytucji jeżeli, Sejm ten będzie walczył o swe prawa. W odpowiedzi na to i marszałek Sejmu i kluby opozycyjne zadeklarowały obronę parlamentaryzmu. Takich wywiadów było kilka, a wszystkie były przepełnione wyrazami nieparlamentarnymi i plugawymi, a skierowane były przeciw Sejmowi i posłom, których Piłsudski nazywał „ślubowanymi portkami” (od wyrazu ślubować, przysięgać) lub wprost „fajdanami”. Czasami w tych wywiadach były wyrazy i porównania, których bez wstrętu i obrzydzenia nie można było przytaczać, na przykład o talerzyku napelnionym ludzkimi ekskrementami i stojącym na stole.

Na ogół z wywiadów przebierała jakaś straszna mania wielkości, gdyż Piłsudski wyraźnie stawiał siebie ponad całym narodem. W odpowiedzi na to posłowie w Sejmie powtarzali stare przysłowie: „dłużej klasztora niż przeora”. Lekarze zaś mówili po cichu: „choroba nazywa się chyba „Paranoia agitaus”. Jasna też sprawa, że te wywiady i ich stylistyczna forma obniżały powagę polski za granicą. Co do mnie uważałem te cała akcje Piłsudskiego przeciw Sejmowi za zbytęcną bowiem według moich poglądów pierwsza konstytucja z poprawkami uchwalonymi po przewrocie majowym dała prezydentowi całkowita przewagę na parlamentem, a wiec usuwała przerosł władzy prawodawczej nad władzą wykonawczą.

Tymczasem pod wpływem tego stanowiska Piłsudskiego niektórzy inteligenci, nastawieni słuźalczo zaczęli się wypowiadać za daleko idącymi zmianami konsytuacji. A więc prof. Kochankowski wypowiadał się za ustrojem monarchicznym. Tadeusz Hałówo żądał, by ustępujący prezydent mianował swego następcę i t.p. Opozycja jednak odwlekała walkę; to też budżet na rok 1929 - 30 został uchwalony. Ponieważ obóz prorządowy domagał się dalszej rewizji konstytucji, przeto 22 stycznia 1929 roku Sejm postanowił przystąpić do rewizji konstytucji.

W lutym tegoż roku istotnie Sławek zgłosił projekt zmiany konstytucji: jednego podstawionego przez ustępującego prezydenta i drugiego, wyznaczonego przez zgromadzenie Narodowe. B) Prezydent ma mieć prawo pozbawieniu posła mandatu poselskiego. C) Poseł może być za swą działalność w Sejmie oddany do osądzenia w trybunale stanu. D) Prawo wybierania posłów maja obywatele dopiero po ukończeniu 24 lat. E) 1/3 Senatu ma być minowana przez Prezydenta. F) Poprawki Senatu może Sejm odrzucić ,ale nie większością 11/20, lecz większością 3/5. G) Prezydent posiada prawo weta. H) Przez osiem miesięcy w ciągu roku prezydent ma prawo wydawać ustawy, a Sejm ma takie prawo tylko w ciągu 4 miesięcy. I) Usuniecie Rządu przez Sejm wymaga absolutnej większości wszystkich posłów, którzy byli do Sejmu wybrani. Przy takiej konstytucji Sejm byłby przy najpotężniejszym prezydencie tylko organem doradczym.

W odpowiedzi na to trzy stronnictwa lewicowe: PPS, Wyzwolenie i Stronnictwo Chłopskie utworzyły komisje porozumiewawczą i zgłosiły swój projekt poprawy konstytucji w którym stronnictwa te żądały zniesienia Senatu i wybór prezydenta przez specjalne zgromadzenie elektorów i prawo i inicjatywy prawodawczej narodu. Oba projekty zostały przesłane do Sejmowej Komisji Konstytucyjnej, ale ostatecznie walka Sejmu z Rządem rozegrała się na sprawie przekroczeń budżetowych.

Powyżej wymienione trzy stronnictwa w roku 1929 zgłosiły w Sejmie wnioski o pociągnięcie ministra Czechowicza do odpowiedzialności przed trybunałem Stanu za nielegalne wydawanie dużych sum pieniężnych. Sejm większością głosów uchwalił przekazanie sprawy Trybunałowi Stanu. Czechowicz podał się do dymisji, a ministerstwo skarbu poprowadził wiceminister Grodyński.

Przed Trybunałem Stanu Czechowicz oświadczył, że z przekroczeniami budżetowymi nie mógł przyjść do Sejmu, gdyż miał drogę zamkniętą to jest, że ani premier Bartel, ani Piłsudski nie zgadzali się na to. Prezes NIK Wróblewski wyznał, że istotnie w roku budżetowymi 1927/ 28 minister skarbu przekroczył budżet na sumę 562 milionów złotych i że to był czyn nielegalny. W kilka dni po wniosku Sejmu o oddanie ministra Czechowicza pod Trybunał Stanu sesja budżetowa została zamknięta.

Dnia 14 kwietnia 1929 roku został mianowany nowy rząd Kazimierza Świtalskiego, ministrami zostali przeważnie ministrowie poprzedni, ale 4 ministerstwa objęli nowi ministrowie, a mianowicie: Czerwiński - oświata, Przystor - praca, Boerner - poczta, Ignacy Matuszewski - Skarb. Ponieważ w rządzie tym było 6 oficerów opinia publiczna nazwała ten rząd rządem pułkowników. Pierwszą czynnością tego rządu było zlikwidowanie samorządu ubezpieczeniowego w kasach chorych.

Wkrótce potem trybunał Stanu rozpoczął obradować nad sprawą Czechowicza. Okazało się ponad wszelką wątpliwość, że w sumie 562 milionów wydanych poza budżetem było osiem milionów, które były wydane na wybory. W tej sprawie zeznawał nawet Piłsudski, który przyjął winę na siebie, że o Trybunale Stanu, który go przesłuchiwał wyrażał się w sposób obraźliwy. Ale w Trybunale Stanu była większość piłsudczyków, przeto odłożył on dalsze dochodzenie i zwrócił się do Sejmu by wyraźnie określił merytoryczną ocenę celowości tych wydatków na sumę 526 miliony. Było jasne, że rząd będzie przeszkadzał Sejmowi w załatwieniu tej sprawy, przez ciągłe odraczanie i zamykanie sesji sejmowych. W dniu 31 października 1929 roku miało nastąpić otwarcie sesji budżetowej Sejmu. Dekret prezydenta o otwarciu sesji Sejmu miał w Sejmie Piłsudski.

Na pewien czas przed otwarciem Sejmu wtargnęła do gmachu Sejmu grupa uzbrojonych oficerów w liczbie powyżej stu. Wszyscy mieli rewolwery, szable. Wreszcie przybył Piłsudski, a gdy w czasie oznaczonym Daszyński nie otwierał posiedzenia, Piłsudski wszedł do jego gabinetu i zażądał otwarcia posiedzenia. Daszyński odpowiedział, że posiedzenia nie otworzy dopóki oficerowie będą przebywać w gmachu Sejmu. Na ponowne żądanie Daszyński odpowiedział odmownie, wtedy Piłsudski opuścił gmach, a po nim i oficerowie. Prawdopodobnie chodziło o to, by przy otwieraniu sesji sejmowej była wszczęta jakaś awantura, która by dała oficerom pretekst do rozpędzenia Sejmu i uniknięcia dalszych posiedzeń Trybunału Stanu.

Gdy po kilku dniach, a mianowicie 5 listopada posłowie zebrali się powtórnie, dowiedzieli się, że prezydent odroczył sesję na 30 dni. Wkrótce nadeszło do Sejmu pismo NIK, że Rząd samowolnie przekroczył budżet w roku 1927/28 a sumę 579 milionów i samowolnie i bezprawnie poprzemienił poszczególne sumy budżetowe niezgodnie z uchwalonym przez Sejm budżetem i że pewne sumy były wydane na cele, które w budżecie nie były przewidziane, i że z tego powodu NIK nie może poprzeć wniosku w Sejmie na udzielenie Rządowi absolutorium.

Dnia 5 grudnia 1929 roku wreszcie sesja budżetowa Sejmu została otwarta, a wtedy trzy kluby centrum (Piast, CHD, NPR) i trzy kluby lewicy (PPS, Wyzwolenie i Stron. Chłop) złożyły wniosek o wotum nieufności dla rządu. W taki sposób powstał Centrolew liczący 40% głosów. Wniosek ten uzyskał dużą większość Sejmu. Rząd podał się do dymisji i prezydent ją przyjął. Centrolew montowaliśmy uporczywie; najwięcej koło tej sprawy krzątał się poseł Wrona.

Sprawa zaś zjednoczenia Ruchu Ludowego, propagowana ustawicznie przez Stronnictwo Chłopskie, znajdowała na wsi wśród chłopów coraz więcej zwolenników. Na ten temat najwięcej napisał w „Gazecie Chłopskiej” Jan Dąbski i A. Waleron. Zmiana rządu trwała długo, chodziło przecie o to, by nie dać Sejmowi pracować i by nie wydał żadnej przez Trybunał Stanu oceny przekroczeń budżetowych ministra Czechowicza.

Wreszcie po długich naradach i pertraktacjach prezydent powołał rząd Bartla, z tym, że pozostali w nim w większości ministrowie dotychczasowi, oprócz 4 nowych; ci nowi byli: Józefski - sprawy wewnętrzne, Maksymilian Matakiewicz - roboty publiczne, Dutkiewicz - sprawiedliwość, Leśniewski - rolnictwo. 10 stycznia 1930r. premier Bartel wygłosił w Sejmie expose w duchu pojednawczym. Stronnictwa Centrolewu odpowiedziały żądaniem przestrzegania przez rząd konstytucji, praworządności i poszanowania dla parlamentaryzmu. Tymczasem był to ze strony Piłsudskiego i rządu manewr w celu uspienia opozycyjnego stronnictwa Centrolew jednak o tym nie wiedział. To też budżet na rok 1930/31 został w Sejmie przegłosowany w myśl zasady, że budżet daje się państwu, a nie rządowi (zasada nie zupełnie słuszna). Ale wobec skrócenia sesji sejmowej o dwa miesiące Sejm nie zdążył załatwić żądanej przez Trybunał Stanu oceny celowości przekroczeń budżetowych co dla Czechowicza była z tego powodu zagwozdzka (o co właśnie rządowi chodziło).

Myślano w centrolewie o złożeniu wniosku, by przedłużyć sesję o dwa miesiące, rząd zaś myślał o tym by do tego nie odpuścić i postanowił niespodziewanie podać się do dymisji. Niespodziewanie pojawiła się ku temu okazja. Oto PPS wymusiła dla ministra Prystora wotum nieufności. Sejm uchwalił, ale ustąpił nie sam Prystor, a cały rząd. Nastąpiła znowu przerwa w obradach sejmowych. Przesilenie było rozmyślnie przewlekane, a w tym czasie sejm nie obradował. W czasie tego

przesilenia Piłsudski zażądał dalszych ograniczeń praw sejmu. Ponieważ do zwołania sesji budżetowej pozostało jeszcze kilka dni, a konstytucyjnie podczas przesilenia sejm mógł obradować, to Daszyński zorganizował posiedzenie Sejmu i Komisji sejmowych, by dokończyć sprawę Czechowicza. Wtedy stuosobowy klub BBWR zagroził, że będzie robił na posiedzeniach taką obstrukcję, by się posiedzenia nie mogły odbywać. Daszyński doszedł do przeświadczenia, że obstrukcja klubu stuosobowego istotnie uniemożliwi obrady Sejmu i sprawy przekroczeń budżetowych Czechowicza na posiedzeniu Sejmu nie postawił. Sejm więc przyjął ustalenia w formie ustawy o budżecie na rok 1930/31 nie poruszając sprawy Czechowicza.

Marzec dobiegł końca. Budżetowa sesja Sejmu została zakończona i zamknięta. Wtedy dopiero prezydent ogłosił listę nowego rządu. Na premiera został wyznaczony Sławek, reszta pozostała bez zmian z wyjątkiem tym, iż ministrem spraw wewnętrznych znowu został Składkowski, sprawiedliwości - Car, ministerstwo rolnictwa objął Janta Połczyński obszarnek - konserwatysta.

Sławek jako premier oświadczył, że ten Sejm nie będzie miał głosu. Tak się rząd i obóz rządowy bał sprawy Czechowskiego. To też w maju roku 1930, podczas sejmowych sesji, posłowie sześciu klubów centrolewu zgłosili do prezydenta wnioski o zwołaniu nadzwyczajnej sesji sejmu. Prezydent zgodnie z konstytucją zwołał nadzwyczajną sesję sejmu na dzień 29 maja. Daszyński postanowił zaraz na pierwszym posiedzeniu postawić sprawę oceny przekroczeń budżetowych Czechowskiego, którą to sprawę można było załatwić w ciągu jednego posiedzenia Sejmu, ale prezydent i rząd (t.j. Piłsudski) postanowili do tego nie dopuścić; to też gdy się posłowie zebrali w Sali sejmowej, odczytano im pismo prezydenta, że sesja sejmowa jest odwleczona na 30 dni. Było jasne, że chodzi Czechowicza i że rząd i Piłsudski bali się dokończenia tej sprawy.

Ciekawe jest to, że były minister skarbu Czechowicz żądał zakończenia tej swojej sprawy, widocznie ujawnić, kto i na co te przekroczone sumy użył i kto od niego żądał tych przekroczeń; to też jako poseł przeciw przewlekaniu wystąpił z BBWR i powody tego kroku ogłosił w „Robotniku”. W artykule tym ogłosił, że Polska miała pewność, że dostanie pomocną pożyczkę zza granicy i że gdy w Polsce rozpoczęto walkę z Sejmem zagranica zaczęła „unikać Polski”.

W tym czasie w prasie prorządowej zaczął się atak na Daszyńskiego oraz ukazały się artykuły żądające wprost unicestwienia wolnego Sejmu, nawet na drodze bezprawnej, a grupa Jaworowskiego, która wystąpiła z PPS i działała w łączności z BBWRem zorganizowała kilka napadów na działaczy PPS, zginęło kilka osób, jeszcze więcej było rannych. Opozycja obawiała się zamachu stanu. W tym stanie rzeczy opozycja postanowiła odwołać się do wyborców, do społeczeństwa. W tym celu postanowiono zwołać w dniu 29 czerwca 1930 roku do Krakowa wielki Kongres centrolewu i poinformować naród o sytuacji politycznej. Na zebraniu organizowanym w Warszawie dnia 20 czerwca Jan Dąbski obwieścił cele tego Kongresu:

- 1) Ustąpienie rządów dyktatury Józefa Piłsudskiego
- 2) Utworzenie Konstytucyjnego rządu, opartego na zaufaniu narodu, rządu który by pracował zgodnie z Sejmem.

Na Kongres przybyło, pomimo różnych szykan i przeszkód ze strony policji, kilkadziesiąt tysięcy ludzi, może około 80 tysięcy. Najpierw odbyło się zebranie posłów, senatorów i czołowych działaczy wszystkich sześciu stronnictw w Sali Starego Teatru w Krakowie; na zebraniu tym przemawiali przedstawiciele wszystkich sześciu stronnictw po dwóch z każdego. Z ramienia wyzwolenia mówił Róg i Malinowski ze stronnictwa chłopskiego - Dąbski i Waleron, Piasta - Witos i (zdaje się) Kiernik, kto przemawiał z ramienia PPS i innych stronnictw centrolewu, nie pamiętam. Po zakończeniu zebrania w Sali teatru odbyło się wielkie zgromadzenie na placu Szczepańskiego. Przewodniczył (zdaj się) Popiel.

Przemawiali przedstawiciele wszystkich sześciu stronnictw ; z ramienia Stronnictwa Chłopskiego przemawiał dr. Wrona. I na sali teatralnej i na placu Szczepańskim zebrani uchwalili:

- 1) Walkę z dyktaturą Piłsudskiego, aż do zwycięstwa.
- 2) Powołanie rządu, który miałby zaufanie.
- 3) Walczyć z próbą zamachu.
- 4) A gdyby powstał rząd drogą zamachu stanu odmówić mu wszelkich świadczeń.
- 5) Na każdy objawy terroru odpowiadać.

## 6) Prezydent (Mościcki) winien ustąpić.

Był to najważniejszy Kongres w Polsce. Kongres Krakowski miał być wstępem do akcji ogólnopolskiej. Na dzień 14 września wyznaczono zorganizowanie w Polsce 21 kongresów lokalnych pod hasłem dyktatury, zwołanie sejmu, walka z kryzysem. W odpowiedzi na to rząd Sławka 23 sierpnia ustąpił, a na jego miejsce 25 sierpnia był wyznaczony rząd Piłsudskiego, zresztą z tymi samymi ministrami; zaraz też po objęciu urzędu ogłosił on w swym nowym wywiadzie zaciekły atak posłów (oczywiście opozycyjnych) nazywając ich łotrami (chyba za to, że się domagali praworządności); zaś dwa dni później „nieznani sprawcy” napadli na chorego Jana Dąbskiego wicemarszałka Sejmu i przewodniczącego Stronnictwa Chłopskiego, ciężko go pobili i spowodowali jego śmierć przedwczesną. Sprawców wojskowych, oczywiście że policja nijak starała się ich wykryć.

Wreszcie 30 sierpnia nastąpiło rozwiązanie Sejmu i Senatu i wyznaczenie głosowania do czwartego a Senatu trzeciego na dzień 16 i 23 listopada 1930 roku. Zorganizowany na terenie parlamentu związek Centrolewu okazał się w walce dość zgrany. Postanowiono więc i do wyborów iść razem w tymże związku, który na wybory przybrał nazwę: Związek Obrony Prawa i Wolności Ludu. Z tego Centrolewu wyłączyła się tylko Chrześcijańska Demokracja a weszły do stronnictwa: NPR, PSL- Piast, Wyzwolenie, Stronnictwo Chłopskie i PPS. W odpowiedzi na to aresztowano w nocy 19 posłów stronnictw opozycyjnych, a mianowicie Liebermana, Barlickiego, Pragiera, Ciołkosza, Duboisa i Mostka (PPS) Bagińskiego i Putka, (Wyzwolenie), Sawickiego (Str. Chłop.), Witosa i Kiernika (Piast), Aleksandra Dębskiego i J. Kwiatkowskiego (ND), Celewicz, Kohnta, Leszczyńskiego, Paliewa i Wisłockiego (Ukraińcy), Karwala Popicla (NPR), a nieco później aresztowanych potajemnie wywieziono do Brześcia i osadzono tam w twierdzy, w wwiezieniu wojskowym tak, by nikt nie wiedział, gdzie oni są.

Kierownikiem nad tym więzieniem był Pułkownik Kostek Biernacki; znany ze swej surowości służbowej. Tam więźniów bito, znęcano się nad nimi, ubliżano im, straszono rozstrzelaniem, zmuszano do mycia ustępów bez szczotek i ścierek itd. Niezależnie od tego w szeregach opozycji aresztowano wielu innych działaczy, w liczbie przeszło 80 osób. Aresztowanych osadzono w różnych więzieniach. Ze Stronnictwa Chłopskiego aresztowano posła dr. Wronę osadzono go w więzieniu w Warszawie, posła Dobracha i osadzono go w więzieniu w Opatowie i pos. Józefa Mochnieja i osadzono go we Wronkach.

Mnie też policja chciała aresztować, ale się na początku okresu wyborczego ukrywał w Warszawie w (...) Polański. Ponieważ policja nie mogła mnie przyłapać, to wytoczono mi dwa zarzuty prasowe: jedną za ubliżanie rządowi drugą za podjudzanie chłopów przeciw (...) rzekomo wykonane w „Gazecie chłopskiej”, której byłem wydawcą. Na rozprawach się nie stawiałem. Dostałem dwa wyroki po 3 miesiące. Mój adwokat złożył odwołanie przewlekła (...) na rok.

Ten terror i te represje miały oczywiście doprowadzić do tego, żeby zniszczyć opozycje i żeby rząd wygrał. Ponieważ jednak Centrolew był sprytny i dobrze zorganizowany i aresztowani, przewidując swe aresztowanie, wyznaczyli pełnomocników list wyborczych i dali im pisemną zgodę na kandydowanie to pomimo tych aresztowań - akcja przebiegła normalnie. Chłopów, więc nie trzeba było agitować; a BBWR był zniechęcony.

Widząc to obóz rządowy pieniędzmi i groźbą nakłaniał innych działaczy do zdrady. Mało to pomogło, ale zdrajcy jednak byli i to we wszystkich stronnictwach. W swoim okręgu wyborczym - Kieleckim zdradził Centrolew poseł J. Ledwoch z powiatu włoszczowskiego. Wydał nawet odezwe przeciw Centrolewowi, ale odezwa pozostała bez skutku, a Ledwocha chłopci zniechęcili. Dużą pomoc przy organizowaniu wyborów w okręgu wyborczym kieleckim okazał poseł i działacz PPS - Karpiński: on to organizował akcje wyborczą w powiatach kielecki i włoszczowski, a moi przyjaciele i rodacy w powiecie jędrzejowskim.

W tym czasie policja sanacyjna urządziła napad na centralny sekretariat Stronnictwa Chłopskiego i i na redakcje „Gazety Chłopskiej”. Oto niejaki Różański, kierownik Biura Urządzeń Rolnych, Sukiennik, agitator polityczny usunięty z Wyzwolenia oraz wymieniony wyżej Jan Ledwoch z grupą tajniaków sanacyjnej Policji 6 października 1930 roku napadli na lokal Stronnictwa Chłopskiego i redakcje „Gazety Chłopskiej”, zajęli samowolnie ten lokal i „Gazetę Chłopską”, zorganizowali tam posiedzenie fikcyjnej Rady Naczelnej i uchwalili, niebyła Rada Naczelna postanawia, by Stronnictwo Chłopskie wystąpiło z Centrolewu i by wobec tego chłopci nie głosowali na listę Centrolewu.

Sekretarzem naczelnym Stron. Chłop. Był wtedy Jan Kulisiewicz, który na szczęście miał u siebie w mieszkaniu listę członków Rady Naczelnej Stron. Chłop. Oraz listę prenumeratorów „Gazety Chłopskiej”. Ukrywałem się wtedy w



Warszawie w mieszkaniu adwokata J. Kujzy. Dowiedziałem się o tym telefonicznie. Spotkaliśmy się z Kulisiewiczem, dostaliśmy w teatrze Ateneum (ul. Czerwonego Krzyża) sale, zakupiliśmy bilety na telegramy, rozpisaliśmy depesze do wszystkich członków prawdziwej Rady Naczelnej, by przybyli na posiedzenie tej rady w dniu oznaczonym. Dopełniwszy obowiązków obaj z Kulisiewiczem nadaliśmy depesze kilkunastu urzędach pocztowych. W każdym po kilka depeszy.

W dniu oznaczonym przybyli członkowie Rady Naczelnej do teatru „Ateneum” i tam pod moim przewodem (byłem prezesem Rady Naczelnej Stronnictwa Chłopskiego) i przy udziale Kulisiewicza, który był sekretarzem Rady Naczelnej, Rada Naczelna uchwałą uchwała, że Stronnictwo Chłopskie do wyborów idzie w bloku z Centrolewem i pod jednym wspólnym numerem i skrytykowaliśmy łobuzów którzy napadli na nasz lokal i podszywając się pod Radę Naczelną Stronnictwa Chłopskiego. Uchwałą tą wydrukowaliśmy jako odezwę i wysłaliśmy prenumeratom „Gazety Chłopskiej”. Gdy prenumeratryzy otrzymali w sfalszowanym nakładzie „Gazetę Chłopską” uchwałą fałszywej Rady Naczelnej, jednocześnie otrzymali, odezwę prawdziwej Rady Naczelnej. Z nazwiskami prawdziwych członków tejże Rady i z uchwałą, iż Stronnictwo Chłopskie idzie do wyborów w bloku z Centrolewem i pod jednym numerem. To samo przetaczali w „Robotniku”, organie PPS, a w „Wyzwoleniu” i w „Piaście” sprawa więc była wyprostowana, fałsz się nie udał, Centrolew nie został rozbity.

Cóż wtedy robili Różanowski i Sukennik i Ledwoch? Rozkazali lokal Stronnictwa Chłopskiego Polakiewiczowi, który już od dwóch lat był w sanacji - na sekretariat sanacyjnego związku młodzieży „Zielone Koszule” i zamknęli wydawanie „Gazety Chłopskiej”. Rozesłaliśmy więc okólnik (ja i Kulisiewicz), że podczas wyborów członkowie Stronnictwa Chłopskiego będą obsługiwani przez tygodni „Wyzwolenie”.

Gdy lista państwowa Centrolewu była w Warszawie złożona w Głównej Komisji Wyborczej, gdy została przyjęta i otrzymała № 7 i gdy w okręgach listy okręgowe również były złożone i gdy w Kielcach lista okręgowa Centrolewu była zgłoszona z moim nazwiskiem na pierwszym miejscu i przez Okręgową Komisję była przyjęta, wtedy udałem się do okręgu wyborczego, by szerzyć osobiście propagandę pomiędzy chłopami, by głosowali na listę Centrolewu z numerem 7. Aresztowania się już nie obawiałem, bo moja sprawa rządowa była już po apelacji, a oprócz tego - po złożeniu okręgowych list wyborczych - aresztowania ustały.

Ponieważ sanacyjna policja liczne zebrania przedwyborcze z zasady rozwiązywała, przeto musiałem po powiecie jędrzejowskim jeździć i chodzić tak, by policja zgubiła mój ślad, a zebrania robiłem codziennie dwa - jedno w południe drugie wieczorem, oczywiście zebrania były nieliczne na kilka lub kilkanaście osób. To samo robił w kieleckim powiecie włoszczowskim tamtejszy działacz Stronnictwa Chłopskiego Józef Wójcik z Bałkowa.

Okręg kielecki dobrze więc był poinformowany jak należy głosować. Nastroje pomiędzy chłopami i robotnikami były wszędzie za Centrolewem. Sądzę, że to samo było we wszystkich innych okręgach. Rządowa partia BBWR wiedziała, że ani terror, ani aresztowania większości nie przestraszyły, chwyciła się więc nowego sposobu, a raczej trzech: jeden unieważniania list wyborczych, drugiego przerabiania wyników wyborów w Starostwach. Gdy wiec okręgowa komisja wyborcza unieważniła okręgowa listę wyborczą opozycji, to wyborcy tego okręgu, ci którzy chcieli głosować listę opozycyjną, nie mieli na kogo głosować i wszystkie mandaty z tego okręgu były przyznawane stronnictwu rządowemu, opozycja nie otrzymywała żadnego mandatu, choć 70 lub 80 procent wyborców chciało na nią głosować.

Już pisaliśmy, że Skłodkowski jako minister spraw wewnętrznych wydał zarządzenie, by protokoły komisji wyborczych były wysyłane nie wprost do komisji obwodowych, a z każdego powiatu do właściwego starostwa. Po co? Oczywiście po to, by w Starostwach można było te protokoły przerabiać i dopiero przerobione (sfalszowane) przesłać do Komisji Okręgowych. BBWR chcąc więc za wszelką cenę mieć w Sejmie większość, zastosował te dwa sposoby. Bywało więc nieraz tak, że pełnomocnik okręgowej listy Centrolewu otrzymał od wszystkich obwodowych mężów zaufania Listy Centrolewu informacje ile padło głosów na numer 7 każdym obwodzie, głosy te policzył i widział, ile głosów padło na centrolew w całym okręgu wyborczym. Gdy wiec na posiedzeniu okręgowej komisji wyborczej ujawniano liczbę mniejszą, pełnomocnik już wiedział, że w starostwach protokoły okręgowe fałszowano. Wnoszono w takich wypadkach protokoły do Sądu Najwyższego, ale protesty leżały bez załatwienia, aż do rozwiązania Sejmu.

Chwytem też było unieważnianie głosów przez komisje obwodowe. Podczas wyborów w roku 1930 unieważniono 482 tysiące głosów, oczywiście opozycji. Po zastosowaniu przez sanację wszystkich tych łajdackich chwytów wynik wyborów

ogłoszono przez okręgowe i główną komisje. Wyniki były następujące: BBWR 247 mandatów. Prawica / stronnictwo rządowe 62 mandaty. Centrolew: Ch. Dem. - 15 mandatów, NPR - 10 mandatów i Piast 15 mandatów. Lewica: Stronnictwo Chłopskie 18 man, Wyzwolenie 15 man, PPS 24 man. Lewica Chłopska 1 man, Komuniści 4. Mniejszość narodowa.

Ponieważ Sejm ustawowo liczył 444 posłów przeto BBWR zdobył więcej niż połowę. Zaraz też po wyborach nastąpiła zmiana stanowiska premiera, ustąpił Piłsudski przekazując stanowisko premiera Sławkowi, zatrzymując sprawy wojskowe. Otwarcia Sejmu i Senatu dokonał nowy premier Sławek. Na marszałka Sejmu większość wybrała K. Świtalskiego, w Senacie W. Raczkiewicza. Obaj marszałkowie objęli swe urzędy dopiero po uzyskaniu zgody Prezydenta. Był to nowy fakt zmierzający do poddania parlamentu pod opiekę Prezydenta.

Jak tylko zebraliśmy się w Sejmie, pierwszym naszym czynem było połączenie się trzech ludowych grup w jeden klub. Ponieważ Jan Dąbrowski dotychczasowy prezes klubu Stronnictwa Chłopskiego był chory, a poseł Wrona siedział w więzieniu, przeto zebrałem tych posłów Stronnictwa Chłopskiego, którzy na otwarcie Sejmu przybyli. Zrobiłem naradę i na mój wniosek postanowiono połączyć się z grupą Wyzwolenia i Piasta. To samo zrobił w klubie wyzwoleńcym poseł Róg, a piastowym poseł Madejczyk, po czym 10 XII 1930 r. dokonaliśmy połączenia trzech grup parlamentarnych i stworzyliśmy jeden parlamentarny klub ludowy. Prezesem tego zjednoczonego klubu został poseł M. Róg, wiceprezesem - ja i Madejczyk.

Znalazło się jednak kilku posłów w grupie Piasta, którzy nie chcieli się łączyć i pod kierownictwem posła Michałkiewicza utworzyli kilkusobową grupę, współpracującą z BBWRem. Połączenie zaś trzech stronnictw ludowych odbyło się 15 marca 1931 roku w Warszawie. W tym celu zebrały się trzy rady naczelne łączących się trzech stronnictw i dokonały połączenia. Zjednoczone stronnictwo nazwało się wprost „Stronnictwem Ludowym”. Prezesem kongresu tego połączenia został M. Malinowski, Prezesem Rady Naczelnej W. Witos, wiceprezesem A. Waleron i dr Putsch, a prezesem klubu parlamentarnego jak wyżej nadmieniałem - M. Róg i dwaj wiceprezesi, ja i Madejczyk. Rada Naczelna wybrała 12 osobowy Naczelny Komitet wykonawczy, którego prezesem został dr. Wrona, zaś kierownikiem organizacyjnym został K. Bagiński.

Na usilne naleganie grupy b. Stronnictwa Chłopskiego Naczelny Komitet wykonawczy zorganizował wkrótce organ zjednoczonego SLu w postaci tygodnika „Zielony Sztandar” ; redaktorem „Zielonego Sztandaru „, został M. Rataj, były marszałek drugiego Sejmu, który przy wyborach Brzeskich utracił mandat poselski. Po wyborach więźniów brzeskich przewieziono do Radomia, a po pewnym czasie zwolniono, tak że Witos, Kiernik i Bagiński byli już w dniu 15 marca na zebraniu pierwszej zjednoczonej Rady Naczelnej.

Już powyżej nadmieniałem, że oprócz wypadków brzeskich było jeszcze na początku okresu wyborczego aresztowanie kilkudziesięciu działaczy Centrolewu. Teraz po wyborach odbył się cały szereg procesu policyjnych, przy czym sanacyjna policja starała się popierać oskarżenia różnymi świadkami stawionymi, by udowodnić winę oskarżonym. Przy badaniach sądowych i zeznaniach świadków wychodziło to nieraz na niekorzyść policji i stanowiło kompromitację ówczesnej policji. Jeżeli o mnie idzie, to ponieważ apelacji sąd nie zmienił wyroku pierwszej instancji (dwa wyroki po 3 miesiące) przeto na przeczytaniu wyroku rzekłem się prawa nietykalności poselskiej i nie prosząc nikogo u ulaskawienie zgłosiłem się do więzienia w Warszawie na Daniłowiczewskiej i odsiedziałem oba wyroki i wróciłem do Sejmu.

Tymczasem rozpoczął się proces w Sądzie okręgowym warszawskim przeciw jedenastu więźniom brzeskim, a mianowicie przeciw: Liebermanowi, Bawlickiemu, Witosowi, Kiernikowi, Putkowi, Bagińskiemu, Pragierowi, Ciołkosowi, Dubois, Mastkowi i Sawickiemu. Bronili ich najwięksi adwokaci warszawscy. Ponieważ na sądzie nie mogli udowodnić więźniowie, jak się nad nimi znęcano, bo sąd do tego, nie dopuszczał, to przeto szczegóły tych znęcań się nad nimi były ogłoszone w interpelacji poselskiej i ujawniono publicznie. Oskarżanie, jako zwolnieni z widzenia, odpowiadali z wolności; wyłożyli oni na sądzie najwyraźniej, że chodziło ówczesnemu rządowi sanacyjnemu nie o to, co oskarżeni mówili na Kongresie Krakowskim, bo nic przeciw prawu nie mówili, a o to by ich wyborców zastraszyć i wygrać wybory, czyli ich aresztowanie stanowiło cześć akcji wyborczej.

Przemówienie oskarżonych były dla oskarżycieli tak druzgocące, że ów proces brzeski był w rzeczywistości publicznym oskarżeniem ówczesnego sanacyjnego rządu i tych, którzy z ramienia tego rządu wybory brzeskie organizowali. A jednak pomimo to sąd skazał oskarżonych na kare więzienia od lat 3 do półtora (W. Witos otrzymał półtora roku). Tylko poseł A. Sawicki (Str. Chłop) był uniewinniony. Dwóch sędziów głosowało za skazaniem, jeden przeciw zgłaszając swoje wotum

separatum sprawa ta na początku roku 1933 znalazła się w Sądzie Apelacyjnym. obrońcy zażądali wyłącznie jednego z sędziów, gdyż jego stronnictwo było w tej sprawie znane. Sąd wniosek obrońcy uchylił i wyrok Sądu Okręgowego ostatecznie zatwierdził.

Obrona zgłosiła kasacje do Sądu Najwyższego. Sąd Najwyższy 9 maja 1933 ze względów formalnych sądu apelacyjnego uchylił i polecił mu ponowne rozpatrzenie tej sprawy. Wobec tego Sąd apelacyjny rozszadził ją w inny składzie osobowym powtórnie i wyrok pierwszy Sądu Okręgowego zatwierdził. Wtedy większość więźniów a w tej liczbie W. Witos, W. Kiernik, K. Bagiński, wyjechała przez zieloną granicę do Czechosłowacji, a kilku pozostałych odsiadywało więzienie.

Ale wróćmy do Sejmu. Ponieważ wszyscy wiedzieli, że większość sejmowa powstała z wyborów zafałszowanych, to taki Sejm tracił w społeczeństwie powagę i był używany przez opozycję jako trybuna z której można było swobodnie przemawiać. Zaraz po wyborach 4 grudnia 1930 roku ustąpił ze stanowiska premiera Piłsudski, a jego miejsce zajął z powrotem Sławek. Innych poważnych zmian w rządzie nie było. Zaraz też Sejm mając sanacyjną większość zatwierdził owe przekroczenia budżetowe z lat poprzednich, a o które to przekroczenia b. minister Czechowicz był pod Trybunałem Stanu.

Gdy więc owe przekroczenia były zatwierdzone, automatycznie sprawa ta w Trybunale Stanu wygasła. Rząd Sławka złożył też w Sejmie projekt nowej konstytucji, ale się nie śpieszył z jego forsowaniem. Widocznie odkładał na koniec sejmowej kadencji. W końcu maja 1931 ustąpił Rząd Sławka. Stanowisko premiera objął Prystor, który zajmował to stanowisko dwa lata. Tym razem nastąpiły w rządzie zmiany, a mianowicie: ministrem spraw wewnętrznych został Pieracki, oświaty - Jędrzejowicz, rolnictwa Ludkiewicz, spraw zagranicznych - Bek. Dwie kolejne sesje budżetowe z roku 1931/32 i z roku 1932/33 przebiegły spokojnie, przy czym sanacyjna większość zawsze obdarzała prezydenta szerokimi pełnomocnictwami na te miesiące w których sejm nie obradował; było to przyzwyczajenie społeczeństwa do tego, że Sejm ma być przy prezydencie organem doradczym.

Siedmioletnia kadencja prezydenta Mościckiego wyczerpała się. Nastąpiły wybory. Opozycja, a więc i Stronnictwo Ludowe postanowiło je zbojkotować. Nie przybyła więc opozycja na Zgromadzenie Narodowe. W wyniku tego Ignacy Mościcki został ponownie wybrany. Jasna sprawa, że opozycja nie udała się też na zamek królewski i nie była na przysiędze prezydenta. Pamiętam, że w obozie sanacyjnym uczepliło to wrażenie przygnębienia. Pamiętam też, że i nasi wyborcy też mieli o tej sprawie zdanie mieszane: niektórzy mówili, że trzeba było być na Zgromadzeniu Narodowym postawić na prezydenta kandydata i na niego głosować.

W roku 1933 Hitler doszedł w Niemczech do władzy. Było jasne, że Niemcy będą wyciągać ręce o nasze ówczesne ziemie zachodnie. Górny Śląsk, woj. Poznańskie i pomorskie. W odpowiedzi na to były polepszone stosunki ze Związkiem Radzieckim; nawet znaczne zbliżenie. Jest ciekawe, że Roman Dmowski wódz endecji twierdził, że Hitler stosuje w Niemczech dyktaturę za słabą. Było z tego jasne że sejmowy klub endecki, aczkolwiek też należał do opozycji, nie był jednakże zgranym towarzyszem centrolewicowej opozycji w sejmie. Kto bowiem sympatyzuje z dyktaturą w Niemczech też nie może być sojusznikiem tych, którzy ją zwalczają w Polsce. Zwróciłem wtedy pilną uwagę na tą taktykę endecji i dostrzegłem, że była tam nieśmiała myśl pogodzenia się z obozem sanacyjnym kto bowiem pochwała dyktaturę w Niemczech też nie będzie jej zwalczał w Polsce.

W roku 1933 była uchwalona w Sejmie ustawa samorządowa. Zaraz też na podstawie tej ustawy nastąpiły wybory do rad gminnych, przy których wyborach starościńska biurokracja dokonała takich fałszerstw, że gminnicy patrzyli na to na to z najwyższym zdziwieniem i pluli z obrzydzenia, a chłopci w moim rodzinnym powiecie mówili: „A to mamy polską inteligencję urzędniczą! Przecież to łajdacy!” Ci na ówczesnego starostę jędrzejowskiego patrzyli jak na pospolitego gałgana. Z tego też powodu musiał powiat opuścić: przeholował w nikczemnej gorliwości i służalstwie.

Zaznaczam wreszcie, że w ustawie samorządzie terytorialnym obniżono prawa wyborcze obywateli, a mianowicie podniesiono cenzus wieku wyborczego: czynnego na lat 24, a biernego na lat 30. W tych latach Sejm większością głosów sanacyjnych uchwalił kilka ustaw, zmierzających do ograniczenia swobód obywatelskich jak na przykład: ustawa o zgromadzeniach, ustawa o stowarzyszeniach, ustawa ograniczająca autonomię uniwersytetów, ustawa o zawieszeniu niezależności sędziowskiej, ustawa pogarszająca zdobycze socjalne robotników itd. Wszystko to zmierzało do

skłócenia społeczeństwa i ustawienia go w takie dyby, by było bezsilne przeciw dyktaturze ówczesnej sanacyjnej biurokracji.

Tymczasem sprawy gospodarcze przedstawiały się marnie: był kryzys, t.j. zastój i bezrobocie a ceny na produkty rolne były tak niskie i nieopłacalne, że Stronnictwo Ludowe musiało się chwycić tak ostrego i niezwykłego środka jak strajk chłopski, t.j. zbojkotowanie przez chłopów jarmarków i powstrzymanie się od dostaw do miast żywności. Była to sprawa bardzo ciężka do przeprowadzenia. To też im mocniejsza była w powiecie organizacja Stronnictwa Ludowego, tym strajk wypadł lepiej. Powtarzam, ciężki to był wyczyn polityczny i gospodarczy, ale się na ogół udał.

Jasna sprawa, że i gdy robotnicy i nasi chłopci w swej walce sanacyjnym rządem chwycili się sposobu najostrożniejszego bo strajku, to w takiej chwili zdążyły się częste walki chłopów i robotników z policją. W walkach tych policja nie żałowała kul karabinowych. To też wielu chłopów i robotników padło, a ziemia polska w wielu miejscowościach krwią świata pracy nasiąkała. Wreszcie Sławek znowu wrócił na stanowisko i zaczął w Sejmie forsowanie projektu nowej konstytucji. Nikt mu nie przeszkadzał bo opozycja, idąc za inicjatywą klubu Stronnictwa Narodowego, zagrała w najgłośniejszą trąbę opozycyjną tj. zbojkotowała posiedzenia Komisji Konstytucyjnej; to też gotowy projekt nowej konstytucji został postawiony na porządku obrad Sejmu; i znowu opozycja, t.j. endecy i centrolew zbojkotowali to posiedzenie; to też klub BBWR, nie mając na Sali sejmowej przeciwników szybko uchwalił konstytucję.

Byłem wtedy w Sejmie w bibliotece, boć byłem przecież lojalny wobec postanowień klubu i na sale obrad nie poszedłem. Gdy posłowie BBWRu uchwaleniu konstytucji wychodzili z Sali sejmowej w kuluary, spotkałem się z nimi i wtedy zaczęli sobie ze mnie drwić, mówiąc: „takich głupców jak wasza opozycja - jeszcześmy nie widzieli!” Toć przecież gdybyście wszyscy byli na Sali i wzięli udział w głosowaniu, to my BBWR w stosunku do powiększonej izby głosujących, nie mielibyśmy kwalifikowanej większości do uchwalenia nowej konstytucji, brakuję nam kilku głosów. Gdyście na sale posiedzeń nie przyszedli i nie musieli swoich głosów przeciwko nam to nasz klub BBWR uchwalił nową konstytucję jednogłośnie.”

Byłem tam jak uderzony obuchem w głowę. Wróciłem do biblioteki, z ołówkiem w ręku, przeliczyłem głosy BBWRu i polskiej opozycji i aspiracji mniejszości narodowych, to wyszło, że sam BBWR istotnie nie miał tej wymaganej większości. „Endekom się nie dziwie, że zainicjowali tak ostrą opozycję. Im demokracja parlamentarna wcale nie była potrzebna, a nowa konstytucja, która odpychała świat pracy od rządów, była im w sam raz dana, a to że nie oni ją przeprowadzili tylko Sławek, mogło im to nie robić różnicy. Takie były moje myśli w bibliotece Sejmowej.

Co się tyczy prezesów klubów opozycyjnych, którzy wszak byli promotorami takiego podejścia to nie wiem, co odegrało rolę główną w ich niedorzecznej taktyce bojkotowej: czy niedopatrzenie, czy też strach przed Sławkiem, by w razie utracenia projektu konstytucji nie zaczął łamać im kości. Jak to już znacznie wcześniej z trybuny sejmowej groził. Gdym zapytał wtedy prezesa klubu ludowego Michała Roga odpowiedział krótko: „Popełniliśmy błąd!”. Działo się to w końcu kwietnia lub w pierwszych dniach maja 1935 roku.

Józef Piłsudski był już wtedy ciężko chory i dogorywał. Zdążył jeszcze przed śmiercią, jako minister spraw wojskowych podpisać egzemplarz nowo uchwalonej konstytucji, ale był już nie całkiem przytomny, bo w tym jego podpisie brak jednej litery. Widziałem pantograficzne zdjęcie tego egzemplarza konstytucji i dobrze pamiętam, iż w podpisie Piłsudskiego w środku tego podpisu jednej litery było brak, a sam podpis był wykonany tak niedołąźnie, iż było widać, że położył go człowiek bardzo ciężko chory. Wkrótce też Józef Piłsudski zmarł. Mówiono, że przyczyną śmierci był rak wątroby. Kto wie, czy przyczyną tych jego wywiadów prasowych przeciw posłom nie była choroba, która go kilka lat przed śmiercią żarła i pozbawiała równowagi nerwowej i umysłowej.

A sama konstytucja Sławkowa? Nie będę jej tu analizować. Każdy historyk znajdzie ją w „Dzienniku Ustaw” tych czasów. Gdym się jednak spokojnie zastanawiał nad treścią i sensem tej konstytucji i nowej ordynacji wyborczej, którą też wkrótce sejm uchwalił, doszedłem do przekonania, że konstytucja ta czyniła z prezydenta Polski wszechpotężnego dyktatora. A sposób wybierania tego prezydenta był taki, że następny prezydent po ustępującym, mógł być tylko ten, którego wskazał ustępujący. A jeżeli wskazał na siebie, to mógł to zawsze przeprowadzić, a jeżeli wskazałby swego przyjaciela to też mógł jego kandydaturę przeprowadzić, gdyż miał ku temu wszelkie możliwości. Krótko: Piłsudski uważając Polaków jako głupców, chciał w tej konstytucji w sposób zakonspirowany wprowadzić monarchię w osobie prezydenta dożywotniego, a

następcę dziedzicznego, ale nie w sposób fizyczny, lecz ideologiczny po ustępującym prezydencie mógł być wybrany tylko ten, kogo by ustępujący wskazał. Uważam to za dziedziczność ideową. To też w dniu uchwalenia nowej konstytucji skończyły się dzieje polskiego parlamentaryzmu Polski niepodległej okresu międzywojennego.

Czwarty Sejm rozwiązano w Końcu lata 1935 roku. Dwa następne Sejmy piąty i szósty, były już tylko posłusznymi narzędziami prezydenta i rządu. A teraz wracam do sprawy, jakie było współzycie ludowców w połączonym Stronnictwie Ludowym oraz do zagadnień jaki oddźwięk wsi wywołało to połączenie. Połączenie klubów przeprowadziło trzech posłów: ja, Michał Róg i Madejczyk. Co się tyczy połączenia stronnictw to dłuższy czas sprzeciwiał się temu M. Malinowski; trzeba było wymyślić dla niego honorowe stanowisko prezesa kongresu zjednoczonego stronnictwa, dopiero się zgodził. Śmieszne to, ale niestety prawdziwe. Grupa byłego Stronnictwa Chłopskiego nie miała wtedy żadnego czasopisma bo Gazeta Chłopska była rozbita przez sanacyjny dywersantów (Róžański, Sukiennik i inni). Stało więc przed nami zagadnienie: wznowić wydawanie „Gazety Chłopskiej”, czy też nie. Poszliśmy w kierunku finansów łatwiejszym tj. nie w kierunku wydawania „Gazety Chłopskiej przez kilkunastu posłów, lecz w kierunku wydawania naczelnego organu zjednoczonego organu ludowego - oczywiście przez wszystkich posłów połączonych, co dla nas z byłego Stron. Chłopskiego finansowo łatwiejsze.

Ku naszemu zdziwieniu, gdybyśmy ta sprawę postawili na Centralnym Komitecie, grupa piastowa i wyzwoleniowa wypowiedziały się przeciw, ale że Maciej Rotta był wtedy bez mandatu poselskiego i materialnie było mu bardzo ciężko, porozumieliśmy się z nim, że on będzie redaktorem (oczywiście płatnym) tego naczelnego organu, o ile grupa piastowa będzie za tym głosować. Podjął się więc Rataj namówić Piastów na wydawanie centralnego organu, i to zadanie wykonał. Gdy więc było wiadomo, że grupa Witosowa jest zaagitowana, po raz drugi postawiliśmy sprawę na Centr. Kom. wykonawczym sprawę centralnego organu. Tym razem Cent. Komitet uchwalił wydanie centralnego organu głosami Witosów i Stronnictwa Chłopskiego kontra grupy wyzwoleniowej. Ustalono też nazwę tego centralnego organu na „Zielony Sztandar”.

Stan. Traugutt, któremu nie podobała się współpraca z Władysławem Grabskim wywietrzała z głowy i który powoli wracał do ruchu ludowego, żartował, że i tego zjednoczenia nie radykalnego nic nie wyniknie, bo przecież zielone drzewa nie chcą się palić. Na to nie zwracaliśmy uwagi i „Zielony Sztandar” jako centralny organ zjednoczonego obozu ludowego zaczął wychodzić pod redakcją Mac. Rataja. Przekazaliśmy administracji nowego dziennika wszystkie adresy b. „Gazety Chłopskiej” (kilka tysięcy) i myśleliśmy, że witosowcy i wyzwolenicy uczynią to samo. Jakież było nasze zdziwienie i zasmucenie, gdy obie grupy swoich adresów nie dały i „Piasta” i „Wyzwolenie” nadal wydawały. W rzeczywistości więc „Zielony Sztandar” w takiej sytuacji czytali tylko członkowie b. Stronnictwa Chłopskiego, bo witosowcy nadal czytali „Piasta”, a wyzwolenicy „Wyzwolenie”. Można by więc takie zjawisko polityczne scharakteryzować słowami chłopskiego powiedzenia: „Pójdę do kościoła, bo muszę, ale ani gębą nie ruszę” (by się pomodlić).

Takie to było zjednoczenie! Kto by w to nie uwierzył to szperając po bibliotece znajdzie i „Zielony Sztandar” i „Piasta” i „Wyzwolenie” wychodzące jednocześnie. Ja zaś piszę o tym, by dać świadectwo prawdzie. A jakież to rezonans wywołało to zjednoczenie pośród mas chłopskich? Może wywołało ożywienie walki na wsi? Nic podobnego! Wywołało uspokojenie i pewnego rodzaju zastój. Widocznie chłopcy myśleli, że to zjednoczenie to nawet bez ich udziału wytworzy taką siłę, że oni mogą już siedzieć spokojnie i czekać, aż im zjednoczony obóz ludowy wszelkie dolegliwości usunie. Takie zachowanie się chłopów też było dla mnie niespodzianką. Połączenie stronnictw, jak wyżej już pisaliśmy, odbyło się 15. III 1932r. Lato więc tegoż roku użyliśmy na tworzenie połączonych zarządów SL na poziomie wojewódzkim i powiatowym.

Wracając jeszcze na chwile łączeniowego zebrania potrójnej Rady Naczelnej SLu, podaję do wiadomości, albo raczej przypominam, że na tym łączeniowym posiedzeniu potrójnej rady naczelnej postanowiono przejąć od Stron. Chłopskiego dla zjednoczonego obozu ludowego zieloną koniczynę czterolistną jako odznakę SLu oraz flagę partyjną koloru zielonego, co w obozie ludowym pozostało do dziś (1961r), jak również obyczaj święta chłopskiego Zielonego Święta. Kiedyśmy się już uporali z łączeniowym zjazdami powiatowymi i wojewódzkimi (zostałem prezesem SLu na województwo kieleckie), to na koniec roku tj. późną jesienią, wzięwszy urlop w Sejmie, poszedłem do więzienia przy ulicy Daniłowiczowskiej w Warszawie, by odsiedzieć oba wyroki, o których już pisałem powyżej. Gdym wyroki odsiedział, zawiozłem tam na swoje miejsce posła [...], który już tam po mnie swój wyrok odsiedział, trzeci zaś poseł Józef Mochniej odsiadywał swoją porcję więzienia we Wronkach.



Na początku lata 1932 roku wszyscy trzej byliśmy już wolni. Wkrótce potem odbył się pierwszy kongres zjednoczonego stronnictwa. Zwołał go i na nim przewodniczył M. Malinowski. Tu znowu spotkała nas gruba niespodzianka bo gdy poseł St. Wrona rozpoczął na tym kongresie jako kierownik działu organizacyjnego składać sprawozdanie ze swojej działalności organizacyjnej, - rzuciła się na niego z kijami grupa piastowców pod kierownictwem Krzeptowskiego z Kościelisk, by go pobić i zrzucić z trybuny. Niezawodnie byli oni przez kogoś z czołowych witosowców do tej akcji zorganizowani i wyznaczeni. Na szczęście poseł M. Róg z kilkunastoma wyzwolencami rzucił się na obronę posła Wrony odepchnął napadających piastów uniemożliwił posłowi Wronie złożenie niesprawozdania.

Tego kongresu już dobrze nie pamiętam, ale pamiętam, że Kongres ten wykonał swe zadanie, t.j powziął uchwałę o walce z sanacją oraz wybrał nowy Centralny Komitet Wykonawczy oraz ustalił skład osobowy Rady Naczelnej.. Po zakończeniu Kongresu, gdy trzeba było wybrać kierownika, a raczej prezesa Centralnego Komitetu Wykonawczego. Nastręczyło to duże trudności przy wyborze jego powtórny na prezesa CKWykonawczego SLu, chociaż to stanowisko było uzgodnione na osobie dr. Wrony. Z trudem i to nieznaczną większością udało się nam zainstalować go na tym stanowisku.

To, że obok „Zielonego Sztandaru” grupa witosowa wydawała „Piasta” a wyzwoleniowa - „Wyzwolenie” grubo nam się nie podobało, nam b. członkom b. stron. Chłop, którzy nie mieli żadnego organu frakcyjnego. Grubo się nam też nie podobało wymieniony powyżej napad na dr. Wrony, prezesa CKW-SLu Postanowiliśmy się na wszelki wypadek nieco zabezpieczyć, a przede wszystkim zrównać się z naszymi towarzyszami partyjnymi. W tym celu grupa poselska z byłego Stronnictwa Chłopskiego rozpoczęła wydawać na swój koszt tygodnik p.t. „Polska Ludowa”. Ja redagowałem przy pomocy Mieczysława Kopta, ówczesnego studenta UW, a obecnego profesora tejże uczelni. Rozpoczęliśmy w tym tygodniku dyskusje propagandową, która przybrała bardzo żywy i ciekawy charakter. Miedzy innymi sprawami przedyskutowaliśmy nawet sprawę spółdzielczego władania ziemią, czyli sprawę kolektywnej gospodarki rolnej, zwanej dziś spółdzielczością produkcyjną.

Tego rodzaju dyskusja wywołała żywe zainteresowanie w masach chłopskich. Lista prenumeratorów rosła i zaczęliśmy i zaczęliśmy już dochodzić z „Polską Ludową” do samowystarczalności, a przy tym wprowadziliśmy masy chłopskie i bierności i zastoju. Ale to się przecie nie podobało naszym najbliższym sąsiadom z tegoż samego SLu. To też zaczęli na posiedzeniach CKW atakować nas i żądać zamknięcia „Polski Ludowej”. Oświadczyliśmy, im że jeśli oni sami zamkną wydawnictwo „Piast” i „Wyzwolenie”, to my tegoż dnia zamknjemy „Polskę Ludową”, a jeśli oni nie zamkną, to i my też nie zamknjemy, bo chcemy mieć takie samo prawo jak oni i nie mniejsze. Walka o „Polskę Ludową” trwała więc kilka miesięcy i zatruwała atmosferę świeżo zjednoczonego SLu. Ale kto tu był winien? Czy my z b Stronnictwa Chłopskiego, że robiliśmy to, co i oni? Czy też oni, że zabraniali nam tego, co sami robili? Oczywiście oni, t.j grupa witosowa i wyzwoleniowa.

Największym naszym przeciwnikiem w grupie Witosowej był Mikołajczyk, a w grupie wyzwoleniowej - Sniola. Jan Dąbski w tym czasie był ciężko chory i wkrótce zmarł, a Witos był już na emigracji za granicą. Było też widać jak najwyraźniej, że grupy witosowa i wyzwoleniowa działają zgodnie. Ponieważ Kongres postanowił prowadzić ostrą walkę opozycyjną z Sanacją, to na wniosek Bagińskiego CKW Slu powziął uchwałę, by członkowie SLu wycofali się ze wszystkich organizacji gospodarczych, samorządowych i spółdzielczych w tym celu, by się z rządem nie stykali i by ta opozycyjna walka była skuteczniejsza.

Taka taktyka mogła by mieć uzasadnienie, ale tylko wtedy, gdyby SL zdecydował się na konspirację i walkę rewolucyjną; ale na taką taktykę współczesny SL nie był zdecydowany; a więc miał zamiar prowadzić walkę jawną, legalną, a do takiej walki usuwanie się od działalności gospodarczej nic nie pomaga, a przeciwnie - szkodzi. To też uchwała CKW SLu, jako przesadna- była szkodliwa. Podług tej uchwały ludowcy mieli się wycofać z Kółek Rolniczych, ze spółdzielni, z Wydziałów Powiatowych i rad gminnych, czyli zamiast te instrukcje zdobywać, - mieli z nich uciekać.

Oczywiście witosowcom i wyzwoleniowcom łatwo było w CKW -SL za takimi wnioskami głosować, bo oni przeważnie w życiu gospodarczym nie uczestniczyli; ale dla b. Stronnictwa Chłopskiego,, które i w organizacjach rolniczych i samorządowych, spółdzielczych głęboko tkwiło, taka uchwała była niezrozumiała. Krótko: czy było rozumne żądać, by chłopci wycofali się z kółek rolniczych w tym celu, by zaostriżyć walkę z rządem i sanacją? Było to prawie równoznaczne, gdybyśmy walczącym doradzali, by przestali jeść, to ich walka opozycyjna będzie skuteczniejsza. To też wielu chłopów i

działaczy gospodarczych ustąpiło z szeregów SL, a pozostało w organizacjach gospodarczych. Piszę to dlatego, bo przy tej sprawie powstał poważny zatarg pomiędzy członkami b. Stronnictwa Chłopskiego, a witosowcami i wyzwolencami.

Ale szczytem taktyki bojkotowej było zbojkotowanie wyborów prezydenta. Gdy bowiem profesor Mościcki dokończył swej siedmioletniej kadencji na stanowisku prezydenta R.P, trzeba było przeprowadzić wybory. Znowu pośród całej opozycji powstał projekt zbojkotowania tych wyborów. To też gdy się zebrał Sejm i Senat, by dokonać wyboru prezydenta, cała opozycja nie przybyła na to wspólne posiedzenie obu izb prawodawczych. To wywołało w całym kraju zdziwienie. Bo niestawienie się na Zgromadzeniu Narodowym, które wybiera prezydenta, miałoby sens wtedy, gdyby po takim fakcie posłowie i senatowi bojkotujący wybory - złożyli mandaty i ustąpili z Sejmu. Ale tkwić w Sejmie i jednocześnie bojkotować jego ważne polityczne uprawnienia - to jest akcja nierozumiana i poważna. To też bym bojkot wyborów prezydenta - nie przysporzył opozycji ani chwały ani powagi. Moim zdaniem trzeba było na Zgromadzenie Narodowe iść, postawić swojego kandydata, uzgodnionego przez opozycje, i na niego głosować. Takiego byłem zdania, ale niestety większość klubu uchwaliła bojkot i trzeba się było do tego lojalnie dostosować.

Następnym ważnym wydarzeniem w życiu zjednoczonego SLu było posiedzenie Rady Naczelnej stronnictwa. O ile mnie pamięć nie myli, było to w lecie 1934r. Ponieważ Witos był za granicą (w Czechosłowacji), przeto ja, jako wiceprezes otwarłem posiedzenie rady i na nim przewodniczyłem. Zaraz na początku posiedzenia Rady przedstawiciele piastowców i wyzwolenców postawili dwa wnioski: jeden, by zamknąć „Polskę Ludową” i drugi by poseł dr Wrona ustąpił z prezesury CK Wykonawczego SL. Nad tymi wnioskami wzniosła się dyskusja, która trwała prawie do wieczoru, t.j. cały dzień. Było widoczne, że obie grupy - piastowa i wyzwoleniowa działają w porozumieniu. W dyskusji mniej mówiono o „Polsce Ludowej”, a więcej o dr Wronie

. Przedstawiciele piastowców i wyzwolenców żądali zamknięcia „Polski Ludowej” i ustąpienia dr Wrony ze stanowiska prezesa C. Kom. Wyk. SLu, twierdząc, że działa on na szkodę stronnictwa. Mówcy zaś z b. Stron. Chłopskiego twierdzili, że gdy się żąda zamknięcia „Polski Ludowej”, to należy zamknąć „Piasta” i „Wyzwolenie”, a gdy zaś dwie grupy wydają: jedna - „Piasta”. Druga „Wyzwolenie” to trzecia grupa b. Stronnictwa Chłopskiego również ma prawo wydawać „Polskę Ludową”. Co się zaś tyczy dr. Wrony - jego obrońcy ze Stroni. Chłop. Żądali ujawnienia, co dr. Wrona zrobił takiego, co jego przeciwnicy uważają za szkodliwe.

Ogółem przemawiało w tej sprawie przynajmniej ze trzydziestu przeciwników dr. Wrony, ale żaden nie wymienił i nie ujawniał, co mianowicie uczynił dr. Wrona szkodliwego dla sprawy ludowej lub dla S. Lud. Niektórzy tylko napominali, że próbował zorganizować w C. Komitecie Wykonawczym SLu większość, jakby zabiegi o zorganizowanie większości i sprawniejsze działanie dawnego kolegium było działalnością szkodliwą.

Po długiej dyskusji wieczorem zapadła uchwała, twierdząca, że dr. Wrona jako prezes CKW - SL działał na szkodę stronnictwa i że winien opuścić to stronnictwo, oraz że „Polska Ludowa” powinna być zamknięta; natomiast Rada Naczelna nie nakazała zamknięcia „piasta” i „Wyzwolenia”. Każda z łączeniowych grup ludowych miała w Radzie Naczelnej 1/3 części personalnego składu Rady. Za powyżej wymienionymi uchwałami głosowali piastowcy i wyzwolenci, jasne jest więc, że zabronili grupie chłopskiej wydawać „Polskę Ludową”, ale nie zabronili sobie wydawać pism grupowych. Co się tyczy dr. Wrony, to ten podług mojego zdania powinien był ustąpić z prezesury CK Wyk, a pozostać w tym Komitecie jako członek. Tymczasem on ustąpił ze Stronnictwa i ogłosił, że występuję dlatego, że stosunki w tym stronnictwie są niezdrowe, a powróci, gdy ulegną poprawie.

Oczywiście na miejsce dr. Wrony wszedł do CK Wyk inny przedstawiciel b. Stron. Chłop., zdaje się Czernicki. Na prezesa zaś CK Wyk. Obie dogodne między sobą grupy tj. piastowa i wyzwoleniowa, wybrały Mikołajczyka. Odtąd zaczęła się w SLu dyktatura Mikołajczyka. Co się zaś tyczy „Polski Ludowej”, to kilkunastoosobowa grupa poselska b. Stronnictwa Chłopskiego zamknęła wydawnictwo tego tygodnika. Możliwe, że obie zgrane grupy może liczyły na to, że grupa chłopska za przykładem dr. Wrony też opuści SL i że w ten sposób będą mogły ją łatwo zniszczyć. Ale grupa chłopska lojalnie uchwałę większości Rady Naczelnej i dała tym jasny dowód, że wydając „Polskę Ludową” - nie miała celów separatystycznych.

Gdy się po uchwałach Rady Naczelnej zapytał posła Wrony, dlaczego obie grupy łączeniowe tak go prześladowają i niszczą, odpowiedział: „Bardzo to prosta sprawa. Obie te grupy, które tak mnie prześladowają, zwołały tajny sojusz z Chrześcijańską

Demokracją i Paderewskim, że tworzą tj. „Front w Morges”. Jestem zdania - mówił dr. Wrona - że Chrześcijańska Demokracja działa tu w tajnym porozumieniu z endekami i że ten front w Morges to nic innego jak tylko wstęp do - wciągnięcia całego obozu ludowego w objęcia endeków, czyli coś w rodzaju mocno rozszerzonego dawnego chyjenopiatsa. To też, gdy się do mnie - mówił Wrona - zgłosił z ramienia Paderewskiego - jego pełnomocnik Strakacz, by się ze mną porozumieć: jak ma być front w Morges w obozie ludowym zorganizowany, odpowiedziałem, że jako Prezes CK Wyk, jestem przeciwny takiemu łączeniu ruchu ludowego z prawicą.”

Ta opinia dr. Wrony o froncie w Morges była w zupełnej zgodności z poglądami politycznymi wszystkich posłów z byłego Stron. Chłop. Front Centrolewu bardzo chętnie byśmy tworzyli, ale frontu w Morges, jako wstępu do bloku centro - prawicowego, nie mogliśmy akceptować. Dopiero po takim wyjaśnieniu, zrozumieliśmy, że obie grupy ludowe usuwają przeciwnika frontu w Morges po to, by na to stanowisko powołać Mikołajczyka, zdecydowanego zwolennika wszelkich kombinacji politycznych centro - prawicowych.

W maju 1935r. było w Sejmie głosowanie nad projektem Sławkowej Konstytucji. O bojkotowanie posiedzenia Sejmu podczas głosowania nad tą sprawą i uniemożliwieniu uchwalenia tego projektu - już pisałem powyżej. Teraz tylko dodam, że wszyscy pilnie śledzili, jak się zachowa bezpartyjny ludowiec dr. Wrona. Wielu jego przeciwników myślało, że dr. Wrona będzie głosował razem z sanacją i tym niejako usprawiedliwi paszkwile i oszczerstwa, które na niego rzucali na Radzie Naczelnej. Ale spotkał ich zawód, gdy zachował się i głosował tak, jakby należał do klubu SLu.

Po uchwaleniu Konstytucji Sławkowej uchwalono też i sanacyjną ordynację wyborczą, tym bardziej, że do tego potrzeba było tylko zwykłej większości głosów. Wedle tej ordynacji - wyborcy mieli głosować nie na listy kandydatów oznaczone numerami, a na osoby, a kandydatów na posłów miały stawiać nie stronnictwa, a ustawowo określone kolegia wyborcze. Ordynacja do Senatu była podobna do ordynacji wyborczej do Sejmu, z małymi różnicami. Znowu zwolennicy bojkotu wysunęli na Centr. Kom. Wyk. wnioski, by opozycja w ogóle zbojkotowała wybory. Ja i moi przyjaciele polityczni, t.j. posłowie ludowi z b. Stron. Chłop. Byliśmy zdania, że w tej sprawie należy dać działaczom ludowym wolną rękę, t. znaczy, że jeśli kogoś kolegium wyborcze postawi jako kandydata do Sejmu, to ma wolną rękę kandydować lub nie, a jeśli będzie wybrany, to może do Sejmu wejść, oczywiście jako poseł ludowy. Członkowie zaś Cent. Kom. Wyk. Piastowego i wyzwoleniowego byli za bezwzględny bojkotem. Postanowiono wreszcie przekazać tą sprawę do zdecydowania najbliższemu Kongresowi SLu.

Tymczasem kadencja Sejmu dobiegała końca. Został on wreszcie rozwiązany. Przestaliśmy posłować. Było o na początku roku 1935. Jasna sprawa, że po usunięciu dr. Wrony ze stanowiska prezesa CK Wyk SLu za to, że sprzeciwiał się frontowi w Morges i po objęciu tego stanowiska przez Mikołajczaka - SL był już rękami i nogami we froncie Morges. To też Mikołajczyk, jako prezes CKW- SL i szef organizacyjny, tak organizował ten drugi Kongres SLu, żeby sprawa uczestnictwa SL na froncie w Morges była zapewniona. Zrobił to bardzo prosto: przywiózł z Małopolski tytuł delegatów piastowego oblicza, ilu chciał, i zorganizował nocną straż, która wielu czołowych działaczy byłego Stronnictwa Chłopskiego jako zwolenników koncepcji Centrolewu z przeciwników frontu w Morges w ogóle na sale Kongresową nie wpuściła. Tylko Adolf Sawicki, były poseł grupy Stron. Chłopskiego, brał udział w obradach Kongresu, bo wszedł na sale obrad jeszcze przed rozstawieniem straży, nawet się zapisał do głosu, ale mu piastowcy nie pozwolili mówić.

W takim stanie przy zupełnym braku opozycji Kongresu uchwalił zupełny bojkot wyborów, co miało obowiązywać i kandydatów na posłów i wyborców. Po takim przebiegu Kongresu czołowi działacze b. Stronnictwa Chłopskiego zebrali się, by się naradzić nad wytworzoną sytuacją. Sprawa bowiem wyglądała tak: SL schodziło z drogi jawnej i legalnej działalności na drogę rewolucyjną, nie mając do tego żadnego przygotowania. Gdyby tą walkę rewolucyjną SL chciało prowadzić w orbicie centrolewu, a więc w przyjaźni z obozem robotniczym, nie mielibyśmy nic przeciw temu, ale robienie rewolucji we froncie w Morges, bez obozu robotniczego, po to, by po zwycięstwie takiej rewolucji, zresztą bardzo, a bardzo wątpliwym zapanował zepsuł centro - prawicowy, czyli dawno chyjeno - piast, to taki wyczyn uważalibyśmy dla siebie nie do przyjęcia.

Nawoływać chłopów do walki rewolucyjnej pod kierownictwem Mikołajczyka po to, by po wątpliwym zwycięstwie zapanowała piastowo - endecka dyktatura - nie mogliśmy się podjąć, ani się z taką polityką solidaryzować. Uważaliśmy, że napędzilibyśmy chłopów w matnię, gdybyśmy taką politykę Mikołajczyka akceptowali. Przy tejże sposobności zaznaczam, że zupełnie odmienną linię postępowania miał Zw. Mł. Wiejskiej „Wici”, którzy też zaostrzyli swą walkę z

sanacją w kierunku rewolucyjnym, ale czynił to w poufnym porozumieniu z obozem robotniczym. Niby taktyka była podobna do SLu, ale cele były zupełnie inne.

Po kilkudniowym namyśle opuściliśmy szeregi SL, bo i tak już Mikołajczyk zepchnął nas poza margines tego ówczesnego Stron. Ludow. Wyszło nas około dziesięciu. Motywację pisemną naszego kroku przesłaliśmy i Mikołajczykowi i wyzwolencom: - nie została wydrukowana. Żadnej akcji, by z nami wychodzili z SLu także chłopci - nie robiliśmy.

Po jakimś miesiącu najniespodziewaniej ku naszemu z dziwieniu wyszli z SLu także i czołowi przywódcy wyzwolenców, jak na przyk. M. Malinowski, M. Rog, Bł. Stolarski i inni - łącznie z tygodnikiem „Wyzwolenie”. Natomiast z czołowym działaczem B. Stron. Chłopskiego pozostał Andrzej Czapski, a z PSL-Wyzwolenia - Irena Kosakowska, AL. Bogusławski. Grupa wyzwoleniowa, która wyszła z SLu wydrukowała w Wyzwoleniu swoją deklarację wyjściową umieszczając pod nią swoje nazwiska i nasze. Nie mogliśmy przeciw temu protestować, gdyż nie mieliśmy żadnej prasy.

A teraz zastanówmy się nad tym, dlaczego sklecona z takim trudem jedność ludowa nie utrzymała się? Nie ulega żadnej wątpliwości, iż dlatego, że sprawa tej jedności nie dojrzała w umysłach wszystkich trzech grup łączeniowych i że ci przywódcy nie mogli się wyzbyć przyzwyczajęń, które nabyli przed połączeniem. A jeżeli tak było, to dlaczego doszło do połączenia? Do połączenia doszło dlatego, że chłopci żądali tego połączenia, a kto się temu sprzeciwił tracił u nich zaufanie. Drugą przyczyną, że doszło do połączenia była potrzeba walki z sanacją. Dopiero w tej walce i przy szukaniu sprzymierzeńców do tej walki - zaszło znowu to samo rozdzielenie, które było przed przełączeniem, bo jedni usiłowali prowadzić tą walkę we froncie Morges, a drudzy w postaci centrolewu.

Dużo się przyczyniła do rozbicia również niechęć, a może również zamaskowana nienawiść ze strony dwóch grup, które się łączyć nie chciały, do tej grupy, która usilnie do tego łączenia parła t. j. do grupy b. Stronictwa Chłopskiego. Ale była jeszcze jedna przyczyna nienawiści do Stronictwa Chłopskiego; przyczyna jasna: toć przecie składało się ono z tych, co wyszli z PSL „Wyzwolenia” i z tych, co wyszli z grupy Piasta. Hasło zjednoczenia rzucił w tłumy chłopskie i rozdmuchał Jan Dębski, a podjął je, walczył o nie i doprowadził do skutku niżej podpisany autor pamiętników niniejszych. Poseł zaś St. Wrona zjednoczenie stronictwa zmontował, a dużo się przyczynił do rozbicia tej jedności St. Mikołajczyk i jego najbliżsi przyjaciele, stanowiący skrajnie prawe skrzydło w grupie Piasta. Krótko: jedno chcieli centro prawu, a drudzy centrolewu; razem się połączyli, ale poglądów wcale się nie pozbyli. To też nie mogąc uzgodnić swych poglądów, zaczęli się rozchodzić.

A teraz pytanie: czy wyjście czołowych przedstawicieli b. Stronni. Chłopskiego z SLw roku 1935 było konieczne i czy można było w inny sposób oddalić się od centro-prawicowej polityki Mikołajczaka? Ponieważ piszę pamiętniki i te sprawy rozpamiętuje spokojnie, więc też na podstawie wyników rozważań oświadczam, że nasze wyjście w roku 1935 było czynnością przejawioną oczywiście pod wpływem zdenerwowania. Wystarczyło, by dr. Wrona ustąpił z prezesury CKW-SLu i pozostał jako członek tegoż CKW po uchwale Rady Naczelnej. Wystarczyło, też by po Kongresie z roku 1935 grupa chłopska oświadczyła, że wycofuje się z czynnego życia politycznego (a nie z szeregów SL). Takie oświadczenie było lepsze, niż wyjście z SLu, które dawało pretekst do rzucania plotek i oszczerstw, że wyszli z SLu, a poszli do sanacji, co akurat nie odpowiadało prawdzie.

Dotychczas pisałem o swojej działalności politycznej jako poseł do czterech kolejnych sejmów w Polsce okresu międzywojennego. Obecnie choć krótko napiszę o swojej działalności społecznej poza sejmem. Od początku sejmowania, aż do wybuchu drugiej wojny byłem członkiem Zarządu Głównego Centralnego Związku Kółek Rolniczych w Warszawie, aż po unifikację CZKRu z CTOiK. byłem członkiem Rady Głównej CTOiK. Byłem z osiem lat członkiem zarządu Wojewódzkiego Związku Kółek Rolniczych w Kielcach i trzy lata wiceprezesem Wojewódzkiego Towarzystwa Organizacji i Kółek Rolniczych również w Kielcach. Od 1920 roku do 1935 roku byłem sekretarzem lub wiceprezesem Powiatowego Związku Kółek Rolniczych w Jędrzejowie.

Oprócz tego od roku 1920 do 1935 roku byłem stale członkiem Sejmiku Powiatowego i Wydziału Powiatowego i interesowałem się w Sejmiku sprawami rolniczymi i drogowymi. W okresie czasu od 1927 do 1930 byłem trzy lata byłem członkiem Wydziału Wojewódzkiego w Kielcach, a w latach 1930 do 1933 byłem trzy lata prezesem Powiatowej Kasy Komunalnej w Jędrzejowie. Niezależnie od tego w latach 1930 - 1935 założyłem w powiecie powiatową spółdzielnię zbytu

inwentarza żywego, która później przekształciła się na Powiatową Spółdzielnię Rolniczo - Handlową, a obecnie nazywa się Pow. Zw. Gm. Spółdzielni Samo. Chłop. (PZGS) w Jędrzejowie.

Niezależnie od tego często organizowałem wiece poselskiego w okręgu kieleckim lub innym. Cała ta praca polityczna i społeczna została zakończona w Końcu lata 1935 roku, kiedy Sejm został rozwiązany, a nie było żadnych widoków, by przy nowej Sławkowej Konstytucji i Ordynacji Wyborczej można było w ogóle kandydować.



## Część VI

# Ostatnie lata sanacyjnej dyktatury, druga wojna światowa, moja działalność w Polsce Ludowej

Skończywszy swą działalność parlamentarną od 1 września 1935r. przeszedłem do Związku Rewizyjnego Samorządu Terytorialnego w Warszawie na stanowisko inspektora. Zadaniem moim w tym związku była kontrola działalności sejmików powiatowych, wydziałów powiatowych oraz zarządów wiejskich miast wydzielonych, tj. miast powyżej 20 tysięcy ludności.

W Sejmie cały czas posłowania byłem członkiem Komisji Administracyjnej, a w powiecie w ciągu piętnastu lat byłem członkiem Wydziału Powiatowego w Jędrzejowie, a jednocześnie w tymże czasie w przeciągu trzech lat również i członkiem Wydziału Wojewódzkiego w Kielcach. Jako więc dobry znawca samorządu powiatowego, już od 1 października 1935r. zacząłem jeździć na lustracje działów powiatowych; był w tym związku zwyczaj, że inspektorzy wyjeżdżali do powiatów grupami po dwóch. Ja też razem z inspektorem Wasikiem lub Mitką wyjeżdżałem do Czortkowa, Buczacza, Borszczowa i Zaleszczyk w Małopolsce Wschodniej, a później do różnych powiatów w województwie poleskim. Po pewnym czasieostałem przydzielony do pracy na miejscu w Warszawie w charakterze generalnego inspektora.

Praca moja polegała na tym, że czytałem i posprawdzałem protokoły lustracyjne wszystkich inspektorów. Dopiero po mojej akceptacji protokoły te były przepisywane na maszynie, podpisywane przez Prezesa Związku i wysyłane do Min. Spraw. Wew. I do Wydziałów Powiatowych lub Zarządów Miejskich w całej Polsce. Po pewnym czasie z tych protokołów lustracyjnych wiedziałem o wszystkim, co się działo w samorządzie powiatowym i miejskim w całej Polsce. Oczywiście od godziny trzeciej do południa byłem wolny od pracy zarobkowej.

Postanowiłem zakończyć swoje już dawno rozpoczęte wykształcenie humanistyczne. Już w drugim roku mojej pracy parlamentarnej zapisałem się jako student na Wydział Humanistyczny Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie. Egzaminu uzupełniające z łaciny i języka niemieckiego zdałem. Senat tej wszechnicy uznał mój dyplom nauczycielski wraz z egzaminami uzupełniającymi za wystarczające; zostałem więc rzeczywistym studentem tej wszechnicy; zamiast ośmiu - przesłuchałem dwanaście semestrów) i zdałem wszystkie wymagane egzaminy; ze szczególnym zamiłowaniem studiowałem językoznawstwo słowiańskie, historie kultury ludowej; religioznawstwo, etnologie, historie polski oraz historie literatury polskiej. Studia rozpocząłem w 1921 roku a zakończyłem na początku lata 1934 roku. Złożyłem więc egzamin dyplomowy i otrzymałem dyplom ukończenia tych studiów, dający mi prawo nauczania języka polskiego i historii Polski w szkołach średnich. W ten sposób zrealizowałem swoje marzenie o zdobyciu wykształcenia wyższego.

Co się tyczy mojej pracy inspekcyjnej na Polesiu, to było to wtedy, gdy tam panował jako wojewoda Kostek Biernacki, organizator Barczy. Był on zdecydowanym zwolennikiem dyktatury opartej na policji, starostach i wójtach. Wprowadził on nawet na Polesiu taką organizację rolników, która się opierała na starostach; stworzył on też gminne magazyny zbożowe, do których chłopci musieli zwozić ziarno zbożowe na przechowanie, skąd je dopiero nabywał Pań. Zak. Zbożowe, z czego wynikało, że handel zbożem mają prowadzić wójci i urzędnicy państwowi. Ta starościńska organizacja rolnicza miała tam licznych przeciwników, którzy czynili starania, by Ministerstwo Sprawy Wewnętrznych ją rozwiązało, i by ludność tamtejsza zorganizowała spółdzielnie rolniczo - handlową.

Jako członek Rady Głównej CTDiKR, a zarazem inspektor samorządowy Zw. Rewiz. Sam. Terytorialnego, udałem się z polecenia tego związku na Polesie w celu zbadania działalności tamtejszej starościńskiej organizacji rolniczej. Po dwutygodniowym badaniu tych spraw tam na miejscu w powiatach i gminach, złożyłem sprawozdanie umotywowanym wnioskiem, by rozwiązać biurokratyczną organizację rolniczą, pozwolić rolnikom, by sami sobie zorganizowali powiatowe związki Kółek Rolniczych oraz powiatowe spółdzielnie Rolniczo - handlowe i prowadzili w nich samodzielnie działalność społeczną i gospodarczą. Min. Spraw. Wewnętrznych uznało mój wniosek za słuszny i rozwiązało starościńska i wojewódzka organizację rolniczą na Polesiu, pozostawiając tamtejszym rolnikom niczym nieskrępowaną swobodę

zakładania społecznych organizacji rolniczych. Pieklił się bardzo Kostek Biernacki na taki liberalny wniosek Zw. Rea. Samorządu Terytorialnego, ale nawet nie dowiedział się kto był autorem tego wniosku.

Teraz wróćmy do spraw politycznych. Zaraz po rozwiązaniu Sejmu czwartego, co nastąpiło w końcu lata 1935r., zostały przeprowadzone zgodnie ze Sławkową Konstytucją i takąż ordynacją wyborczą - wybory do piątego Sejmu i czwartego Senatu. Zainteresowanie wyborami było bardzo małe, bo hasła bojkotu wyborów miały powodzenie. Liczba głosujących w całej Polsce wyniosła w przybliżeniu połowę zapisanych wyborców. Wkrótce po wyborach zebrał się nowy Sejm i Senat. Nie było w tych izbach parlamentarnych opozycji; Sejm i Senat zawsze uchwałyły to, czego sobie życzył rząd i przeto ten dwuizbowy Sławkowy parlament stał się rządowym organem doradczym,, organem pomocniczym.

Przetrwiał on dwa i pół lata został rozwiązany przed terminem. Przyczyna rozwiązania była następująca. Premierem był wtedy Sławek. Dobrał on sobie Sejm i Senat przyboczny i przygotował się do objęcia stanowiska prezydenta RP. W tym celu zwrócił się do prezydenta Mościckiego z żądaniem, by ten ustąpił ze stanowiska prezydenta, gdyż jest nowa Konstytucja i należy podług tej nowej Konstytucji przeprowadzić wybory nowego prezydenta. Mościcki, idąc za radą Rydza Śmigłego, odpowiedział odmownie, motywując to tym, iż nowa Konstytucja wcale nie żąda, by urzędujący prezydent zaraz po jej uchwaleniu miał ustępować i że wobec tego on pozostaje jako prezydent na tym stanowisku, aż do zakończenia kadencji, tj. do roku 1940. Oczywiście, że prezydent Mościcki i jego otoczenie zapalali do premiera Sławka dużą niechęcią za tak nieskromną jego propozycje odnośnie jego ustalenia ze stanowiska głowy państwa; nato Rydz - Śmigły za swoją doradę nieustępowania zaskarbił sobie u prezydenta Mościckiego jak najdalej idącą sympatię.

W takim stanie rzeczy Sławek podał się do dymisji. Prezydent uwolnił go ze stanowiska premiera, a na jego miejsce wyznaczył, o ile pamięć mnie nie myli - Sławoja Składkowskiego, który akurat wtedy przeniósł się z grupy Sławka do zespołu prezydenckiego. Ale Sławek, choć przestał już być premierem, miał po swojej stronie klub sejmowy i senacki BBWR t.z. cały Sejm i Senat oraz organizacje bebeerowców w całym kraju. Jakich sposobów użył wtedy prezydent Mościcki do Sławka nie wiemy, ale wiemy, że partia monopolowa, t.j. Bez. Blo. Współpracy z Rządem został politycznie zniszczony.

Kiedy BBWR został rozwiązany i zdawało się, że w Polsce powieje trochę liberalizmu, Henryk Wyrzykowski i ja zorganizowaliśmy w Warszawie jednodniowy zjazd czołowych działaczy b. Stronnictwa Chłopskiego. Przybyło przeszło stu działaczy za zaproszeniami. Zjazd po krótkiej naradzie postanowił wznowić działalność Stronnictwa Chłopskiego i wybrał komitet organizacyjny. Sławoj Składkowski na zjazd chętnie pozwolił, ale dowiedziawszy żeśmy, postanowili wznowić działalność Stronnictwa Chłopskiego i wybrali komitet Organizacyjny, zażądał byśmy na razie nie prowadzili żadnej działalności organizacyjnej i czekali. Musieliśmy się do tego dostosować. Więc czekaliśmy.

A co robiła grupa „Wyzwoleniowa”, która wkrótce po nas w roku 1935 też od Mikołajczykowskiego PSLu odeszła? Grupa ta zaraz zadeklarowała się za rządem i odpowiednio do tego redagowała „Wyzwolenie”, a Maksymilian Malinowski najczołowszy i najprzedniejszy wódz tej grupy otrzymał mandat senatorski z nominacji prezydenta w senacie czysto bebeeruwowsko - sławkowym senacie, a niektórzy zaś wyzwoleńcy znaleźli się jako posłowie przy tym sejmie bebeeruwowym, wybranym w końcu roku 1935.

Teraz zaś po usunięciu Sławka z premierostwa i rozwiązaniu BBWRu i czekała, co dalej będzie. Czekanie nie było długie. Wkrótce bowiem Prezydent i Rydz Śmigły powołali pułkownika Adama Koca na stanowisko organizatora i szefa nowego stronnictwa rządowo - sanacyjnego. Zaś Adam Koc ogłosił, że będzie tworzył Obóz Zjednoczenia Narodowego (OZN), to jest organizacje totalistyczną, na zasadach solidaryzmu społecznego.

Przyglądając się poczynaniom organizacyjnym i personalnemu składowi tego ozonu, doszliśmy obaj z Wyrzykowskim do przekonania, że ten OZN toć kubek w kubek BBWR, tylko bez zagorzałych wielbicieli Sławka i oczywiście zależny ma być nie od Sławka, a od Śmigłego. Czyli nie kijem go, tylko pałką. Poszedł więc H. Wyrzykowski, aż do pułkownika Adama Koca, by ustalić, jaki ma być stosunek wzmacniającego swa działalność Stronnictwa Chłopskiego do tego OZNU. Oświadczone mu, że Stronnictwo Chłopskie powinno w całości włączyć się do OZNU. Otrzymałszy taką odpowiedz, rozwiązaliśmy ów komitet organizacyjny Stronnictwa Chłopskiego i zaniechali wszelkiej działalności politycznej.

A co uczynili wyzwoleńcy? Cała ich grupa z Malinowskim i Stalawskim wstąpiła do OZON razem z tygodnikiem „Wyzwolenie”. Przy tej sposobności muszę wyjaśnić postawę Hen. Wyrzykowskiego. Już w tym czasie, gdy grupa

wyzwoleniowa łącznie z grupą z grupą piastową zwalczały grupę chłopską za wydawanie „Polski Ludowej”, Henryk Wyrzykowski uważał akcje tą za niesłuszną i wyraźnie sympatyzował z grupą Stron. Chłopskiego zaraz po rozwiązaniu Sejmu i Senatu w roku 1935 - Hen. Wyrzykowski otrzymał poważne stanowisko w Banku Polsko - Francuskim.

Bank ten sprzedawał broń, fabrykowana w Polsce, ówczesnemu rządowi lewicowemu hiszpańskiemu. Mówił mi Wyrzykowski, że bank też zawarł tajną umowę z przedstawicielem gen Franco tej treści, że jeżeli transport broni, adresowany do lewicowego rządu madryckiego, wpadnie w ręce generała Francom który dowodził powstaniem przeciw temu rządowi, to za taki transport płaci generał Franco. Czyli Bank Polsko - Francuski na tym handlu bronią dobrze zarabiał, a nie mógł mieć żadnej straty. Stąd też wynikało, że i pozycja finansowa Wyrzykowskiego była mocna. On też sfinansował ów nagły zjazd czołowych działaczy b. Stronnictwa Chłopskiego, a Komitet Organizacyjny mieścił się w jego mieszkaniu przy ulicy Wareckiej. Ja byłem prezesem tego komitetu, a on sekretarzem.

Czyli jak widzimy Hen. Wyrzykowski w tym czasie przeszedł z grupą wyzwoleniową do grupy chłopskiej. Gdy wiec organizacja OZNU była już w całym kraju wybudowana, a składała się w dużej większości z członków byłego BBWRu, nastąpiło nagłe rozwiązanie Sławkowego Sejmu i Senatu. Otóż ci trzej moi przyjaciele mimo swej woli uczynili mi duży kłopot, bo na kolegium wyborczym w Jędrzejowie przeprowadzili pomiędzy delegatami Rad Gminnych i delegatami Kółek Rolniczych odpowiednią agitację, i wbrew woli przewodniczącego tego kolegium przeforsowali moją kandydaturę do Sejmu jako dziką, gdyż obok tego przeszły jeszcze dwie kandydatury do Sejmu postanowione postawione przez OZN.

Otrzymałem nawet dość dużą większość głosów na kolegium wyborczym, znacznie większą niż wymagała ordynacja wyborcza. Z tymi wynikami przybył do mnie Ignacy Majecki, do Warszawy. Ponieważ Związek rewizyjny, w którym pracowałem, podlegał zwierzchnictwu wiceministra Korsaka, poszedłem więc z tą sprawą do niego, z zapytaniem co mam zrobić z tym kandydowaniem, przyjąć czy nie. Wiceminister Korsak nakazał mi kandydaturę przyjąć i wyraził się przy tym: „Nie podoba mi się Sejm jednopartyjny. Nie będzie nic złego, a przeciwnie - dobrze, jeżeli w tym Sejmie będzie choć kilku posłów bezpartyjnych”. Wobec tego dałem Ignacemu Majeckiemu pisemną zgodę na kandydowanie.

Otrzymałem też ze Zw. Rewizyjnego Sam. Terytorialnego urlop na dwa tygodnie. Udałem się więc do okręgu wyborczego. W powiatach jędrzejowskim, pińczowskim i miechowskim wszyscy chłopi mnie znali, nie potrzebowałem robić agitacji [...]. Wydrukowałem więc swoim kosztem w Jędrzejowie gdzie w drukarence Mortkowicza kilka tysięcy swojej odezwy, wyjaśniającej chłopom swoje stanowisko i takową rozpowszechniłem we wszystkich trzech powiatach okręgu wyborczego; zeszło mi na to z 10 dni, po czym powróciłem do Warszawy. Zdążyłem tylko zauważyć, że ówczesny wojewoda kielecki, a w ślad za tym i policja, mieli do mnie nastawienie nieprzyjazne, a zwłaszcza w powiecie miechowskim i pińczowskim.

Kartek wyborczych przecież nie potrzebowałem drukować, bo kartki wyborcze z nazwiskami kandydatów wydrukowała i rozpowszechniła okręgowa komisja wyborcza. Nastąpiło głosowanie. Procent bojkotujących istotnie nie przekroczył 20%. Na moją kandydaturę padło 21 tysięcy i kilkaset głosów, t.j. liczba, która w okresie międzywojennym padła na mnie do Sejmu pierwszego, drugiego, trzeciego i czwartego, a która zawsze była dostateczna do mojego wyboru; tym razem była to ilość niedostateczna, bo dwaj moi kontrkandydaci wystawieni przez OZN mieli podane, że otrzymali jeden 26 tysięcy, drugi aż 46 tysięcy głosów.

Po pewnym czasie dowiedziałem się, że temu, któremu wykazano głosów 26 tysięcy dosypano 6 tysięcy głosów; a temu który ma podobno 46 tysięcy dosypano aż 40 tysięcy głosów. Czyli to moje papranie się w tą akcję wyborczą było czynnością zbyteczną, a nawet szkodliwą, bo stałem na kartce wyborczej razem z kandydatami OZNU bez żadnego zaznaczenia, że ci dwaj to członkowie OZNU, a ten trzeci to bezpartyjny; kto więc mniej wyrobiony politycznie otrzymał taką kartkę wyborczą, a nie czytał mojej odezwy, ten myślał, że i ja już przystąpiłem do OZNU, co oczywiście nie było zgodne z prawdą.

Jeżeli jednak utracenie mojej kandydatury było wykonywane na polecenie wojewody Dziadosza, to dziś, gdybym wiedział, czy żyje, byłbym mu bardzo wdzięczny za to, bo dla mnie bardzo się okazało dobre i nawet zbawienne to, że od roku 1935 nie posłowałem; bo gdy wybuchła druga wojna i Polskę zawładnęli hitlerowcy, to niszczyli oni wszelkich działaczy politycznych z ostatnich lat przedwojennych. Moje więc nieposłowanie w ciągu lat 1935-1939 oraz wyprowadzenie się z Jędrzejowa do Warszawy z jesieni roku 1935 uchroniło mnie od śmierci z rąk hitlerowców.

Co się zaś tyczy grupy wyzwoleniowej, to ta całkowicie włączyła się do OZNu i Michał Róg był nawet prezesem OZNu na województwo warszawskie, a Błażej Stolarski nawet (o ile się nie mylę) został wicemarszałkiem Senatu, oczywiście ozonowego. Oprócz tego jeszcze kilku pomniejszych wyzwoleńców zasiadało w tym ostatnim ozonowym Sejmie. To angażowanie się Roga i Stolarskiego w posłowanie ozonowe wyszło obu na złe, bo Stolarskiego hitlerowcy aresztowali i zniszczyli zaraz po zajęciu kraju, a Roga wywieźli do obozu zniszczeń pod Berlinem i rozstrzelali.

Ale myśmy kilku sympatyków byłego Stronnictwa Chłopskiego nie kapitulowali i działali powoli; oto tak: dowiedzieliśmy się z otoczenia Polakiewicza, że Rydz-Śmigły, mając już swój przyboczny Sejm, bo zdecydowanych [...] do tego Sejmu nie wpuszczano; a także i Senat, w maju roku 1940, gdy wygaśnie prezydentura Mościckiego, przeprowadzi swą kandydaturę na Prezydenta, rozwiąże OZN i wszystkie istniejące stronnictwa polityczne, będzie rządził Polską jako dyktator, rozpocznie szybkie zbrojenie Polski i w tym celu powoła do życia jakąś zdyscyplinowaną po wojskowemu organizację polityczną. Słowem - zorganizuje polski hitleryzm.

By się temu choć w rozmiarach skromnych przeciwstawić, postanowiliśmy od jesieni roku 1939 zorganizować wydawnictwo miesięcznika z tytułem „Siła”, który to miesięcznik będzie wyrazem tego, co myślą o tym chłopci i czego chcą chłopci. Zaczęliśmy szukać w Warszawie zwolenników tej myśli. Powoli zebraliśmy około 20 osób. Zebrania odbywały się w mieszkaniu Stanisława Wrony, który wtedy pracował w Warszawie jako lekarz położnik, a mieszkał przy ulicy Filtrowej. Postanowiliśmy rozpocząć wydawanie tego miesięcznika od 1 września 1939 roku, a na redaktora upatryliśmy ob. Władysława Kowalskiego, byłego wyzwoleńca, a późniejszego [...]. Spotkałem się więc z ob. Kowalskim i uczyniłem mu powyżej wymienioną propozycję. W zasadzie zgodził się z tym projektem, ale radził odłożyć rozpoczęcie wydawnictwa do listopada tego roku, gdyż podług jego informacji wojna z Niemcami wybuchnie lada dzień. Odłożyliśmy więc wydawanie „Siły” do później jesieni roku 1939.

Na zakończenie tego okresu podam jeszcze ostatnie chwile Sławka. Do tego ostatniego Sejmu ozonowego Sławek już nie wszedł, bo go nie wpuszczono. Możemy sobie wyobrazić, co przeżywał człowiek tak ambitny i zarozumiały. Nie wpuszczono nawet Tomasza Kozłowskiego, brata Leona, za to, że był wielbicielem Sławka. Ponieważ wojna się zbliżała, rząd ogłosił pożyczkę nadzwyczajną na potrzeby wojny. Prezydent zorganizował na zamku bardzo liczne zebranie Komitetu Organizacyjnego tej pożyczki. Do tego Komitetu byli zaproszeni nie tylko przedstawiciele OZNu, przemysłowców, związku ziemian, związków zawodowych robotniczych, ale nawet przedstawiciele politycznych opozycji: ludowej, socjalistycznej i młodzieżowej. Tylko nie był zaproszony Sławek. Tego już nie wytrzymał i tegoż wieczoru, gdy na zamku odbywało się posiedzenie Komitetu pożyczki, Walery Sławek popełnił samobójstwo. Tak zginął człowiek, który w Sejmie groził opozycji łamaniem kości!

Co się zaś tyczy przypuszczeń i obaw Władysława Kowalskiego, to one okazały się zupełnie słuszne, gdyż wojna wybuchła 1 września 1939 roku. Zaraz od pierwszego dnia okazało się słuszne ludowe powiedzonko, że kowal nie ma siekiery, a szewc butów. Sprawowała po przewrocie majowym dyktatura wojskowa, legionowa, a w ciągu lat sprawowała nawet stuprocentową dyktaturę, a gdy wybuchła wojna wszyscy ze zdziwieniem i przerażeniem stwierdzili, że Polska jest zupełnie nieuzbrojona, to znaczy nie ma bojowego lotnictwa, ani motoryzacji ani czołgów przypuszczało się że polska będzie się bronić choćby z 3 miesiące a tymczasem wojna trwała 5 dni, a reszta to ucieczka krótko mówiąc: wielka kompromitacja obozu legionowego!

To też już trzeciego września Związek Rewizyjny Samorządu Terytorialnego i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych zostało wyewakuowane do Łucka i Kiwerek. Gdyby mi trzymiesięczne pobory wypłacono w Warszawie zostałbym w domu, ale powiedziano nam że te 3 miesięczne pobory otrzymamy dopiero za Bugiem. Tak jest otrzymaliśmy je w Kiwiercach. Po dwudniowym odpoczynku w Kiwiercach otrzymaliśmy rozkaz udania się przez Kółki i Czartorysk końmi w stronę Sarn. A gdyśmy już byli dość daleko na wschód od Czartoryska dostrzegliśmy, że wszyscy uciekinierzy, którzy nas samochodami stronę Sarn już daleko nas wyprzedzili nagle wracają z powrotem w stronę Czartoryskam, spytaliśmy się jaka jest przyczyna takiego powrotu powiedziano nam, że armia radziecka przekroczyła wschodnią granicę polski i posuwa się na zachód.

Nocowaliśmy w najbliższej wsi szkole, rano ruszyliśmy tymi samymi końmi z powrotem do Czartoryska a z Czartoryska do Kołek. Tu odpoczęliśmy z dzień i mieliśmy w kilku (inspektorów) wyruszyć pieszo w stronę Kowla. Kiedyśmy się więc przygotowali do wymarszu, nagle w Kołkach rozpoczęła się bitwa: okazało się, że miejscowi chłopci zdobyli broń, zorganizowali milicje, zajęli w kokach młyn i ustanowili tam punkt oporu. Okazało się też że od strony Równego maszeruje

w kierunku Kowla jakiś jakaś grupa wojska polskiego, i że milicja chłopska zagroziła jej drogę by ją rozbroić. Ale milicja chłopska (ukraińska) przeliczyła się, bo wojskowa grupa polska była jeszcze dość liczna, zdyscyplinowana i dobrze uzbrojona: były jeszcze 4 kompanie piechoty, pułk kawalerii (cztery szwadrony), bateria artylerii, sporo armatek przeciwlotniczych i także przeciwczołgowych.

Grupa chłopów ukraińskich liczyła może z dwudziestu chłopców. To też po bardzo krótkiej walce piechota młyn zdobyła, a pozostałych przy życiu chłopów uzbrojonych wzięła do niewoli po czym prowadząc tych jeńców ze sobą, cała grupa wojskowa udała się przez Kółki w stronę mostu na Styrze. My tylko w ilości czterech inspektorów dołączyliśmy się do tej grupy wojskowej i nie tylko my, ale duże mnóstwo uciekinierów cywilnych pieszych: na furmankach, lub w samochodach, lub rowerami. Przeszliśmy przez most na Styżę i przemaszerowali, ku zachodowi.

W najbliższej wsi, zdaj się Kopylu nocowaliśmy razem z żołnierzami w stodole na sianie i rano ruszyli w dalszą drogę. Przed wyruszeniem w dalszą drogę chłopci którzy bronili przejścia przez Kołki zostali rozstrzelani i pogrzebani w dole obok cmentarza parafialnego. Tak maszerowaliśmy cały dzień i dopiero przed samym wieczorem zagroziła nam drogę jakaś grupa wojska radzieckiego, która się usadowiła we wsi. Rozpoczęła się bitwa artyleryjska, a po stronie radzieckiej nawet wystąpił lekkie czołgi. Wieś została spalona, a piechota radziecka musiała się oddalić z płonącej wsi, a dwa czołgi radzieckie też zostały rozbite. Wobec tego grupa polska zajęła spaloną wieś, zanocowała na polu obok tejże płonącej wsi. My we czterech przespaliśmy się trochę na słomie obok sterty owsa która się nie spaliła, bo była od wsi nieco odległa. Rano jak się tylko nieco rozjaśniło bitwa rozpoczęła się na nowo, zauważyłem ze strony pułkownika St. Koca manewr, który polegał na tym że całą baterie ustawił w krzakach i bardzo intensywnie strzelał w kierunku wojska radzieckiego, a w tym czasie reszta grupy wojskowej i uciekinierzy cywilni wykręcili się na prawo i udali się boczną drogą leśną w stronę Stochodu; szliśmy bardzo szybko, w południe przeszliśmy Stochód po bardzo lichym mości leśnym i zatrzymaliśmy się we wsi na krótki odpoczynek.

Zaraz też nadjechała bateria artylerii i przeszła przez most. Chwiał się już ten most, ale konie i armata jeszcze przez niego przeszły. Po krótkim odpoczynku cała grupa wojskowa i uciekinierska ruszyły dalej. Dopiero przed wieczorem, gdy byliśmy w lesie pod lasem odpoczywali zaatakowała grupa samolotów radzieckich, ale że w grupie polskiej była artyleria przeciwlotnicza przeto obroniła się od bombardowania lotniczego. Najwięcej ucierpiały treny, bo nie były bronione, więc też pewna liczba koni w tych trenach została zabita.

Ja z dwoma uciekinierami schroniliśmy się w rowie strzeleckim z czasów pierwszej wojny światowej. Tuż obok mnie uderzyła bomba lot lotnicza radziecka i pękła, a skorupa tej bomby mocno mnie uderzyła w plecy, drugi zaś uciekinier cywilny, który leżał w rowie może metr obok mnie miał postrzelone udo z karabinu maszynowego znajdującego się na bombowcu radziecki.

Po nalocie który trwał może za 20 minut samoloty odleciały, a grupa wojskowa polska i uciekinierzy pomaszzerowali dalej. Uszliśmy jeszcze może ze 4 kilometry, zaczynał się wieczór. Zanocowaliśmy w jakiejś wsi czysto polski, posłaliśmy sobie dobre posłanie z suchej słomy pod ścianą i przespaliśmy się nawet wcale nieźle. Był spokój, rano wypawszy się dobrze, ruszyliśmy dalej ku zachodowi. Grupa wojskowa była dobrze odżywiona, więc szła Mielnicy. Tam był komitet opieki nad uchodźcami, tam dostaliśmy po kromce dobrego razowego chleba i czarnej kawy. Byłem tak głodny, że ten razowiec stanowił dla mnie wielki specjał.

Trochę się posiliwszy w ten sposób, znaleźliśmy w Mielnicy, w jakimś domu jakiegoś inżyniera drogowego próżną izbę. Zatrzymaliśmy się w niej, kupili słomy, posłali posłanie i dopiero dobrze się wyspali. Grupa wojskowa poszła dalej na zachód i lasami doszła do Bugu, przeprawiła się przez Bug, przeszła przez ziemię lubelską, aż pod Kraśnik, tam połączyła się z drugą, jakąś grupą polską, obie stoczyły swą ostatnią bitwę z Niemcami, po czym resztki tego wojska polskiego zostawiwszy resztę broni w lasach, rozeszła się po sąsiednich wsiach i „wsiąkła w teren”.

W tym czasie armia radziecka zajęła cały teren na wschód od Bugu, a więc Brześć Kowal, Równe, Łuck, Dabno, Włodzimierz Wołyński, Pińsk, Sarny itp. Na tym zajęty przez wojska radzieckie terenie ludność miejscowa zaczęła samorzutnie tworzyć administracja, a przede wszystkim, milicje ludową. Przeczekaliśmy więc w Mielnicy z 4 dni, po czym wynajawszy wóz i parę koni z furmanem udaliśmy się tą furmanką do Kowla.



W Kowlu była już administracja radziecka. Było nas 4 inspektorów b. Zw. Rew. Sam. Ter. Dwóch z nas wynajęła pokój w tamtejszym hoteliku, a dwóch musiało w prywatnych mieszkaniu. Tak przemieszkaliśmy, aż do początku listopada. W tym czasie władze wojskowe sowieckie, zaczęły wydawać przepustki na wyjazd na zachód od Bugu, to jest do kongresówki. Tłumy stawały w kilometrowym ogonku i czekały na te przepustki.

Pewnego dnia został załadowany cały pociąg z Kowla do Chełma z tymi, którzy otrzymali przepustki, ale okazało się, że żadnego porozumienia z Niemcami, którzy okupowali tereny na zachód od Bugu nie było. Niemcy ani pociągu do Chełma nie wpuścili, ani nie chcieli info nie chcieli respektować radzieckich przepustek. Wobec tego pociąg z uchodźcami wrócił z powrotem do Kowla.

Stało się jasne, że tym sposobem nie powrócimy do Warszawy! To też w końcu października wyjechaliśmy pociągiem we czterech do Brześcian, bo pociągi już chodził. W Brześciu znaleźliśmy mieszkanie u Żydów i zaczęliśmy szukać sposobów przeprowadzenia się przez Bug za zieloną granicę t.j. bez przepustek. Jeden z nas czterech dowiedział się, że pomiędzy miasteczkiem Damaczewo, a Bugiem jest wioska zamieszkała przez osadników z Holandii, ewangelików, którzy w nocy na łodziach za opłatą pieniężną przeprowadzają uciekinierów za Bug. Tamże b. inspektor miał w Damaczewie jakiegoś swojego krewnego, który na stacji mieszkał jako kolejarz.

Pewnego, więc późnego wieczoru w dniu 8 listopada była ciemna i bardzo zamglona noc. Wyjechaliśmy, więc z Brześcia niby do Włodowic, ale wysiedliśmy na stacji w Damaczewie, gdy pociąg bardzo powoli wchodził na stację. Wysiedliśmy przy semaforze wyjazdowym, tam na nas czekał ów znajomy kolejarz, który nas po ciemku we mgłę zaprowadził na drogę polną do tej wioski ewangelicki nad samym Bugiem. Tam nas przekazał znajomemu chłopu. U tego chłopu czekaliśmy w stodole do północy, gdy o północy była w straży radzieckiej zmieniona warta i wszystkie posterunki były ściągnięte do jednego punktu chłopu, przewieźli nas na łodziach na drugą stronę Bugu i powrócili.

Oczywiście i tego kolejarza, który nam ułatwił wyjazd i tych chłopów dobrze wynagrodziliśmy pieniężnie. Na lewym brzegu Bugu Niemcy nie mieli żadnej straży. Zatrzymaliśmy się, więc do rana w najbliższej wiosce i rano z miasteczka Sławatycz furmanką udaliśmy się w 5 osób przez Piszczac do Chatyłowa. Wymieniam 5 osób, gdyż jeden z byłych inspektorów był z żoną. Przed samym zachodem słońca dotarliśmy do Chatyłowa. Dla mnie stacyjka ta przypominała rok 1914. W tym bowiem roku w lipcu we 4 organizowaliśmy wycieczkę krajoznawczą wzdłuż Chełmszczyzny od południa kup północy. Wycieczkę zakończyliśmy w Piszczacu, skąd udaliśmy się do pobliskiego Chatyłowa i wyruszyliśmy koleją przez Dęblin do Jędrzejowa. Już w Łukowice dowiedzieliśmy się wtedy z gazet, że wojna pierwsza światowa wisi na włosku.

Teraz zaś w listopadzie 1939r. przybyliśmy do tegoż Chatyłowa jako powracający do Warszawy uciekinierzy, a raczej wyewakuowani urzędnicy samorządowi z okresu międzywojennego, który to okres już się skończył bezpowrotnie. Tak czy owak będziemy te wydarzenia sądzić, zawsze musimy ze smutkiem stwierdzić, że Polska znajduje się w Europie miejscu bardzo niebezpiecznym. Wykupiliśmy, więc wszyscy w Chatyłowie bilety do Warszawy bośmy zauważyli że Niemcy, którzy całkiem dobrze gospodarowali na kolei tylko na bilety zwracali uwagę. Reszta jeszcze wtedy nic ich nie obchodziła, później wieczorem nadszedł pociąg z Terespolu a my wsiedliśmy do wagonu i rano następnego dnia już dojeżdżaliśmy na dworzec wschodni w Warszawie.

Dzień był dość ciepły, dworzec wschodni był bardzo zniszczony, a Wileński spalony, oczywiście zniszczenia, te powstały podczas oblężenia Warszawy we wrześniu, zaraz po rozpoczęciu się drugiej wojny światowej. Ponieważ nie było żadnej komunikacji publicznej przeto my czterej byli inspektorzy pożegnaliśmy się na dworcu i rozeszli każdy swoją stroną to jest w stronę swego mieszkania. Ja poszedłem pieszo na Nowe Bródno, gdzie już od 1937r. mieszkałem. Domu, w którym mieszkałem ocalał, choć był na samej linii obronnej polskiej, boć przecie podczas tej obrony dwie armaty polskie kilka dni stały pod samym oknem i do Niemców strzelały. Żona, syn i córki z radością mnie witali, bo stracili już nadzieję na mój powrót

. Oczywiście Warszawa zaraz po obejrzeniu była z wielu towarów wyczerpana. Wielu się rzuciło do handlu w celu zaopatrzenia Warszawy przedmioty koniecznej potrzeby. Ja też próbowałem tego zajęcia, ale poza jedną pozycją herbacianą (herbata liść.), na której zarobiłem 70 kilka złotych nic poważnego z tego dla mnie nie wyszło. To też wjechałem do Jędrzejowa i Sudołu po żywność to dało lepszy efekty, boć przywiozłem sporo mąki i smalcu. Później w ciągu całej

okupacji, co kilka miesięcy jeździłem po żywność do Sudołu. Z początku przywoziłem żywność sam, ale później, gdy Niemcy zaczęli kontrolować pociągi i żywność z pociągów zabierać, otrzymywaną żywność pakowałem w paczki odpowiedniej wielkości i wysyłałem pocztą.

Urząd pocztowy był i jest na Nowym Bródnie. Przyniesienie otrzymywanych paczek z urzędu pocztowego na Nowym Bródnie do mieszkania nie stanowiło żadnego niebezpieczeństwa. Oczywiście paczki z Jędrzejowa wysyłałem nie jednego dnia, a w ciągu kilku dni i to nawet z przerwami. Tak też i przychodziły na Nowe Bródno.

Kiedy pewnego razu już w roku 1940 byłem w Jędrzejowie po żywność. Spotkał się ze mną znany mi dobrze ludowy działacz z prośbą, by mu wskazał kandydata na organizatora organizatora batalionów chłopskich. Przy tej sposobności sposobności zaznaczam, że formalnie nie należałem do SLu ale z urzędem powiatowym stosunki miałem dobre i przyjazne. To też wskazałem im kandydaturę Kacpra Niemca, byłego komendanta POW z okresu pierwszej wojny światowej, ale Kacper Niemiec w tym czasie mieszkał w Radomiu w domu u swego szwagra.

Pojechałem, więc do Radomia, po długiej rozmowie z trudem udało mi się namówić, go by ten obowiązek przyjął. Gdy wreszcie wyraził zgodę dałem mu wykaz imienny działaczy ludowych z powiatu jędrzejowskiego jak i wszystkich gmin i wskazałem mu prezesa zarządu powiatowego SL (w konspiracji). Z tymi adresami udał się Kacper Niemiec (obecnie Mir Niemirski) do Jędrzejowa. Objął przy Zarządzie Powiatowym SLu w Jędrzejowie stanowisko komendanta Batalionów Chłopskich na tenże powiat i pracę płatną w powiatowej spółdzielni rolniczo handlowej w Jędrzejowie, bo na koszt organizacji batalionów chłopskich zarząd batalionów chłopskich SLu nie miał żadnych środków, więc Kacper Niemiec był pracownikiem płatnym w powiatowej spółdzielni rolniczo handlowej w Jędrzejowie i jednocześnie organizatorem Batalionów Chłopskich w tymże powiecie.

Tak tam trwał, aż do połączenia się Batalionów Chłopskich z tajną organizacją „Związek Walki Zbrojnej” z czego powstała Armia Krajowa. Nawiasem dodam, że wyjazd Kacpra Niemca z Radomia okazał się dla niego zbawienny, bo w tydzień po tym wyjeździe gestapo niemieckie zjawilo się w mieszkaniu tego szwagra, aresztowało go i wywiozło do obozu zniszczenia, skąd już nie wrócił.

Gdyby tam wtedy przebywał Kacper Niemiec to by był jak jego szwagrem aresztowany i zniszczony. Choć otrzymywałem paczki z Jędrzejowa, to jednak mój stan materialny był bardzo ciężki, to też starałem się o prace. Nie była to sprawa łatwa, ale wreszcie przy pomocy Al. Zacharskiego, kierownika Związku Jajczarskiego w Warszawie, mojego starego znajomego, otrzymałem bardzo skromnie płatną pracę w jajczarni w Siedlcach. Owa jajczarnia była oddziałem siedleckiej powiatowej spółdzielni rolniczo - handlowej. Tam przepracowałem ze 3 miesiące, ale nie mogłem tam w Siedlcach znaleźć dla siebie żadnego mieszkania, bo przeszło połowa Siedlec była spalona. Wobec tego po trzymiesięcznej udręce musiałem się z tej pracy zwolnić i wrócić do Warszawy.

Tu spotkałem się ze swoim starym przyjacielem ab. Stanisławem Kruptą, który wtedy był wójtem we Wawrze. Okazało się, że wtedy działała już rejonowa spółdzielnia rolniczo - handlowa w Otwocku, a ab Krupta był w niej prezesem Rady Nadzorczej. Dzięki jego, więc pomoc otrzymałem w tej spółdzielni stanowisko magazyniera. Płaca była bardzo marna, bo Niemcy nie pozwalali na podniesienie płacy netto, ale był deputat żywnościowy. Pracowałem w tej spółdzielni przeszło dwa lata. Pierwszy rok jako magazynier drogi jako kasjer, oczywiście w Otwocku niezamieszkałem a z Warszawy dojeżdżałem co dzień, ale dojeżdżał z Warszawy również i dyrektor tejże spółdzielni H. Erdman.

Gdy przepracowałem w Otwocku przeszło dwa lata, spotkałem się w Warszawie z jakimś ab. Hippe, działaczem wiciowym. Mieszkała on w Radomiu i tam prowadził biuro podań i tłumaczeń na niemiecki, bo tym językiem dobrze władał. On mnie namówił, bym przeszedł do pracy powiatowej spółdzielni rolniczej - handlowej w Radomiu na stanowisko lustratora tejże spółdzielni, a że powiat radomski był połączony z kozienickim w jeden powiat było, więc tych fili kilkanaście. Płaca była kilka razy większa niż w Otwocku, a dysputant żywnościowy był lepszy.

Członkiem zarządu w tej Radomskiej spółdzielni był ab. Ziętek, którego znałem, gdyż był posłem ludowym w czwartym sejmie w okresie międzywojennym, Dzięki jego, więc pomoc otrzymałem prace lustratora filli przy Pow. Sp. Rol. Handl. w Radomiu. Jeden miesiąc zużyłem na badanie bilansów tychże filii, a następnie zacząłem jeździć do tych filii. Pierwszy wyjazd był do Koniewic. Pamiętam, że tam magazyn zbożowy, był prowadzony bardzo niedobrze było w nim ogromne

mnóstwo myszy. Praca lustratora szła mi dobrze. Mieszkałem u Franciszka Chyba, również byłego posła ludowego do trzech sejmów w okresie międzywojennym. Tak przepracowałem przeszło pół roku.

Pewnego dnia, gdym po ukończonej lustracji filii przygotowywałem w lokalu księgowości sprawozdanie z tej ilustracji weszło do tego lokalu kilku chłopów. Jednej z nich poznał mnie, bom przed wojną drugą często jeździł do Radomia na zjazd powiatowe SLu. Poznawszy mnie nieostrożnie, zwrócił się do mnie z zapytaniem: „Panie pośle, co pan to robi?”. Odpowiedziałem mu, że jestem tu lustratorem filii. Na tym się rozmowa skończyła, ale na dziale księgowości pracowało kilkanaście osób, zwłaszcza kobiet. Może po dwóch godzinach wezwał mnie do swego biura niemiecki komisarz tej spółdzielni. Był to na szczęście Niemiec z Wiednia, osobiście bardzo porządny człowiek. Gdym się zjawił u niego w biurze powiedziała mi: „Przed chwilą otrzymałem z księgowości doniesienie, że pan był posłem, a więc jest pan działaczem politycznym. Niech pan jeszcze dziś, nic nikomu nie mówiąc wyjedzie z Radomia.” Podziękowałem mu za dobrą radę, a tegoż wieczoru zabrawszy wszystkie swoje rzeczy pożegnawszy się z Fr. Chybem opuściłem Radom i powróciłem do Warszawy.

Po moim wyjeździe był w Radomiu spokój, ale tylko z 2 tygodnie; po dwóch tygodniach gestapo niemieckie na całej ulicy pierwszego maja zrobiło gruntowne rewizje, wyaresztowali kilkunastu mężczyzn, a gdy ci się zjawili do Chleba aresztowali jego i jego żonę i wywieźli do obozu. Na szczęście oboje po wojnie powrócili, choć wymizerowani nie do poznania. Gdyby mię był niemiecki komisarz nadał, pozostawił byłbym aresztowany i ja i czy bym przetrzymywał pobyt w niemieckim obozie zniszczenia nie wiem.

Wróciwszy do Warszawy znowu wymyślałem, gdzie szukać pracy i jakiej. Spróbowałem zostać prace w Rejonowa Spół. Rol - handlowej w Otwocku, ale tu nie pracowałem, bo wszystkie miejsca były zajęte. Wobec tego postanowiłem zaopatrywać prywatne spółdzielnie rolniczo handlowe w towary których albo nie miały, albo miały za mało. Takim towarem było przede wszystkim mydło. Wyszukałem na Targówku - Osiedlu takiego byłego pracownika poczty który fabrykował mydło. To mydło nazywało się „Biel”. Tę to „Biel” dostarczałem i do Otwocka, i do Falenicy, i do spółdzielni w Międzylesiu, w Wołominie, w Jabłonie w Piasecznie w Górze Kalwarii.

Później znowu poznałem takiego pana, który dostarczał do niemieckich szpitali polowych szczotek do szorowania podłóg. Wyszukałem związek Ociemniałych i od niego zakupiłem dużą ilość szczotek do szorowania podłóg i takowe sprzedałem do wyżej wymienionego dostawcy. Kierownikiem spółdzielni w Łochowie był Bon, były poseł na Sejm z NPCh, dostarczałem mu mydło ale raz dostarczyłem o 4 metry cukru. A ten pan, który zaopatrywanie miejskie szpitalnictwo kupił ode mnie raz 1000 chusteczek kobiecych na głowę i takowe dostawy do Wilna. Temuż pana dostarczyłem 1000 różańców dla arcybiskupa Jałbrzykowskiego w Wilnie.

Jak z tego widać szło mi głównie o to, „aby handel szedł” i abym przetrwał okupację. Kierownikiem Rejonowej Spół. Rol - Handlowej w Rembertowie był mój dobry znajomy. Jemu też dostarczałem mydło, ale w 1943r. na jesieni z jego polecenia zagraniczna zorganizowałem na Zaciszu w Markach, na Starym Bródnie, i wy Żeraniu zsypanie kontyngentowy ziemniaków przez rolników, producentów, które to ziemniaki były następnie rozdane biednej ludności w tych miejscowościach.

Oczywiście miałem wyznaczone pieniądze, które zapłaciłem dostawcą, a biedna ludność zapłaciła za ziemniaki cenę urzędową w gminach. Za to otrzymałem od Społecznej Spół. Rejonowej w Rembertowie pieniężne wynagrodzenie i 5 metrów ziemniaków bezpłatnie. Co mi wystarczyło na całą zimę i wiosnę roku przyszłego. A ponieważ trzeba było jednak mieć jakieś dokumenty pracy przeto wójt w Warszawie ab. St. Krupa krupka zorganizował tam przy Radzie Gminnej - Komisję Rozbudowy Warszawy. Kierownikiem tej akcji został były oficer polski który się zgłosił do Oflagu, a z zawodu był architektem; ja zaś zostałem sekretarzem tej komisji z tego powodu otrzymałem od Wojtka ab. St. Krupskiego zaświadczenie że jestem pracownikiem urzędu gminnego w Warszawie, zaświadczenie było napisane po polsku i po niemiecku, i chroniło mnie na wypadek niemieckiej rewizji osobistej. Istotnie kilka razy się z nim legitymizowane z dobrym dla mnie skutkiem.

A co robiłem w tej komisji? Posiedzeń było kilka i prowadziłem na nich protokoły, nawet mi gmina coś za to płaciła, a bo chodziło o to by na wypadek kontroli w gminie moja legitymacja miała odpowiednik w kasie gminy. Kierownik tej komisji, ów były oficer zakonspirowany i architekt opracował b. dobry plan przebudowy Wawra na podwarszawskie miasto ogród. Plan był znakomity i chyba w aktach do dziś jest, ale nie jest wykorzystywany, bo brak na to środków, któż wtedy mógł

przewidywać, że cała Warszawa będzie zburzona i że trzeba ją będzie odbudować wcześniej, niż ma być przebudowa Wawra.

Gdym się w ostatnich czasach zajmował handlem to jeździłem częściej do i Jędrzejowa, i do Sudołu. Wozilem wtedy do Jędrzejowa na handel chusteczki kobiece i skarpetki. Wtedy też często spotykam się z Kacprem Niemcem. Zarząd powiatowy S.Lu w Jędrzejowie (w konspiracji) postanowił przystąpić do połączenia batalionów chłopskich z Z.W.Z. Kacper Niemiec to wykonał. Ale organizacja Batalionów Chłopskich w powiecie jędrzejowskim była tak silna, że z całej polski tylko w powiecie jędrzejowskim komendant Batalionów Chłopskich został powiatowy komendant A.K. Był nim ów Kacper Niemiec, obecnie Mir Niemirski.

Często się z nim wtedy widywałem i przestrzegałem bym się jak najdalej trzyma od Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ), które popracowałem z Niemcami, a natomiast przyjaźnie współpracował z Armią Ludową, tak też robił. Tak przyszło lato roku 1944. Było gorące tak, jak i w roku 1939 ale rok 1944 tym się wybitnie różni od 1939, że w roku 39-tym Hitler rozpoczyna swoją wielką grę panowanie nad światem, a w 1944 już ją kończył, kończył nie tylko ową wielką grą, ale i swoje życie. Kto go zniszczył? Związek Radziecki i wielki sprzymierzeniec tego związku - mróz.

Nie będę opisywał przebiegu walk, bo to uczynią i czynią liczni historycy, a ja jestem tylko pamiętnikarzem. A więc najpierw wybuchło to powstanie w Getcie Warszawskim. Trwało ono kilka tygodni i okazało się, że w szeregach rzekomo tchórzliwego narodu żydowskiego było dużo bohaterów, którzy podjęli walkę zupełnie beznadziejną, a podjęli się jej, by bronić honoru narodu żydowskiego. Cześć im!

Drugim wydarzenie było powstanie warszawskie. Nim przejdę do tego tematu, muszę przecie przypomnieć, że niedobitki wielki armii hitlerowskiej w lecie tegoż roku cofały się na Vaterland. Za nimi w ślad szły wojska radzieckie i dywizja Kościuszkowska. W lipcu tegoż roku armia radziecka i dywizja Kościuszkowska przekroczyły Bug, zdobyły Chełm a następnie Lublin. Tam powstało PKWN, a więc pierwszy rząd ludowy. Premierem został Osóbka Morawski, a wicepremierem mój stary przyjaciel i były członek Stronnictwa Chłopskiego Stanisław Janusz, ten sam wysoki i dużymi jasnymi włosami. Gdy lato było w pełni, wybuchło powstanie Warszawskie. Wtedy armia czerwona stała już w Mewkach.

Możliwe, że organizatorzy powstania mieli nadzieje, że opanują Warszawę i stworzą rząd tymczasowy contra PKWNowi. Zdaje się, że taki pogląd i zamiar miał Mikołajczyk, który w tym czasie dużo znaczy w Rządzie Londyńskim. Rzeczywisty przebieg wypadków był zupełnie inny. Powstanie Warszawskie mimo radykalnego bohaterstwa Warszawy nie opanowało, ale spowodowało całkowitą ruiny stolicy. Śmierć przeszło 100 tysięcy warszawiaków, a więc było to straszna klęska, a od strony politycznej kolosalny błąd. Tak się złożyło, że w dniu wybuchu powstania w samo południe byłem śródmieściu i dowiedziałem się, że wybuchnie ono po godzinie piątej. Jako zdecydowany przeciwnik tej głupoty politycznej nie mogłem brać tej brać w tej akcji udziału.

Spieszyłem przeto w stronę mostu Kierbedzia, by przed piątą po południu zdążyć do domu. Gdym przechodził przez plac Napoleona obok gmachu poczty głównej, zobaczyłem iż mój dobry znajomy Franciszek Szafranek, oficer AK spaceruje przed gmachem tej poczty w butach i ze szpicrutą w ręku. Zapytałem go, co to robi? Odpowiedział: „moja kompania piechoty stoi to już ukryta w bramach i czeka rozkazu; moim zadaniem jest zdobywać ten o to gmach poczty głównej”. A gdym się go zapytał, co o tym myśli, odpowiedział: „jest to wielka głupota. Porywamy się z motyką na księżyc! Ale jestem oficerem i rozkaz postaram się wykonać!”

Pożegnałem się z nim i poszedłem na most Kierbedzia. Tramwaje już nie szły, a niemieccy saperzy już na tym moście zakładali miny, ale przechodniów nie zaczepiali. Przeszedłem, więc przez most i zdążyłem jeszcze przed piątą godzina powrócić do domu. Po godzinie się rozpoczęło. Rozpoczęło się ono nie tylko w Warszawie na lewym brzegu Wisły, ale i na Pradze, a nawet i na Nowym Bródnie. W Warszawie lewobrzeżnej powstanie nie miało powodzenia, tym bardziej nie mogło go mieć na Pradze, na okrainach której była już linia obronna niemiecka od strony wschodu. Boć armia radziecka doszła już do Marek, Rembertowa, Wawra. Było, więc na Pradze wielkie stłoczenie wojska niemieckiego które broniły tego praskiego przyczółka obronnego. Słyszałem, że niektóre grupy powstańcze na Pradze próbowały nocą napadać z tyłu na niemiecką linię obronną, ale doznały ciężkich strat.

Natomiast na Nowym Bródnie, gdzie nie było wojsk niemieckich, powstańcy zajęli Nowe Bródno bez walki, warsztaty kolejowe również. Wzięli też do niewoli kilkunastu niemieckich kolejarzy, którzy zresztą wtedy mieszkali na Nowym

Brodnia. Było to wieczorem w dniu wybuchu powstania. Następnego dnia cały dzień kopali okopy, a po zachodzie słońca tegoż drugiego dnia dowództwo powstania odwołało powstanie; widziałem więc po zachodzie słońca drugiego dnia, że powstańcy, którzy zajęli Nowe Bródno, wypadali z tego osiedla na cmentarz Bródnowski, tam się zdemobilizowali i rozeszli.

Do dziś nie wiem kto był komendantem powstania na Pradze, ale jedno wiem, że był to człowiek roztropny. Zaraz pierwszego dnia dojrzał niedorzeczność powstania na Pradze, a drugiego dnia powstania praskie rozwiązał. Uratował w ten sposób ludność Pragi, od rzezi, a domy od ruiny. To też Praga ocalała! Dzięki rozumnemu komendantowi powstania warszawskiego na Pradze.

Choć armia radziecka i dywizja Kościuszkowska stały na linii Pustelnik, za Rembertowem i za Międzylesiem, to jednak ofensywy nie rozpoczęły; było widoczne, że czekają na wyrównanie linii frontowej przegrupowują się do nowego uderzenia. Korzystając z tego czasu Niemcy przedostali się w Warszawie przez środek powstania i obsadzili drugi brzeg Wisły. Uderzenie nastąpiło dopiero w połowie września; szło ono wzdłuż Wisły od południa ku północy; Niemcy się dobrze bronili, ale powoli etapami wycofywali się ku północy.

Przy zdobywaniu Pragi w pierwszym rzucie szła dywizja Kościuszkowska, a więc najpierw zdobyto Wawer, później Rembertów, następnie Grochów, później Pragę, ale tylko do linii kolejowej od dworca Gdańskiego do Targówka. Walka o tor kolejowy: dworzec Gdański, Targówek, a następnie o Nowe Bródno trwała dwa dni. Obronę niemiecką stanowiły czołgi wielkie (Tygrysy). Po dwóch dniach walki wycofali się Niemcy z Nowego Bródna stacji kolejowej Praga do Płud. Ciekawe, że obrona Nowego Bródna przez Niemców była zainstalowana w tym samym miejscu w którym roku 1939 wojsko polskie broniło tej dzielnicy. Dom w którym mieszkam był solidnie przez dywizja Kościuszkowską ostrzelany: 4 pociski artyleryjskie uderzyły w ulicę przed domem, jeden pocisk uderzył z góry w lewą ścianę, ześlizgnął się po niej po ziemi i wylądował obok fundamentów, a duża bomba lotnicza uderzyła w ziemię o metr od prawej ściany i wyrwała lej tak głęboki, że woda w nim stała; a ponieważ pękła w ziemi to ściana ocalała.

Nie wszystko się jedna udało, bo wtedy połowa Bródna została spalona. Niemcy zaś wycofali się do Płud poza kanał: Wisła - Bug. Wojska radzieckie zajęły Pelcowizne i Anopol. Rozpoczęła się walka o kanał. Była ciężka, bo Niemcy za tym kanałem przyszykowali sobie solidnie okopy. Ostra i ciężka walka trwała przeszło dwa tygodnie. O ile mnie pamięć nie myli, a zdaje się że nie, zdobycie Nowego Bródna Anopolu itd. było 15 września, a zdobycie Płud na początku października 1944 roku. Podczas zdobywania Płud i walki o nie została całkowicie spalona Pelcowizna. Dla mnie, więc mieszkańca Nowego Bródna, na Pradze okupacja hitlerowska skończyła się 15 powyżej wymienionego roku.

W tym czasie syn mój był już Sudole, starsza córka brała udział w powstaniu warszawskim jako sanitariuszka, przeważnie na terenie na południe od Alej Jerozolimskich, a młodsza była razem z nami - rodzicami. W ostatnim dniu przed wycofaniem się z Nowego Bródna Niemcy przy pomocy policji granatowej urządzili na Nowym Bródnie pobór młodych mężczyzn i kobiet do roboty. W tym celu kazali wszystkim młodym mężczyznom stawić się przed komisariatem polowym Po. Państwowej na Nowym Brodnia, a kobietom przed pocztą. Gdy to było wykonane Niemcy biegali po domach i sprawdzali, czy ktoś zdolny do pracy nie przebywał w domu.

Sporo mężczyzn i kobiet (oczywiście samotnych, bezdzietnych) stawiało się na te punkty zborne; tych Niemcy załadowali do pociągów i wywieźli do Pruszkowa, skąd ich wysłali do pracy w fabrykach. Kto się zaś dobrze ukrył ten się ostał, bo Niemcy nie mieli już czasu na rewizję dokładnie. Mnie i żony nie zabrali, bo byliśmy za starzy, córka (młodsza) ukrywała się dobrze w piwnicy i również pozostała. Później po zakończeniu wojny mężczyźni i kobiety zabrani z Nowego Bródna powrócili do domów wymizerowani, ale zdrowi. Kiedy wojska radzieckie i dywizja Kościuszkowska przeszli przez kanał i zdobyli Płudy, zaczęli wypychać Niemców ku północy za Jabłonną i Legionowo. Wtedy dla nas przestał istnieć front na północy od Pelcowizny, a zaistniał na Wiśle, boć przecie Niemcy pozostali na lewym brzegu Wisły, t.j. w Warszawie.

Taki stan rzeczy trwał od połowy września 1944 roku do 17 stycznia 1945r. Pierwszą linię tego frontu zajmowała piechota na prawym brzegu Wisły tuż przy rzece, druga linia stanowiła artyleria sytuowana na polach pomiędzy Nowym i Starym Bródnem; duża też masa artylerii była ustawiona na cmentarzu Bródnowskim. Oczywiście, pomiędzy jedną stroną, a drugą wybuchały pojedynki artyleryjskie; bywało tak czasami, ale przed wieczorem, gdy Niemcom było lepiej celować, gdy mieli

słońce z tyłu. Na Pragę można było chodzić ale polem poza cmentarzem przez Stare Bródno i Targówek - oczywiście we dnie.

Taką trasą była utrzymywana komunikacja pomiędzy Starym Bródnem i Praga. Aleja Odrowąża była niemożliwa dla jakiegokolwiek komunikacji, gdyż była systematycznie ostrzeliwana przez Niemców. Co się tyczy życia na Pradze, to było ono dość intensywne, ale na północ od Targowej, przeważnie na ulicach Radzymińskiej, Ząbkowskiej i w okolicach Bazyliki. Tam przy boczny ulicy Śnieżnej jest jakiś mały pałacyk, do tego pałacyku przeniósł się z Lublina PKWN, ale trwało to zaledwie kilka dni, gdyż wkrótce PKWN przeniósł się do tego wielkiego gmachu w którym była i chyba jest Okręgowa Dyrekcja Kol. Państwowych obok dworca Wileńskiego. W tym ulokował się nie tylko PKWN, ale i Krajowa Rada Narodowa.

Bolesław Bierut, jako przewodniczący tej rady oraz ministrowie PKWN zajęli wysoki dom na rogu ul. Jagiellońskiej i Zygmuntońskiej na wprost gmachu liceum kr. Władysława IV-go. Krótko: Praga była stolicą Polski; miała taką chwilę w swym życiu (istnieniu).

Gdy PKWN był jeszcze w Lublinie ab. Stanisław Krupski był już starostą powiatowym warszawskim z ramienia PKWN-u, dał mi przepustkę do Lublina. Mając taką przepustkę, udałem się samochodem wojskowym do Lublina; zgłosiłem się do ówczesnego wicepremiera PKWN Stanisława Janusza, mojego starego znajomego jeszcze z okresu międzywojennego. Bardzo się ucieszył gdy mnie zobaczył. Zgłosiłem się też w Lublinie do Zarządu Głównego ówczesnego SLu. Prezesem był Kotek - Agroszewski, ale był nieobecny; zgłosiłem przeto swój akces do SLu na ręce członka Prezydium Zarządu Głównego tego stronnictwa do ob. Górala. Oczywiście zostałem przyjęty; od tej chwili, aż do dziś jestem nie tylko ideowo lecz formalnie członkiem obozu ludowego.

Kotek - Agroszewski wkrótce ustąpił ze stanowiska prezesa SLu. To stanowisko zajął Stanisław Janusz. Ponieważ jednak moje osobiste sprawy finansowe były bardzo mizerne, przeto przy pomocy również Stanisława Krupskiego otrzymałem pracy przy ówczesnym Zarządzie Wiejskim, który się wtedy mieścił w gmachu szkoły podstawowej obok Bazyliki, na Pradze. Prezydentem Warszawy był wtedy płk. Spychalski, obecnie minister obrony narodowej.

Ja i jeszcze drugi pracownik ob. Marchwicki mieliśmy za zadanie zorganizować komunalną Kasę miasta st. Warszawy. Wynaleźliśmy, więc na ostrym rogu ulicy Radzymińskiej i Ząbkowskiej duży lokal na parterze i tam urządziliśmy lokal dla KKO; jest on do dziś w takim stanie jakim go urządziliśmy. Później zaczęliśmy obaj z Marchwicki restaurować lokal KKO przy ulicy Targowej. Jest on dziś takim stanie do jakiegoś my go doprowadzili. Na tej pracy zeszło nam cała jesień i pierwsza część zimy. Obecnie w tych dwóch lokalach jest PKO.

Dnia 17 stycznia 1945 roku wojska radzieckie i polskie przeszły przez Wisłę po lodzie na terenie w świadku pomiędzy Warszawą i Modlinem, zajęły Warszawę na lewym brzegu Wisły i popędziły Niemców na zachód. Trzeciego dnia po tym zdobyciu, w niedzielę, przeszedłem po lodzie na drugi brzeg Wisły i przeszedłem całą Warszawę wzdłuż do Politechniki. Stolica była całkowicie w gruzach i wyglądała strasznie. Szedłem przez Stare Miasto, ulicą Świętojańską, była zawałona gruzem do pierwszego piętra. Kolumna Zygmunta leżała, a Zygmunt III też leżał w śmiesznej pozie; Chrystus sprzed kościoła Św. Krzyża leżał na środku Krakowskiego Przedmieścia w stanie godnym pożałowania; Kopernik był podziurawiony.

Tak doszedłem do domu akademiczek obok Politechniki; od woźnego, który już powrotu ze wsi dowiedziałem się, że starsza moja córka, która była sanitariusz w powstaniu i na początku powstania kwaterowała się w domu akademiczek, po kapitulacji powstania powróciła do domu akademiczek żywa i ze swoją przyjaciółką we dwie osoby wyszły z Warszawy w stronę Piotrkowa pieszko. Uradowany, że córka żyje, wróciłem tą samą trasą do Wisły obok mostu gdańskiego po lodzie przeszedłem na Pragę i wróciłem wieczorem do domu. Żona i najmłodsza córka bardzo się ucieszyłem, że starsza córka żyje.

Co się zaś tyczy stałej komunikacji pomiędzy Praga i Warszawą, to saperzy wkrótce wybudowali na Wiśle most pontonowy, który z Pragi wychodził na wprost ul. Karowej. Wtedy przybył na Pragę z okolic Rawy Mazowieckiej ob. Władysław Kowalski, został wiceprezesem K.R.N i ministrem kultury; lokal tego ministerstwa mieścił się w tymże gmachu, co PKWN i Krajowa Rada Narodowa, ale nie widziałem o tym.



Pewnego dnia, gdy był w lokalu KKO przy ul. Targowej, odwiedził mnie Kowalski; ucieszyłem się bardzo, bom się z nim od dawna dobrze znał. Za Rządem i Krajową Radą Narodową wyprowadził się z Lublina także Zarząd Główny Stron Ludowego, ale nie do Warszawy lecz do Łodzi; Krajowa Rada Narodowa w Warszawie też przeniosła do „Romy” świeżo odrestaurowanej, a ministerstwo kultury w okolice placu Unii Lubelskiej. Administracja „Zielonego Sztandaru” ulokowała się w Łodzi, a redakcja w gmachu przy mega Bagateli 12. Dom ten nie był zniszczony.

W-KKO m. st. Warszawy pracowałem tylko do wiosny, a wczesną wiosną przeszedłem do centrali spółdzielni rolniczo-handlowych przy ulicy Szpitalnej (na rogatkach u. Przeskok). Wkrótce z Łodzi przeniósł się do Warszawy Zarząd Główny SLu i ulokował się w gmachu przy Bagateli 12. Stanisław Janusz ustąpił. Prezesurę objął ob. Wł. Kowalski, a sekretarzem Generalnym został Antoni Korzycki. Wł. Kowalski był też redaktorem naczelnym „Zielonego Sztandaru.” Redaktorem funkcyjnym było literat - dramaturg, którego nazwiska nie pamiętam. Ale literat ustąpił, wobec tego tego prezes Wł. Kowalski zaproponował mi stanowisko redaktora funkcyjnego. Chętnie się zgodziłem. Na zebraniu redakcji na mój wniosek zaangażowano Marię Bębnowską, a na maszynistka Irenę Idzikównę.

Zostałem, więc redaktorem „Zielonego Sztandaru” daty objęcia tej odpowiedzialnej funkcji dokładnie nie pamiętam; pamiętam tylko, że to było w lecie 1945 roku. Nie potrzebowałem się uczyć sztuki redaktorskiej, bom się nie nauczyłem, gdym redagował „Gazetę Chłopską” i później „Polskę Ludową”. Z miesiąc pełnieniem obowiązków pracownika w spółdzielni rolniczo-handlowej przy ulicy Szpitalnej rok Przeskoku, a zarazem jako redaktor „Zielonego Sztandaru”. Ale, że pracy redakcyjnej było dużo, przeto ustąpiłem ze spółdzielczości rolniczo-handlowej i całkowicie zająłem się sprawą redakcji.

Posiedzenia KRN odbywały się już wtedy w sali kina „Roma”. Chodziłem na te posiedzenia jak „Prasa” i oczywiście dawałem w „Zielonym Sztandarze” sprawozdania. Wtedy też dr. Stanisław Wrona i jeszcze dziesięciu czołowych działaczy b. Stronictwa Chłopskiego wstąpiła do Stro. Ludowego i zgłosiło deklaracje zbiorową. Ja należałem do SLu już od października roku 1944. Na najbliższym kongresie SLu sprawa przystąpienia do SLu czołowych działaczy Stron. Chłop. była oddana do zaakceptowania. Kongres przytłaczającą większością głosów zaakceptował ten akces.

W tym czasie Mikołajczyk był już w kraju i tworzył swój PSL, ale nikt z działaczy byłego Stron. Chłopskiego do niego nie poszedł. Przystąpili, więc do PSL piastowscy i wyzwolenicy, to jest działacze tych dwóch grup, które swoimi głosami w 1934r. na radzie naczelnego ówczesnego stronictwa ludowego usunęły dr. Stanisława Wronę ze stanowiska przewodniczącego Centralnego Komitetu Wykonawczego. Zdawało się, że to był przypadkowy zbieg okoliczności; nie był to jednak przypadek, a dalszy ciąg tego frontu, że to obie grupy zawarły tajną umowę o przystąpieniu do frontu w Moreges razem z Chrześcijańską Demokracją, która znowu miała poufną łączność z endecją, a więc front w Morges, moim zdaniem był bardzo zakonspirowanym zespołem centroprawicowy. Ten, więc przedział, który w r 1934 zaistniał w Ruchu Ludowym pomiędzy grupą byłego Stron. Chłopskiego i grupą wyzwoleniową, wyszedł na wierzch jeszcze raz, ale już do drugiej wojnie, gdy Mikołajczyk contra istniejącemu już SŁowi tworzył swój PSL. Z pomiędzy tych działań b. Stron. Chłopskiego, co to razem z dr. Wroną postanowili wstąpić do SL, niektórzy weszli i do Krajowej Rady Narodowej, w tej liczbie i dr. St. Wrona.

Ja się zadowolilem tym stanowiskiem redaktora „Zielonego Sztandaru” i uwiecznianiem historii działalności Krajowej Rady Narodowej tego pod parlamentu Polski Ludowej. Ale wymiennie tylko 2 posiedzenia, które mi do dziś w pamięci i w wyobraźni pozostały: jedna dotyczyła zatwierdzenia granic Polski Ludowej, a drugie sprawy upaństwowienia fabryk. Na pierwszym tym wymienionym powyżej posiedzeniu uchwalono nie tylko akceptacje granic wschodnich Polski Ludowej, ale również likwidacje skutków politycznych unii Lubelskiej z czasów Zygmunta Augusta oraz Konstytucji 3 maja, która zносиła dualizm Korony i Wielkiego Księstwa Litewskiego. Ponieważ się całe życie interesowałem historią Polski, więc i to posiedzenie Krajowej Rady Narodowej jako bardzo ważne w dziejach narodu polskiego dobrze pamiętałem. Czy wszyscy członkowie Krajowej Rady Narodowej zdawali sobie sprawę, że są aktorami tak ważnego aktu politycznego jam nie wiem. Ja byłem świadkiem!

Drugie posiedzenie dotyczyło sprawy mniej ważnej ze stanowiska historycznego, ale bardzo ważnego stanowiska gospodarczego. Szło nie tylko o to, by właściciele fabryk wywłaszczyć, ale też i o to, czy im dawać odszkodowanie, czy nie. Rządowy projekt przewidywał i projektował odszkodowanie. Aliści dr. Stanisław Wrona postawił niespodziewanie wniosek, by fabrykantom nie dawać odszkodowania. W owym czasie wniosek ten, był bardzo zaraźliwy. Dobrze się też napocili przywódcy ówczesnego PZPRu, by przeforsować odszkodowanie; i z trudem je przeforsowali. Oczywiście, że szło

im o to by nie psuć Polsce Ludowej opinii za granicą w tamtejszym świecie kapitalistycznym. Gdym się zapytał dr. Wrony dlaczego taki wniosek postawił odpowiedział: „taki mam pogląd na tę sprawę”!

Jeszcze jedna sprawa poważna była załatwiona za czasów istnienia Krajowej Rady Narodowej. Był to plebiscyt w sprawie senatu i Ziemi Zachodnich. W tym plebiscycie społeczeństwo polskie wypowiedziało się za skasowaniem senatu oraz orzekło, że „Ziemia Zachodnie”, jako rdzennie ziemie polskie, stanowią nierozdzielalną część polski. Dopiero po załatwieniu tych ważnych spraw Krajowa Rada Narodowa uchwaliła ordynacją wyborczą do Sejmu i poczyniła przygotowania do wyborów.

Wybory odbyły się w zimie z roku 1946 na rok 1947. Ówczesny prezesem SLu Władysław Kowalski zaproponował mi mandat do tego pierwszego Sejmu Polskiego Ludowej. Przyjęcie kandydatury uzależnieniem od zgody wyborców powiatu Jędrzejowskiego. zaraz też tam pojechałem i zorganizowałem dwa zebrania przedwyborcze: jedno w południowej, drugie w północnej części powiatu. Na obu tych zebraniach chłopcy wyrazili radość z tego powodu, że mam możliwość wrócić do życia politycznego w powiecie.

Wróciwszy do Warszawy zgodziłem się na kandydowanie. Ponieważ wtedy byłem redaktorem „Zielonego Sztandaru”, nie miałem więcej czasu na częste wyjazdy do okręgu wyborczego, ale w ciągu całej akcji wyborczej kilka razy wyjeżdżałem. Trzeba bowiem wiedzieć, że przed wyborami zjazd powiatowy PSL pod przewodnictwem Józefa Mroza z Piasków całkowicie oświadczył się za PSLem, t.j. za Mikołajczykiem. Musiałem, więc tą falę odwracać; ale jednak odwróciłem podczas i wyborów przytłaczająca większość powiatu jędrzejowskiego na mnie głosowała. A głosowali także chłopcy powiatu Mostowskiego, Kieleckiego. Krótko: zostałem wybrany na posła do Sejmu Ustawodawczego Polski Ludowej.

Otwarcie Sejmu było w pierwszych dniach lutego 1947 roku. Otwiera je Bolesław Bierut jako przewodniczący Krajowej Rady Narodowej. Kiedy trzeba było uchwalić notę ślubowania poselskiego, poseł katolicki Frankowski postawił wniosek, by na końcu ślubowania umieścić zdanie: „Tak mi dopomóż Bóg!”. W klubie SLu i PSLu nie było żadnych wątpliwości, że głosować trzeba za tym wnioskiem; w klubie PPS też nie było żadnych wątpliwości, że głosować się będzie przeciw temu wnioskowi.

Językiem u wagi był klub PZPRu, zresztą najliczniejszy; Gomułka był prezesem tego klubu, zarządził, by głosować za wnioskiem; ale klub się buntował, bo chciał głosować jak i PPS. Gomułka od czego nie ustępował i nakazał klubowi głosować za wnioskiem; ponieważ miał obawy, że klub na może nie posłuchać stanął na podniesieniu i patrzył pilnie, jak jego klub głosuje. Pod taką ścisłą kontrolą klub PZPR w większości, acz niechętnie głosował za wnioskiem posła Frankowskiego. Wniosek zyskał więcej niż połowę głosów i został uchwalony, to też wszyscy złożyli ślubowanie z zakończeniem: „Tak mi dopomóż Bóg!”.

Nie będę opisywał działalności Sejmu ustawodawczego, bać to są sprawy nie tak dawne. Zaznaczam tylko, że na marszałkiem tego Sejmu został wybrany Władysław Kowalski, prezes PSL. Oczywiście ze stanowiska ministra kultury ustąpił; stanowisko to objął Dąbowski, członek klubu SL. Ja na mój wniosek zostałem przez klub oddelegowany do Komisji Administracyjnej i Rolnej. Prezesem klubu został inżynier poseł Grubecki, a jego zastępcą poseł Al. Juszkiwicz. Ci dwaj posłowie kierowali działalnością klubu na terenie Sejmu. Głównym dziełem Komisji Administracyjnej było opracowanie ustaw o Radach Narodowych i ich prezydium, t.j. ustaw o ustroju administracyjnym Polski Ludowej. Głównym zaś dziełem Komisji Rolnej było zakończenie reformy rolnej dekretowaniem przez PKWB w Lublinie w lipcu 1944 roku, oraz akcja ustawodawcza ułatwiająca zagospodarowanie wielkich zdziczałych odłogów rolnych na Ziemiach Zachodnich. Pracy na tych obu komisjach było dużo, a gdy dodać do tego moją pracę redaktorską to jasne, że byłem mocno przepracowany. Głównym celem Sejmu ustawodawczego było opracowanie nowej Konstytucji dla Polski Ludowej. Nie byłem jednak członkiem tej komisji.

Po trzech latach mojej pracy redaktorskiej - władze naczelne SLu odwołały mnie ze stanowiska redaktora „Zielonego Sztandaru”. Do dziś nie wiem jaki był powód tego odwołania, ale i wtedy nie robiłem żadnych wysiłku, aby się dowiedzieć. Na moje miejsce bo był wyznaczony H. Dzendzel. Po moim wystąpieniu z redakcji „Zielonego Sztandaru” - prezydium Klubu delegowało mnie do propagandy pozaparlamentarnej. Najpierw złożyłem sprawozdanie ze swej działalności poselskiej we wszystkich gminach powiatu jędrzejowskiego, później byłem w miarę potrzeby delegowany do pracy wyjazdowej do

różnych powiatów województwa Kieleckiego; do powiatów: Kozińskiego, Sandomierskiego, Starachowickiego, Radomskiego, Włoszczowskiego, a nawet Opoczyńskiego i Koneckiego.

We włoszczowskim powiecie byłem nawet dwa razy: raz na seminarium w Seceminie w dniu 1 maja drugi, raz w Kończynie. Byłem też kilka razy w powiecie Bielsko-Biała na wiecach poselskich sprawozdawczych. Oczywiście na te zgromadzenie jeździłem tylko w dni świąteczne i niedziele, kiedy nie było pracy komisyjnej w Sejmie. w tym czasie syn mój był studentem Politechniki Gdańskiej na wydziale budowy okrętów. Musiałem go utrzymywać. To kosztowało kilkanaście złotych miesięcznie. Dopóki byłem posłem redaktorem, mogłem tym wydatkom sprostać, ale gdy mi odpadło wynagrodzenie redaktorskie, brakło mi już środków pieniężnych na utrzymaniu syna w Gdańsku. By temu zaradzić przyjąłem prace i stanowisko nauczyciela języka polskiego i rosyjskiego w średniej szkole handlowej przy ulicy Zagórnej; przepracowałem tam rok.

Będąc posłem otrzymałem pracę redaktorską w czasopiśmie „Plon” w Państwowym Wydawnictwie Rolniczym i Leśnym (PWRiL) w Warszawie ul. Warecka 11s. Pracowałem, więc stałowe w redakcji „Plonu”, a gdy w Sejmie bywał posiedzenia plenarne lub komisyjne, byłem zwalniany z pracy, bym mógł się udać do Sejmu. Praca w szkole na Zagórnej, a później w PWRiLu przy jednoczesnym posłowaniu umożliwia mi utrzymywanie syna na Politechnice Gdańskiej.

Podczas mojej działalności poselskiej w Sejmie Ustawodawczym - nie robiłem żadnych zabiegów kierunku zabezpieczenia sobie kandydowania do Sejmu drugiego. Bo i też w ruchu ładowym zaszły zmiany. Mikołajczyk, prezes PSL bawił się w sejmie w jaskrawą opozycję, często przemawiał w Sejmie, ale nie do Sejmu, a do konserwatywnych, a nawet wstecznych resztek byłego polskiego świata kapitalistycznego i mieszczańskiego. Często też za zarzucał ob. Kowalskiemu, że w protokołach sejmowych nie wszystko było zapisane tak, jak sobie tego Mikołajczyk życzył. Spor ten pomiędzy posłem Mikołajczykiem, a Marszałkiem Sejmu zazwyczaj rozstrzygał Sejm większością głosów.

Ta przejaskrawiona Mikołajczykowska opozycja nie podoba się niektórym członkom PSLu. Pierwszy opuścił szeregi PSLu - Stanisław Araszkiewicz, przechodząc do SLu. Wkrótce też w klubie Mikołajczyka powstała zorganizowana opozycja. Na jej czele stanął poseł dr. Wł. Kiernik, prezes Rady Naczelnej PSLu Czesław Wycech, b. ministerstwo oświaty oraz poseł Banach. Opozycja domagała się połączenia klubów i stronnictw i PSLu z SLeM. Oczywiście Mikołajczyk był temu przeciwny. Rozchwianie u Mikołajczyka i w klubie PSLu rosło.

Nim przejdziemy do dalszego biegu wypadków muszę przypomnieć to, co powinienem był napisać w swej relacji o otwarciu sejmu ustawodawczego. A mianowicie to, iż po ukonstytuowaniu się Sejmu Ustawodawczego, Sejm ten wybrał na prezydenta Bolesława Bieruta, a na premiera zamiast od Osóbki Morawskiego został powołany Cyrankiewicz, zaś na wicepremiera sekretarz generalny SLu Antoni Korzycki. Składu osobowego całego Rządu dziś nie pamiętam. Gdy więc ferment w klubie Mikołajczyka doszedł do tego stopnia, że grozi klubowi rozłam w którym większość wypowiedziała się za połączenie z klubem SLu Mikołajczyk, nagle nikogo tym nie powiadamiając, wyjechał z Polski za „Zieloną Granicę”, t.j. nielegalnie.

Wtedy nie było przeszkód do połączenia. To też połączenie nastąpiło 25 września 1949 roku. Dokonało się w ten sposób, w dniu powyżej wymienionym połączyły się obie rady naczelnej PSLu i SLu i powstała w ten sposób Rada Naczelna Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. Prezesem tej rady został Władysław Kowalski, wiceprezesem Wł. Kiernik. W końcu listopada tegoż roku odbył się Kongres Łączeniowy SLu i PSLu. Prezesem Rady Naczelnej po tym kongresie został Józef Niecko, a prezesem Naczelnego Komitetu Wykonawczego - Wł. Kowalski, zaś sekretarze, który był jednocześnie wicepremierem został Antoni Koszycki. Za organ ZSLu uznano „Zielony Sztandar” redaktorem został St. Jagiełło. Przyjęto też obyczaj zapoczątkowany kiedyś przez Stronnictwo Chłopskie świętowania uroczyste świętowania uroczyste Święta Chłopskiego w dzień Zielonych Świątek oraz ustanowiono flaga ZSLu - koloru zielonego.

Jest jasne, że jak się łączyły stronnictwa, to się łączyły także i kluby; w czasie łączenia się klubów kilku posłów z dawnego SLu złożyło mandaty ; pamiętam tylko nazwiska dwóch: Osiecki i Chwaliński. Ostatnia i najważniejszą czynnością Sejmu Ustawodawczego było uchwalenie Konstytucji PRL. Nastąpiło to w końcu lipca 1952 roku. Nie będzie podawał podstawowych zasad tej Konstytucji. Obowiązuje ona do dziś. Każdy może kupić Dziennik Ustaw z roku 1952 z pełnym tekstem konstytucji i przeczytać.

Zaraz też po uchwaleniu Konstytucji nastąpiło rozwiązanie Sejmu Ustawodawczego PRL. Nie czyniłem żadnych starań o mandat poselski do następnego Sejmu. Nie chciałem się narzucać w tej sprawie władzom ZSLu. Jak już wyżej nadmieniałem, byłem już wtedy pracownikiem w Państwowym Wydawnictwie Rolniczym i Leśnym. Ponieważ syn mój jeszcze nie ukończył studiów na Politechnice Gdańskiej, przeto po rozwiązanie Sejmu Ustawodawczego jako pracownik PWRiL musiałem poszukać pracy dodatkowej w celu utrzymania syna przy studiach inżynierskich, gdyż płaca otrzymywana w PWRiL była na moje potrzeby niewystarczająca. Taką pracę znalazłem; było to liceum dla dorosłych pracowników państwowych. Wykłady odbywały się wieczorami. Wykładałem tam język polski i rosyjski. Liceum to mieściło się w gmachu szkolnym - róg alei Świerczewskiego i Żelaznej.

W tym zakładzie szkolnym pracowałem do tego czasu, aż syn ukończył studia na politechnice gdańskiej jako inżynier budowy okrętów. Pracuje obecnie na stoczni gdańskiej i co jakiś czas wduje zbudowane pod swoim kierownictwem 15 - to lub 19 - to tysięcy dla ZSRR, Egiptu, to nawet daleki Brazylii. Z córkami moimi miałem mniejszy kłopot; obie kształciły się w Warszawie: starsza ukończyła na Uniwersytecie dwa wydziały: polonistykę i filozofię, i jako magister dwóch dziedzin naukowych uczy młodzieży technikum zawodowe. Młodsza ukończyła studia farmaceutyczne ze stopniem magistra, wkrótce obroniła pracę doktorską, wyszła za mąż i obecnie jako doktor chemii organicznej wykłada chemię w Akademii Medycznej na wydziale farmacji.

Po kilku latach opuściłem PWRiL i przeszedłem do pracy w Inwalidzkiej Spółdzielni Emerytów i Nauczycieli Wspólna Sprawa, gdyż warunki materialne były tu nieco lepsze niż w PWRiL. A drugi powód przejście do tej spółdzielni, był ten iż stary mój przyjaciel Krupka był i jest w tej spółdzielni wiceprezesem. Jestem więc w tejże spółdzielni człowiekiem i pracownikiem. Pracuje w tym dziale, który wytwarza przezrocza bajek dla przedszkolaków oraz przezrocza szkolne, ściśle przystosowane do programów szkolnych. Można, by więc powiedzieć, że moja obecna praca jest pracą oświatową. W dniu 1. 8. 59 otrzymałem na wniosek władz ZSL rentę specjalną; pracuje więc w tej spółdzielni nadal na pół etatu.

# Zakończenie

Urodziłem się 18 lat po powstaniu styczniowym. W historii Polski był to czas najgorsze, nieomal beznadziejne. Moja rodzina wieś sąsiadowała byłym klasztorem Cystersów, w którym rząd carski ulokował seminarium nauczycielskie. To mi ułatwiło ukończenie tego zakładu szkolnego. Zdawałem sobie sprawę, że wykształcenie zdobyte w tym seminarium, było bardzo skromne. Powziąłem zamiar zdobycia wykształcenia wyższego.

Byłem kilkanaście lat nauczycielem. Dostrzegłem, iż moje upodobania i zdolności nadają się do nauczania dorosłych, a nie dzieci. Stałem się, więc działaczem społecznym i politycznym pośród mas chłopskich, które za dawnych czasów stanowiły większość narodu, a dziś jeszcze stanowią połowę. Podniesienia tych najszerzych mas, można powiedzieć podstawowych mas narodu polskiego, - uznałem za główny cel mego życia. Podniesienie nie tylko w dziedzinie oświatowej, kulturalnej, ale również i materialnej. Uznałem, że taka moja działalność będzie z mojej strony najlepszą pracą dla Polski Ludowej. Jesienią roku 1918 przyszła chwila osobliwa i powstał w Lublinie pierwszy Rząd Ludowy, stanąłem przy jego boku jako gorliwy obrońca i pracownik.

W okresie międzywojennym w mojej czterosejmowej pracy politycznej, szedłem swoją własną drogą, podług swojego sumienia. Drogę tą uważałem za zgodną z dążeniami i interesem mas chłopskich. Nie szedłem, ani za endecją, ani za Witosem, ani za Piłsudskim. Autorytety na mnie nie działały. Endecje uważałem za obrońcę i rzecznika tych, którzy powinni byli jak najprędzej odejść.

Wincenty Witos! Niezawodnie w owe czasy był to bardzo mądry chłop! Ale miał swoje ale: był związany z endecją jakoś tajemniczą więzią. Ta wieź spowodowała, iż endecja stale wysuwała go na swoje czoło do walki z Piłsudskim. Jakaż to była owa tajemnicza więź, która tak mądrego chłopca związała tak mocno z klasowymi wrogami chłopów? Zaryzykuję i wyłożę w tej sprawie swoje własne przypuszczenie. Uważam, więc że tą więzią była chyba przysięga przypuszczam, - złożona w swoim czasie przez Witosę na wierność dla „Ligi Polskiej”, „Ligi Narodowej” założonej w Szwajcarii przez T.T. Jeża (Miłkowskiego).

Ligę tą opanowali później dmowszczyki i do Polski sprowadzili. Podług mojego przypuszczenia, a nawet i obserwacji ową „Ligę” w okresie międzywojennym reprezentował Stanisław Grabski. Sądzę, więc że ta przysięga była tą tajemniczą więzią, która łączyła Witosę ze Stanisławem Grabskim. Podług moich spostrzeżeń chłopci za dawnych czasów uważali przysięgę jako przyrzeczenie dawane, wobec Boga jako, świętość. Z tego też powodu krzywoprzysięstwo na wsi uważano za bardzo wielki grzech. Możliwe, więc że taki chłopski kultura przysięgi miał również i Witos, prawdziwy chłop i syn owych czasów. Jeżeli, więc złożył taką przysięgę na wierność dla „Ligi Polskiej”, co podług mojego zdania bo faktem, to przysięga ta stanowi tajemniczą więź między Witosem i Stanisławem Grabskim. Ta moja hipoteza wyjaśnia też łatwo, że Witos przyjął wiceprezeturę Krajowej Rady Narodowej dlatego, że był tam już wiceprezesem Stanisław Grabski.

Józef Piłsudski! Postać całkiem historyczna. Co czynił przed przewrotem majowym, wiemy. Co mógł uczynić dla wsi po przewrocie majowym bardzo wiele? A co uczynił? Nic. Dla wsi nic, a co dla narodu? Dla narodu uczynił Konstytucji Sławkową wprowadzającą zamaskowaną monarchie prezydencką, monarchie kliki otaczającej prezydenta. To też podług mojego zdania cały pojmowany dorobek piłsudczyków, był łagodnie mówiąc - zerowy. Nie wyrażam, więc żadnego żalu, że nie uległ autorytetowi Piłsudskiego. Zgodnie ze swoim sumieniem zdobyłem wyższe wykształcenie polonistyczne. Gdy w roku 1944 powstał w Lublinie drugi Rząd Ludowy w postaci PKWN stanąłem w szeregach SLu. „Zielony Sztandar” pod moją redakcją był szkołą dla chłopów. Gdy później władze SLu i jeszcze później - ZSLu skierowały mnie do akcji wyjazdowej na wsi, chętnie czynność tą wykosztowałem.

Jeździłem, więc do wielu powiatów woj. Kieleckiego na wiece poselskie, które w rzeczywistości był nie wiecami, lecz wykładami oświatowymi dla szerokich mas. Podczas tych wykładów mówiłem też dużo o zespołowym, spółdzielczym gospodarowaniu na roli. Gdy kadencja Sejmu Ustawodawczego PRL dobiegła końca, nie czyniłem żadnych zabiegów o mandat do Sejmu drugiego czy też trzeciego. Przeszedłem, więc do pracy w PWRiL, w redakcji „Plonu”. Znowu przy pomocy tego czasopisma, wraz z innymi szerzyłem wiedzę rolniczą na wsi. A dziś, gdy to piszę znowu pracuje w spółdzielni założony przez nauczycieli, w dziedzinie nowej, bo produkcji przezroczystych szkolnych, by dzieciom szkolnym najszerzych

mas chłopskich nauka łatwo do głów szła. Tak o to przepracowałem 60 lat swego życia na polu oświaty dla wsi w miarę swych sił wykonywałem myśl: **Przez lud do narodu, przez naród dla ludzkości.**

*Warszawa, 10 maja 1961r.*

***Andrzej Waleron***

